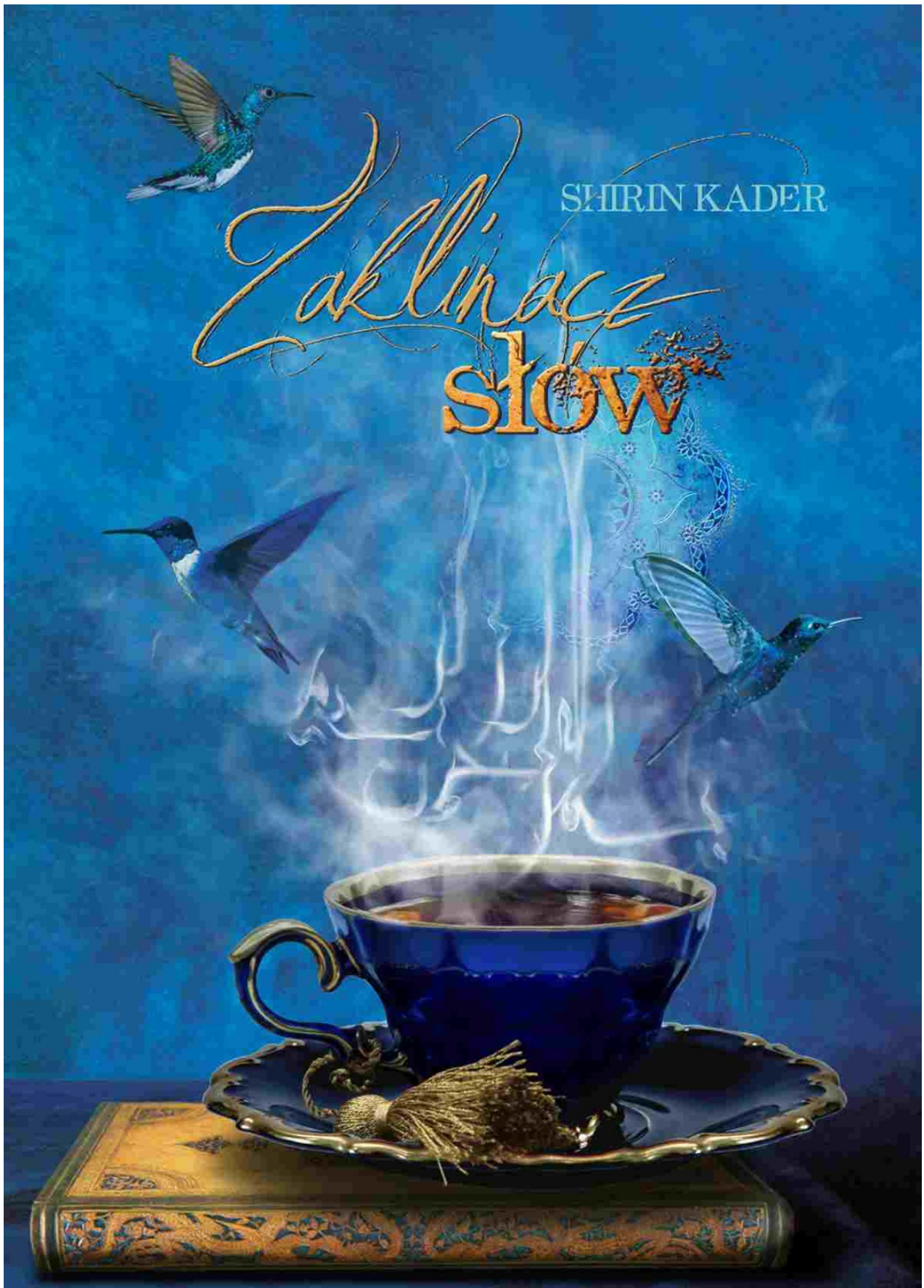


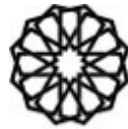
SHIRIN KADER

Zaklínací  
slov



SHIRIN KADER

Zaklınac  
SLOW



Lambok

# Spis treści

Dedykacja

Motto

Prolog

Część pierwsza

Część druga

Część trzecia

Część czwarta

Część piąta

Epilog

Słowniczek

Przypisy

Seria wydawnicza The Art of Storytelling

*Temu, kto stał się częścią pewnej przepowiedni*

*i każdym słowem tej książki*



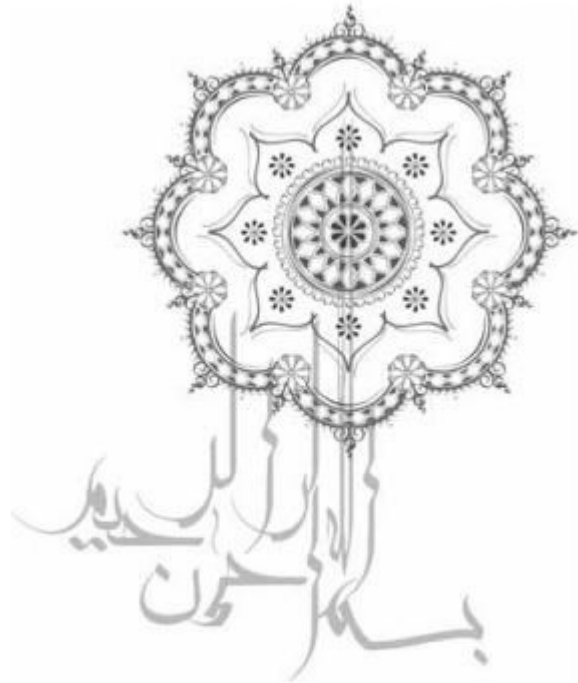
Każdy z nas jest opowieścią-mikrokosmosem, lecz moją jest On – Zaklinacz Słów, Zjawa, Tłumacz Miasta. Ta opowieść nigdy się nie skończy, będzie trwać tak długo, jak długo trwa wyobraźnia.

Dzień po dniu.

*Day after day.*

يوم بعد يوم.

## PROLOG



Przed chwilą zgasło światło. Siedziałam bez ruchu, wsłuchując się w odgłosy, które tak często umykają uwadze, dopóki nie przypomni nam o nich nagła, niespodziewana ciemność. Piętro niżej płakało dziecko, w rurach bulgotała woda, gdzieś w oddali skrzypiały ciężkie drzwi. W oknach zaczęły pojawiać się chwiejne płomienie świec, wydobywając z mroku twarze ludzi mijanych czasem w sklepach i na przystankach. Pewnie przeczekałabym awarię prądu tak jak inni – zagotowałabym herbatę w niewielkiej kuchni, patrząc na cienie powołane do życia przez palący się gaz, zagrałabym w jedną z głupich gier, jakich pełno w telefonach komórkowych, albo po prostu ucięła sobie drzemkę – gdyby ta awaria nie obudziła wspomnienia, które powraca do dziś.

Zawsze, gdy gaśnie światło, myślę o Tobie. Mam teraz trzydzieści pięć lat i piszę opowiadania, które czytane są na całym świecie. Nie, nie posiwiałam, moje włosy są wciąż takie jak wtedy, rude, odcień miedzi, lekko kręcone na końcach. Nie garbię się. Nie przytyłam. Tylko mój śmiech lekko się zakurzył.

„Napisz o mnie” – powiedziałaś tamtego dnia, kiedy jechaliśmy londyńskim metrem. Mój wzrok błąkał się bez celu po srebrnych ścianach wagonu, błędził po płaszczach i butach pasażerów, przemykał po ich palcach przytrzymujących tanie brukowce wyrzucane do kosza na najbliższej stacji, śledził drobne niedoskonałości skóry, zbyt wyraźne w sztucznym świetle jarzeniówki. Gdy wysiedliśmy na Seven Sisters, gdzie mieliśmy się spotkać ze znanym reżyserem Alainem Levittoux, powtórzyłaś: „Napisz o mnie”. Tym razem zabrzmiało to jak zaproszenie do zakazanej miłosnej igraszki.

Gdybym miała wtedy o Tobie napisać, napisałabym o czarnym płaszczu pachnącym kawą i rogalikami z francuskiej piekarni; wzdłuż zamka biegł haft, który wciąż zdarza mi się rysować z pamięci na kawiarnianych serwetkach. Na lewym rękawie tego płaszcza, podobnego krojem do indyjskiego szerwani, widniało zawsze kilka rudych włosów, znak, że nasze ubrania już od kilku miesięcy wisiły we wspólnej szafie. Tłem tamtego Ciebie pewnie byłoby ludzkie poruszające się po peronie w tę i z powrotem, jak zdalnie sterowane zabawki, a odgłos jadącego pociągu, pisk hamulców,

szczyk bramek przy wejściu na stację zastąpiłyby ścieżkę dźwiękową.

Teraz napisałabym to wszystko inaczej, zaczynając od mokki z białą czekoladą kupionej w jednej z zatłoczonych kawiarni przy Oxford Circus. Przypomniał mi o niej rachunek za te dwie kawy, znaleziony niedawno w zbiorze opowieści Rumiego.

„Jak było w bibliotece?” – zapytałeś. To pytanie powracało, odkąd zamieszkaliśmy razem. Jako przykładowa doktorantka The School of Oriental and African Studies (SOAS) spędzałam w bibliotekach całe dni, pochłonięta przygotowaniem rozprawy o roli bazarzy w kulturze arabskiej. W tym czasie Ty występowałeś w teatrze na St. Martin’s Lane, nagrywałeś słuchowiska radiowe albo opowiadałeś ludziom historie w londyńskich kawiarniach.

„Chciałabym poznać człowieka, który wymyślił Szeherazadę” – powiedziałam, przystając koło sklepowej wystawy. Mój wzrok przemknął po kolorowych butach z miękkiej skóry, mokasy-nach, czółenkach, pantoflach, zamszowych botkach i płaskich balerinach, po czym napotkał Twoją twarz odbitą w lśniącej szybie, zmienioną, wykrzywioną w nienaturalnym grymasie. Trwało to nie dłużej niż ułamek sekundy, kiedy się odwróciłam, nie przypomniałeś już poskręcane go maskarona z fasady starego budynku. Pozornie nic się nie stało, a jednak przestrzeń między nami wypełniła ci-sza, zapowiedź nadciągającego nieszczęścia.

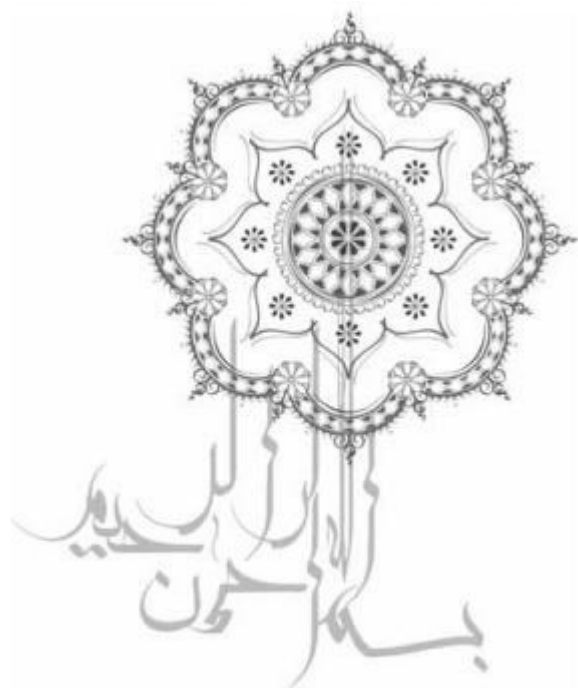
Ścisnąłeś moją rękę trochę mocniej niż zwykle i celnie rzuciłeś tekturowym kubkiem do ko-sza na śmieci. Z głośników wiszących przed sklepem popłynął nagle męski głos, śpiewając *There’s a cloud in the New York skyline*<sup>1</sup>, a na moim niebie, dotąd bezchmurnym, pojawiła się lepka i brud-na chmura niepokoju.

Całą drogę do Seven Sisters milczałeś nieodgadzionym, pełnym napięcia milczeniem, z wyjątkiem: „Napisz o mnie”. Do tej pory wymykałeś się słowom, uciekałeś przed słowami, spra-wiałeś, że słowa rozwiewały się jak czyste kartki papieru na wietrze.

Czyjś śmiech, towarzyszący głosom ludzi na schodach, znów przeniósł mnie z londyńskich ulic do krakowskiego mieszkania z ciekącym kranem i szumiącymi rurami. Pod wpływem ciem-ności niewielka mansarda jeszcze się skurczyła, zapadła w siebie, zmaląła. Ściany, błękitne za dnia, kremowa szafa w stylu decoupage, stół, którego nigdy nie potrafiłam okiełznać, pełen dawno zapłaconych rachunków, paragonów i nieotwartej korespondencji, nawet szyby w oknach, tak często drżące od przejeżdżających pod domem tramwajów, zdawały się powtarzać: „Napisz o mnie”.

„Napiszę” – powiedziałam w ciemność.

## CZEŚĆ PIERWSZA



Zanim się urodziłam, znałam już większość orientalnych baśni. Matka czytała je, odkąd dowiedziała się o mnie, a nawet wcześniej, mając zaledwie przecucie mojego istnienia. Dzięki niej, nauczycielce języka polskiego w jednym z lubelskich liceów, jeszcze nim przyszłam na świat, odwiedziłam Bliski Wschód, Indie, Birmę, Turcję, starożytną Persję i współczesny Iran. Pochłaniała każdą książkę z baśniami, jaką w ciężkich, komunistycznych czasach udało jej się dostać, była ich głodna tak, jak większość ciężarnych kobiet głodna jest słodczy albo wszystkiego, co kwaśne i co zdradza, według wierzeń ludowych, płęć przyszłego potomka. Matka nie potrafiła sobie potem przypomnieć, co jadła w ciągu tych dla niej szczególnych dziewięciu miesięcy, doskonale znała natomiast tytuły czytanych wtedy książek.

Łagodny, zrównoważony głos matki towarzyszył mi od początku. Był ze mną, gdy zaczynało bić serce, gdy pojawiały się pierwsze gesty i ruchy. Nocami wierzgałam niespokojnie w jej wnętrzu, domagając się kolejnych opowieści, aż w końcu budziła się i zaczynała czytać. Tak poznałam *Księgę tysiąca i jednej nocy*, *Księgę papugi*, *Przygody Hodży Nasreddina*, mistyczne opowieści Rumiego i setki dzieł anonimowych autorów.

Od wczesnego dzieciństwa mój pokój wypełniały książki, zarówno pachnące nowością, jak i stare, sfatygowane przez czas, na zawsze naznaczone śladami dawnych użytkowników. Prowadziły mnie przez magiczny świat słów, z których każde miało swój kolor, swą wewnętrzną melodię, rytm, niepowtarzalność. Najpierw dowiedziałam się, jak smakują. Mełłam w bezzębnych ustach strzępy papieru, a matka wyciągała je, przerażona, że zatruję się farbą drukarską. Potem przyszedł czas na dotyk. Przesuwałam palcami po błyszczących literach, próbując wyczuć, które są szorstkie, a które twarde czy miękkie. W końcu nauczyłam się mówić, a wtedy słowa objawiły mi kolejną tajemnicę: rozumiałam, że nazywają to, co kryje wyobraźnia. Od tamtej pory w czterech ścianach mojego pokoju pomalowanych na kolor dojrzałej pomarańczy tworzyłam własne baśniowe krainy, pełne postaci o zmyślonych twarzach i nieistniejących nigdy życiorysach.

W wieku niespełna pięciu lat zaczęłam czytać. Od tamtej pory często wyobrażałam sobie, że



jestem kimś napisanym, kogo życie toczy się na kartach powieści. Wierzyłam też, że za każdym razem, gdy wychodzimy z mieszkania, książki zeskakują z półek, a bohaterowie wysypują się z nich jak z dziurawego worka, ciekawi obcego świata. W mojej głowie powstawały wówczas najróżniejsze scenariusze tego, co działo się pod naszą nieobecność: na kanapie zwinięty w kłębek chrapał smok, ifryty próbowały zamknąć się w słoikach po dżemie, chciwy perski kupiec chciał wiedzieć, czy dywan w salonie nadaje się do latania i czy można nim przewieźć egzotyczne towary. W tym czasie inni, a było ich wielu, szperali w lodówce, włączali telewizor albo słuchali muzyki na starym adapterze rodziców. Po powrocie sprawdzałam, czy wszystkie przedmioty znajdują się na właściwych miejscach, i doznawałam zawodu. Odłożona inaczej łyżeczka czy poprzestawiane buty w przedpokoju miały być znakiem, wiadomością z zaświatów.

Podobno byłam dziwnym dzieckiem. Niektórzy twierdzili, że jestem opóźniona w rozwoju (bali się powiedzieć wprost, że uważają mnie za nienormalną), bo przedstawiałam się imionami książkowych bohaterów albo odmawiałam jedzenia budyniu, przekonana, że niewielkie pływające w nim grudki to bąble, które wcześniej zwiślały z nosów czarownic. W przeciwieństwie do rówieśników nie zadawałam niezliczonych pytań ani nie domagałam się nieustannej uwagi dorosłych. Całe dni spędzałam w swoim pokoju, mając za towarzyszy jedynie zabawki: hinduskie marionetki o rzeźbionych twarzach, kukielki wojowników, drewniane konie ręcznie malowane czerwienią i złotem, błękitne papugi w zdobionych srebrem klatkach. Dziwna, milcząca dziewczynka – mówili między sobą przyjaciele rodziców, zadowoleni, że nie zakłócam ich towarzyskich spotkań płaczem i marudzeniem. Czasem, przekonani, że ich nie słyszę, zastanawiali się, na kogo wyrosnę, przepowiadali przyszłość wzorem starożytnych wyroczni i podtrzymywali na duchu matkę i ojca, których cieszyłby zapewne mój pęd do książek, gdyby nie szło z nim w parze całkowite ignorowanie innych dzieci.

Im dłużej żyłam wśród baśni, tym mniej rozumiałam otaczający mnie świat. Przestałam go potrzebować, bo w sytuacji, gdy ludzie wciąż za czymś tęsknią, do czegoś dążą i czegoś chcą, wszystko potrafiłam sobie wyobrazić. W moim języku nie było pojęcia braku: umiałam latać, ożywiać przedmioty, nadawać kształt temu, co dla zwykłych śmiertelników pozostawało abstrakcją lub nieosiągalnym przedmiotem marzeń. Dopiero gdy poszłam do szkoły, musiałam stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością. Pewnie dlatego niechętnie wspominałam tamte czasy. Gdyby ktoś teraz spytał mnie o wspomnienia z czasów szkolnych, niewiele miałabym do opowiedzenia.

Najlepiej pamiętam lekcję, na której rozmawialiśmy o tym, co chcemy robić w przyszłości. Nauczycielka chodziła między rzędami ławek i zadawała każdemu to samo pytanie. Pogrążona we własnych myślach, jak zwykle nie zwracałam uwagi na to, co mówią inne dzieci, a kiedy nadeszła moja kolej, wypaliłam bez zastanowienia: „Chcę być Szeherazadą”. Wokół rozległ się ryk. Śmiech wirował w powietrzu, turlał się po podłodze, wpelzał na parapety, przyklejał do świeżo wytartej tablicy. Moi koledzy i koleżanki z klasy pokładali się na sobie nawzajem, smarkali w rękawy fartuchów, kwiczelili i wydawali trudne do określenia odgłosy. Wyobraziłam sobie wtedy, że przez uchylone okno do sali wlatuje lśniący, purpurowy ptak i robi wielką kupę na głowy przerażonych dzieciaków. Nauczycielkę kompletnie zaskoczyły reakcje dzieci. Widziała wiele form szkolnego ostracyzmu, ale scena w klasie odebrała jej resztki złudzeń. Chciała chronić mnie przed okrucieństwem, zupełnie niepotrzebnie, bo nic nie mogło zrobić tego lepiej niż wyobraźnia. Mówiła o szacunku dla cudzych marzeń, o empatii i zrozumieniu, ale wszystko to trafiało w próżnię.

– Te, Szeherazada, pokaż majty – usłyszałam, wchodząc do szatni.

– Spadaj – warknęłam.

– Wariatka.

– Kretyn.

Przez kolejne lata niewiele się zmieniło. Prowadziłam podwójne życie i nie przeszkadzało mi to. W klasie byłam cichym, milczącym wyrzutkiem, pozostawionym jednak w spokoju, bo poza językiem baśni doskonale znałam też język ulicy i nie wahałam się go używać, niespecjalnie pasowałam więc do roli ofiary. W domu natomiast miałam swój świat i przeżywałam w nim niesamowite przygody. Z czasem nauczyłam się traktować rzeczywistość jako tło wyobraźni, jej dopełnienie, coś, bez czego nie mogłaby istnieć.

Pewnego dnia zdałam sobie sprawę z tego, że dorastam. Dzieciństwo kończyło się bezpowrotnie i nagle baśnie przestały mi wystarczać. Obserwując koleżanki spacerujące z chłopakami za rękę albo całujące się z nimi ukradkiem na szkolnych korytarzach, odczuwałam tęsknotę za czymś, czego nie potrafiłam nazwać. W moim otoczeniu nie było nikogo, kto by przyciągnął wzrok, wzbudził zainteresowanie. Przerazała mnie milcząca bezpostaciowość owej tęsknoty, brak nawet jednego człowieka symbolu, którego imię mogłaby nosić. Anonimowa tęsknota rozgościła się w myślach na dobre, wypominając każdą przeczytaną dotąd historię o bohaterach gotowych na największe poświęcenie dla swych ukochanych.

Mimo upływu lat wciąż nie wyrosłam z dziecięcych marzeń, że znajdę tajemne przejście do baśniowej krainy, gdzie będzie czekał ktoś, dzięki komu usłyszę słowa dotąd znane mi tylko z książek. Być może dlatego w gronie rówieśników nie dostrzegałam tych, którzy mogliby zyskać przy bliższym poznaniu. Wszyscy przypominali manekiny na sklepowych wystawach. Ani jeden nie różnił się od reszty na tyle, by się przy nim zatrzymać, a ja chciałam spotkać kogoś, kto porwie mnie za sobą tak, jak ifryty porwały swe ukochane do zamorskich krain.

Wszystko zmieniło się tamtej zimy, która pozornie nie różniła się od innych zim, jakie spędziłam w niezwykłym otoczeniu lubelskiej Starówki.

Mróż pozamykał przedszkola, szkoły, wyższe uczelnie, fabryki, sparaliżował miejską komunikację. W bramach czaiła się ciemność i bezpańskie koty. Zmierzchało. W nieśmiałym blasku latarni ktoś sywał piach na skute lodem podwórko. Na parterze sąsiedniej kamienicy starsza kobieta uszczelniała watą okienne futryny. Śnieg zaczął padać tak gęsto, że z trudem pozwalał rozpoznać przeciwległe budynki, nawet od lat opuszczony gmach Teatru Starego. Stałam w oknie i patrzyłam, jak lepkie płatki śniegu przyklejały się do okaleczonych przez czas płaskorzeźb, do odpadających tynków, fresków rozpaczliwie domagających się renowacji. Z oddali docierały do mnie odgłosy codziennego życia, wraz z nimi zapach ciasta i cynamonu, a przed oczyma miałam widok jak z przedwojennej pocztówki. Magia Starego Miasta sprawiała, że nigdy nie zamieniłabym go na ponure, zimne blokowisko, mimo wnoszenia węgla na czwarte piętro i opornych pieców, których rodzice, z sentymentu, nie pozwolili przerobić na prąd. Tu przeszłość mieszała się z teraźniejszością, a wąskie uliczki, stare domy, ruiny dawnych zabytków pobudzały moją wiecznie spragnioną wrażeń wyobraźnię.

Mój wzrok wciąż mimowolnie wędrował w stronę teatru, dzwoniących złowrogo na wietrze rozbitych szyb. Zastanawiałam się, jak wyglądało to przedstawienie, po którym światła zgasły bezpowrotnie, a scena opustoszała. Co wówczas grano? *Hamleta*? *Antygonę*? *Marię Stuart*? Co działo się potem? Wiedziałam, że kiedyś, przez krótki czas, w budynku mieściło się kino, ale nigdy nie odzyskał już dawnej świetności. Choć oparł się obu wojnom, nie zdołał bez końca przeciwstawić się destrukcyjnym działaniom człowieka. Zapomniany i zignorowany, popadał w coraz większą ruinę, powoli stając się widmem, wyrzutem sumienia miasta. Niektórzy twierdzili nawet, że po okolicy błąka się duch projektanta teatru, Łukasza Rodakiewicza.

Jeszcze parę lat temu, jako dziecko z przerostem wyobraźni, panicznie bałam się Teatru Starego, a krążąca o nim legenda wzmagała mój strach. Podobno w miejscu wzniesienia budowli stał niegdyś kościół Szarytek, w katakumbach którego chowano zmarłe siostry. Na każdego, kto naruży kryptę, miała spaść niespodziewana śmierć, a jego dusza nigdy nie miała zaznać spokoju. Gdy matka kładła mnie do łóżka, gasiła światło i wychodziła z pokoju, drżałam pod kołdrą, wyobrażając sobie, jak z zagrzebanych głęboko trumien wypełzają duchy zakonnic odziane w przegniłe habity, chowają się w zakamarkach Starówki i czekają, by pochwycić w swe szpony zbłąkanych nocnych przechodniów.

Opuszczony teatr znajdował się tak blisko mego domu, że mogłam wyraźnie dostrzec wszystkie jego anatomiczne szczegóły: pęknięcia w murze, kikuty lamp, boleśnie skurczone gryfy, skrzywione z zimna maski, nieustannie smagane przez wiatr. Po latach, gdy dawno wywietrzały już dziecinne strachy, postępująca agonia budynku wydawała mi się nawet fascynująca. Posępny, tonący w śniegu gmach, idealny na siedlisko duchów, wzmagał moją tęsknotę za baśniowym światem Orientu, gdzie mróz, wcześniej zapadające ciemności i sople zwieszające się z dachu mogły być jedynie pustynną fatamorganą.

Tamtego wieczoru nie zdążyłam jednak pozwolić myślom na wędrówkę do dalekich krain. Od brudnej, odrapanej ściany teatru odkleił się bowiem cień i przesunął w kierunku zardzewiałej, dawno nieużywanej furtki. Wstrząsnął mną dreszcz, a w tym samym momencie błyskawica, choć był to początek zimy, przecięła niebo na pół. W słabym świetle latarni cień przybrał ludzką postać, przeszedł kilka kroków w stronę kamienicy, po czym przystanął i spojrzał w moją stronę. Na głowie miał kaptur, a wiatr rozwiewał mu poły długiego aksamitnego płaszcza ze złotym ornamentem. Gdy uświadomiłam sobie, skąd znam ten wzór, odskoczyłam od okna i wybiegłam z pokoju.

Z duszą na ramieniu otwierałam drzwi prowadzące do gabinetu ojca. Na podłodze i parapecie wznosiły się tu wieże książek, między którymi poniewierały się pojedyncze kartki, połamane ołówki i miedziane popielniczki z napisem CCCP. Na masywnym dębowym biurku kłębiły się papiery, których pod żadnym pozorem nie wolno mi było dotykać. Regały, wysokie pod sufit, ugięły się pod ciężarem opasłych tomów o znajomo brzmiących tytułach. Znalazłam wzrokiem *Księgę tysiąca i jednej nocy* i przejechałam palcem po lśniących złotem okładkach z ornamentem identycznym jak ten na płaszczu nieznanego.

W tej samej chwili wiatr zaskowyczał jak zranione zwierzę, staranował szybę i wtargnął do środka. Kawalki szkła rozleciały się na wszystkie strony, a luźne kartki, pełne zapisków, poderwane nagłym podmuchem, zawirowały w powietrzu. Kilka z nich wyleciało na zewnątrz i zamieniło się w rachityczne, blade latawce, jedna natomiast przyfrunęła prosto do mnie, jakby kierowała nią niewidzialna ręka. Złapałam kartkę odruchowo, a potem zaczęłam czytać, nie bacząc na rozgrywający się wokół kataklizm. Opowieść została spisana w języku francuskim.

*Pojawiał się znikąd w paryskich kawiarniach i opowiadał ludziom historie. Po mieście krążyły na jego temat legendy, szeptali o nim ważni urzędnicy, oficjele, artyści na Montmartre, miejscowi kłozardzi, nawet prostytutki. Przysiadł się do szukających zapomnienia w alkoholu, haszyszu i opium, wyrzutków, nieszczęśników, życiowych bankrutów, wszystkich samotnych, opuszczonych, dotkniętych nagłą tragedią. Milkli, kiedy zaczynał mówić z ledwie wyczuwalnym obcym akcentem. Z czasem zaczęto nazywać go Zaklinaczem Słów, bo jego opowieści pozwalały odzyskać siłę do walki z przeciwnościami.*

*Nikt nie spotykał Zaklinacza więcej niż jeden raz. Kim był? Potomkiem emigrantów? Zbłąkanym wędrowcem? Artystą, poszukującym inspiracji w światowej stolicy sztuki? A może zjawą? Pijackim przywidzeniem? Podyktowaną rozpaczą uludą? Relacje świadków różniły się między sobą. Nikt nie potrafił opisać jego wieku, wyglądu ani pochodzenia, zapamiętali tylko niezwykły, hipnotyczny głos i basmalę, od której zaczynał swoje opowieści. Dlaczego wybrał Paryż? Czyżby mieszkańcy tego miasta szczególnie potrzebowali jego opowieści? Wiele pytań na zawsze pozostało bez odpowiedzi, a Zaklinacz zniknął tak nagle, jakby rozpułnął się we mgle nad Sekwaną.*

Wiatr nadal plądrował gabinet. Zastygłam nieruchomo na mokrym dywanie, nie umiając oderwać się od rzędów liter. Moja twarz płonęła, serce tłukło się w piersi jak oszalałe.

Całe świadome życie, wiedzona ciekawością i głodem poznania, chodziłam po śladach ojca – kulturoznawcy, badacza europejskich podań ludowych, odnoszącego w czasach mojej młodości pierwsze naukowe sukcesy. Wychodził na długie godziny do uniwersyteckiej czytelnicy, a ja zakradałam się do jego sanktuarium, chłonełam gorzki zapach kawy i papierosów, patrzyłam, nad czym pracuje. Kiedy zostawał w domu, w mieszkaniu rozlegał się stukot maszyny do pisania, do dziś kojarzący mi się z dzieciństwem. Podglądałam ojca z uczuciem, że oto jestem świadkiem mistycznego spektaklu, że coś ważnego i wyjątkowego dzieje się na moich oczach. Gdybyśmy rozmawiali, mogłabym zapytać, jak znalazł Zaklinacza Słów, ale on nie lubił rozmawiać. Podobnie jak ja miał swój świat za zamkniętymi drzwiami pokoju i ten pokój mówił do mnie w jego imieniu. Nie dziwiłam się, że badacza dawnych podań ludowych zaintrygowała dziwna postać pojawiająca się w paryskich kawiarniach, bo przecież w ciągu zaledwie kilku sekund tajemniczy ktoś całkowicie zawładnął moimi myślami, przejął je na własność.

Nieduża biała kartka papieru nie zdradzała żadnych oznak starości. Nie miała plam, kleksów, odcisków palców, zagiętych rogów i innych śladów użytkowania. Musiało dotykać jej niewiele rąk. Charakter pisma nie należał do ojca. Był wyraźny, zdecydowany, wydawać by się mogło, że każde słowo kreślono z niezachwianą pewnością. Słowa zawierały w sobie coś magnetycznego,

co sprawiało, że czytający z trudem odwracał wzrok, a kiedy już to zrobił, odczuwał taką pustkę, jakby nagle coś stracił.

Wsunęłam kartkę do kieszeni spodni i w pośpiechu opuściłam gabinet, z nadzieją, że za bałagan zostaną obwinione jedynie siły natury. Nie mogłam przestać myśleć o Zaklinaczu Słów. Czy chciał, żebym poznała jego historię? Czy miał być tym poszukiwanym przeze mnie okruczem baśni, stanowiącym dowód, że nasze fantazje mają swój równoległy świat w innym wymiarze?

Stałam na ciemnym korytarzu pachnącym skózanymi butami i pastą do mycia podłóg. W sąsiednim mieszkaniu grało radio, słyszałam przez ścianę IV Koncert brandenburski, a w mojej głowie dziwne myśli strzelały jak fajerwerki w sylwestrową noc. Gdzieś z oddali docierało do mnie przecucie, że w pogoni za marzeniami, za własną baśnią, za wiarą w cuda nawet rzeczy zupełnie przypadkowe i pozbawione znaczenia uznać można za – często zwodnicze – symbole i znaki. Czy tak stało się ze mną? Czy dałam się zwieść? Bezwiednie poszukałam dłonią śliskiego papieru, by upewnić się, że jest prawdziwy. Już miałam go wyjąć i ponownie zagłębić się w opowieści, gdy zauważyłam słabe światło rozchodzące się po grubej szybie w drzwiach gabinetu. Światło raz przybliżało się, raz oddalało od szkła, tak jakby ktoś próbował przekazać nim zaszyfowaną wiadomość.

Ponownie weszłam do środka. Wszystko ułożone było jak przed kwadransem, nawet dokumenty na biurku wyglądały tak, jakby wcale nie buszował w nich zimowy wiatr. W pokoju panował półmrok. Przez okno zaglądał księżyc, jego promienie ślizgały się po grzbietach starych książek, dokładnie tam, gdzie znajdowało się źródło tajemniczego światła. Ornament widniejący na okładce pierwszego tomu *Księgi tysiąca i jednej nocy* na przemian zapalał się i gasł, roztaczając wokół czerwonawą, podobną do blasku ognia poświatę.

Wiedziona instynktem, chciałam go dotknąć, ale nie potrafiłam zdobyć się na żaden, najmniejszy nawet gest. Myślałam o tym, co będzie, jeśli spomiędzy kartek wysunie się czyjaś dłoń i pociągnie mnie w niezbadany, zupełnie obcy świat, gdzie wcale nie musiałabym zostać panią egzotycznych krain, złotych miast, strzelistych minaretów, ale kimś, kim za wszelką cenę nie chce się być. Miałam swoje marzenia w zasięgu ręki, lecz właśnie zrozumiałam, że do nich nie dorosłam. Z przerażającą oczywistością dotarło do mnie, że baśnie mogą rządzić się swoimi prawami, których nikt nigdy nie poznał, i przez to stanowić pułapkę dla nieświadomych niczego marzycieli. Niemal w każdej z nich roило się przecież od przemocy, fałszu i zdrad, ale wszyscy zapamiętywali tylko szczęśliwe zakończenie. Stosy ściętych głów, kończyn i przyrodzeń, podłe ifryty, groźne potwory, zaklęcia zmieniające ludzi w zwierzęta, okrutni władcy i bezwzględne królowe – to była ta część baśni, o której mało kto pamiętał, a jednak musiała istnieć jako konieczny warunek dobra, odwiecznej walki przeciwieństw. Patrzyłam na świecący coraz jaśniej ornament i zastanawiałam się, jaka naprawdę jest książkowa rzeczywistość. Czy panuje w niej nieograniczona wolność, pozwalająca każdemu być tym, kim chce, czy to wyobraźnia autora, w sposób nieodwracalny, dokonuje podziału na role? Mimo wątpliwości wreszcie zwyciężyło we mnie przekonanie, że w baśniach każdy może osiąść moc zbliżoną do boskiej, stać się demiurgiem, twórcą, kreatorem zdarzeń. Zdecydowanym ruchem zdjęłam z półki *Księgę*, pierwszy tom z dziewięciu. Rozbłysnął jaśniejszym światłem. Przez pokój, mimo zamkniętych okien, przemknął podmuch silnego wiatru. Nic więcej się nie stało.

Od momentu znalezienia tajemniczej kartki z historią Zaklinacza Słów wydarzenia w moim życiu zaczęły układać się w skomplikowany, ale wyraźny splot, choć długo o tym nie wiedziałam. Tak mijały lata, podczas których znaleziony w gabinecie skrawek papieru leżał schowany wśród innych skarbów z przeszłości, takich, jakie ma większość z nas: rodzinnych pamiątek, starych listów, pożółkłych zdjęć przodków podpisanych nic niemówiącymi nazwiskami. Pismo nieznanego autora nie zbladło z biegiem czasu, lecz przeciwnie – litery wydawały się bardziej wyraźne niż wtedy, gdy zobaczyłam je pierwszy raz.

Kiedyś nie wytrzymałam i postanowiłam w końcu zapytać ojca, w jaki sposób owa kartka znalazła się w jego posiadaniu. Odpowiedź okazała się zadziwiająco prosta i zupełnie inna, niż oczekiwałam. „Ktoś musiał zostawić to w książce i oddać do biblioteki” – powiedział, obejrzawszy ją uważnie ze wszystkich stron. „Wygląda jak fragment powieści” – dodał.

Wraz z tymi słowami cała historia straciła swój urok i tę aurę tajemniczości, która mnie w niej pociągała. Włożyłam papier w skórzane etui po okularach i zamknęłam na klucz w szufladzie

biurka, gdzie leżał jako symbol wybujałej dziecięcej fantazji, wspominaanej od czasu do czasu z pobłażliwym uśmiechem.

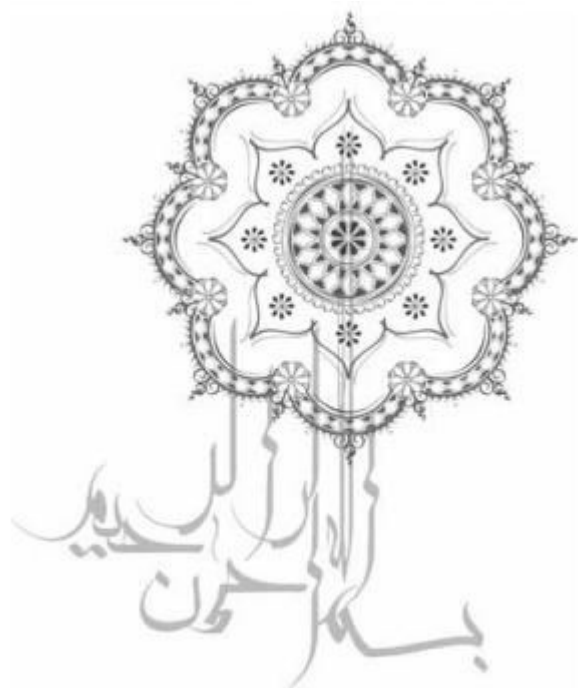
Tamten czerwcowy dzień na zawsze pozostanie w mojej pamięci, doskonale wpisując się w pierwszą dziesiątkę dni określanych jako niezapomniane. Wstałam wczesnym przedpołudniem, obudzona krzykiem dzieci bawiących się na ulicy. Przez otwarte okna wraz z hałasem wpadał ciepły wiatr, pachnący miejskim kurzem i rozgrzаныmi dachami starych kamienic. Tomczakowa spod czwórki rozwieszała na podwórku pranie, zlorzcząc synowi, który znów wrócił pijany po nocnej libacji. Niedaleko teatru grupa chudych dziewczynek grała w króla skoczków. W pobliżu nie było żadnego parku, placu zabaw ani innego miejsca pozwalającego im korzystać z uroków lata. Nieco później, mniej więcej koło dwunastej, gdy – jeszcze w szlafroku – śledziłam tor lotu gumowej piłki uderzającej rytmicznie o ścianę budynku, przed naszymi drzwiami zjawił się listonosz. Napis na starej, wykonanej przez pradziadka tabliczce, prezencie ślubnym dla moich rodziców, informował, że mieszkają za nimi Justyna i Adam Czaplínsy oraz Nina (własne imię wykaligrofowałam sama dawno temu na naklejce ze szkolnego zeszytu). Zdyszany i wściekły, listonosz upewnił się, że ma przed sobą właściwą osobę i bez słowa wręczył mi list z logo słynnej londyńskiej The School of Oriental and African Studies. W środku znajdowało się potwierdzenie, że zostałam przyjęta na studia doktoranckie z zakresu literatury arabskiej.

Miesiąc poprzedzający mój wyjazd upływał na przygotowaniach: zakupach, pakowaniu, odbywanych w pośpiechu rozmowach. „Do widzenia” ciągle wracało, poznałam jego melodię w różnych interpretacjach: serdecznej, ciepłej, czulej, zatroskanej, fałszywej. Do Londynu zabierałam ze sobą marzenia, włożone do wielkiej walizy, pochowane między ubrania, w buty, w boczne kieszenie. Wyobrażenia podsuwała mi wciąż nowe obrazy, pisała scenariusze nadchodzących wydarzeń. Angielską rzeczywistość śniłam snem napoczętym, ledwie zarysowanym. Czekałam, aż sen ten rozwinię się jak czerwony dywan przed wejściem ważnej osoby na pokład samolotu. Nie wiedziałam, jaki obierze kierunek, w którą stronę zdecyduje się pójść, polecieć, popłynąć. Pewny był w nim tylko bilet lotniczy z dwukrotnie potwierdzoną godziną przylotu i nic niemówiący adres, pod którym miałam zamieszkać.

W noc poprzedzającą wyjazd żegnałam się z moim pokojem, łóżkiem, poobijanym piecem kaflowym i skrzypiącą ze starości podłogą. Stałam w oknie, nie wiedząc, jakie niebo zobaczę nad głową nazajutrz, za to z głębokim przekonaniem, że dzieje się to, co dzieć się powinno, że wszystkie drogi prowadziły mnie do tego właśnie momentu.

Na sąsiedniej ulicy ktoś schylił się, by podnieść z kocich łbów gwiazdę, która niechcący spadła na ziemię, i schował ją do kieszeni aksamitnego płaszcza. Potem naciągnął na głowę kaptur i niespiesznym krokiem oddalił się krętymi uliczkami Starówki.

## CZEŚĆ DRUGA



Zamieszkałam przy Portobello Road, w niedużej kamieniczce rozpoznawalnej z daleka dzięki elewacji w kolorze wściekłego rózu. Mój pokój był mały i skromny, pełen zniszczonych mebli z różnych epok. Z jego nędzą kontrastował widok z okna wychodzącego na wiecznie żywą ulicę, nieprzebrane bogactwo dźwięków, zapachów i barw. Już od rana chodniki rozbrzmiewały gwarem wielojęzycznych pokrzykiwań. Każdego dnia zapadałam się w nie głębiej i głębiej, wsiąkałam w tunele i mosty, w tłum krążący po rozległym organizmie miasta. Godziny spędzane w czerwonych piętrowych autobusach dłużyły się niemiłosiernie, zanim udawało mi się dotrzeć do instytutu przy Russell Square.

Przeglądanie bibliotecznych zasobów i znajdowanie dzieł, o których dotąd wiedziałam tylko z przypisów w innych książkach, pochłonęło mnie tak bardzo, że dopiero po kilku tygodniach zaczęłam rozpoznawać twarze osób mijanych w kampusie. Już wtedy, w rzadkich chwilach przerw, siadałam na ławce, piłam kawę, jadłam czekoladowego muffina i patrzyłam na studentów przechodzących przez plac. Dziwna zbieranina barwnych postaci w egzotycznych strojach, hinduskich sari, japońskich kimonach, tkanych dzellabach i sikhijjskich turbanach, przemierzała w tę i z powrotem skwer między budynkami uczelni. Niemal co dzień, tuż koło południa, przedstawiciele ruchu Hare Kriszna rozdawali wszystkim darmowe wegetariańskie jedzenie z małego metalowego wózka. Wielokulturowość miasta odbijała się w SOAS jak w lustrze.

Odtąd zaczęłam poznawać ludzi z różnych stron świata, ludzi, których imiona zapomina się tak szybko jak sen tuż po przebudzeniu. Nie zapomniałam jednak Sangity, szczupłej Hinduski o pomalowanych kohlem czarnych oczach, może dlatego, że chodziłyśmy razem na warsztaty z arabskiej kaligrafii, a może z powodu jej słów, które potem miały do mnie wielokrotnie powracać. „Uważaj, to miasto wciąż. Nawet jeśli wyjedziesz gdzieś daleko, zostanie z tobą na zawsze. Tutejsze dzielnice, skwery, sklepy i knajpy będą wciąż żyć w twojej głowie. Po latach ze zdziwieniem przypomnisz sobie, jak wyglądała ławka w mijanym przypadku parku, choć wcześniej nie zwracałaś uwagi na takie drobiazgi” – powiedziała podczas pierwszych zajęć.

Miała rację. Miasto wciągało, porywało jak kolejne strony ciekawej powieści. Uczyło mnie na pamięć rytmu swoich dni, wsłuchiwania się w ich przemijanie. Neony przy Oxford Street, tłumy kłębiące się nieustannie koło stacji metra Tottenham Court Road i przy brzydkim, szarym gmachu Nike Town powoli przestawały być obce.

Stopniowo poznawałam sąsiadów, ich dzieci, psy, listy zakupów pisane codziennie z myślą o warzywnych straganach z Portobello. Wciąż odkrywałam nowe miejsca, jedne pachnące curry, kurkumą, szafranem i kminem rzymskim, inne cuchnące kocim moczem albo kwaśnym odorem dawno niemytych ciał. Lubiłam kupować jedzenie na wynos w małych restauracjach prowadzonych przez rodziny irańskich, tajskich lub greckich emigrantów, siadać na drugim piętrze starego autobusu i jeździć bez celu po przypadkowych dzielnicach. Nie spieszyłam się do pustego domu, w którym straszły wciąż nierozpakowane pudła z naklejkami „by air mail”, niewygodne, metalowe łóżko i brudne odciski palców poprzednich lokatorów pozostawione na ścianach. Moim domem było wtedy miasto, miasto przybierające różne kształty i formy. To nie ja mieszkalam w nim, ale ono we mnie, każdy nowy obraz wdzierał mi się w pamięć, wnikał w umysł tak jak krople deszczu w wysuszoną ziemię.

Podobnie jak większość londyńskich studentów zaczęłam pracować – żeby dorobić do skromnego stypendium i nie siedzieć w obskurnym mieszkaniu. Zająłam się przygotowywaniem fajok wodnych w znanej kawiarni El Khima, mieszczącej się przy zatłoczonej Edgware Road. Nie było tam firmowych zapalek, serwetek z napisami ani innych prezentów od przedstawicieli handlowych, były za to grube, wzorzyste dywany, wygodne kanapy, niskie stoły i lampy z kolorowego szkła. Oprócz zafascynowanych Orientem studentów SOAS, od których dowiedziałam się o tym miejscu, w El Khimie spotykała się też arabska bohema, artyści, dziennikarze, kolekcjonerzy dzieł sztuki, biznesmeni z Bliskiego Wschodu, emigranci szukający swej oazy na pustyni obcego miasta.

Odkąd podjęłam pracę, świat pękł na pół. Dni pozostały takie jak dotąd, pełne ludzi, bibliotecznego kurzu, zapisywanych w notesie dat, chłodnej zieleni trawników na Russell Square i tekturowych kubków z logo pobliskiej kawiarni. Wszystko to przestawało istnieć nocami, którymi zawładnęły arabskie tancerki i wykonywana na żywo muzyka pustynnych Beduinów. Schowana za ażurowym parawanem, płukałam błękitne dzbany, rozpalałam węgle, czyściłam cybuchy, mimowolnie przysłuchując się dyskusjom o sztuce islamu, cenach ropy naftowej i problemach osób w związkach mieszanych kulturowo.

Wychodziłam z El Khimy o czwartej rano, wśród pierwszych rozrzuconych po ulicach okruchów dnia. Za chmurami ledwie majaczyło słońce, nieliczni o tej porze przechodnie mieli twarze podszyte zmęczeniem. O świcie metro jeszcze nie działało. Autobus, którym wracałam na Portobello, kołysał się wolno, nie zwracając uwagi na uciekający czas. Skulona na niewygodnym skórzanym fotelu, bezbłędnie odczytywałam z palców zapachy tytoniu: wskazujący – jabłko, serdeczny – pistacja, środkowy – wanilia. Powieki, coraz cięższe, toczyły walkę z sennością, by pozwoliła wysiąść na właściwym przystanku.

Sierpień nieuchronnie zmierzał ku końcowi, a wraz z nim letnie kursy w SOAS. Część studentów wyjechała, część wróciła z wakacji i zaczynała szykować się do roku akademickiego. Nie pamiętam dokładnie, jaki był dzień miesiąca, pamiętam tylko, że padało, bo już od rana Portobello Road przypominała ulicę parasoli. Pomarańczowe, żółte, w paski, kropki lub kratki, krążyły po niej jak gigantyczne słońca po szarym nieboskłonie, a powietrze miało świeży zapach mokrej zieleni, wolny od smrodu spalin i metalicznego zaduchu metra.

Deszcz sparaliżował całe miasto, samochody utknęły w niekończących się korkach, blokując główne arterie i ich mniejsze dopływy, również drogę wiodącą z Russell Square do centrum Londynu. Ponury kondukt czarnych taksówek sunął wolno przez New Oxford Street, którą próbowałam dotrzeć do pracy, pewna już, że nie zdążę na czas. Nagle z oddali dobiegł odgłos ni to grzmotu, ni potężnego wybuchu. W tej samej chwili zgasty latarnie, a okna okolicznych domów i sklepowe witryny pogrążyły się w nagej ciemności. Autobus stanął bezradnie koło stacji metra Tottenham Court Road i podobnie jak inne pojazdy zwymiotował skłębioną ludzką masą wprost na mokrą ulicę. Krzyki zdezorientowanych przechodniów zmieszały się ze sobą, rozróżniałam wśród nich tylko trzy słowa: zamach, awaria, terroryści. Tłum, wizytówka metra niedziałającego już od

kilku godzin, wciągał mnie, niósł z prądem w nieznaną. Ktoś przepychał się niestrudzenie, ktoś deptał po nogach, ktoś przeklinał. Bezskutecznie próbowałam uwolnić się od napierających ze wsząd ciał, gdy poczułam czyjś dotyk na ręce i mocne szarpnięcie w bok. Do moich uszu dobiegło krótkie „Hi”, wypowiedziane cichym, stłumionym głosem. Obcy człowiek pociągnął mnie za sobą w kierunku Soho, nie bacząc na rozlegające się wokół głośnie protesty. Ze zwinnością pantery przedzierał się wąskimi uliczkami, wśród knajp, burdeli i sklepów z chińskim jedzeniem. Pędziłam ile sił w nogach, ze wzrokiem wbitym w ziemię, żeby uniknąć potknięcia, i dlatego najpierw zobaczyłam buty mojego wybawcy. Były to czarne, miękkie, zamszowe kamasze o spiczastych czubach. W całym Londynie nikt nie nosił podobnych. Nad kostką znajdował się delikatny złoty wzór, podobny do monogramu. Mimo wstrętnej pogody i ciągłego skakania przez rozlewiska kałuż buty mężczyzny nie były mokre ani zabłocone, w przeciwieństwie do moich. Aksamitny płaszcz w kolorze zgaszonego różu, który miałam wtedy na sobie, też pokrywały nieregularne brunatne plamy.

Anonimowy Tłumacz Miasta, jak go w myślach nazwałam, był średniego wzrostu. Skóra na jego rękach, przyjemnie szorstka, miała barwę mlecznego opalu. Twarz zasłaniał mu kaptur, spod którego wymykało się kilka niesfornych, poskręcanych od wilgotnego powietrza srebrnych kosmyków. Dotarliśmy w końcu na Leicester Square, gdzie autobusy jeździły w utartym rytmie, bez żadnych zakłóceń. Nieznajomy poczęstował mnie wyjętą z kieszeni płaszczka gorzką czekoladą, po czym pomachał na pożegnanie i zniknął, zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać.

Kiedy wreszcie dotarłam do El Khimy, zastałam tam rozgardiasz, niezwykle o tej porze dnia. Na Edgware Road nadal nie było prądu, z czeluści magazynu wydobyto więc archaiczne lampy gazowe. Obok nich ustawiono różowe, błękitne i żółte lampiony. Pomiędzy kelnerami, wynoszącymi z sali stoły i kanapy, nerwowo przechadzał się mu‘allim Mustafa, pochodzący z Libanu właściciel kawiarni, wysoki, brzuchaty sześćdziesięcioletniak o starannie przystrzyżonych siwych włosach. Od czasu do czasu pochylał się i – przyświecając sobie lampą – szukał na dywanie plam, okruchów, resztek jedzenia oraz niedopałków, po czym wskazywał palcem miejsca, które należy posprzątać, nim zajmą je materace z grubego materiału. Za każdym razem, kiedy w lokalu odbywały się wieczorne występy, meble zastępowano układanymi wzdłuż ścian siedziskami, żeby wewnątrz zmieściło się więcej ludzi.

Mu‘allim Mustafa uważał się za kontynuatora wiekowej tradycji orientalnych kawiarni. Tęsknił za czasami, w których każdy taki lokal miał swego poetę zamiast telewizora nieustannie od-twarzającego transmisje sportowe albo teledyski w arabskich stacjach muzycznych. Tak często, jak mógł, zapraszał do El Khimy artystów, znajdowanych w sobie tylko znanych, tajemniczych miejscach. Występowali u niego śpiewacy zadżali, dawnych ballad ludowych, beduińscy pieśniarze znający melodie powstałe setki lat temu przy pasterskich ogniskach, bajarze, recytatorzy, tańczący derwisze, a także grajkowie sprawnie posługujący się udem i rababem.

Tamtego wieczoru, koło godziny siódmej, miał zjawić się hakawati i mu‘allim dokładał wszelkich starań, żeby przygotowano kawiarnię na jego przybycie. Zakończywszy oględziny dywanu, udał się do baru, w którym ubrani na białą chłopcy od herbaty przebierali świeżą miętę, napełniali wodą olbrzymie czajniki, wycierali szklanki i układali owoce na srebrnych półmiskach. W świetle gazowych lamp ich twarze wydawały się niemal czarne.

Na mój widok Mustafa uśmiechnął się. Z daleka kiwnęłam mu na powitanie i poszłam do przebieralni, ciasnego pomieszczenia dwa metry na dwa. Kiedy wróciłam na salę, okazało się, że mu‘allim wpuścił już pierwszych gości. Wszyscy wokół z podnieceniem rozprawiali o największej od lat awarii prądu, niedziałającej komunikacji miejskiej, stłuczkach i stratach poniesionych przez przedsiębiorców. Nikt nie zauważył człowieka ubranego w prostą, białą saubę, zmierzającego spokojnym krokiem na środek lokalu. Srebrne włosy wymykały mu się spod tarbusza miękkimi falami. Nie mógł mieć więcej niż pięćdziesiąt lat. Wyglądem przypominał ulicznego malarza, przy którym ludzie zatrzymują się nie po to, by popatrzeć na obraz, lecz na samego artystę. Przechodząc koło baru, przystanął na moment, po czym skierował się na podest, gdzie stało krzesło dla hakawatego. Spuściłam wzrok, śledząc jego kroki, i wtedy zobaczyłam dobrze znane zamszowe buty z monogramem.

Zgromadzeni w El Khimie goście powitali go na stojąco. Zewsząd słychać było oklaski i za-



*gharid*, okrzyk słyszany często na arabskich weselach, on natomiast zachowywał się tak, jakby nie widział tłumów, które go otaczały. Usiadł na swoim miejscu, wygładził niewidoczne fałdy na ubraniu, po czym wypowiedział szeptem kilka słów. W ciszy, jaka nagle zapadła dookoła, bez trudu rozpoznałam słowa basmali: *Bi-smi Allahi ar-rahmani ar-rahim*.

Z tamtej opowieści zapamiętałam niewiele, jakby była złudzeniem, czymś, co nie istniało. Zapamiętałam za to głos, który do dziś nie zamilkł w mojej głowie i powraca echem nawet w snach. Bordowy, aksamitny, raz miękki miękkością kaszmiru, innym razem chropowaty, szorstki, poważny jak dźwięk fortepianu. Wibrował w uszach, wraz z krwią krążył pod skórą, owijał się wokół nadgarstków jak bransolety. Przypominał stare, egzotyczne zaklęcia, zdolne uczynić bezruch i wstrzymać czas. Patrzyłam na usta bazarza, z których słowa wyfruwały jak dziwaczne ptaki w kolorze ultramaryny, ptaki krążące nad głowami zaczarowanych, otumanionych słuchaczy. Ludzie ci, mozaika różnych, przypadkowych postaci, którym miasto gwarantowało wieczną anonimowość, zapomnieli nagle, że na zewnątrz, za murami El Khimy, toczy się życie, że są w tym życiu ojcami rodzin, właścicielami firm, prezesami zarządu, kimś, od kogo zależy los innych. To słowa ptaki zataczały nad ich głowami kręgi zapomnienia, coraz większe i większe, po czym obracały się w proch pod twardym, bezchmurnym niebem sufitu.

Już wtedy, w ciemnej, zatłoczonej sali, zapragnęłam, żeby hakawati wciąż do mnie mówił tym swoim głosem, głosem absolutnym, w którym spotykały się wszystkie dźwięki świata: stukot dwukółki wożącej pomarańcze po placu Dżama al-Fna', pokrzykiwania handlarzy z arabskich targowisk, zardzewiały chrzęst pompy w slumsach Teheranu, ponure rżenie starych samochodów, czyjś śmiech, czyjś płacz, szczekanie psów, wypowiedane ze złością przekleństwo. Historia toczyła się własnym rytmem, gdzieś na uboczu, a gdy nastał koniec, poczułam się jak ktoś brutalnie wyrwany ze snu. Ludzie wokół powracali do rzeczywistości, przypominali sobie, kim są, gdzie się znajdują. Słabe światła lampionów zmieniały ich w poskręcane, karłowate cienie, pełzające bezradnie po ścianach lokalu, kiedy próbowali prostować zdrętwiałe ręce i nogi. Twarze niektórych z nich nadal wyglądały jak wyrzeźbione w nieznanym tworzywie, skamieniałe, zastygłe.

Kelnerzy wnieśli na salę więcej lamp gazowych i zrobiło się jaśniej, z wyjątkiem miejsca, gdzie siedział hakawati, cicho rozmawiający z mu'allimem Mustafą. W ruch poszły mosiężne tace, chłopcy od herbaty stawiali na nich puste szklanki i przepełnione popielniczki. Stojąca koło mnie gruba Angielka cmokała z podziwem, powtarzając w kółko: „*What a spicy voice*”. Zewsząd dobiegały do mnie pełne zachwyty szepty innych gości: „Szaman”, „Mesjasz”, „Szarlatan”. Błysnęły lampy aparatów cyfrowych. „Żadnych zdjęć!” – wrzasnął mu'allim Mustafa, zasłaniając sobą bazarza, który podpisywał kartki podsuwane mu ze wszystkich stron przez wielbiciele spragnionych autografów, uścisku ręki albo widoku twarzy, wciąż ukrytej w półmroku.

Dywan, który wcześniej sprzątno z obsesyjną wręcz dokładnością, teraz przypominał pobojowisko. Wszędzie walały się starannie obgryzione skórki pomarańczy, niektóre ze śladami szminki, łupiny pistacji, chusteczki higieniczne, ustniki do fajki wodnej i kapsle od butelek z lemoniadą, zdejmowane przez kelnerów przypiętymi do pasa otwieraczami w kształcie ręki Fatimy. Lawirując wśród śmieci, poznośiłam z sali wypalone nargile i metalowe szczypce do nakładania węgla. Wokół opowiadacza robiło się coraz luźniej. Ostatni słuchacze zamawiali przez telefon taksówki i szukali swoich parasoli, które – wciąż mokre – kuliły się pod wieszakiem.

Mu'allim Mustafa przyniósł dwie herbaty, dla siebie i dla bazarza. W ślad za nim pojawił się kelner z misą pełną kawałków papai, mango i ananasów. Postawił ją na stole i powrócił za bar. Obaj mężczyźni, mimo dzielącej ich różnicy wieku, wyglądali na zaprzyjaźnionych. Usiedli z twarzami zwróconymi ku sobie i zaczęli o czymś zawzięcie dyskutować. Z daleka docierały do mnie tylko strzępy zdań, gruby, nieco flegmatyczny głos mu'allima Mustafy, który raz po raz przerywał rozmowę, żeby włożyć do ust kawałek owocu drewnianą wykałaczką, i spokojny baryton hakawatego. Arabski nieznajomego nie był żadnym ze współczesnych dialektów. Z trudem rozpoznawałam w nim pojedyncze wyrazy, imiona, nazwy miast. Brzmiał łagodnie, niemal śpiewnie. Tak wyobrażałam sobie sekretny język dworskich bazarzy, kształconych w swej sztuce, żeby zadowolić wrażliwe ucho władcy. Dotąd wydawało mi się, że istniał tylko w legendach przywożonych z Bliskiego Wschodu przez włóczęgów, poszukiwaczy przygód, niepoprawnych romantyków i

początkujących poetów marzycieli.

Powoli i niechętnie zaczęłam zbierać się do domu, żeby zdążyć na pociąg przed nocnym zamknięciem metra. Od czasu do czasu rzucałam ukradkowe spojrzenia w stronę mężczyzn, chcąc nakarmić ciekawość, ale zabrakło mi odwagi, żeby pójść po autograf.

Autobus sapał, jęczał i pluł spalinami na wszystkie strony. Kierowca wciskał gaz, hamulec, potem znowu gaz i znowu hamulec, a pasażerowie podskakiwali na swoich siedzeniach jak bezwolne kukły poruszane siłą cudzych rąk. Wczoraj jeszcze się dla mnie nie zakończyło, nie minęło ani nie przebrzmiało.

Naprzeciwko siedziała młoda kobieta, która wyglądała jak chińska cesarzowa, z upiętymi w kok czarnymi włosami, twarzą pokrytą bielidłem i ustami pomalowanymi karminową szminką. Palce miała cienkie jak struny skrzypiec, spojrzenie wyniosłe, pełne milczącej wyższości. Patrzyłam na nią, kiedy lustrowała wzrokiem grubą Murzynkę z małym chłopcem ubranym w szkolny mundur, a potem staruszkę z pomarańczową siatką na kolanach, ale myślami wciąż tkwiłam we wczoraj.

Jak to jest mieć taki głos? – zastanawiałam się, niemal pewna, że gdyby hakawati wydał jakikolwiek rozkaz swoim słuchaczom, wypełniliby go bez cienia sprzeciwu. Człowiek z takim głosem posiadał nieograniczoną władzę nad tłumem. Gdzie mieszkał? Jak się nazywał? Skąd tak dobrze znał mu'allima Mustafę? I dlaczego, do diabła, jego twarz rozwiewała się niczym senna mara, kiedy chciałam utrwalić ją w pamięci?

Zawsze miałam doskonałą, fotograficzną wręcz pamięć do twarzy. Przechowywałam w głowie tysiące portretów: matki, ojca, dziadków, sąsiadów, włóczęgi, który grzebał co dzień w koszu na śmieci pod naszą lubelską kamienicą, całej rzeszy ludzi, którzy pojawiali się na planie mojego życia. Zapamiętywałam kształt nosa, oprawę oczu, grymas wokół ust, mapę zmarszczek wyrytą przez czas na czołach przypadkowych osób, spotykanych na ulicy, w sklepie, w trolejbusie. Mój umysł bez trudu rejestrował wszystkie myszki, pieprzyki, blizny po ospie i upadku z roweru, nawet plamy od zbyt długiego przebywania na słońcu. Tymczasem twarz opowiadacza, w przeciwieństwie do innych, zniknęła, rozpryskiwała się na kawałki niemożliwe do ułożenia w harmonijną całość, co stanowiło dla mnie irytującą zagadkę.

Malowana lala siedząca naprzeciwko wyjęła z przepastnej torby pilniczek i zaczęła ostentacyjnie piłować paznokcie w kształcie migdałów. Autobus podskoczył, parsknął, zatrząsł się, silnik zawył raz, drugi i trzeci, aż w końcu zamilkł. „Fuck” – syknęła przez zęby dziewczyna, na dobre wypadając z roli chińskiej cesarzowej. Mało brakowało, żeby zacięła się w palec. „Dalej nie pojedziemy” – oznajmił obojętnie kontroler biletów, nie zwracając uwagi na skargi pasażerów.

Zamierałam iść do biblioteki, ale skoro musiałam wysiąść w tym miejscu, zmieniłam plany i skierowałam się na Edgware Road.

Przestępując próg El Khimy, zawsze odnosiłam wrażenie, że odbyłam podróż w czasie i przestrzeni. Znikało miasto, widoczna z okien ruchliwa ulica, której nigdy nie morzył sen, widmowe postacie kobiet poowijanych szczelnie czarnymi abajami, grupki arabskiej młodzieży stojące pod kinem Odeon, gdzie akurat wyświetlano najnowszy film z Shahrukh Khanem, dużo ciekawszy niż nudne lekcje w liceum. O tej porze w kawiarni jeszcze nie było tłoku. Stali klienci, tak licznie okupujący lokal w godzinach nocnych, teraz siedzieli pozamykani w szklanych biurkach, galeriach handlowych, zakładach usługowych i innych miejscach, zajęci zarabianiem pieniędzy. Przywilej spędzania poranków w El Khimie przypadał głównie staruszkom, którzy oddawali się z zapamiętaniem swym ulubionym rozrywkom: grze w karty, w domino albo w tryktraka. Kilka stolików zajmowali mężczyźni w średnim wieku, pili kawę, przeglądając gazety w ciszy i samotności. Z tytułów – „The Jordan Times”, „Bahrain Tribune”, „Iraq World” – można było odczytać ich narodowość.

Po wczorajszej awarii prądu nie zostało już ani śladu. W barze jak zwykle szumiały brzuchate samowary sprowadzone przez mu'allima Mustafę aż z Isfahanu, od czasu do czasu ciśnieniom wy ekspres do kawy syczał i parsknął kłębamii pary wydobywającej się z dyszy do spieniania mleka. Te dwa urządzenia, stojące ramię w ramię na marmurowym blacie, były jedynymi zdobyczami cywilizacji obecnymi w lokalu. Dotąd nie zawitało tu ani radio, ani telewizor, ani nawet telefon. Za muzykę odpowiadało trzech grajków: lutnik, gęślarz i niewidomy flecista, którzy zjawiali się zwy-

kle dopiero koło południa. Przed ich przybyciem panowała tu cisza, czasem przerywana rozmowami, szelestem papieru albo brzękiem naczyń.

Mu'allim Mustafa ucieszył się na mój widok i zaraz zaprosił mnie gestem do swojego stolika, na którym stało nietknięte jeszcze śniadanie składające się z sera, oliwek, hummusu i pity. Ktoś z obsługi codziennie kupował je dla szefa w znajdującej się naprzeciwko libańskiej restauracji.

W El Khimie nie odczuwało się zwyczajowego dystansu pomiędzy pracownikami a pracodawcą. Mu'allim traktował nas wszystkich po ojcowsku, być może dlatego, że sam z trudem znosił swój los emigranta. Doskonale rozumiał, że ludzie oddaleni od rodzin o setki, czasem nawet tysiące kilometrów, potrzebują wsparcia i tej pewności siebie, jaką może dać tylko serdeczny, życzliwy kontakt z drugim człowiekiem. Często przesyłał pozdrowienia moim rodzicom, przekonany, że nieustannie martwią się o swoje dziecko, samo w wielkim mieście, a przy obcych nazywał mnie *binti*, swoją córeczką. Choć nie byliśmy do siebie ani trochę podobni, niektórzy goście naprawdę wierzyli, że łączą nas więzy krwi.

Tamtego dnia z oporami dosiadałam się do wspólnego stolika, ponieważ jedno z miejsc zajmował dostojny starzec o ogromnych błękitnych oczach, bardziej pasujących do dziecka niż do leciwego mężczyzny. Mu'allim krótko przedstawił swojego towarzysza, mówiąc, że to jego dawny przełożony, profesor Jusuf Saidi z Bejrutu, a potem, podniesionym głosem, używanym zwykle wobec ludzi głuchych, powiedział staruszkowi moje imię.

Obecność profesora, którego z właścicielem kawiarni łączyła widoczna zażyłość, stanowiła niepodważalny dowód na prawdziwość historii, którą znał tu każdy, ale wierzyli w nią tylko nieliczni. W El Khimie od dawna krążyła podawana z ust do ust opowieść o wielkiej ucieczce mu'allima Mustafy z Libanu, rodząca rozmaite spekulacje i przypuszczenia, aż w końcu główny bohater postanowił opowiedzieć ją pewnego wieczoru. Do tamtego momentu sama często zastanawiałam się, co skłoniło tego kulturalnego, błyskotliwego człowieka, umiającego odnaleźć się w dyskusji niemal na każdy temat do opuszczenia ojczyzny. Dowiedziałam się wówczas, że mu'allim wyjechał w 1982 roku, gdy w Libanie trwała w najlepsze operacja „Pokój dla Galilei”, nazwana później pierwszą wojną libańską. Wcześniej wraz z grupą obcych sobie ludzi ukrywał się przed atakami izraelskich bombowców w piwnicy zrujnowanego budynku na przedmieściach Bejrutu. W prowizorycznym schronie nie było nic do jedzenia poza suszoną okrą, gotowaną na wyszabrowanej przez kogoś naftowej maszynie, o ile udało się zdobyć czystą wodę. Od tamtej pory Mustafa tak mocno znienawidził to nieszczęsne warzywo, że odsuwał talerz, ilekroć je tam znalazł, jakby roilo się w nim od robaków. Cała rodzina mu'allima, nazywanego wówczas profesorem Al-Halafem, zginęła w trakcie nalotów. By uciec przed wspomnieniami, porzucił pracę wykładowcy na Uniwersytecie Arabskim w Bejrucie i udał się do zimnej, ponurej Anglii, gdzie zaczął wieść żywot „knajpiarza”. Tak profesor Al-Halaf został mu'allimem Mustafą.

Kelner, Irakijczyk Mahmud, zjawił się z mocną miętową herbatą i wprawnym ruchem rozlał ją do szklanek. Podniosłam swoją do ust, cienkie szkło parzyło mnie w palce. W towarzystwie profesora czułam się niezręcznie. Liczyłam, że przychodząc do El Khimy o tej porze, będę mogła porozmawiać z mu'allimem w cztery oczy i być może dowiem się czegoś więcej o hakawatim. Żeby ukryć zakłopotanie, zaczęłam bezmyślnie przeglądać leżącą przede mną gazetę. Mężczyźni powrócili tymczasem do przerwanej rozmowy.

Mustafa jak zwykle wyrażał ubolewanie, że Arabowie, niegdyś podziwiani za zasługi dla medycyny, algebry czy astronomii, dziś uważani są za niedouczonego wieśniaków, fanatyków albo terrorystów. Czuł się z tego powodu zażenowany, ale też zdawał sobie sprawę, że nie są to wyłącznie puste oskarżenia. „Cofnęliśmy się w rozwoju, prawda, profesorze?” – mówił, kiwając smutno głową. Jusuf Saidi miał nieco inne zdanie w tej kwestii i twierdził, że mu'allim przesadza. Próbował tłumaczyć przyjacielowi, że Arabowie co prawda wciąż snią dawno miniony sen o wielkości imperium arabskiego i nie umieją pogodzić się z tym, jak są postrzegani, ale Mustafa zamknął się w swojej kawiarni i oderwał od rzeczywistości tak bardzo, że przestał dostrzegać postęp z wolna dokonujący się w umysłach pobratymców. Właściciel kawiarni wciąż jednak narzekał na obyczaje spotykanej w Londynie arabskiej młodzieży i nie widział wśród niej przyszłych następców Ibn Chalduna czy Abu Nuwasa. Dowodził nieco dramatycznym tonem, że cała potęga świata arabskie-

go spoczywa teraz w grobowcach. Gość próbował studzić emocje mu'allima. „Wydaje ci się, że czeka nas powolny upadek, a ja widzę coś wręcz przeciwnego, powoli, krok za krokiem, idziemy do przodu” – przekonywał cierpliwie.

Tę burzliwą dyskusję przerwał w pewnym momencie Mahmud, który podszedł, by zgarnąć szczypcami resztki popiołu z cybucha do fajki wodnej i dołożyć nowy kawałek węgla.

Mu'allim podziękował kelnerowi i podjął przerwany wątek. Tym razem próbował odkryć przyczynę intelektualnego upadku Arabów i widział ją przede wszystkim w postawie kobiet. „Nie mają za grosz ambicji” – zżymał się, krytykując je za nieustanne przesiadywanie przed telewizorem i oglądanie egipskich oper mydlanych. Twierdził przy tym, że z takim podejściem do życia nigdy nie wychowają dzieci na mądrych, wartościowych ludzi, bo nie są w stanie przekazać im żadnej wiedzy. „Marzą tylko o tym, żeby mieć najbardziej wystawne wesele w całej okolicy albo coś, czym będą mogły pochwalić się sąsiadkom. Żadna nie weźmie do rąk książki ani nawet gazety” – ciągnął ze złością, przy okazji zarzucając mężczyznom, że nie dążą do naprawy tego stanu rzeczy. Profesor przysłuchiwał się tej tyradzie z pobłażliwym uśmiechem, a w końcu zapytał mu'allima, czy ten chciałby, żeby Arabki żyły jak Europejki. Mustafa zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy i pospieszył z wyjaśnieniem, że choć styl życia i jednych, i drugich mu nie odpowiada, europejska potrzeba zdobycia edukacji godna jest podziwu i naśladowania. Profesor nie rozdrapywał tej kwestii, ale z żalem opowiadał o młodych chłopakach, którzy w ojczystym kraju nie chcą albo nie mogą się uczyć, a potem wyjeżdżają w pogoni za lepszym życiem, przekonani, że w ciągu paru lat dorobią się fortuny, bo pieniądze w Europie leżą przecież na ulicy. Podawał przykłady tych, którzy źle skończyli zachłystnięci wolnością, a mu'allim potakiwał w milczeniu, nie wspominając o tym, o czym wiedziałam od dawna: że często udaje się do tak zwanych dzielnic nędzy, żeby znaleźć pracowników do swego lokalu. Nie przyznał się też, że szuka tym zagubionym młodym ludziom przyzwoitych stancji, że posyła ich do szkół, karmi i ubiera, a jak już się usamodzielnia, pomaga zdobyć zawód zgodny z wykształceniem. Był na to zbyt skromny.

„Zanudziliśmy cię, Nina?” – zapytał znienacka. Uśmiechnęłam się i zaprzeczyłam, a mu'allim zaproponował, żebym coś zjadła. Używał zawsze tych samych argumentów, powtarzając, że za ciężko pracuję i niedługo zacznę przypominać szkielet. Podsuwając mi ser i oliwki, powrócił do przerwanej rozmowy z profesorem, tym razem jednak zaczął mówić o mnie:

„Kiedy patrzę na Ninę, sidi Jusuf, na zagranicznych gości w mojej kawiarni, na wszystkich, którzy cenią piękno naszej kultury, zaczyna wstępować we mnie nowa nadzieja”. Wydawało mi się, że mu'allim nawiązywał przede wszystkim do wczorajszego wieczoru. Profesor skinieniem głowy potwierdził, że zgadza się z tymi słowami, a gdy przełknął ostatni kęs hummusu, zaczął wychwalać hakawatiego, zdziwiony, że Gabriel Stork jest aktorem i zawodowym bazarzem. Widząc zainteresowanie rozmówców, Mustafa zaczął opowiadać, że cały Londyn szaleje za Gabrielem, choć on sam stara się unikać rozgłosu. Przy okazji mu'allim poinformował nas, że bazarz występuje w teatrze na St. Martin's Lane, a bilety na urządzane tam wieczory opowieści sprzedają się lepiej niż świeże bułeczki.

Angielsko brzmiące imię i nazwisko nie pasowało do hakawatiego. Profesor Saidi najwyraźniej podzielał moje zaskoczenie. „Byłem pewien, że jest Turkiem albo Persem” – zawołał z przekonaniem. „On sam nie wie chyba, skąd dokładnie pochodzi” – westchnął ciężko mu'allim, jakby rozważał, ile może zdradzić, a po namyśle dodał coś niepokojącego: „Cóż, każdy z nas ma własne demony przeszłości. Gabriel również”.

Profesor przypatrywał się uważnie przyjacielowi, po czym wyraził przypuszczenie, że musi być z opowiadaczem w dobrej komitywie. „Znam go lepiej niż ktokolwiek inny” – odparł mu'allim i zaciągnął się fajką. Przez dłuższą chwilę opowiadał o tym, że bazarz kiedyś często gościł w El Khimie, a teraz zagląda rzadziej, bo dużo podróżuje na Bliski Wschód, do Azji i Afryki Północnej, gdzie spisuje regionalne baśnie, podania i legendy, a potem przerabia tak, by się nadawały na scenę. „To kompletny samotnik, żyje tylko pracą. Powinnaś go poznać” – zwrócił się nagle do mnie, po czym wyjaśnił profesorowi, że piszę doktorat o arabskich bazarzach.

Kiedy stwierdziłam ponuro, że pewnie nie będzie okazji, skoro bazarz nieczęsto bywa w naszej kawiarni, Mustafa al-Halaf posłał mi rozbawione spojrzenie i rzucił: „Gabriel Stork jest twoim

sąsiadem. Mieszka przy Westbourne Grove, róg Portobello. Niegdyś często widywaliśmy się na sobotnich targach staroci. To tylko kwestia czasu, aż się w końcu spotkacie”.

Ulicę Portobello lubiłam najbardziej wczesnym rankiem, kiedy sprawiała wrażenie spokojnej i cichej, zastygłej w bezruchu jak na fotografii. Prędko odkryłam, że jako pierwsi budzą się mleczarze i roznosiciele gazet. Dla mnie, zbyt sennej, by wstać i zaspokoić ciekawość ich twarzy, byli odgłosami zewnętrznego świata, o którego istnieniu miały później przypomnieć pozostawione na progu dwie szklane butelki i zwinięty w rulon egzemplarz „The Daily Telegraph”. Potem pojawiali się drobni sklepikarze i antykwariusze, obwieszczając swoją obecność szmerem podnoszonych rolet, otwieranych okienic i rozstawianych straganów. Sprzedawcy o ciemnych karnacjach w zamyśleniu nosili drewniane skrzynie uginające się pod ciężarem owoców. Ich oczy, pełne orientalnych baśni, świeciły w odchodzącym już mroku i tylko siłą woli powstrzymywałam się, żeby nie podejść do któregoś z nich. „Poproszę pół kilograma snów, tych z drugiej półki po lewej, tak, tak, właśnie tych” – powiedziałabym, wskazując palcem. Na pewno sprzedawali sny, takie na wagę. Wśród nie do końca jeszcze przytomnych ludzi krążył nigeryjski sprzedawca kawy z termosem na plecach, bardzo ważna postać o tej porze dnia. Zwykle zatrzymywał się przed pomalowanym na błękitny kolor sklepikiem pakistańskiej rodziny Hanifów. Przy sklepiku tym, oferującym tanie papierosy, przecenione gazety i bogatą kolekcję filmów z Bollywood, mężczyźni często przystawali, żeby razem zapalić i podyskutować o polityce. Zakończywszy rytuał, rozchodzili się do swoich zajęć, zostawał jedynie pewien artysta o zmęczonych oczach i wiecznie pijany kataryniarz, znany ze swej słabości do piwa w pubie U Alice.

Miałam wrażenie, że w ciągu tych kilku ostatnich miesięcy ulica Portobello zdążyła zdradzić mi wszystkie swoje sekrety, nigdy wcześniej nie zauważyłam jednak domu na rogu Westbourne Grove, tak jakby słowa mu‘allima Mustafy wywołały go nagle z niebytu. Nie wyróżniał się niczym szczególnym. Nie był ani większy, ani ładniejszy od innych, sprawiał nawet wrażenie bardziej zaniedbanego. Przygarbiony, skurczony, przywodził na myśl kogoś, kto za wszelką cenę chce odwrócić od siebie uwagę przechodniów, zniknąć im z pola widzenia. Od pierwszego wejrzenia połączyła mnie z tym domem jakaś więź, pewien trudny do określenia rodzaj bliskości, przecucie, że nasze losy są ze sobą związane. Gdy przechodziłam obok, za każdym razem miałam wrażenie, że znam na pamięć rozkład wszystkich pomieszczeń, wąskie, splątane żyły-korytarze, ukryte zakamarki, zagracone pokoje, w liczbie trudnej do określenia. Potem dom zaczął mi się śnić. W tych snach wołał moje imię, a kiedy znajdowałam się przed nim, chwycił mnie i wciągał do środka. Zazwyczaj błądziłam po omacku od drzwi do drzwi, czasem wkraczając do gabinetu, biblioteki albo składziku na miotły; bywało też, że trafiałam do przestronnej kuchni wykładanej błękitną mozaiką.

Pewnej nocy dom przyśnił mi się inaczej niż zwykle, niespokojnym, złowrogim, zesłanym przez chorobę snem. Chwiał się, rozpadał, na ścianach pojawiały się głębokie pęknięcia. Między jednym a drugim rozpalonym gorączką oddechem odbijające się w głowie echo przynosiło nie wiadomo skąd urwane kawałki zdań, strzępy zasłyszanych gdzieś rozmów. Atak suchego kaszlu na chwilę przerwał męczarnię, majaki oddaliły się po to, by powracać w jeszcze bardziej złowieszczej i nieprzyjemnej postaci. Niebo wciąż było czarne, tylko jaśniejące gdzieś pojedyncze punkciki okien przypominały o bezsenności niektórych mieszkańców ulicy. Pierwsze promienie słońca zaczęły o książkę leżącą na parapecie. Iskry wysypały się spomiędzy kartek, a spłoszone strzępy nocy umknęły nagle do kątów.

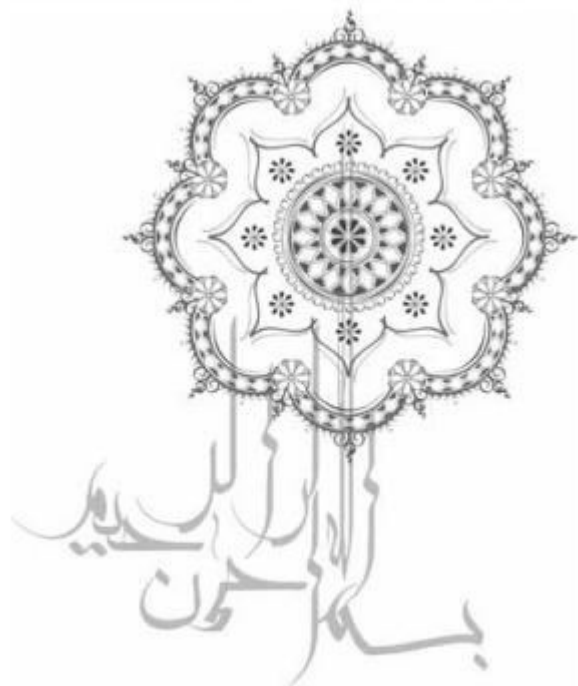
Na pierwszym planie następnego snu pojawiła się Portobello Road, kolorowe, przytulone do siebie kamieniczki, okna bez firanek o szybach powlekanych słonecznym blaskiem, witryny sklepów z antykami i egzotycznym towarem. Ciepły wiatr potraçał lekko szyldem w kształcie imbryka ze złoconym napisem *Antiques*, wywołując niemrawe skrzypienie.

„On ma swoje własne demony” – powtórzył w tym śnie mu‘allim Mustafa, głośno i wyraźnie, wywołując z mojej pamięci człowieka w butach z monogramem. To tu, na Portobello Road, położonej tylko o jedną przecznicę od Westbourne Grove, musiał kupować warzywa z wielkich, rozpiętych pod samo niebo straganów. Dziwna, nierzeczywista postać o zagadkowym, a jednak ciepłym uśmiechu, rozkochana we własnej niezależności i własnych marzeniach. „To kompletny samotnik, żyje tylko pracą” – odezwał się znowu mu‘allim.

Stork nie pasował do przejrzalnych od słońca warzyw z Portobello, pasował do Portobello samotnej, pachnącej nocnym powietrzem i spadającymi gwiazdami. Człowiek z księżycem we włosach. Układałam mu życiorys na motywach rzeczywistości, przepisując zdarzenia z własnych wyobrażeń, prostych do granic banału. Był w nich również dom, wyniosły dla obcych, przyjazny dla nas, dom, za którego bezpiecznymi murami kryliśmy się przed ludźmi. Nie przeszkadzał nam bałagan, porozrzucane wszędzie kartki papieru ani wszechobecne książki w wytartych okładkach, pozaznaczane niedbale pocztówkami. Czasem towarzyszył nam śmiech z niezręcznie wypowiedzianych po angielsku zdań, jak wtedy, na Tottenham Court Road.

Mimo kataru i bólu gardła rano nogi same poniosły mnie na róg Westbourne Grove, żebym mogła utwierdzić się w przekonaniu, że dom istnieje naprawdę. Spowijała go delikatna, ledwie widoczna mgła, a dookoła panowała cisza. Wszystkie dźwięki zatrzymywały się na progu, jakby przebiegała tędy niewidzialna granica, jakby to tu kończył się głośny, roześmiany świat ulicy Portobello. W takich chwilach nie myślałam o nim jak o domu – ciemne okna wyglądały jak oczy rozumnej, na prawdę żywej istoty.

## CZEŚĆ TRZECIA



Na Westbourne Grove jako pierwsza zamieszkała ze mną lampa. Znalazła swoje miejsce w centrum okrągłego dębowego stołu z blatem pooranym zmarszczkami, pozostałością po jakiejś niewyobrażalnej liczbie czasów. W chłodniejsze, niepokodne dni stół upodabniał się do samotnej wyspy, porzuconej gdzieś na dalekim morzu, a lampa przeistaczała się wtedy w morską latarnię, rzucającą ciepłe światło w deszczową przestrzeń ulicy. Dawno temu nauczyłam się z nią rozmawiać. Mówiła różnymi językami: cieniem na ścianie, sykiem spalonej żarówki, bursztynową poświatą wokół abażuru. Czasem wszystkie kąty spowijała buntowniczą ciemnością.

Biografia lampy sięgała gdańskiego sklepu pełnego różnych bezużytecznych przedmiotów, pożółkłych ze starości map, zdobyczy z dna morza przehandlowanych przez marynarzy potrzebujących pieniędzy na portowe rozrywki. Stojąc na wystawie, lampa opowiadała przechodniom swoją historię. Wielokrotnie wyobrażała sobie wnętrze, do którego ktoś ją kiedyś zabierze, widok z okna, mieszkańców nowego domu, aż pewnego dnia do środka wszedł ojciec i kupił mi ją na urodziny. Podróżując ze mną po świecie, lampa bez trudu odnajdowała się w każdym miejscu, oswajała je dobrymi wspomnieniami. Wsłuchiwała się w rozmowy odwiedzających mnie gości, w przynoszone przez nich opowieści, a kiedy już wyszli, oświetlała samotność. Odkąd wyjęłam ją z kartonu zaadresowanego na nowy, londyński adres i postawiłam na stole, dom na Westbourne Grove stał się bardziej mój.

Nie wiem, jak to się stało, że w nim zamieszkałam. W plątaninie londyńskich zabałaganionych dni, tworzonych z tęsknoty, pasji, szczęścia i pożądania, niekiedy zasnutych mgłą, jakby ich wcale nie było, czas wydawał się czymś wymyślonym. Im bardziej próbuję przypomnieć dziś sobie chronologię wydarzeń, tym mniej udane stają się moje wysiłki. Wtedy zazwyczaj staram się zająć czymś nieskomplikowanym i błahym: myciem szklanek, włączaniem pralki, rozpakowywaniem siatek z supermarketu i nagle, między jedną a drugą nic nieznaczącą czynnością, pojawia się przebłysk czegoś, co mój umysł nieustannie próbuje wydobyć z ruin.

Wydaje mi się, że zaczęłam po prostu spotykać Cię w okolicach Westbourne Grove, jak

przewidział mu‘allim, choć może to dom specjalnie prowadził nasze kroki podobnymi ścieżkami. Mimo że nie zamieniliśmy wówczas nawet kilku zdań, jakaś siła niestrudzenie próbowała połączyć nasze życiorysy w tę samą opowieść. Za każdym razem, kiedy mignęły mi gdzieś buty z monogramem, czarny płaszcz lub potargane wiatrem srebrne kosmyki włosów, myślałam o tym, jak bardzo jesteśmy zapisani w innych ludziach i nigdy naprawdę nie wiemy, kiedy ktoś nas odczyta, wydobędzie na powierzchnię albo spróbuje zetrzeć, tak jak ściera się z mebli kurz. Ile jeszcze razy – myślałam wtedy – miniemy się bez słowa, a milczący świadkowie owego mijania, wszystkie sklepy, samochody, krawężniki, latarnie, będą śmiać się i opowiadać nas sobie jak dowcip.

Czasem udaje mi się odnaleźć jakieś wspomnienie, kiedy przypadkiem natykam się na ślady dawnego życia, na przykład na stary, pognieciony egzemplarz gazety, którą czytałam, walcząc z przeziębieniem. Na ostatniej stronie, poplamionej syropem od kaszlu, podano informację, że w teatrze na St. Martin’s Lane odwołano wszystkie przedstawienia. Podobno zachorował Gabriel Stork, odtwórca jednej z głównych ról. Później przypominałam sobie pojawiające się znikąd drobiazgi, ręcznie robione praliny podrzucane do kieszeni płaszcza, kubki z kawą zostawiane na parapecie, włożone w szarą kopertę bilety do teatru.

Gdzieś między tym wszystkim znaleźliśmy się my, coraz bardziej nieobcy, zaplątani w siebie. To chyba właśnie wtedy dom musiał otworzyć przede mną podwoje, a potem zamknąć mnie w swoim wnętrzu.

Poznawałam Cię dzięki przedmiotom zgromadzonym na przestrzeni lat. Każdego dnia mówiły mi coś nowego, opowiadały kolejną historię. Nie wiadomo skąd w moich rękach nagle pojawiał się hebanowy grzebień, butelka po perfumach ze śladami dawnego zapachu, czarno-biała fotografia ogrodów Tuileries, wizytówki paryskich kawiarni – Le Procope, Cafe de Flore, Les Deux Magots i dziesiątek innych – albo figurka sowy z wygrawerowanym w srebrze napisem *Made in France*. Na ścianach, półkach, w szufladach niemal zawsze znajdowałam coś wartego obejrzenia, na przykład zepsuty zegar w salonie ze wskazówkami zastygłymi na jakiejś dawno minionej godzinie trzeciej. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że jeśli sam się zatrzymał, nic nie zmusi go, by znów zaczął odmierzać czas. Powoli przyzwyczajałam się do wiszących w hallu berberyjskich tkanin, do starych mebli z epoki wiktoriańskiej, do pękatego czajnika z błękitną emalią. Nieraz dla zabawy przykładaliśmy do niego uszy, by sprawdzić: oddycha czy nie oddycha. Próbowałam oswoić wszystkie te rzeczy, a jednocześnie bałam się, że odkryję wśród nich jakiś niepokojący fragment przeszłości, coś, co na długo zniszczy mój spokój. Nienawidziłam tej części Twojego życia, która istniała, zanim Cię poznałam, i z całej siły próbowałam ją od siebie odepchnąć. Wolałam nie znać faktów ani dat, adresów, imion kobiet gotowych zostać w mojej głowie pod postacią niechcianych obrazów podstępnie podsuwanych przez wyobraźnię w najmniej odpowiednich momentach. Szczególnym lękiem napawała mnie szafa w gabinecie, kupiona podobno na targu w medynie Marrakeszu. Nie wiedziałam, co kryje się w jej wnętrzu, ponieważ klucz dawno zaginął i nikt dotąd nie potrafił stworzyć odpowiedniej kopii. Dostojna, pełna złowrogiego dystansu, wydawała się robić wszystko, żebym trzymała się od niej z daleka. Drewno połyskujące w blasku słońca różnymi odcieniami brązu było zimne i śliskie niczym skóra węża. Ilekroć próbowałam podejść bliżej i dotknąć widniejącej na drzwiach płaskorzeźby, cofałam się z obrzydzeniem. Wchodząc do pokoju po zmierzchu, musiałam od razu zapalać lampę, by pozbyć się złudzenia, że ukryta w ciemności szafa obserwuje każdy mój krok, czeka, węszy, podsłuchuje. Zastanawiałam się, do kogo należała, zanim przywiozłeś ją do Londynu, przekonana, że z owym meblem wiązała się jakaś ludzka tragedia.

Na początku nie chciałam zostawać sam na sam z należącymi do Ciebie rzeczami. Czułam, że ogarnia je wówczas jakaś nieodgadniona zawziętość, a ich niezadowolenie za chwilę objawi się rozbitą szklanką lub przewróconym świecznikiem. Niemal słyszałam, jak rozhisteryzowane książki kłóć się z półkami, a nadąsane zasłony próbują rozdrażnić wiatr. Minęło sporo czasu, nim dom zaakceptował mnie jako swego mieszkańca, a znajdujące się w nim przedmioty zaczęły zachowywać się tak jak przy Tobie.

W pierwszą noc bezskutecznie próbowałam zasnąć. Za oknem szalała burza, gruby konar drzewa raz po raz uderzał w szybę, jakby chciał, żebyśmy wpuścili go do środka. Na ulicy, nic sobie nie robiąc z ulewy, głośno śpiewał pijany turysta.



Zegar w hallu wybił godzinę pierwszą, gdy odwróciłeś się do mnie i zapytałeś o trzy najważniejsze słowa. Mój wzrok zamarł na Twoim czole, a potem pobiegł po rozczochranych włosach jak po moście. Często tak się Tobą zamyślałam, zapominałam w mimowolnym, scenicznym grymasie ust, tembrze głosu, niedokończonych, przerywanych w połowie gestach. Zapadałeś w pamięć jak dobrze namalowany obraz, który zmienia się z każdym spojrzeniem, zaskakuje wielością interpretacji, głębią niedopowiedzeń, wyraźnie zarysowanym kontrastem. Chciałam znać Ciebie centymetr po centymetrze, wszystkie światłocienie, płaszczyzny, tonacje, plamy, perspektywy.

„Intucja, wyobraźnia, wrażenie” – odpowiedziałam Ci wtedy, chyba tylko po to, żeby znów się w Tobie zapomnieć. Z wolna uświadamiałam sobie, że coraz bardziej niechętnie otwieram oczy i patrzę na świat wobec Ciebie zewnętrzny, zupełnie nam obcy i bezosobowy. Czałeś się w zakamarkach skóry, na powiekach, w zgięciach kolan. W cieniach na ścianie, w konturach niewyraźnie rysujących się pod prześcieradłem, w mroku sypialni, gdy udawałeś egipską mumię, szepcząc: „Rozpakuj mnie”. Każdy dotyk był wtedy podróżą do nowych miejsc, wartych odkrycia i zapamiętania, żeby później wciąż do nich wracać. I w domu, i w mieście nie znalazłabym nawet jednej rzeczy, która nie została Tobą naznaczona i była wolna od skojarzeń. Znikali ludzie wokół, przeczytane książki, wysłane listy. Nie umiałam już Cię od siebie oddzielić, nie wiedziałam, co jest mną, a co Tobą, i wcale nie brakowało mi tej pamięci.

Nasza codzienność na Westbourne Grove to dziesiątki wspólnych śniadań, stoły zastawione oliwkami, greckim serem, fulem, to biel kartek na podłodze pod biurkiem, pod stołem w kuchni, gdy skupieni nad pracą próbowaliśmy, z marnym skutkiem, na siebie nie patrzeć. Nasz świat tworzony był szeptem. Szept w nos. Szept w ucho. Szept w usta. Gesty. Sięganie po chleb w tym samym momencie. Wygniecione głową wgłębienie w Twojej poduszce, które lubiłam sobą wypełniać. Nie musiałeś stać obok, żebym nieustannie miała Cię przy sobie – wystarczyło popatrzeć na koszulę przewieszoną niedbale przez poręcz krzesła, na brudne kubki po kawie, zostawiane w różnych dziwnych miejscach, na kuchenną mozaikę poplamioną sosem pomidorowym po wczorajszym gotowaniu kolacji. Nie istniała wówczas żadna nieobecność, żadna pustka i żadna tęsknota, bo wiedziałam, że niedługo wrócisz i znów będzie taki wieczór jak zawsze, gdy do rąk garną się jabłka i orzechy, a wraz z nimi nieprzeczytane jeszcze baśnie i zwykłe, spokojne zamyślenie, odległe od rozkrzyczanych londyńskich ulic. Niekiedy, zamiast czytać, grywaliśmy w karty, siedząc na dywanie wśród pustych opakowań po curry, kurczaku tikka masala albo daniach American Chinese Food, która to nazwa zawsze wywoływała nasz śmiech. Za oknem padał deszcz, w kominku płonął ogień, a w ciepłym świetle lampy Twoja skóra wyglądała na bursztynową. Próbowалам zapamiętać każdy szczegół, drobiazgi tak łatwo zasypywane w pamięci pyłem czasu i umykające w natłoku nowych wrażeń.

Pewnego popołudnia wróciłam do domu i zastałam Cię w kuchni. Kroiłes warzywa na marokański tadżin, w kolejce czekały też figi i suszone śliwki ułożone w koślawe piramidki. Puściłeś mi perskie oko i zażartowałeś, że zaraz pokroisz słowa, których używamy najczęściej, i ugotujesz pierwszą na świecie zupę ze słów. Zacząłeś opowiadać, jak niektóre wyrazy kipią, rozgotowują się niemal na błoto, inne natomiast wciąż pozostają twarde i trzeba godzinami trzymać je pod pokrywką.

Słowa, te same, którymi ludzie określają siebie w różnych częściach świata w momentach codziennej czułości, przemknęły również do naszego języka, zajmując miejsce w łazience, kuchni, w łóżku i przy stole. Nuciliśmy je pod nosem, rozgryzali na pół. Zdarzało nam się układać z nich piosenki i potem śpiewać je w kółko, nawet w autobusie, w pobliskiej aptece przy kupowaniu tabletek od bólu głowy albo przy wyrzucaniu śmieci do blaszanego kontenera na sąsiedniej ulicy.

Pewnego dnia wróciłam z El Khimy w welnianej żółtej sukience. Jej za długie rękawy śmiesznie wystawały spod czarnego płaszcza. Odstawiłeś na bok szklanekę z sokiem i przyjrzałeś mi się, nazbyt uważnie.

– Pomarańczowa – stwierdziłeś.

– Nieprawda – przekomarzałam się.

– Miodowa? – spróbowałeś raz jeszcze i dorzuciłeś z miną znawcy: – Teraz podobno modne są takie kolory.

Od tamtej pory nazywałeś mnie *honey*. „Widziałaś tamtego faceta w kapeluszu, *honey*?”, „Gdzie jesteś, *honey*?”.

Jeżeli tego chciałeś, mogłam nazywać się *honey*, Lejla, Juanita lub Maria Luiza. Mogłeś nadać mi każde wymyślane imię, powiedzieć, kim mam się stać na potrzebę dnia, reszty życia, może nawet wieczności. W końcu wiedziałaś o wiecznościach tak dużo. Co wieczór wnikałeś we fragmenty cudzego życia, charakteru, uczucia, w różne rzeczywistości trwające niestrudzenie na przestrzeni lat, w inne czasy i światy. Zjawiałeś się jako emir, dzinn albo ubogi fellach w tej wielkiej wypożyczalni życiorysów zwanej teatrem. Taki też byłeś tylko mój, nieważne, w jakiej masce i w jakim kostiumie. Potrafiłam rozpoznać Cię w warstwach białego pudru, orientalnym hafcie czarnej peleryny, podniesionym głosie. Całą sobą przeżywałam odległość między trzecim rzędem a sceną, tę nieświadomość siedzących obok ludzi, którzy za chwilę pójdą po autograf, a Ty jak zwykle poszukasz mojego wzroku. Potem, w taksówce wiozącej nas prosto na Westbourne Grove, byłeś mój jeszcze bardziej, kiedy mogłam schować się w kołnierzu Twojego płaszcza.

Wśród wielu różnych słów, których znaczenie zaczęłam poznawać na nowo, było też rozstanie. Zawsze drażniło mnie swą zwodniczą melodią, a zawarte w nim różne odcienie nostalgii, od szarości po błękit, łagodziła nieco świadomość, że rozłąka wkrótce się skończy, a powrót będzie krył w sobie radosne oczekiwanie.

Musiałeś wyjeżdżać, ja musiałam przyzwycząić się do pożegnań na Dworcu Wiktorii, do pociągów wożących Cię na lotnisko Gatwick albo do czekających pod domem taksówkarzy. Bez Ciebie gubiłam się w krętych korytarzach miasta, w tysiącach schodów z góry w dół, w oknach blokowisk przypominających te z wielkiej płyty, w parkach i na mostach dziwnie wygiętych ponad ulicami. Dom milkł i zasnuwał się ciszą, zupełnie jak ja. Nie sprzątałam ze stołu niedopitej porannej kawy, okruchów croissanta wokół zielonego talerza z resztkami miodu czy pogniecionej gazety, uznając je za zapowiedź Twojego bezpiecznego powrotu. W czasie Twojej nieobecności stawałam się czekaniem, ucieczką w wyobraźnię, pisaniem kolejnego felietonu lub rozdziału pracy, czasem piciem southern comfortu prosto z butelki.

Pewnego razu pojechałeś do Aleppo i nie było Cię cztery długie tygodnie. Siedziałeś w syryjskich bibliotekach, szukając śladów rękopisów *Księgi tysiąca i jednej nocy*, albo podglądałeś hakawatic w tamtejszych kawiarniach, a ja w tym czasie czułam się jak postać wycięta z papieru, nietrwała, krucha, łatwa do zniszczenia. Twój powrót zapowiedziało znajome skrzypienie furki, zgrzyt zamka w drzwiach i nerwowe podskakiwanie walizki na śliskiej podłodze. Wszedłeś do pokoju w płaszczu i butach, zostawiając na dywanie mokre ślady w rozmiarze czterdzieści trzy. Twoje ubranie pachniało wiatrem, deszczem i miętą. „Mam dla ciebie prezent” – zawołałeś. Kiedy dopytywałam, co to takiego, zakryłeś mi oczy rękoma, po czym położyłeś na kolanach prostokątne pudełko i poprosiłeś ze śmiechem, żebym zgadła. Ostrożnie wyjęłam książkę, otworzyłam ją, a Ty poprowadziłeś moje palce po chropowatych stronach, zupełnie innych niż te, których tak często dotykałam. To był *Traktat o miłości* Ibn Arabiego napisany alfabetem Braille’a.

Pierwszy raz nie tylko widziałam litery, ale również je czułam. Nie mogłam się od nich odebrać i po dłuższej chwili zaczęłam rozpoznawać nieznaną system, w jaki układały się znaki. Uzmysłowiłam sobie, że fizyczna bliskość między człowiekiem a książką może mieć różne oblicza. Gdybym nagle straciła wzrok, gdyby z mojego świata niespodziewanie znikły wszystkie kolory i kształty, nikt nie odebrałby mi słów. Wrażen dostarczałyby mi wówczas zapachy, smaki, dźwięki, brane do rąk przedmioty, takie jak ten, który mi wtedy przywiozłeś.

Kilka minut później otworzyłam oczy. Wpadające do pokoju światło dnia wydało mi się ostre i nieprzyjemne, przez chwilę nie mogłam do niego przywyknąć. Leżąca na moich kolanach książka miała brązową, skórzaną okładkę z namalowaną złotem bramą arabskiego pałacu. Na stronie tytułowej znalazłam dedykację: „Najpierw jesteś pisarzem, potem całą resztą. Nie tylko stawiasz litery, lecz przede wszystkim je czujesz. Pisz wyobraźnią. Pisz uczuciem. A jeśli kiedykolwiek o nich zapomnisz, po prostu wróć tutaj”.

Przeczytałam te słowa, nie poświęcając im należytej uwagi. Radość, jaką daje poczucie, że komuś zależało na sprawieniu nam przyjemności, nie pozwoliła mi się nad nimi zastanowić. Zapomnienie o czymś najważniejszym, co wyznacza kierunek całego życia, wydawało mi się wówczas

niemożliwe i nie próbowałam nawet zaprzętać tym sobie głowy.

Na szczęście nie byłeś jednym z tych mężczyzn, którzy z uśmiechem na ustach wręczają kobietom kwiaty, perfumy albo opakowane w błyszczący papier pudełka czekoladek. Gardziłeś takimi gestami, uważałeś je za pretensjonalne. Lubieś dawać książki. Kiedyś powiedziałeś, że najłatwiej poznać człowieka, czytając jego ulubioną opowieść, a parę dni później przyniosłeś z sobotniego targu staroci na Portobello Road drugie angielskie wydanie *Małej księżniczki*. Skąd mogłeś wiedzieć, że przepadałam za tą powieścią w dzieciństwie? Nigdy przecież nie opowiadałam Ci, jak pewnej Wigilii znalazłam ją pod choinką i że od tamtej pory siedmioletnia Sara Crewe stała się dla mnie kimś, kogo się podziwia i chce naśladować.

Niemal z każdej podróży przywoziłeś coś ciekawego, co znajdowałam potem, niby przypadkiem, w szafach i szufladach, na półkach z książkami, w koszu z bielizną. Po kolejnych wyprawach do Jordanii, Syrii, Indii czy Iranu w domu pojawiały się opakowania drogiej kawy, najlepsza wędzona herbata, małe paczuszki z szafranem, anyżem i korą cynamonu, świeża baklava albo ociekające syropem słodkie gulab dżamun. W szafie z trudem mieściły się jedwabne szale, ponczo z wielbłądziej wełny, sari ozdobione tak skomplikowanym motywem kwiatowym, że ktoś musiał spędzić na haftowaniu kilka długich miesięcy. Pudełka i szkatułki z drzewa sandałowego pełne były srebrnej biżuterii, koralu z lapis-lazuli, spinek z kości słoniowej, aksamitnych woreczków wypełnionych saudyjskim kadzidłem, kryształowych butelek z różnymi wonnościami, ale bardziej niż na nie czekałam zawsze na Twoje opowieści. Wystarczyło, że zacząłeś mówić, by cały świat znów wrócił do równowagi. Zdążyłam się już oswoić z Twoim głosem, wciąż jednak przypisywałam mu magiczne właściwości. Zwyczajne, proste słowa wydawały się zyskiwać czarodziejską moc, gdy je wypowiadałeś.

Historię o księżycowych butach przywoziłeś razem z dużą starą walizką, pełną szmacianych lalek. Każda z nich miała kanciastą twarz, wystruganą z nieznanego gatunku drewna i pociągniętą lakierem o barwie kości słoniowej. Szerokie kolorowe spodnie bądź jedwabne suknie przydawały im królewskiej godności. W ich oczach, namalowanych zaledwie dwiema kroplami farby, wciąż tkwiło wspomnienie dotyku irańskiego rzeźbiarza z niewielkiej wioski ukrytej w górach Elburs. „Dzisiejszego wieczoru zapraszam na przedstawienie” – wykrzyknąłeś wesoło, uderzając dłońmi w kolana, po czym wzięłeś dwie marionetki i udawałeś, że gonią się po krawędzi stołu.

Ja wciąż jadłam świeże daktyle i odkładałam na bok długie beżowe pestki, gdy Ty przeobrażałeś wnętrze walizki w teatralną scenę, a potem, poruszając sznurkami przypiętymi lalkom do ramion, opowiadałeś historię o tym, jak z księżycy sypał się srebrny pył i lądował w chmurach. Przeciążone obłoki spadały z nieba i turlały się po zboczach wulkanu Demawend, a szewc z pobliskiego miasteczka zbierał je i przerabiał na buty. Mówiąc to, na straganie wzniesionym naprędce z tektury ustawiałeś różnokolorowe pantofelki z masy papierowej. Jedną parę założyłeś też na dwa palce, by pokazywać, że same potrafią biegać, a zdziwione marionetki wodziły za nimi oczyma. Obok szewskiego kramu na targu w Teheranie ustawiały się długie kolejki. Każdy chciał kupić magiczne buty, które pozwalały bez wysiłku pokonać największą odległość, a gdy trzeba było iść, pozwalały osiągnąć niemal nadludzką prędkość. „Proszę się tak nie pchać” – mówiłeś skrzeczącym głosem wiekowej matrony, której pawie pióra sterczały z kapelusza, a odpowiadałeś rozłoszczonym barytonem stojącego w kolejce czarnowłosego mężczyzny: „Nie krzyczże tak, kobieto”.

Nigdy nie dokończyłeś opowiadać mi tej historii. Wśród nieustannych wybuchów śmiechu i wymyślania różnych wersji dalszego ciągu, próbowaliśmy zgadnąć, co mogłoby się wydarzyć, gdyby któreś z nas miało księżycowe buty. Twierdziłam, że pewnie byłyby na Ciebie za ciasne, Ty natomiast żartowałeś, że zmieniałyby kolory i nie potrafiłabym dobrać do nich żadnego ubrania. Wyobrażałam sobie, że w ciągu kilku minut moglibyśmy znaleźć się w moim kraju. Zabrałabym Cię do Kazimierza nad Wisłą, miasteczka otoczonego brudnym szalem rzeki, gdzie przechadzalibyśmy się wśród domów pokrytych spróchniałymi klawiszami gontów. Wiatr potrafił zagrać na nich każdą melodię. A może zniknęlibyśmy gdzieś w krętych uliczkach Neapolu albo przemierzylibyśmy paryski Pont Neuf?

Często snuliśmy podobne wizje, rezygnując z nich tylko wtedy, kiedy rzeczywistość zaczynała domagać się swoich praw. Nie lubiliśmy chwil, w których obcy ludzie pukali do naszych

drzwi, a w skrzynce na listy pojawiały się niechciane zaproszenia, pozostawiane zazwyczaj bez odpowiedzi. Omijaliśmy z daleka przyjęcia i wernisaże, pikniki „ku czci”, tak chętnie organizowane w parkach Londynu. Od wizyt w wynajętych knajpach w pobliżu Charing Cross, Trafalgar Square czy Covent Garden Market woleliśmy spacerować nad Tamizę i obserwowanie, jak podnoszą i opuszczają zwodzony most, albo przyglądanie się turystom jedzącym na ławkach hamburgery wprost z zatłuszczonych torebek.

A jednak poszliśmy na tamte urodziny urządzone w restauracji niedaleko Whitehall. Męczyła nas wymuszona elegancja: białe obrusy, kelnerzy w liberjach, rozmowy prowadzone przy brzęku sztućców i chlupocie chardonnay. Wśród lekkich śródziemnomorskich sałatek, owoców morza i avocado migały nam kościste paluchy operowej diwy, wypielęgnowane dłonie dyrektora banku, paru szefów kompanii handlowych, podpitego filmowca, nienagane manikiury typowych angielskich małżonek, których jedynym zajęciem było dbanie o odpowiedni wygląd. Żadnej z tych osób nie mieliśmy niczego do powiedzenia, więc siedzieliśmy po prostu obok siebie, z rzadka wymieniając spojrzeniami nieme uwagi na temat innych gości. W końcu zasnąłem na krześle obok mnie, zmęczony różnicą czasu po kolejnej podróży, ostentacyjnym snem, który z samego rana znalazłby się zapewne na pierwszej stronie „The London Evening Standard”, gdyby nie Twoja dziwna zdolność do odwracania uwagi wścibskich dziennikarzy. Siedziałam nieruchomo, zapatrzona w bezkres ścian, aż nagle dostrzegłam kobietę podobną do Tahitanek z obrazów Gauguina. Jadła rodzynki szybko, jak automat. Przyglądałam się jej ruchom, bransoletom pobrzękującym na szczupłych nadgarstkach, nie przerywając nawet wtedy, gdy za sobą posłyszałam dość głośną rozmowę.

„Nieprawda, dostał ten medalik w prezencie od matki, jakieś szesnaście lat temu. Jego żona raz znalazła na nim ślady szminki i opowiadała potem, że od tamtej pory zastanawia się, ile kobiet dotyka go w czasie tych wszystkich wyjazdów”. Słowa te wypowiadała nadmiernie upudrowana blondyna, pochylając się ku swej towarzyszce. Inna przyłączyła się do nich ze śmiechem: „Powinna zbierać odciski palców. W niedługim czasie miałyby ich więcej niż wydział śledczy”. Kątem oka dostrzegłam, że do grupki kobiet podeszła jeszcze jedna, szepcząc konspiracyjnie: „Znacie tę Polkę? Jak ona może mu ufać?”. (Spojrzenie błękitnych oczu natychmiast zwróciło się w Twoim kierunku). „Przecież widziałyście, co się dzieje, kiedy on schodzi ze sceny. A wiecie, z kim wyszedł po ostatniej próbie?” – zapytała i tajemniczo zawiesiła głos.

Miałam ochotę odwrócić się i odpowiedzieć na to pytanie, lecz mięśnie twarzy jakoś mi się zacięły. Ty za to zareagowałeś, obudziwszy się w odpowiednim momencie, posyłając kobietom rozbawione spojrzenie. Wyszliśmy bez pośpiechu i na ulicy, gdzie pełne spalin powietrze wydało nam się bardziej rześkie niż atmosfera w lokalu, zdjęliśmy z twarzy fałszyfikaty uśmiechu.

Popołudnia spędzane wśród obcych i mniej obcych ludzi dłużyły się nam w nieskończoność. Przyzwyczajeni do spokoju, do pogwizdywania czajnika w kuchni, do prozaicznego szurania kroków na wykładzinie, do znajomych twarzy sprzedawców z warzywnych straganów, na których napełnialiśmy kosze pękatymi dyniami, papryką, pietruszką i świeżą kolendrą, z wolna traciliśmy zdolność do prowadzenia rozmów o niczym i cierpliwość do picia herbaty w cudzych domach. Notowania giełdowe, wzrost opłat za gaz i energię, salonowe plotki gromadzone z większą dbałością niż dzieła sztuki w prywatnej kolekcji wytrącały nas z równowagi, budziły ze snu, jakim w owym czasie wydawało się nam własne życie.

„Każdy z nas jest opowieścią-mikrokosmosem” – powiedziałeś jednej z tych nocy, którym obcy jest sen, bo natrętne myśli kłębią się w głowie. Stałam przy oknie schowana za firanką. Po puściej ulicy od czasu do czasu przemknęła jakaś zbłąkana dusza. Latarnie świeciły we mgle słabym światłem, a w mojej głowie wirowały wspomnienia z minionego popołudnia, spędzonego u Sylvii i Christophera Bennettów w podlondyńskim Richmond.

Ich ogród przypominał te z obrazów francuskich impresjonistów: przy płocie kłębiły się forsycje, dzikie róże i krzewy jaśminu, nieco dalej gięły się ku ziemi nierówno posadzone, już przeschnięte irysy. Nad niedawno skoszoną trawą wyrastały kępami lawenda i zioła o intensywnym zapachu. Stare, zgarbione drzewa dawno przestały owocować, chociaż pod jedną z grusz leżało kilka nadgniętych owoców, wśród których brzęczały muchy. Nad ogrodem czuwał dom z beżowego piaskowca. Błękitne firanki i pelargonie zwieszające się z każdego okna dopełniały złudzenia spokoju

na angielskiej prowincji. W drewnianej balii z wodą pluskało się dziecko, wydając od czasu do czasu okrzyki. Atmosfera wokół pełna była napięcia i niepokoju. Christopher siedział rozparty w rattanowym fotelu, uśmiechnięty, zadowolony z siebie. O takich jak on mówi się, że odnieśli sukces. Popijał szkocką z lodem i dziwił się, że nie chciał wzięcia udziału w dochodowej produkcji telewizyjnej, za którą otrzymał rekordową gażę. Zamierzał kupić większy samochód, najlepiej terenowy, albo nabyć pod Londynem rozległą posiadłość i zostać drugim Szekspirem. „Wiesz, teraz najlepiej inwestować w ziemię” – rzucił od niechcenia, a potem przez czterdzieści minut krytykował współczesnych dramaturgów. Żona Christophera siedziała przy stole zastygła jak posąg, czasem tylko podnosiła się, żeby przynieść więcej szarlotki, kolejny dzban soku, serwetki do wytarcia ust, jakieś owoce. Nie zostało w niej śladu po kobiecie, którą tak niedawno spotkaliśmy przed koncertem w Royal Albert Hall, jak z uśmiechem głaskała swój wydatny brzuch. Nim zdążyłam się do niej odezwać, z głębi domu dobiegł nas dźwięk *Marsza tureckiego* Mozarta. Christopher zerwał się z krzesła i z przekleństwem na ustach (po drodze potknął się o zabawkę) popędził do środka. Po chwili zobaczyliśmy go, jak zrelaksowany, uśmiechnięty rozmawiał przez telefon. Wzrok Sylvii utonął w szybie ponad naszymi głowami. „To z nią rozmawia” – odezwała się drżącym głosem.

Przypominałam sobie, jak cztery miesiące temu postanowiłyśmy razem poczekać na koniec przedstawienia w niewielkiej kawiarni przy St. Martin's Lane. Chciałyśmy uniknąć tłumów gromadzących się przed wejściem do teatru po ostatniej premierze. „Tu zobaczyłam go po raz pierwszy”, „Tu spotkaliśmy się przypadkiem w hotelowej kawiarni. Przegadaliśmy wtedy całą noc” – opowiadała, pokazując zdjęcia odebrane przed chwilą od fotografa na rogu.

Nie zapytaliśmy, kim była tajemnicza ona, bo u Christophera one zmieniały się ciągle, w sposób dla nikogo niezrozumiały. Każda z nich miała własne pięć minut w jego życiu i łóżku, a następnego dnia nawet ich nie pamiętał. Sylvia za to pamiętała je wszystkie. Pamiętała nieprzespane noce, kiedy mąż wsiadał w samochód, bo musiał gdzieś „pilnie wyjechać”, rzucanie słuchawką, jeśli w telefonie rozległ się jej głos, każdą wyciągniętą z koperty sztukę bielizny przysланą jej mężowi, rachunki od jubilera za prezenty przeznaczone dla innych kobiet. Znała też imiona, które Christopher wypowiadał przez sen w te nieliczne noce, kiedy zostawał w domu.

Patrzyłam wtedy na nich tak, jakbym oglądała film wyświetlany na kinowym ekranie, zapewne bez happy endu. Zastanawiałam się, kim będą za parę lat, co stanie się z tym domem, ogrodem, dzieckiem, skazanym na to, by pewnego dnia zrozumieć przebieg wydarzeń. Teraz widziałam ich oboje, jak siedzą przy stole: smutna kobieta z cieniem pod oczami i on, z przerzedzonymi włosami, przepity, pocący się, zapewne przesiąknięty perfumami jakiejś przekwitłej piękności. Obraz odpłynął gdzieś, kiedy mnie zawołałeś.

Leżeliśmy w ciemności, nic do siebie nie mówiąc, zapatrzeni w poprzeczne pęknięcia na suficie i kołysani miarowym tykaniem zegara z tarczą ozdobioną napisem *La pendule qui sonne de rythme a la vie. Zegar, który wybija rytm życia*. Między nami był ten rodzaj ciszy, w której nawet błędzące po ścianach promienie księżyca nabierały symbolicznego znaczenia. Zasypiałam już, kiedy powtórzyłeś szeptem, może nawet bardziej do siebie niż do mnie, że każdy z nas jest opowieścią-mikrokosmosem. Twoje słowa zabrzmiały wówczas jak początek bajki na dobranoc. Kazałeś mi zapomnieć o podłogi, pustce, rozwianych złudzeniach, o domach ze smutkiem zaklętym w ścianach i podłogach, o mieszkańcach tych domów, noszących tysiące twarzy, wśród których nie sposób rozpoznać tę prawdziwą. „Wszyscy przypominamy książki” – tłumaczyłeś. „Niektóre czyta się z zainteresowaniem, a potem wciąż do nich wraca, inne natomiast odstawia się na półkę po przereczeniu kilku pierwszych stron. Są wśród nich również takie, które nie pozwalają czytającemu oderwać się nawet na chwilę, zabierają go w podróż do świata wyobrażeń i sprawiają, że chce w nim zamieszkać. Książki nie do zapomnienia, zostawiające po sobie wieczny ślad. Człowieka, podobnie jak książkę, można ominąć, zamknąć albo otworzyć ponownie, kiedy nadejdzie odpowiedni czas. To ty decydujesz, jaki tytuł chcesz wziąć do rąk, wybierasz go w taki sam sposób, w jaki wybiera się cel podróży, na początku znając jedynie jego nazwę i położenie na mapie. Każdy z nas jest historią, czymś, co opowiada się samo, jak perpetuum mobile zbudowane ze słów. Wciąż powstają nowe fragmenty, opowieść zmienia się, rozwija w nieskończoność, ewoluuje w sobie tylko znanym kierunku”.

Jak zwykle pozwoliłam, żeby Twój głos zaniósł mnie w nieznanne. Cofałam się w czasie, potem znowu płynęłam naprzód, zatrzymując się w miejscach, które wydawały mi się najważniejsze, jakbym kadr po kadrze oglądała własną opowieść. Miałam wrażenie, że unoszę się na latającym dywanie pośród nocy, z daleka dostrzegając wieże kościołów, rzęsiście oświetlone miasta, błękitne światła trakcji kolejowych. Wśród budynków nie udało mi się zobaczyć ani żywej duszy. Chwilami podlatywałam bliżej, zaglądając do okien, ale mieszkania, podobnie jak ulice, też były puste. Tu i ówdzie na stołach czekała gorąca kolacja, ale większość wyglądała tak, jakby ludzie opuścili je w pośpiechu, roztrącając po drodze krzesła i nie dbając o porzucane bezładnie przedmioty, brzęczący telewizor, szumiące radio czy włączoną pralkę. Z opustoszałych kawiarni dobiegała muzyka i dźwięki maszyn do gry. Niezależnie od tego, dokąd docierałam w tej dziwnej nocnej podróży, wciąż słyszałam Twój głos. Prowadził mnie po krainie, w której z niewiadomych przyczyn nagle zamarło życie. Nie miałam pewności, czy w mijanych miastach naprawdę mieszkali ludzie, czy może inne istoty zrodzone z wyobraźni. Na półkach i komodach stały fotografie, zbyt jednak daleko, bym mogła zorientować się, kogo przedstawiają.

Leciałam dalej. Otoczenie zmieniało się z minuty na minutę, latarnie świeciły słabiej, niebo pociemniało, aż nagle w dole błysnęło coś, co okazało się dużym, ciężkim kluczem, świecącym takim samym światłem jak niegdyś książka w gabinecie ojca. Dywan obniżył lot. Zeskoczyłam z niego i po chwili ów przedmiot leżał już w mojej dłoni. Nie wiedziałam, gdzie jestem ani dokąd powinnam się udać, poszłam więc przed siebie wąską uliczką, mijając po drodze restauracje, nieczynne galerie i sklepy z pamiątkami. Od czasu do czasu niepewnie rozglądałam się dookoła, aż mój wzrok padł na staromodną, granatową tabliczkę z napisem *Rue Danton*. Intuicja, przecucie, a może Twój głos podpowiadał mi, że jestem w Paryżu, choć otoczenie różniło się od tego ruchliwego, głośnego miasta, które znałam. Na chodnikach paliły się lampy gazowe, nigdzie nie było neonów, ulicznych świateł, przystanków autobusowych. Znikły budki telefoniczne i bary z szybkim jedzeniem. Szłam dalej. Spoczywający w mojej dłoni klucz wciąż jarzył się ciepłym blaskiem i oświetlał mi drogę niczym pochodnia. Skręciłam w Rue Suger, potem w Rue de l'Éperon. Moim oczom ukazywały się kolorowe drzwi prowadzące w głąb tajemniczych, uszpionych kamienic, podwórek i przesmyków. Czerwone, fioletowe, błękitne, złote i zielone, z płaskorzeźbami lub zupełnie gładkie, zdawały się przemawiać do mnie w niezrozumiałym języku, ale żadnych nie mogłam otworzyć trzymanym w rękę kluczem.

Zaczął padać śnieg. Na moich włosach i ubraniu osiadały drobne, pomarańczowe płatki. Nie rozpuszczały się. Próbowałam je strząsnąć, a wtedy spostrzegłam, że mam na sobie zimowy płaszcz z futrzanym kołnierzem, czapkę i ciepłe buty. Zaraz potem pomnik francuskiego malarza stojący na środku niewielkiego placu uśmiechnął się i pomachał do mnie. Wciąż szłam dalej, aż znalazłam się na Rue Saint André Des Arts i poczułam, że właśnie tu powinnam się zatrzymać. Zrobiłam to, w ostatniej chwili unikając potknięcia o pozytywkę pozostawioną przez kogoś na pustej ulicy. Porcelanowa figurka arabskiej tancerki w szmaragdowej sukni, z włosami przykrytymi woalem, obracała się w takt metalicznie brzmiącej muzyki. Przyklękłam, żeby popatrzeć z bliska, lecz zamiast niej dostrzegłam samą siebie, wirującą jak tureccy derwisze. Nagle rozległ się huk, pozytywka rozpadła się na zwęglone kawałki, a z jej wnętrza wydostała się mglista postać i wniknęła w ścianę. Mur zatrzęsł się, zachwiało, odsłaniając łukowate drzwi z ciężką kołatką w kształcie dłoni. Środek zdobyły gwiazdy i półksiężycy, przy brzegach natomiast biegł ornament do złudzenia przypominający okładkę książki. Po otwarciu prędkiej spodziewałam się zobaczyć za nimi gęsto zapisane stronicie niż sekretną komnatę. Zdążyłam jeszcze dostrzec, że w drewnie wyryto basmalę, choć czas nie obzedł się z nią łaskawie. Klucz zaczął parzyć mi skórę. Włożyłam go więc do zamka, ale mimo że do niego pasował, nie pozwalał przekręcić się w żadną ze stron, a po chwili zgasł i stał się podobny do zwyczajnych kluczy. Nim zdążyłam wykonać jakikolwiek ruch, latający dywan porwał mnie znów do góry, leciałam jednak na tyle nisko, że mogłam zobaczyć odbijające się w rzece światła miasta, pograżoną w zadumie katedrę Notre Dame, Pałac Inwalidów i Luwr, przyklejony do brzegów Sekwany. W oddali zauważyłam wieżę Eiffla i niedokończoną jeszcze bazylikę Sacré-Cœur, po bulwarze Saint-Germain mknęły za to dorożki. Poszybowaaliśmy wyżej, w stronę Montmartre z placem du Tertre, pełnym porostawianych sztalug i porzuczanych wszędzie palet z far-

bami. Pędzle same malowały obrazy, biegając po płótnie w górę i w dół. Przedemną błyskawicznie pojawiały się pejzaże, kamienne fontanny, z których tryskała prawdziwa woda, portrety upudrowanych dam, zalotnie mrużących oczy. Na jednym z płócien postać chudego mężczyzny z blizną po cięciu nożem chowała się w ciemnej bramie. Mocny podmuch wiatru sprawił, że dywan zatańczył w powietrzu, a miasto znikło w tumanach złocistego kurzu, który przypominał piasek wyspany z przypadkiem rozbitej klepsydry. Złote cząsteczki unosiły się w powietrzu, wpadały do nosa i ust, jakbym nagle trafiła w środek burzy piaskowej.

Niespodziewanie zmorzył mnie sen. Kiedy się obudziłam, niebo nosiło na sobie ślady odchodzącej nocy, a spod skłębionych granatowych chmur przeświecały pojedyncze promienie wschodzącego słońca. W oddali ginęło morze, na pierwszym planie rozciągało się uśpione miasto. Poznałam, że to Londyn, po kopule katedry św. Pawła i znajdującym się nieopodal Tower Bridge. Kiedy mijalam Marble Arch, na ulice wyległy pierwsze taksówki i autobusy. W pobliskim Speaker's Corner dostrzegłam grupkę bezdomnych i przemawiającego do nich brodatego hipisa. Po chwili dotarłam na Portobello Road, gdzie rozstawiano właśnie pierwsze stragany, pomiędzy którymi chudy Hindus ciągnął dwukólkę pełną cytryn i pomarańczy. Z daleka zobaczyłam nasz dom z zarośniętym ogrodem. Zeskoczyłam z dywanu tuż pod drzwiami, a on zamienił się w ptaka i odleciał w sobie tylko znanym kierunku. W rękę nadal trzymałam klucz. Pod wpływem impulsu, a może z ciekawości, włożyłam go do zamka, wiedząc, że nie powinien pasować. Błysnęło. Metal zachrząścił, westchnął, jak ktoś zmęczony trudami życia, i drzwi ustąpiły. Po cichu weszłam do sypialni i znalazłam Cię pogrążonego we śnie. Przy łóżku jak zwykle leżała otwarta książka. Stałam tak, patrząc na Ciebie, a minuty mijały. Miałeś spokojną twarz kogoś, kto jest blisko i daleko zarazem, w jakiejś odległej krainie snu. Na sąsiedniej posesji ktoś słuchał Edith Piaf, jej głos wpadał do środka przez otwarte okno, śpiewając po francusku *Ne me quitte pas*.

Każdy z nas mógł być opowieścią-mikrokosmosem, ale moją opowieścią byłeś Ty. Czytałam o Tobie w książkach, w gazetach, na teatralnych afiszach i sklepowych szyldach, rozpoznawałam Cię w twarzach ulicznych handlarzy, w numerach autobusów. Wszędzie, nawet na ulotkach reklamowych zostawianych w skrzynce na listy, znajdowałam słowa symbole, coś, co miało mi o Tobie przypomnieć. Dokądkolwiek nie zaprowadziłaby mnie rzeczywistość, wyobraźnia lub sny, zawsze wracałam do Ciebie, tak jakby na świecie nie było już nic poza Tobą.

Rano obudziłam się nie do końca. Wisiałam na krawędzi snu, przypominając sobie nocne wydarzenia. Na dworze wciąż było ciemno, o szyby bębnił deszcz. Z kuchni dobiegał odgłos krojenia i jakaś egzotyczna melodia, a także zapach przypalanej papryki. Rozpoznawałam Cię w płątaniu dźwięków: teraz stoisz przy zlewie, odkręcasz wodę, zapalasz gaz. Mieszasz. Tłuczysz metalową pokrywką o krawędź garnka. Stajesz pod drzwiami sypialni i myślisz, co zrobić. Chciałam, żebyś wreszcie wszedł do pokoju. Jak zwykle udawałabym, że śpię, a potem wyskoczyłabym spod kołdry ze śmiechem i powiedziała: „Wiesz, dziś niebo znów miało Twoją twarz. Ależ było paskudne”. W odpowiedzi zapewne rzuciłbyś we mnie poduszką albo gonił po domu, ślizgając się na podłodze. Tymczasem byłeś tak cholernie daleko, o całe dwanaście i siedem dziesiątych metra ode mnie. „Wejdz. No już” – powiedziałam do Ciebie w myślach i nie zdziwiłam się, kiedy po minucie zjawiłeś się w progu, rzuciłeś mi szlafrok i zaciągnąłeś do stołu w kuchni. Zajadaliśmy się chrupiącym pieczywem, tuńczykiem, sałatką z grillowanych warzyw i migdałami prażonymi w chilli. Znów pojawił się temat opowieści. W lokalnej rozgłośni radiowej toczyła się dyskusja o problemach językowych dzieci emigrantów. Słuchając o błędach w pisowni, podwójnym znaczeniu słów, gubionych przy czytaniu literach, przecinkach i kropkach, doznaliśmy olśnienia. Zrozumieliśmy, że najciekawsze historie znajdują się tutaj, w Londynie. Pod naszymi oknami jakiś człowiek taszczył wielką walizę. W pewnym momencie zamek odskoczył i na ulicę wysypały się dziesiątki ubrań: sprane dżinsy, brązowy sweter z łątami na rękawach, białe koszule, kamizelka bez jednego guzika, czarny but, splątane ze sobą krawaty i skórzane paski. Przyglądaliśmy się, jak mężczyzna zbierał to wszystko bezradnie i byle jak upychał z powrotem. Ta scena symbolizowała los wszystkich emigrantów, którzy w Londynie zamierzali rozpocząć nowe życie. Oprócz mebli, rodzinnych pamiątek, bagaży i rozmaitych pakunków zazwyczaj zabierali w podróż także opowieści, które miały zaginać, jeśli nie zostaną nikomu opowiedziane.

„Zabiorę cię w podróż po wyobraźni” – powiedziałeś, używając tego swojego staromodnego tonu, który nazywałam dworskim lub teatralnym. „Weźmiemy ze sobą kilka najpotrzebniejszych rzeczy, parę kartek papieru, ołówki i uśmiech, którym otwiera się każde drzwi łatwiej niż kluczem. Daj rękę, pozwól się poprowadzić”.

Lubiłam, kiedy przemawiałeś do mnie językiem baśni, a ja mogłam owinąć się słowami jak ciepłym szalem w chłodny, deszczowy dzień.

„Różnica między książką a opowieścią – ciągnąłeś – polega na tym, że książka jest czymś skończonym, zamkniętym i dokonanym, a podawana z ust do ust opowieść nie zna ograniczeń. Obu trudno byłoby istnieć bez siebie nawzajem, ale to książka nadaje ostateczny kształt opowieści i zapewnia jej stałe miejsce w ludzkiej pamięci. Opowieść traci wolność z chwilą, w której zostanie spisana, zyskując w zamian życie wieczne”.

Postanowiliśmy wtedy, że będziemy szukać historii wśród mieszkających w Londynie emigrantów, artystów, nędzarzy, ulicznych kloszardów. Z rozmów podsłuchanych wszędzie tam, gdzie ludzie uciekają od codzienności w świat marzeń i snów, w kawiarniach, na ulicach, w burdelach, stworzymy opowieść o tych, którzy przywieźli tu swoją odmienność, wspomnienia i przeszłość, zbyt cenną, by pozwolić jej zniknąć w mrokach niepamięci. Zamierzaliśmy poprosić ich, żeby pozwolili nam wnikać we własną wyobraźnię, wpuścili nas do środka, pozwolili zwiedzić ją tak, jak zwiedza się najszlachetniejsze muzea i galerie sztuki.

Przyniosłeś z gabinetu lekko sfatygowaną mapę Londynu, podobną do tych rozkładanych na stacjach metra dla zagranicznych turystów. Fioletowym flamastrem zaznaczaliśmy na niej dzielnice Arabów, Hindusów, Afrykańczyków. Przy każdej umieszczaliśmy nazwę kraju, tak jakbyśmy próbowali ułożyć plan dalekiej podróży: Turcja – Syria – Iran – Pakistan – Indie – Bangladesz – Egipt – Algieria – Maroko.

Dni zaczęły biec w dzikim, szalonym pędzie. Nadal zaglądałam do instytutu przy Russell Square, londyńskich bibliotek i El Khimy, gdzie rozmawiałam z wiecznie uśmiechniętym mu`allimem Mustafą, zawsze gotowym częstować miętową herbatą i ciastkami mamul, ale zapominałam o tym zaraz po wyjściu na zewnątrz. Ty również wydawałeś się żyć jak dotychczas, występując na St. Martin's Lane i przygotowując słuchowiska dla londyńskich rozgłośni radiowych, w domu jednak piętrzył się stos niewykorzystanych biletów lotniczych, pokazujący, że z ważnego powodu zaniechałeś dalekich podróży. Niepostrzeżenie dokonała się w nas dziwna przemiana, widzieliśmy to, choć na początku nie potrafiliśmy znaleźć jej źródła. Pewnego dnia w końcu zrozumieliśmy, że miasto rzuciło na nas zaklęcie. Odkąd postanowiliśmy spisywać londyńskie opowieści, przywoływało nas, wabiło w głąb siebie, kazało zanurzać się w jego przestrzeń jak w morskie odmęty, aż odrzuciliśmy wszelkie mapy, projekty i plany, po to, żeby móc mu całkowicie zaufać i dać się prowadzić. Zaczęły nam się śnić numery autobusów, w które należało wsiąść, ulice, nazwiska nieznanymi ludzi, czasem jakiś szczegół ich twarzy, wydatny nos, podwójny podbródek, proteza lewej nogi. Wkrótce wyśnione postacie stawały na naszej drodze. Widywaliśmy w snach także ruiny domów, zdziczałe ogrody, puste magazyny, hale produkcyjne, budynki teatrów albo kabaretów, których świetność dawno przeminęła, pozostawiając po sobie okna zabite deskami, spróchniałą podłogę i porzucone na niej resztki wypłowiałych kostiumów. W niedługim czasie trafialiśmy tam, niby przez przypadek, po to, by ze zdziwieniem zauważyć w środku ledwie dostrzegalne oznaki życia: słaby płomień lampy naftowej, brudny dym z komina, najpierw szary, za chwilę czerwony, i czyjeś czujne oczy śledzące nas zza pękniętej szyby.

Oprócz tych wypraw dzieliliśmy ze sobą również sny. Byliśmy w nich zawsze tak samo ubrani, Ty w czarnym płaszczu ze złotym ornamentem, ja w żółtej sukience i szalu zarzuconym nie dbale na ramiona. Zdarzały się takie noce, kiedy budziliśmy się nagle po to, żeby nasze oczy mogły spotkać się ze sobą w ciemności, przejrzeć w sobie jak w lustrze, a ręce odszukać się gdzieś na prześcieradle. Ludzka mowa nie była nam wówczas potrzebna.

Niekiedy miasto płatało nam figle, każąc niemal w biegu wysiadać z autobusu na widok kamienicy – zjawy ze snu, którą ujrzelśmy w ostatnim momencie, już po odjeździe z przystanku. Muśniliśmy wtedy skakać w czarną, zakurzoną i brudną toń ulicy, pełną niedopałków, papierków po gumie do żucia, nieważnych kart przejazdowych i różnych rzeczy wyrzucanych z kieszeni przez



przypadkowych przechodniów. Kiedy indziej te same ulice zdawały się występować z brzegów jak jakaś złowroga, śmiertcionośna fala i gonić nas, dopóki nie znaleźliśmy się tam, gdzie schowała się kolejna historia, którą powinniśmy spisać.

Tak właśnie trafiliśmy w okolice Green Lane i Finsbury Park. Po długim biegu zatrzymaliśmy się nagle w jednym z zaułków, zdyszani, zdezorientowani, jak para zagubionych turystów. Zewsząd otaczały nas dwupiętrowe budynki z brunatnej cegły, osmalone gdzieś dymem z rur wydechowych i fabrycznych kominów. Na parterze mieściły się zwykle zakłady szewskie albo krawieckie, pralnie chemiczne, tawerny o nazwach wypisanych cyrylicą oraz kawiarnie pełne papierosowego dymu i podejrzanych klientów. Odprowadzani przez ciekawskie spojrzenia mężczyzn przesiadujących przed domami na rozklekotanych krzesłach z giętego drewna, w końcu natrafiliśmy na sklep spożywczy Hasana Abu Zajda, wciśnięty między kafejkę internetową a sex shop. *Hasan's Grocery Store*, nazwa na szybie, została ułożona z żółtych samoprzylepnych liter, z których część już odpadła i przechodnie musieli się domyślać, co kryje wewnątrz niewielkiego, ciemnego lokalu, oświetlonego brudną, nagą żarówką. Duże ilości arbuźów i przejrzałych melonów, z których sączył się słodki, lepki sok, wabiąc chmary owadów, z pewnością nie ułatwiały rozwiązania zagadki.

Otwarcu drzwi towarzyszył głośny dźwięk dzwonka. Przestraszyłam się go, ale już w następnej chwili zaczęłam z ciekawością rozglądać się dookoła. Wszędzie panował bałagan, zapewne zaskakujący dla londyńczyków robiących zakupy w centrach handlowych i supermarketach, gdzie posadzki lśniły czystością, a każdy towar miał wyznaczone miejsce. Tu półki, byle jak sklecone z desek i metalowych listew, świeciły pustkami, na podłodze za to trudno było znaleźć kawałek wolnej przestrzeni. W plastikowych skrzynkach leżały grejpfruty, pomarańcze, brzoskwinie, świeże figi, kiwi i ananasy, obok nich w brezentowych workach stały groch, fasola, mąka z ciecierzycy, kukus i kasza burgul. Z różowej i żółtej cebuli, okry, ziemniaków, ostrej strączkowej papryki i pomidorów usypano stosy na nierównych kwadratach kolorowej ceraty. Niektóre warzywa wytaczały się na nieliczne wąskie ścieżki, wprost pod stopy niczego nieświadomych klientów. Hasan Abu Zajd z papierosem w zębach siedział za kontuarem na trójnogim stołku. W jednej ręce trzymał metalową łopatkę, drugą majstrował przy zdezelowanym odbiorniku radiowym, nadającym właśnie koncert Umm Kulsum, której głos z trudem przebijał się przez syki i trzaski. Przed naszym przyjściem sklepikarz zapewne zajmował się przesypywaniem świeżo zmielonej kawy do papierowych torebek i odważaniem ich na zardzewiałej sklepowej wadze, gdyż jego przybrudzoną kremową dzellabę pokrywały charakterystyczne brązowe drobinki. Na twarzy miał zmarszczki głębokie jak wyrwy po trzęsieniu ziemi, oczy za to patrzyły odważnie, z niezwykłą wręcz przenikliwością, i nie wyglądały jak oczy starca.

Abu Zajd przywitał się z Tobą jak ze starym znajomym, a potem przyniósł z zaplecza dwa plastikowe krzesła, przy okazji potrącając metalową miskę z pęczkami zielonej pietruszki. Jeszcze nie rozsiedliśmy się na dobre, kiedy dzwonek przy drzwiach swym brzęczeniem obwieścił przybycie klientów. Do sklepu wszedł młody mężczyzna w idealnie skrojonym szarym garniturze, zdjął z gwoźdźca plastikową siatkę i zaczął wkładać do niej pomarańcze. Przyjrzałam im się wcześniej, gdyż wydały się lekko nadpsute i poobijane, ale – rzecz dziwna – w ręku kupującego nabierały świeżego, zdrowego wyglądu, jakby niedawno zerwano je z drzewa. Hasan Abu Zajd przyjął zapłatę, życzył zdrowia rodzinie klienta, a kiedy ten opuścił sklep, wyjaśnił nam, że to Halid Sallami, dyrektor pobliskiego biura analiz finansowych.

– Od dawna opiekuje się matką, która dostała wylewu wiele lat temu – opowiadał, nie szczędząc słów podziwu.

Nim zdążyliśmy o cokolwiek zapytać, w sklepie pojawiła się dwudziestoparolatka z głową szczelnie okrytą liliowym hidżabem. Przystanęła obok skrzyni z bananami, wybrała sześć najdrodziejszych sztuk, po czym ruszyła w stronę kontuaru. Nie uszła jednak więcej niż parę kroków, gdy owoce zbrązowiały, a miąższ wypłynął z nich i z głośnym plaśnięciem spadł jej wprost na buty. Zdezorientowana dziewczyna wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną, nerwowymi ruchami wyczyściła zabrudzone obuwie i z ponurym wyrazem twarzy opuściła sklep.

– Nic wielkiego – uśmiechnął się do nas Abu Zajd. – Oto jak się kończy obmawianie sąsiadów.

Siedziałam tak obok Ciebie jeszcze długie minuty, a z ulicy wciąż napływali klienci. Za każdym razem wybrane przez nich towary ulegały tajemniczej przemianie. Miałam wrażenie, że to przywidzenia albo kuglarskie sztuczki, gdy arbuzy raz wędły, rozpadały się albo strzelały pestkami na wszystkie strony, innym razem natomiast rosły, nabierały kolorów, a pęknięcia i skazy znikwały z ich powierzchni jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Niektórzy napełniali kosze bez przeszkód, wiele osób jednak uciekało z krzykiem i grymasem obrzydzenia na twarzy, gdy z kuskusu lub kaszy burgul wpełzały robaki, warzywagniły, a soczyste i świeże owoce w jednej sekundzie pokrywały się pleśnią.

– Jak pan możesz sprzedawać ludziom takie gówno? – darł się wniebogłose siwiejący mężczyzna w średnim wieku, trzymając w ręku chleb, w którym roiło się od karaluchów.

Hasan Abu Zajd uśmiechnął się w odpowiedzi i położywszy prawą dłoń na sercu, złożył lekki ukłon. To jeszcze bardziej rozsierdziło jegomościa.

– A żebyś się pan udławił tym swoim świństwem! – zlorzeczył na całe gardło, po czym rzucał felearnym bochenkiem w sklepikarza.

Ten pochwyił chleb zdecydowanym ruchem i spojrzał uważnie na niedoszedłego klienta. Oczy mężczyzny zrobiły się okrągłe, a głos ze zdziwienia uwiązł mu w gardle, gdy zobaczył, że Abu Zajd trzyma w dłoniach dobrze wypieczony, chrupiący bochen. Po robactwie nie zostało już śladu. Nie przestając patrzeć na awanturnika, właściciel sklepu zaczął odrywać spore kawałki i jeden po drugim pakować sobie do ust. Kiedy skończył jeść, strzepnął okruchy z wąsów i upewniwszy się, że wszyscy zgromadzeni go słyszą, powiedział:

– Widzisz pan? Co w duszy, to w ręku.

Przeżony mężczyzna wybiegł na ulicę, niemal przewracając w drzwiach dwie kobiety ubrane w kosztowne czarne abaje. Na głowach miały ciemne chusty wyszywane srebrzystą jedwabną nicią, a wokół nich unosił się zapach drogich perfum z Bahrajnu. Starsza patrzyła przed siebie dumnie i wyzywająco, młodsza stała obok ze wzrokiem wbitym w ziemię, w pozie służącej, która oczekuje na rozkaz. Pomyśleliśmy, że może być ubogą krewną żyjącą na łasce rodziny, wyrwaną z biednej wioski w jakimś dalekim kraju. Do tego obrazka nie pasowały tylko jej dłonie, delikatne, pozbawione śladów ciężkiej pracy. Zwróciliśmy na nie uwagę, dlatego że nastolatka trzymała przed sobą foliowe torby i parę owiniętych sznurkiem pakunków.

Pierwsza z kobiet zaczęła z dezaprobatą rozglądać się po sklepie, najwyraźniej nieprzyzwyczajona do robienia zakupów w takich miejscach. Z podejrzliwością lustrowała zawartość skrzynek, pudełek, worków, naddartych toreb, szklanych słoików i plastikowych wiader, nie dowierzając, że towary nadają się do jedzenia. Nie zdążyła nic wybrać, gdy drzwi warzywniaka znów się otworzyły i stanęła w nich młoda dziewczyna. Na progu zawahała się jednak, gotowa zawrócić i odejść. Stała tak, a słońce, któremu nieczęsto zdarzało się gościć na londyńskim niebie, niespodziewanie wyszło zza chmur i pojawiło się tuż za jej plecami, opromieniając całą postać. Wysoka i szczupła, z czarnymi włosami opadającymi wzdłuż ramion niemal do pasa, w tym świetle wyglądała jak bohaterka disneyowskiej kreskówki. Na ulicy ktoś krzyknął, co sprawiło, że wreszcie podjęła decyzję i weszła do środka. Już ze sklepu pomachała uśmiechniętemu od ucha do ucha mężczyźnie w błękitnym turbanie. Patrzyłam na jej zgrabną sylwetkę i lekko zadarty nos z lekkim ukłuciem zazdrości. Czar jednak nieco prysł, kiedy nieznajoma zbliżyła się do nas, odstawiła na podłogę dużą, wypchaną torbę i zdjęła z głowy podróbkę okularów słonecznych Gucciego. Dopiero wtedy, w blasku nagiej żarówki, zwróciłam uwagę na jej wyzywająco skąpy strój: za krótkie błyszczące granatowe spodenki i skórzany gorset mocno zasznurowany na piersiach. Nie była też tak wysoka, jak wydawało mi się na początku, zmyliły mnie buty na kilkunastocentymetrowych koturnach. Spojrzała na nas bez zainteresowania, wzięła ze skrzynki jabłko, usiadła na worku z grochem i ugryzła kęs.

– Widzisz, tak wygląda dziwka. Przypatrz się dobrze – powiedziała zbyt głośno starsza kobieta i szturchnęła swą towarzyszkę, której twarz w jednej chwili oblała się szkarłatem.

– Mamo! – próbowała protestować tamta słabym głosem.

– Nie dyskutuj. Jeśli nie będziesz mnie słuchać, skończysz tak samo jak ten wycieruch – przerwała stanowczo matka i wymierzyła córce siarczysty policzek, a potem, z wrogością i pogardą przywołaną na twarz, splunęła pod nogi obcej dziewczynie. – *Szarmuta!* – syknęła, kierując się do

wyjścia.

Prostytutka tymczasem siedziała na worku z niewzruszoną miną i kończyła jeść jabłko.

Patrzyliśmy na tę scenę bez słowa, niezdolni do żadnej reakcji, i pewnie dlatego nie zwróciliśmy uwagi na dziwny szelest dobiegający gdzieś z tyłu sklepu. Po kilku minutach, wciąż wypełnionych ciszą, dźwięk ów zmienił się w szuranie, najpierw ledwie słyszalne, lecz stopniowo przybierające na sile, odwróciliśmy się jednak dopiero na brzęk tłuczonego szkła. Po podłodze z sykem sunęła żmija nienaturalnej wielkości. Jej skóra mieniła się różnymi odcieniami zieleni i fioletu, ametystowe oczy lśniły złowrogo. Gad prześliznął się między stłoczonymi workami z mąką i skierował ku kłótlivej Arabce, która wciąż, nie wiadomo dlaczego, stała przy drzwiach. Ta najpierw zastygła z przerażenia, a odzyskawszy władzę w nogach, natychmiast rzuciła się do ucieczki. Wrzeszcząc i potykając się o długą abaję, biegła chodnikiem, a żmija goniła ją zapamiętałe. Obserwowaliśmy ten pościg, dopóki czarna figurka nie znikła za rogiem.

– Świętoszkowata wiedźma! Takie są zawsze najgorsze. Modli się pięć razy dziennie, pości, rozdaje jałmużnę, biega do meczetu, w głowie za to zgnilizna, jakich mało – mrucał pod nosem Hasan Abu Zajd.

– Skąd pan tyle o niej wie? – zapytałam.

– Tak już jest, że kiedy ktoś przychodzi do sklepu, jego myśli przestają być dla mnie tajemnicą – odparł i na jego twarzy znów pojawił się uśmiech. – Nie, nie – dodał, uprzedzając kolejne pytanie – nie potrafię ich czytać jak wiadomości w gazecie, rozpoznaję tylko odbijające się w oczach uczucia, wrażenia, przebliski minionych wydarzeń, wszystko, co powoduje, że moje towary zachowują się w taki, a nie inny sposób. Każda myśl ma swój kolor, a kolory te tworzą coś na kształt aury wokół naszych postaci.

Wskazałam wzrokiem na zamknięte drzwi sklepu i zapytałam o kobietę, która uciekła przed żmiją. Abu Zajd długo szukał właściwych słów, a potem powiedział powoli:

– Tamta kobieta jest wstrętną, złośliwą jędzą, która terroryzuje całą swoją rodzinę. Udaje pobożną, lepszą od innych, każdemu potrafi coś wytknąć, a córkę urodziła pół roku po ślubie. Strach myśleć, co by się wydarzyło, gdyby ten nieszczęśnik, jej mąż, nie zechciał się z nią ożenić, choć zapewne lepiej by zrobił, biorąc ślub z afgańskim terrorystą. Dobrze, że niczego tutaj nie dotykała, bo nie zdążylibyśmy po niej posprzątać do przyszłorocznego święta 'Id al-Adha.

Pochłonięci rozmową, zdążyliśmy zapomnieć o sprawczyni zamieszania. Milcząca dziewczyna tymczasem skończyła drugie jabłko i podniosła się z worka. Kilkoma szybkimi ruchami wytrzepała spodnie, zabrała z podłogi torbę i znikła na tyłach sklepu. Odchodząc, pomachała nam tak, jak przedtem mężczyźni w turbanie.

– To moja córka Zajnab – zaśmiał się sprzedawca i wyjaśnił: – Wydział do walki z narkotykami. Od paru miesięcy rozpracowują alfonsów dilerów. Ja tam ją wolę w mundurze.

Niczego więcej się nie dowiedzieliśmy, bo w warzywniaku znów zjawili się ludzie. Byłam tak zafascynowana sklepikarzem, że miałam ochotę zasypać go pytaniami, na razie jednak zajął się odważaniem mąki, grochu i czerwonej fasoli dla swoich klientów. Poszedłeś mu pomóc, a ja dopiero wtedy zauważyłam, że brudne ściany sklepu z luszczącą się farbą do połowy pokryte są ceramiką ułożoną w różnobarwne, symetryczne figury, jak w kalejdoskopie. Dostrzegłam też wiszącą obok wejścia oprawioną w ramy basmalę, którą czyjaś zręczna dłoń wyhaftowała złotą nicią, oraz mocno nadgryzioną zębem czasu fotografię mężczyzny w tarbuszu, stojącego za ladą cukierni. Im dłużej przebywałam w magicznym sklepie, tym bardziej intrygowały mnie jego losy. Ty natomiast nie wydawałeś się ani trochę zaskoczony tym wszystkim, co się działo wokół nas, i tylko utwierdziłam się w przekonaniu, że już kiedyś tam byłeś.

Gdy Abu Zajd wrócił do nas, zapytałam, jak to się stało, że handluje tak niecodziennym towarem.

– To długa historia. Opowiem wam, ale nie tutaj, bo ktoś by nam zaraz przeszkodził – powiedział i gwałtownie odwrócił się w naszą stronę.

Dał znak, żebyśmy poszli za nim, i skinął na swego pomocnika, pryszczatego wyrostka, który przed chwilą wrócił z przerwy obiadowej, żeby go zastąpił. Chłopak błyskawicznie zajął miejsce za kontuarem, a my posłusznie podreptaliśmy za sklepikarzem do przestronnego pomiesz-

czenia, niegdyś pełniącego zapewne funkcję magazynu. Pod jedną ze ścian leżała sterta pustych kartonów i drewnianych skrzynek po mandarynkach, w rogu leżał sporych rozmiarów wypłowiały dywan, z okrągłymi śladami po węglu do fajki wodnej. Usadowiliśmy się wygodnie, spoglądając przez duże okno na zadbane patio z kwadratową fontanną ozdobioną egzotyczną mozaiką. Abu Zajd przez podwórko zawołał młodszą córkę Nurię i poprosił, żeby zrobiła herbatę, a sam zajął się rozpalaniem mocno już wysłużonej sziszy. Jego palce w jednej chwili zabarwiły się na czerwono od lepkiej, wilgotnej melasy. Upychając ją do cybucha, rozpoczął swoją opowieść, na którą czekałam z notatnikiem na kolanach.

– Wszystko zaczęło się bardzo dawno temu w Kairze. Mój prapradziadek, Ali Abu Zajd, prowadził świetnie prosperującą cukiernię nieopodal bazaru Khan al-Khalili, w jednej z tych wąskich uliczek, których mieszkańcy mogą zapukać sobie do okien, specjalnie się nie wychylając. Rzecz jasna, nigdy nie poznałem mojego prapradziadka, ale bardzo dobrze pamiętam tę naszą kairską cukiernię. Jako dziecko uwielbiałem przychodzić tam i podkraść rozmaite słodkości. Czasem udawało mi się nawet dostać rożek migdałów prażonych w karmelu albo lemoniadę, której matka w ogóle nie pozwalała pić dzieciom, przekonana, że to niezdrowy napój i przez niego wypadną nam wszystkie zęby.

Sklepiarz oddał mi na chwilę i przyniósł starą fotografię. Wytarł ją z kurzu rogiem swojej dżellaby i podał nam ostrożnie. To samo zdjęcie widziałam koło drzwi sklepu, wtedy jednak patrzyłam na nie z daleka i umknęło mi wiele szczegółów. Uwieczniony na nim mężczyzna miał pogodną, dobrotliwą twarz o ciemnej, spalonej egipskim słońcem skórze. Abu Zajd raczej nie był do niego podobny, różnicę pogłębiał też brak tarbusza, który przykrywał tamtemu resztki siwych włosów. W tle, na drewnianych stołach, stały blachy i patery z baklawą, basbusą, śmiesznymi włochatymi ciastkami kanafe, specjami z daktyli, pistacji, fig i pestek granatu. Nie wszystkie przysmaki dawały się rozpoznać wśród pęknięć, zarysowań i zniszczeń papieru. W końcu oddałam fotografię, a sklepiarz odniósł ją na swoje miejsce i opowiadał dalej:

– Tego dnia mój prapradziadek jak zwykle przebywał w cukierni i zobaczył przez okno, że na ulicy panuje jakieś zamieszanie. Wyszedł na zewnątrz, zaintrygowany, bo trwała akurat pora modlitwy, ale wydawało się, że nikt nie zamierza uczynić zadość prawu Najwyższego. Widok był niecodzienny. Właściciele okolicznych sklepów z pamiątkami i biżuterią popędzali przygarbionego staruszka, który wyglądał jak wędrowny dziad. Jego owrzodzone ciało z ledwością okrywały niemiłosiernie brudne, postrzępione łachmany. Pod nosem zastygła mu cienka strużka krwi, a strupy, blizny i zadrapania wabiły potężną chmurę much, podobnie jak bijący od niego smród, jeszcze bardziej dokuczliwy w lejącym się z nieba upale. Z tyłu, za sklepiarzami, biegła grupa rozwrzeszczanych dzieciaków z pomidorami przygotowanymi do rzutu i wściekle ujadające bezpańskie psy.

Abu Zajd mówił tak, jakby był świadkiem opisywanych wydarzeń. Stojąca u jego stóp fajka wodna zgasła, gdyż zapomniał o niej, zajęty opowieścią, tak jak my zapomnieliśmy o dyskretnie przyniesionej przez Nurię słodkiej, miętowej herbacie. Zza okna docierał do nas zapach jakiegoś aromatycznego dania i kobiecy śpiew. Od czasu do czasu próbowałam rozprostować palce, które drętwiały mi od szybkiego pisania. Nie chciałam zgubić ani jednego słowa. „Nie martw się, ja wszystko zapamiętam”, uśmiechnęłaś się, a sklepiarz mrugnął do Ciebie porozumiewawczo i na powrót zatopił się we wspomnieniach.

– Mojemu prapradziadkowi nie spodobało się to, co zobaczył. Niewiele myśląc, złapał łopatę do ciasta i zaczął przeganiać rozwścieczony tłum. Kiedy mu się wreszcie udało, wziął zebra-ka pod rękę i nie bacząc na jego wygląd ani na smród, zaprowadził do swojego domu. Kobietom polecił przygotować kąpiel i znaleźć dla przybysza nowe odzienie, nakazał też, by podano posiłek. Stał osobiście przy piecu i pilnował, żeby składał się z najlepszych potraw, jakie miał w swojej kuchni. Prapradziadek potraktował wędrownego dziada nie jak doświadczonego przez los nieszczęśnika, ale jak dostojnego gościa, którego przybycie stanowi prawdziwy zaszczyt.

– Co było dalej? – dopytywałam, prawdopodobnie ucinając długą dygresję na temat słynnej arabskiej gościnności.

Sklepiarz podrapał się po brodzie, zadowolony, że zainteresowała mnie jego opowieść.

– Gdy starzec skończył ablucje i wyszedł z łaźni w czystej, białej szacie, z idealnie przy-

strzyżoną brodą i starannie przyciętymi włosami, nikt nie potrafił rozpoznać w nim schorowanego nędzarza. Rany zablizniły się, znikły wrzody, strupy, sińce i zadrapania. Bił od niego jakiś niezmierny blask. Fryzjer i medyk, sprowadzeni tymczasem przez pomocników z cukierni, nie mieli już nic do roboty. Mój prapradziadek, osłupiały i porażony przemianą, zaprosił starca na kolację. Przeczynał, że ma do czynienia z kimś naprawdę niezwykłym. Przybysz jadł pograżony w milczeniu, a gospodarz nie ośmielił się urazić gościa natarczywymi pytaniami. Czegóż nie było na tacach wnoszonych raz za razem do salonu! Pieczona jagnięcina, warzywa z rusztu, gołąbki z ryżu w liściach winogron! Starzec posilił się i dopiero wtedy przemówił do prapradziadka. Powiedział słowa, które powtarzano tak często, że na zawsze wyryły się w mojej pamięci: „Przemierzyłem to przekłete miasto wzdłuż i wszerz, ale poza tobą, mój synu, nikt nie wyciągnął do mnie litościwej dłoni. Twoje dobre serce zostanie nagrodzone w imię Najwyższego, los będzie ci sprzyjał. Od dziś każdy, kto przestąpi próg twojej cukierni, znajdzie w niej swoją duszę odbitą jak w zwierciadle. Otrzymasz dar, który pozwoli ci zmieniać ludzi na lepsze, a kiedy opuścisz już ten ziemski padół, dar ów przejdzie na twoich synów, ci zaś przekażą go dalej. Cokolwiek by się nie działo, twojej rodziny nigdy nie dotknie ubóstwo”. Mojego prapradziadka ogarnął lęk, gdyż zrozumiał, że w progach jego domu stanął prawdziwie święty mąż. Pochylił nisko głowę w głębokim szacunku, bojąc się wymówić choćby jedno słowo. Zawsze, gdy opowiadał tę historię, zaklinał się na wszystkie świętości, że w oczach wędrowca zobaczył wszechświat.

– Nikt z pana krewnych nie próbował dociec, kim był ten człowiek? – Nie potrafiłam uwierzyć, że tylko mnie ta zagadka wydała się godna rozwiązania.

– Domyślaliśmy się tego. W tamtych czasach po Kairze kręciło się mnóstwo żebraków, wszędzie widywało się pogryzionych przez wszy i szczury nędzarzy, a także rozmaitych szaleńców, uważających się za boskich posłańców. Czasem trafił się też jakiś wędrowny mnich, należący do któregoś z sufickich bractw. W rozmowach na ten temat dochodziliśmy zawsze do zgodnego wniosku, że prapradziadek spotkał mawlawiego, na co zdawał się wskazywać jego strój i *tasbih*, z którym się nie rozstawał.

Sklepikarz przerwał, kiedy podałeś mu właśnie skończony szkic – wirującego w tańcu derwisza – i przyjrzał mu się z aprobatą. Rysunek krążył między nami, a Abu Zajd pił duszkiem herbatę, jedna szklanka po drugiej. Od długiego opowiadania z pewnością zaschło mu w ustach. Skończywszy pić, wytarł brodę w rękaw dzellaby i znów przeniósł się w przeszłość.

– Po wizycie niecodziennego gościa w cukierni prapradziadka zaczęły dziać się bardzo dziwne rzeczy. Jeśli pojawił się w niej złodziej, ciasta parzyły go tak mocno, że na skórze natychmiast wyskakiwały bolesne pęcherze. Lichwiarzom, chciwym kupcom i wyzyskiwaczom wszystko czerstwiało w dłoniach. Ci najbardziej zachłanni łamali sobie zęby na twardej jak kamień basbusie, a nawet na ciastkach z kremem, tych samych, które przed chwilą kusily wspaniałym wyglądem, ich zapach natomiast niósł się przez ulice i nie pozostawiał nikogo obojętnym. Obzartuchom słodczyce nie pozwalały podnieść się do ust, każdy prażony orzech stawał się ciężki jak ołów. Kłamcy robili zakupy bez przeszkód, ich oczy śmiały się na widok świeżej chałwy i innych przysmaków, ale gdy tylko próbowali je zjeść, stawały się niczym suszona w słońcu, ostra czerwona papryka i paliły im usta. Najgorzej mieli jednak ludzie podwójnej moralności, wszyscy ci bezbożnicy, sadyści i okrutnicy. Takiemu wystarczyło ugryźć kawałek ciasta, żeby natychmiast zaczął krztusić się z obrzydzeniem, bo roilo się w nim od robactwa. Mówię wam, co się po nich trzeba było nasprzątać wymiocin!

Abu Zajd kiwał wymownie głową, a ja skorzystałam z okazji i zapytałam, czy w Kairze można nadal odwiedzić tę cukiernię.

– Oczywiście, należy teraz do mojego brata i wciąż znajduje się w pobliżu Khan al-Khalili, z tym, że nikt nie może tam wejść, dopóki sama go nie przywoła. Tak samo zresztą – dodał sklepikarz – jak i do mojego sklepu.

Bardzo mnie to zdziwiło. Abu Zajd próbował wyjaśnić.

– Takie miejsca – tłumaczył – po prostu wzywają tych, co w głębi duszy pragną odmienić swoje życie. Jednymi należy wstrząsnąć, sprawić, że zrozumieją swą podłość, kiedy się jej przestraszą, innych trzeba przekonać, że nie są tacy źli, jak im się wydaje, pomóc pozbyć się poczucia

winy. Kairska cukiernia, mój warzywniak i pewnie jeszcze niejeden sklep albo inny przybytek przywołują do siebie ludzi gotowych na przebudzenie. Oczywiście, czasem przyplącze się też ktoś taki jak to wstrętne babsko, ale ona nie przyszła tu dla samej siebie. Chodziło o tę biedną dziewczynę, która musi wyrwać się z domu.

Nie mogłam wyjść z podziwu. Szepnęłam też, raczej do siebie niż do Abu Zajda, że nie odważyłabym się na taką próbę.

– Nie wystarczy raz czy dwa razy skłamać, umówić się na plotki lub wypowiedzieć przekleństwo, żeby zaraz coś zgniło w ręku albo splatało nieprzyjemnego figla. – Abu Zajd uniósł palec wskazujący i tłumaczył z uśmiechem: – Tym światem rządzi przecież inteligencja, skończona doskonałość boskiego rozumu. Ludzkie czyny podlegają jej ocenie, nie liczą się same w sobie.

Przytaknęłam ze zrozumieniem, patrząc na skrzynki z sałatą przynieszone przez pomocnika sklepikarza z zaparkowanej na zewnątrz furgonetki.

Abu Zajd tymczasem podszedł do jednego z kartonów, wziął pomarańczę i rzucił w moją stronę. Byłam zajęta dwójką kłócących się na ulicy przechodniów i nie zwróciłam na to uwagi. Pomarańcza leciała w naszą stronę w szalonym tempie, a ja zauważyłam ją dopiero w momencie, gdy próbowałam pochwycić owoc. On jednak zawisł w powietrzu na ułamek sekundy, sprawiając wrażenie, jakby chciał się cofnąć i wrócić do sklepikarza. Po chwili spadł i podskakując po czarnobiałej posadzce, poturlał się między wzniesione z warzyw piramidy. Miałam pewność, że to, co zobaczyłam, nie było przywidzeniem ani żadnym omamem. Spojrzałam Ci prosto w twarz, a malujący się na niej niepokój kazał mi przypuszczać, że odkryłam właśnie jakiś niechciany sekret. Szybko jednak przerwałeś niezręczne milczenie, obracając wszystko w żart. Mogłeś mówić, że pomarańcza wymknęła Ci się z rąk, że w ostatniej chwili upuściłeś ją na podłogę, że w magicznym sklepie dzieją się różne rzeczy, ale nie dałam się przekonać. Nerwowy, rozbiegany wzrok Abu Zajda upewnił mnie, że po raz pierwszy, odkąd byliśmy razem, z jakiegoś sobie tylko znanego powodu nie chciałeś powiedzieć mi prawdy.

Szliśmy obok siebie, ramię w ramię, nie odzywając się ani słowem. Nigdy dotąd nie zapadało między nami takie milczenie: pełne niedopowiedzeń, żalu i ukrytych pretensji; takie, które odbija się w sklepowych witrynach i szybach samochodów, zmuszając do obejrzenia się wstecz i powrotu do minionych wydarzeń. Na tamtej brudnej ulicy w Finsbury Park, wśród kałuż, błota i obcych ludzi zmierzających we własnym kierunku, zrozumiałam, że choć znałam niemal na pamięć każdą z Twoich myśli, niewiele o Tobie wiedziałam. Potrafiłam ze szczegółami opisać zapach poduszki, na której co wieczór kładłeś się spać, rozkład ubrań w szafie i butów w przedpokoju, przeczytane przez Ciebie gazety, umiałam wymienić Twoje ulubione zapachy, kolory i smaki, ale Twoja przeszłość pozostawała dla mnie tajemnicą. Nie pokazywałeś mi albumów z dzieciństwa, zdjęć przodków, świadectw szkolnych, pamiątek z wakacji ani świątecznych kartek z życzeniami. Nie opowiadałeś o swoich rodzicach, kolegach z podwórka i pierwszych miłościach, jakby nie istnieli ci wszyscy, z którymi żyłeś, zanim mnie spotkałeś. Dotąd wydawało mi się, że w ten sposób uciekłeś przed wspomnieniami w baśnie i opowieści, bo podobnie jak ja uważałeś rzeczywistość za świat niepełny i niedoskonały, jak dom wymagający remontu tuż przed przeprowadzką. Godziłam się na tę niewiedzę, widząc w niej potwierdzenie naszego podobieństwa, a nagle z przerażeniem odkryłam, że między nami zaczęły gromadzić się niezadane pytania. Przed moimi oczyma wciąż podskakiwała pomarańcza ze sklepu Abu Zajda, turlała się po podłodze, odbijała od drzwi i zatrzymywała się tuż pod moimi stopami. Czy postąpiłam właściwie, odpychając od siebie przeszłość, zapewne ze strachu? Przypuszczalnie to właśnie ów strach, albo nieśmiały podszept intuicji, roztopiał słowa przed wypowiedzeniem i sprawiał, że wiele pytań nie zostało nigdy zadanych. W moim rodzinnym domu zawsze powtarzano, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, kładąc olbrzymi nacisk na takt i dyskrecję. Twoja wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność innych ludzi – sparafrazowana przez ojca myśl Alexisa de Tocqueville’a zapadła mi głęboko w pamięć i to między innymi z jej powodu nie chciałam wymuszać na Tobie zwierzeń. Coraz częściej przeczuwałam, że za Twoim milczeniem o przeszłości chowało się coś, o czym z ważnych powodów postanowiłeś milczeć. Nie bałam się sekretnych kochanek, żon w dalekich domach ani dzieci będących owocem dawnego zauroczenia, choć Londyn znał tysiące takich opowieści. Dużo później przyznałam się so-

bie, że najbardziej obawiałam się wtedy historii o wielkiej, niespełnionej i tragicznej miłości, takiej, na której wspomnienie człowiek skręca się z bólu aż do utraty tchu i nawet jeśli nie ma dość odwagi, by targnąć się na własne życie, chciałby przynajmniej odebrać sobie pamięć.

Bywały takie chwile, kiedy ciekawość wyrывała się ze mnie z siłą wodospadu. Opowiadałam Ci o różnych wydarzeniach z dzieciństwa, rodzinnych uroczystościach, przebytych chorobach, pierwszym dniu w szkole – opisując przerażone dzieci w granatowych mundurkach – i wtedy przypadkiem wychodziło na jaw, że znałeś wiele szczegółów mojego życia, choć nie miałeś prawa o nich wiedzieć. Powtarzałeś trudne do wymówienia nazwiska moich nauczycieli, nawet tych, których zdążyłam zapomnieć, przypominałeś mi o rozerwanej na trzepaku chińskiej sukience i skrzydlatym potworze zamieszkującym szafę w przedpokoju. Niezadane pytania dręczyły mnie wówczas ze zdwojoną siłą, z czego musiałeś zdawać sobie sprawę, bo przecież potrafiliśmy czytać w swoich myślach. Bałam się w takich chwilach, że jest coś, o czym po prostu nie możesz mi opowiedzieć.

Pomyślałam, że to właściwy moment na rozmowę o tym, że opiszę ten dziwny stan, gdy strach, wstyd i poczucie winy walczą z ciekawością, a białe plamy na mapie codziennego życia stają się trudniejsze do okiełznania niż senne koszmary, ale przeszkodził mi deszcz. Ulewa, bogata w całą gamę dźwięków, od cichych, pojedynczych chlapnięć, po głośne wystukiwanie rytmu na mokrych chodnikach, natychmiast objęła całą okolicę w swoje posiadanie. Kilka metrów od nas matka strofowała po arabsku dwójkę maluchów, krzycząc: „*Matar, matar*” i próbując zagonić dzieciaki do domu; one jednak, zachwycone, podstawiały stopy pod buchający z rynny strumień wody i nie miały zamiaru przerywać sobie frajdy. Zaczęliśmy się śmiać i wnet nie zostało już śladu po ciężkim, wymownym milczeniu, gniewie i niepewności. Z ciekawością patrzyliśmy na zmiany spowodowane deszczem. Wielkie krople ślizgały się po napiętych do bólu ścięgnach parasoli w pobliskich kawiarniach. W najbliższym sklepie, wypełnionym szczelnie plastikowymi miskami, koszykami, jednorazowymi naczyniami i ceratą sprzedawaną na metry, kupiliśmy niebieskie kalosze i płaszcze przeciwdeszczowe. Przy wyjściu zauważyliśmy staruszkę w sari, pomarszczoną jak suszona śliwka, która z uśmiechem bezżębnego niemowlaka przyglądała się kroplom wpadającym do metalowej miednicy. Jakiś mężczyzna rzucił jej chmurne spojrzenie i krzyknął: „*Wariatka*”, po czym z impetem wdepnął w dziurę po chodnikowej płytce. Ruszyliśmy przed siebie, od czasu do czasu przystając, żeby popatrzeć na nasze odbicia w brudnej tafli wody, na zniekształcone niebo, ptaki i dachy kamienic. Zafascynował nas świat zamknięty w kałużach, być może dlatego, że nie istniał w nim nikt poza nami. Stroiliś dziwne miny, przewracając oczami i pokazując język, a one zaraz rozplływały się w rozedrganych kręgach. Stonowani angielscy przechodnie o marmurowych twarzach, zatrzaśnięci we własnym spokoju, obchodzili nas naokoło, niektórzy przystawali na moment i przyglądali się natarczywie, zapewne zdziwieni niecodziennym widokiem dwojga dorosłych rozbawionych nad kałużą jak dzieci. W ich oczach znajdowaliśmy dezaprobatę, politowanie, żal za czymś straconym albo zazdrość, że sami tak nie potrafią.

„*Chodź, pokażę ci deszcz*” – zawołałeś, a w Twoim ręku nagle pojawiło się małe pudełeczko, w jakie zwykle pakuje się dropsy lub landrynki. Na wieczku widniał holenderski wiatrak i lekko wytarty tajemniczy napis przypominający nazwę jakiegoś specyfiku.

Nie po raz pierwszy urzekła mnie przepastna głębia Twoich kieszeni i umiejętność wydobywania z nich najdziwniejszych przedmiotów, śrubokrętu, sznurowadeł, okularów przeciwsłonecznych, latarki albo zapalniczki, nawet bładoróżowego błyszczyku do ust, takiego samego jak ten, którego akurat zapomniałam wziąć z domu. Miałam wrażenie, że potrafiłeś znaleźć tam każdą rzecz, przywoływać do siebie rozmaite przedmioty, wzywać je, a one natychmiast stawały się posłuszne rozkazom.

Patrzyłam jak urzeczona, a Ty zatrzymałeś się i uniosłeś wieko, delikatnie, by nie rozsypać zawartości. W pudełku coś zagrzecotało, a kiedy przyjrzałam się bliżej, zauważyłam, że to płaskie krążki zrobione z połyskliwego pudru. Wyjmowałeś je – jeden po drugim – i wrzucałeś w kałużę, które natychmiast zaczynały mienić się różnymi odcieniami żółci, błękitu, zieleni, nasycać się czerwienią, fioletem i amarantem. Farby w pigułkach. Przyglądałam się zachwycona, kompletnie oczarowana, a deszcz tworzył wokół nas wielobarwną mozaikę. Kolory przenikały się, mieszały ze

sobą, przybierając kształty roślin, zwierząt i ptaków. Próbowaliśmy zgadywać, co przedstawiają, tak jak odczytuje się czasem ułożenie obłoków, dopóki wśród śmiechu i radosnych okrzyków nie zacząłeś wciągać mnie w wodę. Spod butów pryskały na nas tysiące kropel, zataczając wokół magiczny krąg, do którego nikt nie odważył się podejść. Wsypałeś mi w mokrą od deszczu dłoń okruchy farb rozkruszone na dnie pudełeczka, a kiedy się rozpuściły, palcami pomalowałeś nam nosy i policzki.

W domu panował granatowy półmrok. Deszcz zacinał o szyby z uporem i zaciętością, uderzał na oślepe we wszystko, co stało mu na drodze. Niebo zasnuło się ciemnoszarymi chmurami, nagle zerwał się silny, siejący zniszczenie wiatr, szarpiący przewodami energetycznymi jak wściekły muzyk strunami instrumentu. Nic więc dziwnego, że na Portobello Road znów zabrakło prądu.

Wrzuciliśmy do wanny mokre płaszcze przeciwdeszczowe i udaliśmy się do kuchni. Przygotowując herbatę, cieszyłam się, że mamy kuchenkę gazową, jedną z niewielu, jakie zostały w całej okolicy, zastępowane przez nowoczesne płyty indukcyjne. Stałeś z tyłu, otoczyłeś mnie ramionami i z kubkami w rękę razem powędrowaliśmy wzrokiem na pustą ulicę. Przyglądaliśmy się nieregularnym, brunatnym plamom wilgoci rozlewającym się po ścianach budynków i kroplom bębniącym zawzięcie w szklane blaty opuszczonych pospiesznie stolików przed pobliskim pubem. Skupialiśmy się na wodzie wdzierającej się do pustych butelek po piwie i szklanych popielniczek zamienianych w brudne spienione jeziora. Mrok zgęstniał, przybrał na sile. Proste jak struna latarnie, z których zdążyło ujść życie, martwe w ten sam sposób co żyrandole i lampy w naszym domu, przypominały królowe ciemności. Obszukaliśmy wszystkie szafki i szuflady, ale nigdzie nie znaleźliśmy ani kawałka świecy. Przyniosłeś z łazienki ręcznik i zacząłeś wycierać mi z twarzy resztki farb, układających się w nieregularne, kolorowe smugi. „Wyglądasz jak indiański wojownik” – śmiałeś się. Patrzyłam na Ciebie i myślałam, że gdyby świat miał się teraz skończyć, nie odczułabym z tego powodu rozpaczy ani żalu.

Kiedy błądziłeś dłońmi wokół moich bioder, jak niewidomy, próbujący rozpoznać nieznaną kształt, ja odnalazłam Twoje usta, żeby po raz kolejny się w nich zatracić. Smakowały jak słodkie, odrobinę przejrzałe owoce, których nie można przestać jeść, wciąż chcąc więcej i więcej. Przebiegłam Ci palcami po skroniach i policzkach, żeby wreszcie zanurzyć je we włosy, podobne do pokrytych srebrnym szronem drzew. W panujących dookoła ciemnościach nie mogłam ich zobaczyć i nie spodziewałam się nawet, że tak bardzo zatęsknię za ich widokiem. Mrok wyostrzył nam zmysły. Tym razem nie kochaliśmy się z tą czułością, której nigdy nam dla siebie nie brakowało, lecz zawzięcie i mocno. Nasze słowa, wypowiedane w przestrzeń pokoju, rozbiegane wokół jak niesforne dzieci, przestawały mieć znaczenie. „Obejmij mnie, przenikaj, stań się mną, zamieśmy się ciałami, bo przecież już dawno zamieniliśmy się na dusze”. Część z nich zawisła w powietrzu, nie chcąc się rozplątać, ale i tak nie potrafiliśmy potem przypomnieć sobie, które z nich były moje, a które należały do Ciebie. Tam, gdzie Ty znałeś początek, ja znałam koniec, dopowiadaliśmy sobie dalszy ciąg, aż po zakończenie. Nie przerwaliśmy nawet wtedy, gdy w gabinecie rozległ się huk, coś spadło i rozbiło się na kawałki. Postanowiliśmy na razie nie sprawdzać, co to takiego, odkrywając przy okazji, że wokół zapanowała absolutna cisza. Wiatr przestał wyć, deszcz zamilkł, na niebo, nie wiadomo skąd, wytoczył się okrągły, czerwony księżyc, rozświetlając ściany i wskrzeszając cienie różnych przedmiotów. Wreszcie mogłam popatrzeć Ci prosto w twarz, wydawało mi się, że zdążyły minąć wieki, odkąd widziałam ją po raz ostatni. W Twoich oczach dostrzegłam wieczność, choć może było to tylko odbicie gwiazd świecących nad Portobello.

Kiedy nastał świt, weszłam do gabinetu i znalazłam na podłodze roztrzaskaną w drobny mak ceramiczną sowę. Pochylona, nie zauważyłam, kiedy zjawiłeś się obok i stanowczo, choć delikatnie odsunąłeś mnie na bok, zapewne obawiając się, żebym nie nadepnęła bosą stopą na jeden z ostrych odłamków. Zapytałam, czy to była cenna pamiątka, a wtedy Ty zaśmiałeś się i kręcąc głową, zaprzeczyłeś. „Nie, na szczęście nie”. A jednak pod tym śmiechem nie udało Ci się ukryć niepokoju. Widziałam go, gdy przykucnąłeś i zacząłeś przyglądać się rozrzuconym bezładnie kawałkom, jakbyś był geomantą próbującym odczytać przepowiednię z rozsypanych grudek ziemi, gliny albo z ziarenek piasku. Chwilami zerkałeś przez okno ku niebu, pełen obaw, którymi najwyraźniej nie chciałeś się ze mną dzielić.



Figurka nie wyglądała na zniszczoną przypadkiem, raczej tak, jakby ktoś cisnął nią o ziemię z nadludzką wściekłością. Wśród resztek skrzydeł pokrytych brązowymi, kobaltowymi i seledynowymi piórami dostrzegłam części dziobu, szponów i ogona. Nieco dalej leżały lśniące czernią hipnotyzujące oczy ptaka. Wpatrywały się we mnie nieustępliwym i twardym spojrzeniem drapieżnika gotowego w każdej chwili zaatakować ofiarę.

Odłamki rozbitej sowy powędrowały do kosza na śmieci i choć wydawało się, że oboje zapomnieliśmy o tym incydencie, parę dni później przypomniał mi o nim człowiek spotkany przypadkiem na zatłoczonej Camden Road. Na początku w ogóle go nie zauważyłam, poczułam tylko, że ktoś obserwuje mnie przyklejającym się wzrokiem. Od dłuższego czasu błąkaliśmy się po okolicy w poszukiwaniu adresu zapisanego niewyraźnie na kartce papieru, pod którym miałeś odebrać kostium do humoreski o tym, jak przebiegły Dżuha próbował przechytrzyć śmierć. Miasto znów postanowiło zabawić się nami, płacząc numery domów i przestawiając ulice. Wykrzywiało je, skręcało, załamywało i owijało wokół budynków, aż w końcu, chcąc nie chcąc, po raz kolejny trafiliśmy w to samo miejsce. Lubiłam Camden Town, tę fascynującą dzielnicę subkultur, wyrzutek społeczeństwa, szaleńców, dziwek i narkomanów, porozwieszane przed sklepami gotyckie sukienki, gorsety, koszulki z napisami, zaparkowane wszędzie stare samochody. Niewysokie budowle wzdłuż głównej ulicy przywodziły na myśl koślawy dziecięcy rysunek wykonany świecowymi kredkami. Niektóre ściany pomalowano na intensywny niebieski odcień, inne przyciągały wzrok ciepłym pomarańczem, królewską purpurą i delikatnym wrzosem. Tu i ówdzie poprzyklejano smoki, głowy tygrysów, zrobione z metalu trupie czaszki, gigantycznych rozmiarów kajdanki z futra albo wypięte plastikowe tyłki w bawełnianych majtkach. Wokół jednego z okien tańczyły imitujące pożar języki ognia i dopiero z bliska można było zobaczyć, że to tylko drewniana dekoracja. Zawsze czułam się w tym miejscu jak bohater powieści snutej przez schizofrenika albo przez pijanego artystę. Rzeczywistość wydawała się tu czymś bliskim narkotycznej wizji, z gnącymi się w ukłonach manekinami, knajpami o dziwnych nazwach i fantazyjnie kolorowym graffiti.

Zmęczeni szukaniem pracowni krawieckiej, postanowiliśmy zapytać w końcu o drogę, ale wtedy ktoś gwałtownie złapał mnie za ramię, a czyjeś natrętne ręce próbowały wślizgnąć mi się pod ubranie. Wzdrygnęłam się nerwowo, kręcąc głową w poszukiwaniu sprawcy, ale nikogo przy nas nie było. Przechodnie mijali nas obojętnie, bardziej podobni do statystów na planie filmowym niż do zwykłych ludzi. Przed nami spokojnym krokiem szedł mężczyzna z pajęczyną namalowaną w doodopornym tuszem do rzęs na obu policzkach, z tyłu włókł się noga za nogą blondyn w rozerwanych džinsach i czapce zrobionej z abażuru lampy w stylu retro. Mroczne kobiety w długich czarnych sukniach, o twarzach podobnych do twarzy lalek z porcelany, leniwie przechadzały się po przeciwnym chodniku, stukając obcasami sznurowanych trzewików. Niektóre dzierżyły w dłoniach staromodne kufrы albo niepraktyczne koronkowe parasole, zapewniające wątpliwą ochronę tak przed słońcem, jak i przed deszczem. Obok przebiegła dziewczyna z różowymi włosami zaplecionymi w dwa warkocze, wytrącając mi z ręki kartkę z adresem pracowni. Prawdopodobnie chciała dogonić odjeżdżający właśnie autobus linii 27. Schyliłam się i wtedy w gąszczu ludzkich nóg przyodzianych w džinsy, sztruksy, dzwony z bistoru, porwane rajstopy i pasiaste getry dostrzegłam tamtego mężczyznę.

Siedział po drugiej stronie ulicy, oparty plecami o ścianę nieczynnego studia tatuażu, ponurego budynku z postacią kobiety o czarnych skrzydłach ukrzyżowaną na wysokości drugiego piętra. Przyglądał mi się wyzywająco, z drwiną ukrytą w lśniących złowrogo, ciemnych oczach. Jego spojrzenie magnetyzowało i przerażało niemal nadludzką siłą. Mimo że dzielili nas znaczna odległość, atakował mnie nim i najwyraźniej sprawiało mu to przyjemność. Próbowałam odwrócić się i patrzeć w innym kierunku, ale nie mogłam wykonać żadnego gestu, gdyż ów człowiek zdawał się trzymać mój wzrok na uwieży, żonglować nim jak wytrawny cyrkowy artysta. Stałam tak i czułam, jak lodowaty chłód rozpełza się po moim ciele.

Dość szybko zauważyłeś tę grę. Twoją twarz wykrzywił grymas wściekłości, wyglądałeś jak tygrys gotowy do skoku. Pomyślałam, że zaraz rzucisz się na tego mężczyznę i rozszarpiesz go na kawałki. Z przekleństwem na ustach przebiegłeś przez jezdnię, zatrzymując sznur samochodów, a że w gniewie zapomniałeś puścić moją rękę, biegłam za Tobą. „Pod żadnym pozorem nie patrz mu

w oczy, dopóki ci nie pozwolę” – rzuciłeś ostrzegawczo przez ramię, kiedy byliśmy już po drugiej stronie.

Z bliska mój napastnik wydawał się nieco mniej groźny, choć może zaprzestał po prostu swych diabelskich sztuczek. Miał na sobie ubranie, które nie pozostawiało wątpliwości co do tego, że jest jeszcze jednym kloszardem: obszarpaną marynarkę w kolorze wpadającego w kobalt granatu, poplamioną tabaką seledynową koszulę, przetarte na kolanach brązowe spodnie i znoszone buty, w czasach świetności pewnie warte majątek. Podeszedłeś do niego i w pełnym zaciętości skupieniu pojedynkowaliście się wzrokiem. Szeptaleś przy tym coś, co brzmiało jak zaklęcie, i być może to właśnie te słowa sprawiły, że pokonałeś przeciwnika. Włóczęga uniósł głowę wyżej i spojrzał na Ciebie ze złością, zdając sobie sprawę z przegranej.

„Już w porządku” – powiedziałeś i przywołałeś na twarz uśmiech, który nieszczelnie przykrył zdenerwowanie. To wtedy przypomniało mi się zdarzenie z sową, pewnie dlatego, że wśród wielu słów, jakimi szybko obrzuciłeś tego mężczyznę, rozpoznałam magiczną formułę *Sikkin wamilh*, chroniącą przed złą wróżbą, jaką jest pojawienie się tego ptaka. Kolory na ubraniu dziwnego osobnika, przekrzywiony, wygięty nos i brunatne, nastroszone włosy, pokryte czymś w rodzaju kurzu lub pajęczyny, też przywodziły na myśl rozbitą figurkę. Koło jego długich, patykowatych nóg leżał szary koc, taki sam, jakie rozdają bezdomnym pracownicy opieki społecznej, obok stała przenośna butla gazowa i aluminiowy czajnik, który wyglądał na skopany przez życie nie mniej niż jego właściciel. O czajnik ten opierał się kwadratowy kawałek tektury, jaki ma większość ulicznych żebraków po to, by łzawą historią poruszyć serca przechodniów.

Na tabliczce znajdowało się jedno lakoniczne zdanie napisane koślawo zielonym długopisem: *Oddam opowieść za papierosa*. Zatrzymaliśmy się przy nim w pół kroku, zamiast pójść w swoją stronę i zapomnieć o tym przykrym zajściu. Owszem, wyczuwało się w tej propozycji nonszalancję, a nawet drwinę, my jednak byliśmy od razu przekonani, że czekała na nas. Miasto miało zatem swój cel, płacząc nasze drogi i nie pozwalając trafić do pracowni. Naradzaliśmy się po cichu, co zrobić, właściwie nawet się o to pokłóciliśmy. Byłeś uparty jak nigdy. Kompletnie mnie nie słuchałeś i natarczywie przekonywałeś do swoich racji, kiedy zza pleców dobiegł nas głuchy, zachrypnięty głos, który powtarzał: „Poczekajcie”.

Odwróciłeś się gwałtownie i przyłapałeś mężczyznę na tym, jak znów przyglądał mi się płonąącym, zaczepnym wzrokiem. Tym razem jednak w porę dostrzegł Twój gniew i opanował się. Wykrzywił poźółkłą twarz w złośliwym grymasie i wyrzucił kilka słów, które miały znaczyć, że Ci mnie nie zabierze. Po chwili wahania wy dobyłeś z kieszeni lekko pogniecioną paczkę papierosów i niechętnie rzuciłeś mu na kolana. Znów nie mogłam ukryć zdziwienia: jakim cudem znalazła się w Twojej kieszeni? Chwytny zdobycz, mężczyzna wyglądał jak wygłodniały pies, zerwał zębami folię z opakowania i zaczął w nim grzebać trzęsącymi się rękoma nałogowca. Zauważyłam wtedy, że nikotyna niemal wżarła się w skórę jego cienkich palców, nadając im kolor brudnej pomarańczy. „Zbieraj się, idziemy” – rozkazałeś, a bezdomny posłusznie podniósł się z chodnika.

Klucząc bocznymi uliczkami, których nigdy wcześniej nie widziałam, wreszcie znaleźliśmy się w pewnej knajpie nieopodal St. Pancras Way. Po drodze próbowaliśmy znaleźć dla siebie miejsce w wielu okolicznych pubach i kawiarniach, ale mimo tego, że wokół pełno było najróżniejszych dziwadeł, nasz towarzysz budził szczególną odrazę i wypraszano nas w mało grzeczny sposób. Dopiero w tym ponurym przybytku, który zapraszał wdzięcznie brzmiącą nazwą Koniec Świata, wymalowaną srebrnym sprayem na nieheblowanej desce nad drzwiami lokalu, mogliśmy usiąść przy solidnym metalowym stole i zamówić mętny napój udający herbatę. Nazwa, trzeba przyznać, odpowiadała nastrojowi lokalu tonącego w złowieszczych ciemnościach, których nie potrafiły rozproszyć resztki świateł, tworzące kaskady zastygłego wosku na barze i w szczelinach na ścianach. Szafa grająca wygrywała jakąś smętną melodię, ale nikt jej nie słuchał. Nie bardzo miał zresztą kto, gdyż w środku znajdowało się zaledwie dwóch klientów: pijany transwestyta w kwiecistej sukience i potężny mężczyzna wpatrujący się tępo w stojący przed nim słoik grzybków halucynogennych ze zwiędłymi kapeluszami. Bezdomny nie wzbudzał tu niczyjego zainteresowania.

Barmanka z chudymi jak szczudła nogami postawiła przed naszym nowym znajomym popielniczkę i wróciła za bar, kręcąc tyłkiem. Usiadłeś naprzeciw mężczyźnie, żeby nie mógł mi się

przyglądać, ale tym razem to ja wpatrywałam się w niego intensywnie, odnosząc wrażenie, że w jego wyglądzie wciąż coś się zmieniało. Twarz, wychudzona i chorobliwie żółta, pokryta rozpadlinami, na przemian zaokrąglala się lub zapadała w sobie. Skóra sprawiała wrażenie połatanej, zacerowanej przez kiego chirurga, by po chwili przeobrazić się w nienaturalnie wręcz gładką. Oczy, dotąd nieodgadnione i czarne jak smoła, nieoczekiwanie rozbłyskiwały brązem, jaśniały szarością lub uwodziły zielenią. Czasem zapłonął w nich ogień, zaraz potem gasł i zostawiał je pogrążone w rozpacz. Spoglądając w nie wtedy, miało się ochotę stanąć na skraju przepaści i rzucić w nią bez wahania.

Mężczyzna zapalił papierosa czerwoną zapalniczką i zaciągnął się parę razy. Potem zakaszlał głośno, omal nie wypluwając przy tym własnej duszy.

– Wiesz, co mi jest, prawda? – odezwał się do Ciebie, bardziej stwierdzając fakt, niż pytając.

– Wiem. – Ani na moment nie spuszczałeś z niego wzroku.

– Już wiele lat tak mnie męczą. Końca nie widać – wyjaśnił, pocierając czoło dwoma palcami. – Odpuszczają tylko, kiedy palę. Nie lubią smaku nikotyny. – Spojrzał z ukosa na leżącą przed nim zieloną paczkę, tak jakby czytał ostrzeżenie przed niewydolnością serca i układu krążenia. – Pewnego dnia umrę na raka płuc – stwierdził beznamiętnie.

Niewiele zrozumiałam z jego wypowiedzi, choć Ty zdawałeś się rozumieć wszystko. Obserwowałam kształty, jakie przybierał dym krążący nad naszymi głowami, i to właśnie one naprowadziły mnie na właściwy trop. Uświadomiłam sobie, że oto siedzi przede mną człowiek opętany, w którym zamieszkał diabeł albo jakaś inna przerażająca istota. Nie zdążyłam ubrać tej myśli w słowa, gdy błękitnawa smużka wylatująca bezdomnemu z ust zaczęła rozszerzać się w demoniczną postać ifryta o zniekształconej twarzy. Z niego zaczęły wylaniać się następne, coraz mniejsze i mniejsze, żeby wreszcie zniknąć w powietrzu ze złośliwym chichotem. Nareszcie zrozumiałam, co by się wydarzyło na zatłoczonej, ale i zupełnie spokojnej ulicy, gdybyś w porę nie zapobiegł nieszczęściu. Mogłam stać się marionetką, narzędziem nieczystych sił. Ogarnął mnie lęk i poszukałam Twojej dłoni pod stołem. Nie dałam się ponieść panice wyłącznie dlatego, że byłeś obok i że umiałeś utrzymać w ryzach sferę tajemniczych stworzeń, które obrały za swoją siedzibę ciało siedzącego przed nami mężczyzny.

Dotąd spotykałam dzinny w baśniach, pustynnych opowieściach, plemiennych legendach. Bardzo dobrze pamiętałam najróżniejsze historie o ukrytych w piasku glinianych dzbanach, o starych butelkach pokrytych kurzem, znajdowanych przypadkiem w miejscach zapomnianych przez Boga i ludzi, o zaklętych przedmiotach, z których wydobywały się te przerażające zjawy, stworzone – jak przekazywały prastare wierzenia – z bezdymnego ognia. Tutaj, w Wielkiej Brytanii, dawno zdążyła minąć przywieziona z kolonii moda na Orient i nikt już nie snuł opowieści o zaginionych podróżnikach, wędrowcach omamionych obietnicami bogactwa czy śmiałkach zbaczających ze szlaku, żeby podążyć za kobiecym głosem kuszącym w nocnych ciemnościach. Nie znano tu też zakazanych przez islam praktyk magicznych z okresu dżahiliji, podczas których ifryty przekazywały ludziom przepowiednie, pomagały pozbyć się chorób albo sprowadzały nieszczęścia na wrogów. Niemal na całym świecie wszyscy znali dzinna jako dobroduszną istotę mieszkającą w cudownej lampie Aladyna i spełniająca życzenia swojego znalazcy. W animowanych bajkach dla dzieci, sztukach teatralnych, malowankach i książkach z obrazkami nie przestrzega się przed otwieraniem tajemniczych naczyń, wręcz przeciwnie, podaje się w nich nawet, że uwolniony z więzienia mityczny stwór z wdzięczności będzie służyć swemu dobroczyńcy do śmierci.

Człowiek, który siedział obok, nie wyglądał jak ktoś opływający w szczęście i dobrobyt. Palił jednego papierosa za drugim i próbował pochwycić mnie wzrokiem. Jego twarz zdążyła odzyskać w miarę normalny wyraz, tylko oczy nadal zmieniały kolory. Wciąż pilnowałeś, żeby nie patrzył w moim kierunku, ale w tych rzadkich chwilach, kiedy udało mu się wymknąć spojrzeniem spod Twojej kontroli, odnosiłam wrażenie, że tabun obcych osób podgląda mnie jak przez dziurkę od klucza.

– Opowiadaj wreszcie – rozkazałeś władczy tonem, zupełnie pozbawionym współczucia.

Tak za każdym razem zwracałeś się do tego mężczyzny.

– Nie jestem pewien, czy to historia odpowiednia dla kobiet... – odezwał się, nieco zmiesz-

ny, ale nim skończył, oświadczył twardo:

– Nina zostaje. Mów.

Kelnerka zabrała pełną popielniczkę i zanim przyniosła nową, wytarła popiół ze stołu brudną, śmierdzącą ścierką. Bezdomny wyjął z paczki przedostatniego papierosa i nic nie mówiąc, przez kilka minut obracał go w palcach.

– To nie będzie opowieść z gatunku tych „dawno, dawno temu” – zadrwił nagle, przerywając ciężącą wszystkim ciszę. – Od czego powinienem zacząć? Najlepiej od początku, prawda? – odpowiedział sam sobie.

Byłeś rozdrażniony i nie zamierzałeś tego ukrywać, nieznajomy postanowił więc nie prowokować Cię więcej. Zapalił wreszcie mocno już zniszczonego papierosa, wciągnął dym głęboko do płuc, a następnie wypuścił potężny obłok i rozpoczął opowieść.

– Musicie wiedzieć, że to wszystko nie przydarzyło mi się przypadkiem ani nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Nie zjadłem legendarnych siedmiu daktyli i nie wrzuciłem ich pestek do rzeki, żeby zobaczyć złego ducha. Po prostu byłem łajdakiem – wyznał ze szczerością, która wydała się przynosić mu ulgę.

– Nie da się ukryć – wtrąciłeś ironicznie.

Nie znałam Cię takiego. Zawsze odnosiłeś się do rozmówców z szacunkiem, życzliwością i zrozumieniem. Pod wpływem ciepła, jakim dzieliłeś się z otoczeniem, obcy ludzie opowiadali Ci swoje największe sekrety, pokazywali rodzinne fotografie, zwierzali się z kłopotów. Teraz widziałam w Twoich oczach obrzydzenie, pogardę i z trudem powstrzymaną wściekłość. Bezdomny czuł przed Tobą jakiś lękliwy respekt. Bał się Ciebie, a Ty sprawiałeś wrażenie kogoś, kto w każdej chwili spodziewa się podstępного ataku.

– Urodziłem się wśród kamieni, piasku i skał, w małej wiosce na południu Jordanii, oddalonej zaledwie o kilka kilometrów od legendarnej Petry, perły Nabatejczyków – zaczął opowiadać, najpierw nieśmiało, potem nabierając coraz większej pewności. – Wokół rozciągał się kamienisty, porośnięty chaszczami płaskowyż, a ziemia miała kolor spalonej słońcem czerwieni. Nasza osada składała się z meczetu, paru domów i zagród dla wielbłądów. Ojciec, podobnie jak większość sąsiadów, woził w góry spragnionych przygód turystów. Trzymaliśmy też parę sztuk owiec i kóz, błakających się między zabudowaniami z żalonym pobekiwaniem. Dzisiaj nie pamiętam nawet, jak nazywało się miejsce, w którym przyszedłem na świat. Po mojej pamięci zostały resztki, nędzne ochłapy, nieciekawe nawet dla tych tutaj. – Popukał się w skroń palcem wskazującym. – Miałem dwie siostry i sześciu braci, ja byłem piąty z kolei, ale nie czułem się z nimi szczególnie związany. Dwaj najstarsi szybko znaleźli żony i poszli na swoje. W okolicy uważano ich za dobrą partię, obaj znani byli z pracowitości i ze sprawnych rąk. Salah trudnił się garncarstwem. Wieczorami siadywał przed domem za swoim kołem, a następnie wyczarowywał z gliny dzbany z długimi szyjami, misy i talerze. Młodszy, Sa'id, malował je potem farbami na różne kolory i suszył na płocie. Nie da się ukryć, że byłem strasznym chuliganem i zdarzało mi się rzucać w nie kamieniami, a potem jakby nigdy nic zganiałem winę na dzieciaki z wioski. Nierzadko też zdarzało mi się oberwać po łapach za odciski zostawiane na malowidłach albo za przyklejanie do nich wygrzebanych z ziemi robaków.

W głosie mężczyzny pobrzmiwała nuta nieco zardzewiałego sentymentu, na twarz wypełził mu uśmiech satysfakcji. Podejrzewałam, że od dawna nie opowiadał nikomu swojej historii i nawet nie spodziewał się, że powrót do minionych wydarzeń sprawi mu taką przyjemność.

– Dwa, może trzy lata przed moim urodzeniem w naszej rodzinie doszło do tragedii. Trzeci z moich braci, Samir, stracił życie. Pewnego dnia wspiął się na strome wzniesienie podczas jakiejś zabawy i spadł. Od tego czasu rodzice nie pozwalali nam wdrapywać się na skały. Jeśli złamaliśmy zakaz, dostawaliśmy takie lanie, że wrzaski roznosiły się po całej okolicy. Samira znałem tylko ze zdjęcia, jedyne zresztą, jakie było w domu. Zostało zrobione przez objazdowego fotografa gdzieś na szkolnym dziedzińcu. Mój brat stał na nim wyprostowany, z poważnym, chmurnym spojrzeniem osoby dorosłej. Matka umieściła tę fotografię w plastikowej ramce ze szkłem i trzymała ją stale pod poduszką.

Mężczyzna przerwał opowieść i zaniósł się kaszlem, który zdawał się rozszarpywać mu klatkę piersiową. Gdy udało mu się uspokoić, sięgnął po czajnik i bezradnie wytrząsał do szklanki

ostatnie krople herbaty. Widząc to, przywołała kelnerkę. Dziewczyna ociągała się, a kiedy w końcu do nas podeszła, bezdomny obrzucił ją lubieżnym spojrzeniem i oblizując usta, wychrypiął:

– Jeszcze raz to samo, laluniu.

Kelnerka nie zareagowała na zaczepkę i odeszła niezrażona, a on zwrócił się do nas:

– Na czym to ja skończyłem?

– Mówiłeś o swoim bracie Samirze – odpowiedziałem.

– A tak, o Samirze – powtórzył nieznamy ponuro i zamyślił się, szukając w pamięci dalszego ciągu historii. Upłynął dłuższy moment, zanim się znów odezwał. – Oczywiście nie mieliśmy najmniejszego zamiaru słuchać rodziców i ciągle łaziliśmy w góry. Ja byłem przywódcą wioskowych dzieciaków, takiej zadziornej grupki, choć na dobrą sprawę ta zaszczytna funkcja należała się, z racji starszeństwa, mojemu czwartemu bratu, Samiemu. Nasze drogi życiowe rozeszły się potem w dramatycznych okolicznościach, ale w owym czasie byliśmy nierozłączni, nie bracia, a przyjaciele, wtedy zdawało się, że na śmierć i życie. Wiele mu zawdzięczam. Dziesiątki razy krył mnie przed ojcem. Gdyby nie on, mój tyłek miałby dziś więcej prązków niż zad bengalskiego tygrysa.

– Wszyscy mieliście imiona zaczynające się na literę „S” – odważyłam się przerwać, bo wreszcie poczułam się pewniej w towarzystwie mężczyzny.

– Wiąże się z tym rodzinna legenda – skrzywił się z niesmakiem. – Pewnego dnia nieopodal naszego domu przechodziła staruszka, a właściwie to nie przechodziła, tylko człapała w morderczym upale. Matka, a spodziewała się wówczas swojego pierwszego dziecka, stała akurat na zydłu i próbowała załatać dziurę w prowizorycznej moskitierze, żeby muchy i inne paskudztwo nie włąziło do środka. Na wsiach nie znano wtedy jeszcze szyb ani nawet okiennic, zresztą i dziś się ich nie używa. Większość Beduinów mieszka w namiotach z owczej wełny, do niedawna wielu zajmowało górskie jaskinie, ale ci od ochrony zabytków ich stamtąd przepędzili. Tak... Ale przecież nie o tym miałem mówić... – mruknął do siebie, niezadowolony, że przerwał sobie opowieść, i prędko do niej powrócił. – Matka wypatrzyła tę kobiecinę z daleka, złapała gliniany dzban z wodą i ruszyła w jej stronę. A trzeba wam wiedzieć, że od najbliższego źródła dzieliły wioskę dobre dwa kilometry i choć ludzie w tamtej okolicy byli raczej porządni, wodą dzielili się niezbyt chętnie. Moja matka podeszła do staruszki z dzbanem, napiła ją i zaproponowała gościnę. Po niebieskich tatuażach na brodzie i wokół oczu poznała, że nieznajoma jest Berberyjką. Staruszka nie szukała gościny, poprosiła tylko o to, by mogła zatrzymać dzban z wodą. Matka zgodziła się bez wahania, a wtedy tamta kobieta zbliżyła się do niej, przyłożyła jej dłoń do brzucha, w którym mój zazwyczaj spokojny brat Salah wywijał akurat najdziksze harce, i przykazała nadać każdemu męskiemu potomkowi imię zaczynające się na literę „S”, co miało chronić przed chorobami i śmiercią w niemowlęctwie. Jak widzicie, matka usłuchała.

– A pan? Jak pan ma na imię? – zapytałam.

– Kiedyś, w poprzednim życiu, nosiłem imię Sabih, chociaż nie jestem chyba specjalnie przystojny – zaśmiał się gorzko i ponownie sięgnął do paczki papierosów.

– Trudno nie zauważyć – powiedziałem zjadliwie, a nasz rozmówca w odpowiedzi pokazał Ci język, długi i wąski jak u żmii.

– No cóż – odezwał się niezrażony – jeśli pozwolicie, chciałbym wrócić do tej pożałowania godnej historii. Jak już mówiłem, całe dni spędzaliśmy w górach, choć wiedzieliśmy, co nam za to grozi. Z czasem nauczyliśmy się wspinać w taki sposób, żeby nikt z dołu nie mógł nas wypatrzeć. Bawiliśmy się w poszukiwaczy zaginionych skarbów albo udawaliśmy, że należymy do jednej z tych zagranicznych ekspedycji naukowych, które dostawały ciężkie pieniądze za grzebanie w ziemi w okolicach Petry. Przetrzęsaliśmy jaskinie, szczeliny skalne i rozpadliny, a potem przechwalaliśmy się swoimi znaleziskami.

– Szukaliście złota? – zażartowałam.

– W pewnym sensie tak – przytaknął mężczyzna. – W zachodniej części masywu Dżabal asz-Szara, gdzie leży Petra, ostały się nie tylko zabytki architektury. Wśród ruin i wykutych w kamieniu budowli natykaliśmy się na najdziwniejsze przedmioty. Najczęściej na to, co zgubili bądź wyrzucili zachodni turyści. Zdarzał się breloczek do kluczy, paczka gum do żucia, składany scyzoryk. Mohammed, chłopak mieszkający w sąsiedztwie, znalazł kiedyś latarkę na baterie, a my

skręcaliśmy się z zazdrości i chodziliśmy za niego po wodę, żeby pozwolił nam potrzymać ją chociaż przez chwilę. No, ale najcenniejszą zdobycz dla każdego z nas stanowiły starożytne monety. Część z nich została po Nabatejczykach, niektóre pochodziły już z czasów rzymskich. Swoje znaleziska trzymałem w woreczku z kozłej skóry i strzegłem jak oka w głowie.

– Przecież dla dzieci takie rzeczy zazwyczaj są bez znaczenia – zdziwiłam się, kiedy prze-rwał, porwany kolejnym atakiem kaszlu.

– Dla dzieci z Europy może i tak – powiedział bezdomny, krzywiąc w uśmiechu twarz, bo właśnie podałeś mu kolejną paczkę papierosów – ale nie dla dzieci z okolic Petry. My nie mieliśmy telewizorów, Internetu, telefonów komórkowych. Od małego sadzano nas w namiotach i opowiada-no historie o tajemniczych ludach mieszkających wśród skał. O ukrytych grobowcach, pieczarach pełnych złota i kosztowności, o błakających się po okolicy duszach wojowników, skazanych na wieczną tułaczkę, ponieważ nigdy nie było im dane poznać nauk Proroka. Po takich opowieściach żaden zakaz nie utrzymałby nas z dala od gór. Teraz myślę, że miały w sobie coś, co odbierało człowiekowi rozum, może jakiś urok albo klątwę sprzed tysięcy lat – kiwał głową, zastanawiając się nad własnymi słowami. – Pewnego dnia syn mojego stryja, straszna oferma, której nikt nie miał ochoty zapraszać do zabawy, naskarżył na nas matce.

Mężczyzna zamilkł raptownie, jak nagle zatrzymana gramofonowa płyta. Wydawało mi się, że zwyczajnie zapomniał, o czym mówił przed chwilą, ale nawet jeśli tak było, wydarzenia sprzed lat zaraz napłynęły potężną falą do jego pamięci.

– Ależ była wtedy awantura! – wykrzyknął, wyrываяc z letargu półprzytomnych klientów. Ich spojrzenia powędrowały natychmiast w naszym kierunku.

– Przymknij się – zwróciłeś bezdomnemu uwagę wściekłym głosem, on jednak nie wydawał się specjalnie przejęty tym, jak do niego mówiłeś.

– Tamtego lania nie zapomnę na pewno przez resztę życia, mimo że regularnie dostawałem w skórę, jak nie od rodziców, to od starszych braci – kontynuował, przejęty. – Jak już mówiłem, od najmłodszych lat cieszyłem się zasłużoną opinią wioskowego urwisa. Matka załamywała ręce. W pobliżu zabudowań stała *tabuna*, taki gliniany piec. Kobiety piekły tam wspólnie placki, a przy okazji dzieliły się plotkami. Matka zawsze musiała się czegoś nasłuchać. „Sabił znów wysmarował drzwi kurzym łajnem”, „Sabił podpalił krzaki przy meczecie”, „Sabił podrzucił zdechłego skorpiona starej Nadźmie, skaranie boskie z tym chłopakiem”. I tak w kółko, aż do tego donosu. Wtedy rozpętało się prawdziwe piekło. Ojciec spuścił mi manto, ale nie to było najgorsze: skonfiskował mi też wszystko, co znalazłem w jaskiniach. Byłem wściekły i rozżalony. Uciekłem z domu.

– Dokąd? – zapytałam, bo miałam wrażenie, że czekał na jakąś reakcję.

– W góry, a dokąd niby miałem pójść? Zaszyłem się w jakimś opuszczonym domostwie wśród skał. Prowadziła tam wąska skalna półka, pod którą biegł wąwóz. Żaden normalny człowiek nie odważyłby się wdrapać tak wysoko, ale mnie przecież prowadził gniew. W środku zostały ślady po palenisku i podziurawiony materac. Wyczerpany płaczem i długą wspinaczką, rzuciłem się na niego i leżałem tak, siłując się z własną wściekłością. Patrzyłem w niebo i przeklinałem swojego ojca ze wszystkich sił. Ależ go wtedy nienawidziłem. W końcu zasnąłem, pełen ponurych myśli. Kiedy obudziłem się w nocy, żeby wyjść za potrzebą, nie pamiętałem, gdzie się znajduję. Po chwili wróciły wspomnienia poprzedniego wieczoru, a wraz z nimi ogarnęło mnie poczucie, że jestem w pułapce. Stamtąd nie można było przecież tak po prostu wyjść! Postanowiłem załatwić się w kącie, ale i to nie było łatwe w ciemnościach. Szukając ustronnego miejsca, nadepnąłem na jakieś naczynie. Najpierw rozległ się chrzęst, potem szmer, a przede mną, jak spod ziemi, wyrosła dziwna postać o ohydnej gębie i powiedziała: „Odtąd będę twoim przyjacielem, Sabihu”. Zlałem się w gacie ze strachu, ale ów stwór nie śmiał się ze mnie, jak by to zapewne zrobili koledzy, tylko jednym podmuchem wysuszył mi spodnie. Patrzyłem jak zahipnotyzowany to na niego, to na swoje ubranie, gdy znowu przemówił: „Wiem, gdzie są schowane twoje skarby. Razem je odzyskamy. Nie bój się, we wszystkim ci pomogę”.

– Chyba każdy na pana miejscu umarłby ze strachu. – Chciałam mu dodać otuchy, domyślając się, że opowieść wkracza na niebezpieczne tory.

– Jak widać na załączonym obrazku, niestety nie umarłem – westchnął. – Dziad przekonał

mnie do siebie obietnicą pomocy. We dwóch ruszyliśmy do wioski. Wtedy jeszcze nie widziałem go zbyt wyraźnie, przypominał mi obłok, taki przezroczyisty kłęb dymu. Już z daleka dostrzegłem dziwny ruch między zabudowaniami. Podeszliśmy bliżej, a wtedy zobaczyłem, że ludzie biegali w tę i z powrotem jak opętani, w dzellabach zakasanych do kolan. Twarze mieli pobladłe, jakoś tak wykrzywione, oczy niemal wyłaziły im z orbit. Przy latrynach, gdzie ustawiła się długaśna kolejka, wszyscy pchali się i pokrzykiwali na siebie, niektórzy nawet głośno wzywali imienia Boga. Co rusz dolatywało do nas desperackie: „*Jalla, jalla!*”.

Obcy przerwał na chwilę, ale trudno było poznać, z jakiego powodu. Może po prostu układał zdarzenia w całość.

– Co tam się stało? – ponagliłam go w końcu.

– Ha! – wykrzyknął, ale natychmiast się zreflektował, napotkawszy Twoje ostrzegawcze spojrzenie. – Dostali takiej sraczkii, jakiej świat nie widział, droga pani. Fajdali jeden przez drugiego, i to tam, gdzie stali. Muszę wam powiedzieć – zwrócił się do nas obojga – że nic nie wprowadza równości między ludźmi lepiej od rozwolnienia. Imam, nie imam, nauczyciel, wyższy urzędnik państwowy z Petry, który przyjechał w konkury, walili równo w galoty. Ależ się wtedy uśmiełem. Oczywiście wiecie, czyja to była sprawka?

– Domyślamy się – powiedziałeś z przekąsem.

– Nie muszę wam chyba tłumaczyć, że nikt tam nie używa papieru toaletowego – opowiadał dalej bezdomny. – Po załatwieniu sprawy myje się dupsko i tyle. Wykorzystałem to. Widząc, co jest grane, popędziłem do domu i ukradłem matce ostrej suszonej papryki. Wiadra z wodą do podmywania się stały w ciemnym kącie, więc bez kłopotu nasypałem po trochu do każdego, a potem schowałem się w krzakach i podglądałem. Nigdy nie zapomnę tych przekleństw latających w powietrzu ani widoku sąsiadów, którzy trzymali się za pośladki i gnali przed siebie, jakby ich kto z procy wystrzelił.

Mężczyzna zaniósł się przeciągłym rechotem, w którym oprócz szyderstwa kryła się również złośliwa satysfakcja. Równie nagle jednak spoważniał i powrócił do wydarzeń w wiosce.

– Ojciec schował skarb w jednym z garnków Salaha – mówił, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. – Mój nowy przyjaciel znalazł go tam i natychmiast mi oddał. Byłem wtedy najszczęśliwszym dzieciakiem na świecie, a w tym całym harmidrze nikt się nie zorientował, żeśmy to stamtąd buchnęli. Cała rodzina miała poważniejsze zmartwienia.

Do lokalu weszły dwie mocno umalowane długonogie prostytutki w towarzystwie osiłka w skórze, któremu obiecywały niebo za drinka. Przez chwilę rozglądali się w poszukiwaniu ustronnego miejsca, ale tylko stoliki wokół nas były w miarę oddalone od reszty. Usiedli całą trójką, nie przestając rozmawiać. Próbowaliśmy nie słuchać, ale głośnych wybuchów śmiechu nie udawało się zignorować. Jedna z kobiet wsunęła pod stołem rękę w spodnie swojego towarzysza i zabawiła się z nim na oczach wszystkich. Nasz nowy znajomy, który wciąż był bezdomny, ale teraz przynajmniej już nie bezimienny, na ten widok zakrztusił się papierosowym dymem i łapał powietrze gwałtownie jak ryba wyjęta z wody. Mnie zajmowało co innego. Zastanawiałam się, ile ten człowiek może mieć lat. Wydawał się pozbawiony wieku, beczasowy, albo raczej zjedzony przez czas i przez to, o czym nam opowiadał. W jego obliczu nie zauważyłam niczego ładnego, choć w niemal wszystkich brzydkich, nieciekawych twarzach zazwyczaj udawało mi się dostrzec przynajmniej jeden szczegół sprawiający, że wydawały się przyjemniejsze. W końcu szturchnąłeś mężczyznę w ramię, na co wzdrygnął się i odwróciwszy wzrok od sąsiedniego stolika z widoczną niechęcią, powrócił do opowieści.

– Plotki o tym, że miałem jakiś związek z tamtą zarazą, wnet zaczęły krążyć po wiosce. Gdy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że musiał im to podpowiedzieć ten dziadowski stwór, żeby łatwiej przejąć nade mną władzę. Moi koledzy nie chcieli nawet ze mną rozmawiać. Nikomu nie życzę takiego przekłętego losu, jaki mnie wtedy spotkał. Dla takiego szczyła oznaczało to koniec świata. Nazywali mnie „Chłopcem, który wypuścił dżinna” i recytowali na mój widok surę Al-Falak albo werset tronu. A nowy przyjaciel, zapewniam was, doskonale wiedział, że samotny człowiek zaprzyjaźni się i z samym diabłem, jeżeli bliscy odetną się od niego.

Posłałam mężczyźnie pełne powątpiewania spojrzenie. Gdyby nie jego wygląd, prawdopo-

dobnie nigdy nie uwierzyłabym w tę historię. Pochwycił mój wzrok i pojął, nad czym się zastanawiam.

– Nie zapominaj, panienko, że wtedy jeszcze nie rozumiałem, z kim, a właściwie z czym mam do czynienia – podkreślił. – No i o tym, że zostałem całkiem sam.

– A rodzice? Rodzeństwo? Nie próbowali pomóc? – Moje wątpliwości nie zostały jeszcze do końca rozwiane.

– Rodzice? – powtórzył z kwaśną miną. – Moja matka i ojciec to prości ludzie z jordańskiej wioski, nie umieją nawet pisać ani czytać. Czego niby mogłem się po nich spodziewać? Tam każdy żył w ciągłym strachu przed demonami, dzinnami, złym okiem i lichem wie czym jeszcze. Wstydzili się takiego syna. Uważali, że z mojego powodu siostry nie wyjdą za mąż, powtarzali, że ściągnęłam na nich hańbę.

– No właśnie – przypomniałam sobie – wspominał pan o siostrach i jeśli dobrze pamiętam, o jeszcze jednym bracie.

– One nie pełnią w tej historii żadnej znaczniejszej roli. Siedziały w domu, jak to baby, starsza wyszywała poduszki i chyba nieźle jej szło, bo taki jeden z Petry wciskał je potem zagranicznym turystom. Dziś pewnie żadnej z sióstr nie poznałbym na ulicy. A młodszy brat w owym czasie ledwo nauczył się pisać, nie zajmowałem się nim zbyt wiele. Najważniejszą postacią jest Sami. Po tamtej awanturze zostaliśmy rozdzieleni. Ojciec postanowił posłać go do szkół, żeby przynajmniej on jeden zdobył porządne wykształcenie. Uważał też, że wywieram na brata zły wpływ. Przestaliśmy się w ogóle widywać, bo niby jak. I wtedy dzinn mógł już ze mną robić, co chciał, w końcu tylko on mi pozostał. Z całej siły próbowałem mu czymś zaimponować. Wynosiłem różne rzeczy ze sklepu i podrzucałem sąsiadom, żeby ich oskarżano o kradzież, spłoszyłem kogoś osła, podciąłem siodło, nasikałem do dzbana z wodą albo z oliwą. Moja fantazja wydawała się wtedy nieograniczona, podobnie jak spryt. Stałem się mistrzem wywodzenia w pole wszystkich wokół. Kiedy po paru latach Sami powrócił i oświadczył, że chce wyjechać do Anglii, ja byłem już zupełnie innym człowiekiem. I nawet nie mogłem wtedy przypuszczać, jak ten jego wyjazd wpłynie na moje życie, a już na pewno nie spodziewałem się, że zmieni mnie w ruinę człowieka.

– Dlaczego wyjechał? – dopytywałam. Dziwiłam się przy tym, że Ciebie w ogóle nie interesują takie szczegóły. – Miał jakiś ważny powód czy postanowił po prostu poszukać lepszego życia?

Mężczyzna bezradnie rozłożył ręce.

– Jakiś zagraniczny uczoney załatwił dla niego papiery, mieli niby razem pracować – odpowiedział ponurym tonem. – Matka martwiła się, że straci kolejne dziecko, że ukochany syn umrze z głodu gdzieś u niewiernych, ale nie mogła go siłą zatrzymać. Dała mu część rodowego złota trzymanego na czarną godzinę. Ojciec sprzedał parę sztuk bydła, czymś przecież trzeba było zapłacić za bilet. Pamiętam dzień, w którym Sami wyjeżdżał. Cała wioska wyległa na drogę, żeby go pożegnać. Przyzwyczaiłem się już, że nie mieszka z nami pod jednym dachem, i pewnie dlatego nie odczułem, że coś się zmieniło. Pisywał listy, a do mnie przysyłał kolorowe kartki z widokami na miejsca, o jakich nawet nie śniłem.

– A dzinn? Wciąż panu towarzyszył? – upewniłam się.

Dłuższą chwilę kiwał głową.

– Bardzo dbał o to, by dostarczyć mi odpowiedniej rozrywki – mówił, przeciągając niektóre słowa. – W porównaniu z dziećmi z sąsiedztwa żyłem lepiej niż król. Zabierał mnie do jaskiń piękniejszych niż pałacowe komnaty, spełniał każde życzenie. Dzięki niemu objadałem się do woli słodyczami, a w kieszeniach zawsze znajdowałem jakieś pieniądze. Wiodłem życie ciekawsze niż opowieści snute przy ognisku przez wioskowego bazarza. Gdyby ktoś powiedział mi wówczas prawdę o dzinnach, nigdy bym w nią nie uwierzył. Przez myśl mi nie przeszło, że mój tajemniczy znajomy chce mnie omotać, zdobyć zaufanie, a potem wykorzystać bez żadnych skrupułów. Zresztą miałem wtedy co innego w głowie.

Wokół twarzy mężczyzny zatańczyły cienkie smużki dymu z odpalonego właśnie papierosa, przemknął też po niej ledwie zauważalny grymas bólu. Być może rozważał, czy czegoś przed nami nie ukryć.

– Pewnego dnia Sami przysłał kolejny list do rodziców. – Bezdomy zaciągnął się głęboko.



– Ponieważ ani matka, ani ojciec nie opanowali trudnej sztuki czytania, to ja zazwyczaj zajmowałem się tymi listami. Tym razem w kopercie oprócz gęsto zapisanej kartki papieru było jeszcze coś: zdjęcie najpiękniejszej kobiety, jaką w życiu widziałem. Na odwrocie znajdowała się dedykacja: „Kochanemu Samiemu, Twoja na zawsze – Hadidza”. Na widok tej fotografii dosłownie zwariowałem. Spojrzałem w te piękne, ciemne oczy, roześmiane i otoczone długimi rzęsami, a cały świat się zatrzymał. Ktoś, kto sam nie doświadczył takiego uczucia, nie zrozumie, o czym mówię, ale wy rozumiecie, prawda? – Popatrzył na nas wzrokiem zbitego psa, po czym odpowiedział sam sobie: – Wiem, że rozumiecie.

– To była jego narzeczona? – Zgadłam, a przy stole nagle zapadło ponure milczenie.

– Tak, przyszła żona Samiego. Na moje nieszczęście. Odkąd ją zobaczyłem, wszystko przestało się liczyć. Zupełnie straciłem głowę. Wpatrywałem się w zdjęcie i gadałem do niego, jak jakiś szaleniec. Sypiałem coraz gorzej, został ze mnie cień człowieka. Mój przyjaciel, widząc, co się dzieje, kazał mi wziąć się w garść. Wymyślił, żeby brat ściągnął mnie do Anglii. Razem układaliśmy historyjkę, jak to zakochałem się w dziewczynie z sąsiedztwa i muszę zarobić na ślub. Napisałem długi, rzewny list i z bijącym sercem nadałem go w urzędzie pocztowym w Petrze. Kiedy uiszczałem opłatę, ręce trzęsły mi się bardziej niż ćpunom na głodzie w Camden Town. I tak oto trafiłem do Anglii, z całą pewnością niezegnany tak czule jak ci, którzy opuścili wioskę przede mną. Podejrzewam, że większość sąsiadów odetchnęła z ulgą.

– Podać coś jeszcze?

Kelnerka, której chyba znudziło się siedzenie za kontuarem, postanowiła nagle zadbać o gości. Nasz rozmówca tym razem pozostał obojętny na jej wdzięki, poprosił tylko o sok pomarańczowy. Facet od grzybków halucynogennych ryknął śmiechem na cały lokal.

– Picie takich rzeczy w pubie to świętokradztwo – zawołał. – Skąd wyście się urwali?

Nikt z nas jednak nie zareagował i w końcu natręt zamilkł jak urwana nagle piosenka.

– Sami, jak porządny brat, odebrał mnie z lotniska. – Bezdomny wrócił do przerwanego wątku opowieści. – Na szczęście mój przyjaciel zatroszczył się o odpowiednie ubranie i nie wyglądałem jak jeden z tych pałętających się po Heathrow dzikusów w dzellabach. Odebrałem walizki z kontroli celnej i pojechaliśmy taksówką na sam koniec miasta, tak przynajmniej mi się wówczas zdawało. Dzielnica nazywała się Wood Green. Z daleka dostrzegłem rzeźbiście oświetlone okna domu Samiego. Ledwo zdążyliśmy wyjść z samochodu, gdy drzwi otworzyła nam młoda kobieta. Stałem jak wryty.

– To była Hadidza? – domyśliłam się.

– Skąd mogłem wiedzieć, że w tym czasie mój brat się z nią ożenił? – Nieznajomy napił się soku podanego w szklance o podejrzanym czystości, oczy zaszyły mu mgłą. – Była tysiąc razy piękniejsza niż na zdjęciu. Natychmiast utonąłem w jej cudownym, powitalnym uśmiechu i oczach o barwie mlecznej czekolady, które starannie malowała kohllem. I te włosy! Obraziłbym je porównaniem do jedwabiu. Nie założyła hidżabu, nie nosiła go i potem w mojej obecności, należałem przecież do najbliższej rodziny. Jeżeli śmierć jest najwyższą formą zachwyty, to tylko cudem udało mi się jej uniknąć. Zrozumiałem, że muszę mieć tę kobietę, choćbym potem trafił za to w sam środek piekła.

Popatrzyłam na mężczyznę, nie kryjąc współczucia, ale on nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

– Nie umiem opisać, co wtedy czułem. To mogła być miłość, obsesyjne pożądanie albo zwykła chęć posiadania czegoś nieosiągalnego, zakazanego. A przecież ledwo ją znałem! Cierpiałem straszliwe męki, zwłaszcza w nocy. Hadidza i Sami szli spać, a ja wyobrażałem sobie, co robią za drzwiami sypialni. Momentami, udręczony do granic, marzyłem o pożarze, trzęsieniu ziemi albo innym kataklizmie, który zmiotłby nas wszystkich z powierzchni ziemi. Bratową widywałem nawet w snach. Pojęcia nie macie, jak ona się poruszała, z jakim wdziękiem chodziła po całym mieszkaniu, delikatnie kołysząc biodrami. Za każdym razem patrzyłem na nią i umierałem, a potem z trudem powracałem do życia.

– Nikt nie zauważył, co się z panem dzieje? – Było mi żal naszego rozmówcy. Zapomniałam nawet, dlaczego się z nim spotkałszy.

– Nie i bardzo tego żałuję – powiedział tak, jakby okazywał wdzięczność komuś zaufanemu.  
– Brat pewnie zabiłby mnie i obyłoby się teraz bez tego całego pasztetu.

– Hadidża też się nie domyśliła? – ciągnęłam.

– Skąd! – Bezdomny uśmiechnął się z politowaniem. – To była porządna, bogobojna dziewczyna, dla niej liczył się tylko mąż. Patrzyła w niego jak w obraz, a mnie traktowała jak jeden ze sprzętów, z którego czasem trzeba zetrzeć kurz. A ja skręcałem się z zazdrości, gdy okazywała mojemu bratu miłość i przywiązanie. Życzyłem mu jak najgorzej. Przecież z nas dwóch, myślałem wtedy, tylko ja mogę dać jej wszystko, czego pragnie; wystarczyło wypowiedzieć życzenie, a mój przyjaciel spełniłby je natychmiast. Wstyd się przyznać, ile razy wyobrażałem sobie, jak Sami wpa-  
da pod pociąg na stacji metra, ginie w wypadku samochodowym albo w ulicznej bójce.

– I w tym momencie do Twojej opowieści zapewne znów wkracza džinn – wtrąciłeś. Twój sarkazm stał się jeszcze bardziej zjadliwy.

– Otóż to – potwierdził mężczyzna i dodał: – Trochę go zaniedbałem przez przyjazd do Londynu, ale nie narzekał. Czekał, cholera, na właściwy moment. Pewnej nocy pojawił się ni stąd, ni zowąd i zaproponował, że pomoże mi zdobyć Hadidżę. Oczywiście nie za darmo. „Pamiętaj, wszystko ma swoją cenę”, szeptał w ciemności. Byłem gotowy na wiele, zapytałem więc, czego chce w zamian. „Ciebie”, wysyczał w odpowiedzi. Zgodziłem się bez wahania, nie myśląc o tym, że w ten sposób przypieczętowałem swój los.

– Czy ktokolwiek zasługuje na to, by oddać dla niego własną duszę? – zapytałam, przenosząc wzrok na Twoją pochmurną twarz, i natychmiast zrozumiałam, że z moich ust padło właśnie najgłupsze pytanie na świecie.

Bezdomny posłał mi znaczące spojrzenie i pogrążył się w smutku. Na ułamek sekundy stałam się nim i czułam to samo: pewność, że istnieją ludzie, dla których przekracza się wszelkie granice, bo piekło wydaje się mniej straszne niż brak odczuwany na ziemi.

Kiedy nieznamy znów się odezwał, głos łamał mu się i przechodził w szloch.

– Następną noc Hadidża stanęła w drzwiach mojego pokoju, ubrana tylko w cienką koszulę. Była boso. Podeszła do łóżka i wślizgnęła się pod kołdrę, jakby od wieków czekała na ten moment. Objąłem ją bez wahania i przyciągnąłem do siebie. Zakręciło mi się w głowie, kiedy dotknęła ustami mojej szyi, a potem przesuwiała je niżej i niżej. Nigdy przedtem nie byłem z kobietą, ale instynkt podpowiadał mi kolejne ruchy. Wszedłem w nią, a ona ugryzła mnie w ramię, żeby stłumić okrzyk rozkoszy. Do rana zdążyliśmy zrobić to dziesiątki razy, na wszelkie możliwe sposoby. Głodni, nienasyчени, zachowywaliśmy się jak para szczeniaków ze sobą drapieżników. Ślady jej zębów nosiłem potem na skórze jeszcze przez długie tygodnie jak jakieś szatańskie piętno mojej winy.

Mężczyzna zaciągał się dymem, kaszlał, odchrząkiwał, słowa uciekały od niego, ale pragnienie, by wyrzucić z siebie skrywaną latami prawdę, nie pozwalało mu przerwać opowieści. Czekalam cierpliwie, aż do niej wróci. Ty wyglądałaś tak, jakby było Ci wszystko jedno.

– Hadidża obudziła się w moich ramionach i popatrzyła na mnie jak na jakiegoś ohydneho robaka albo węza, który przypełził w nocy do łóżka, po czym zerwała się na równe nogi i uciekła z przerażeniem w oczach. Słyszałem, jak ubiera się w sąsiednim pokoju i nerwowo wrzuca różne rzeczy do torebki. Potem trzasnęły drzwi i dom spowiła cisza. Po nocnych harcach czułem paskudny, przenikliwy ból w plecach, ale zwlokłem się, żeby wyrzucić za nią przez okno. Biegła po schodach, pokonując po kilka stopni naraz, była w tym jakaś desperacja, zawziętość i upór. Nie przypuszczałem, że ostatni raz widzę ją żywą.

Bezdomny zawiesił nagle głos jak prawdziwy bazarz, umiejący manipulować emocjami słuchaczy. Domyśliłam się, że ta przerwa spowodowana jest jednak czymś innym.

– Kilka dni później policyjny patrol wyłowił z Tamizy ciało Hadidży. – Mężczyzna wydawał się zupełnie nieobecny. – Opowiadano sobie szeptem, że wcale nie wyglądała jak topielica, przypominała raczej kogoś, kto zastygł w bezruchu. Wyglądała jak posąg uosabiający wewnętrzny spokój. Pewnie jesteście ciekawi, co działo się z Samim? – zapytał bezdomny, jakby dopiero teraz przypomniał sobie, że w tej historii ważą się również losy jego brata. – Feralnej nocy mój przyjaciel džinn zesłał na niego sen, twardy jak kamień. Obudził się dopiero wtedy, kiedy Hadidży już nie

było w domu. Gdy kilka dni później zobaczył ją martwą, z rozpaczy doznał pomieszania zmysłów, chociaż nie mam pewności, czy siły nieczyste nie miały w tym swego udziału. Może to i lepiej, bo dzięki temu nigdy nie dowiedział się o moim wyczynie. Do dziś przebywa w zakładzie zamkniętym niedaleko Londynu.

– Straszne – powiedziałam cicho. Żadne właściwe słowa nie chciały przyjść mi do głowy.

– Na pewno mniej straszne niż to, co nastąpiło później. – Bezdomny dał ręką znak, że ta historia jeszcze się nie kończy. – Nie wiem, czy powinienem w ogóle o tym opowiadać, ale jak znam życie, ten tu – wskazał podbródkiem na Ciebie – i tak to ze mnie wyciągnie. Zostałem sam w pustym domu, bo przyjaciel dzinn przepadł nagle bez wieści. Wszędzie natykałem się na rzeczy mego brata i zmarłej bratowej, codziennie odbierałem ich pocztę. Miałem nieustannie wrażenie, że ktoś chodzi za mną krok w krok. Trzeciej nocy po znalezieniu Hadidży zaczęło dziać się coś bardzo dziwnego. Szafy same się otwierały. Wyskakiwały z nich sukienki bratowej i próbowały pochwycić mnie rękawami. Jej szale i chusty zaciskały mi się wokół szyi. Skórzane paski Samiego chłostały moją skórę aż do krwi. Chciałem uciec z tego przekłętego miejsca, ale drzwi i okna okazały się zamknięte naглуcho. Próbowałem wybić szyby, ale od nieskutecznych uderzeń tylko rozboleły mnie dłonie. Co noc w różnych częściach domu rozlegały się na przemian płacz, szyderczy śmiech albo zwierzęce wycie. Siódmej nocy zjawił się dzinn, równie niespodziewanie, jak zniknął. „Nareszcie jesteś mój, Sabihu. Tyle lat na ciebie czekałem. Odtąd ja będę tobą, a ty będziesz mną” – jego słowa połączyły się ze skowytem. Poczulem coś, co przypominało uderzenie w brzuch, a moje ręce i nogi zaczęły falować jak rozedrgane upałem powietrze na pustyni. – Bezdomny westchnął ciężko, odpał papierosa i zamyślił się.

Tym razem nie zamierzałam go ponaglać. Bałam się tego, co za chwilę powie, i podejrze-  
wałam, że toczy wewnętrzną walkę o to, by znów się odezwać.

– Kręciło mi się w głowie, a właściwie chrobotało w niej, jakby pod czaszką załęgły mi się robaki. Jeżeli potraficie wyobrazić sobie stary mebel zjadany przez korniki, zrozumiecie, jak to ze mną było. Ktoś przepędził moje własne myśli i wydawał mi rozkazy, którym nie mogłem się w żaden sposób sprzeciwić. Zmieniłem się, ale cały czas czułem, że jestem gdzieś obok samego siebie. W końcu zjawiła się także Hadidża, piękna jak za życia, z czarnymi włosami upiętymi w kok, trupio blada. Teraz wiem, że nie powinienem był patrzeć jej w oczy. Bił z nich lodowaty chłód i mroząca krew w żyłach nienawiści. Z nadludzką siłą powaliła mnie na podłogę, rozebrała i zaczęła ujeżdżać, jakbym był narowistym rumakiem. Pazurami rozdzierała moją skórę, bałem się, że wypruje mi żyły.

Mężczyzna podwinął rękawy koszuli, ukazując podłużne blizny biegnące od nadgarstków do łokci. Przysunęłam się bliżej, choć wcale nie miałam ochoty oglądać śladów tamtej walki, a wtedy on rzucił się do ataku. Śmierdzące nikotyną, pożółkłe palce nagle znalazły się niebezpiecznie blisko mojej szyi, jego twarz znów nabrała dzikiego, upiornego wyrazu.

– *Tadžammad!* – krzyknęłaś wściekle.

Posłuszny Twoim słowom, bezdomny zastygł ze szponiastymi dłońmi ponad stołem, niezdolny do żadnego ruchu. Jego rozbiegany na wszystkie strony wzrok zdradzał przerażenie.

– Pozwolę ci dokończyć tę cholerną opowieść, ale spróbuj jeszcze raz dotknąć Niny, a zobaczysz, że zrobię to, czego nie zrobiliby nawet wszyscy mieszkańcy piekła razem wzięci – wyszczałaś przez zaciśnięte zęby głosem ostrym jak sztylet.

Gdzie się podział ten ciepły, aksamitny ton, który uwodził tłumy, pomyślałam, próbując się uspokoić. Wydawało mi się, że gdybyś chciał, mógłbyś pociąć na kawałki tym swoim nowym głosem, ale Ty tylko pchnęłaś zeszywniałego mężczyznę na krzesło, pochyliłaś się ku niemu i wypowiedziałaś kilka słów prosto do jego ucha. Chciałaś chyba doprowadzić go do porządku, ale paraliż nie ustępował. Bezdomny stracił władzę w rękach i nogach, nie mógł poruszyć głową, tylko bezradnie strzelał oczami na boki. Gestem kazałaś mu mówić dalej i wtedy okazało się, że jest w stanie otworzyć usta. Oddychał głęboko i głośno, a wydechane powietrze skraplało się jak na ulicy w mroźny, zimowy dzień.

– Od tej pory Hadidża wykorzystywała moje ciało, a ifryt moją duszę – wykrztusiłaś. Potem jego głos odzyskał normalne brzmienie. – Robiłem dla nich najgorsze rzeczy, na szczęście niewiele

z nich pamiętam, bo wtedy jeszcze nie wywalczyłem sobie nawet tej mizernej namiastki wolności, jaką mam teraz. Wiem tylko, że w ciągu dnia pomagałem dzinnowi pozyskiwać podstępem ludzkie dusze i tak jak on kiedyś mamilem niespełnionymi nigdy obietnicami, uwodziłem i oszukiwałem. Myślę, że mam na sumieniu niejeden gwałt, morderstwo i samobójstwo. Brałem też udział w rytuałach, o których nie sposób nawet opowiedzieć, mających sprawić, by potwory podobne do niedawnego przyjaciela mogły pojawiać się tu, na ziemi. Wypożyczały mnie sobie jak kostium na karnawał. Nocami za to wpadałem w lubieżne łapska Hadidży.

Przerwał tak, jakby nie znał słów na opisanie swej martwej kochanki. Być może właśnie wtedy uznał, że i tak przekroczył cienką granicę między spowiedzią a opowieścią.

– Pewnego razu – ciągnął dalej bezdomny – siedziałem w knajpie, wypatrując kolejnej ofiary dla dzinna. Dookoła kręciły się kabaretowe tancerki, trudniące się też innym rzemiosłem, i utrzymanki bogatych biznesmenów. Jedna z tych dam nagle podeszła i usiadła mi na kolanach. W ręku trzymała papierosa i zaciągała się nim zalotnie. Zaczęła namawiać mnie, żebym i ja się zaciągnął. Usłuchałem. Poczulem smak nikotyny i było to jak haust świeżego powietrza. Znów mogłem trzeźwo myśleć, na chwilę odzyskałem swój umysł. Przesiedziałem z tamtą kobietą kilka godzin, paląc papierosa za papierosem. Pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna byłem spokojny i opanowany. Potem oczywiście porzygałem się, wychodząc z lokalu. Od tamtej pory dałbym się zabić za szluga. Kradłem je, gdzie się dało, żebrałem, skamlałem o nie jak pies, wrywałem przechodniom na ulicy, wygrzebywałem niedopałki wrzucane do śmietników, podnosiłem podeptane z chodnika, gryzłem i żulem, by choć na moment stać się wolny. Ifryt szybko dowiedział się, że znalazłem na niego sposób, i przeszkadzał mi jak tylko mógł w zdobyciu każdego papierosa.

Po nieruchomym policzku bezdomnego potoczyła się żółtawa łza. Przyglądałam mu się przez chwilę, po czym przeniosłam wzrok na przeciwległą ścianę, gdzie w niewielkiej szczelinie dogasał z sykiem ogarek świecy. Widniały na niej tylko dwa cienie, mój i Twój. Mężczyzna podążył za moim wzrokiem i wnet zrozumiał, co zaprzęta moje myśli.

– Dobrze kombinujesz, panienko. Odkąd zamieszkały we mnie te demoniczne istoty, moja dusza została roztrzaskana na kawałki jak szkło. Nie mam ani cienia, ani odbicia w lustrze. Może to i lepiej, bo przynajmniej nie muszę oglądać swojej paskudnej gęby.

Kiedy wybrzmiało do końca echo jego słów, przypomniałam sobie figurkę sowy i okoliczności, w jakich została rozbita. Nic nie mówiłam, tylko w milczeniu przyglądałam się obcemu, który kolejny raz przechodził przemianę. W oczach mężczyzny czaiło się teraz przede wszystkim zmęczenie, lecz wreszcie zagościł w nich także i spokój. Miałam wrażenie, że wygląda jak ktoś, komu spadł z ramion jakiś straszliwy ciężar. Również Ty wydawałeś się spokojniejszy. Atmosfera w lokalu oczyściła się, zaduch przestał być dokuczliwy. Nasz rozmówca rozprostował zdrętwiałe ręce jak marionetka, od której nagle odcięto sznurki.

– Dziękuję wam – powiedział i spróbował się uśmiechnąć. – Dostałem od was więcej, niż mi się należało.

– Nie ma za co. Nic przecież nie zrobiliśmy – usiłowałam zagrać rolę dobrze wychowanej panienki, żegnającej gościa w imieniu gospodarzy.

– Mylisz się. – Mężczyzna uśmiechał się już na całego pokiereszowanymi ustami. – Czekałem długo na tego, który miał się zjawić i przejąć na siebie ciężar mojej historii. Tylko w ten sposób mogę uwolnić się od złych duchów. Czekałem na władcę słów, potrafiącego zmusić moją duszę do żalu za wszystko, czego się dopuściłem. To stało się podczas tej opowieści. Nie gniewaj się na niego. – Wskazał palcem w Twoim kierunku. – W przeciwieństwie do zwykłych śmiertelników dobrze wiedział, że dla demona w ludzkiej skórze nie można być uprzejmym. Mam nadzieję, że niedługo umrę, a litościwy Bóg przebaczy mi winy.

Kilka dni po spotkaniu z człowiekiem opętany przez dzinny jak zwykle wróciłeś rano z piekarni, niosąc torbę z pieczywem. Po drodze podniosłeś zostawioną na progu gazetę, przesiąkniętą zapachem wody kolońskiej doreczyciela, roznoszącego po okolicy nie tylko świeżą prasę, ale również swój zapach. Upstrzony drobnymi kroplami deszczu nagłówek na pierwszej stronie wielkimi literami krzychał o cudzie w Camden Town, a z zamieszczonej obok fotografii wyzierała ku nam znajoma twarz bezdomnego. Pochylił się nad stołem i zaczęliśmy czytać:

*Przed kilkoma dniami w niewyjaśnionych okolicznościach doszło do cudownego uzdrowienia szaleńca, znanego z dzikich oczu i nękania przechodniów.*

*Mężczyźnie przypisuje się liczne kradzieże, napady, rozboje i inne chuligańskie wybryki, policyjne kartoteki wspominają też o publicznym obnażaniu się. Teraz przeprasza za swoje występki i planuje przyłączyć się do znanej londyńskiej organizacji dobroczynnej. Za pośrednictwem naszej gazety Sabih Abbadi – bo tak brzmi jego nazwisko – chciałby wyrazić wdzięczność parze turystów, którzy sprawili, że wrócił do zdrowia. Niestety, nie pamięta ich imion. Twierdzi, że kobieta była Słowianką o zielonych oczach i włosach w kolorze miodu, o jej towarzyszu potrafi powiedzieć tylko tyle, że przypominał arabskiego księcia i miał hipnotyczny głos. Tę tajemniczą dwójkę prawdopodobnie dzieliła spora różnica wieku.*

Obserwowałam spod przymkniętych powiek, jak odsunąłeś gazetę gestem przypominającym zrzucanie z siebie pająka, który nieoczekiwanie spadł z drzewa podczas spaceru w parku, a oczy załśniły Ci blaskiem ni to gniewu, ni powstrzymywanego z trudem wybuchu śmiechu. „Niedługo rozkleją za nami listy gończe” – powiedziałeś, śmiejąc się już na całego. „Ciekawe, jaka będzie nagroda”. Na pustej torbie po bułkach zacząłeś szkicować ponurego typa o zarośniętej gębie i spojrzeniu bandyty, obejmującego wytatuowanym ramieniem tłustą, rozczochraną babę, patrzącą w dal mętnym wzrokiem. Magnesem przyczepiłeś rysunek do drzwi lodówki, w ostatniej chwili dopisując dużymi literami: WANTED. „To ostrzeżenie na wypadek, gdyby znów zachciało nam się cudu” – puściłeś mi perskie oko. Minuty mijały od żartu do żartu, przy kawie i orzechowym chlebie, z którego wyjadaliśmy na zmianę bakalie. Pod oknem trąbił nachalnie jakiś samochód. Nim się zorientowaliśmy, że jest już nasza taksówka, kierowca zdążył wysiąść i wściekle gestykulował. Jak każdej soboty miałeś próbę w teatrze. Zazwyczaj wykorzystywałam Twoją nieobecność, żeby powłóczyć się z książką po domu albo wyjść na samotny spacer, tym razem jednak postanowiłam zabrać się razem z Tobą.

W Londynie rozpoczęło się właśnie kolejne szaleństwo. Obwieszane plakatami wystawy wykrzykiwały słowo „wyprzedaż” w różnych językach, przy kasach ustawiały się długie kolejki, a pod wieszakami w butikach poniewierały się sztuki odzieży porzucanej w ferworze gorączkowych poszukiwań właściwego rozmiaru. Zmęczeni sprzedawcy nie nadążali ze sprzątnięciem bałaganu zostawionego przez niestrudzonych łowców ubrań, butów i odpowiednich dodatków. Chwilami miałam ochotę wpaść w ten wielobarwny korowód, dać mu się zaczarować, ale potem nogi i tak niosły mnie w boczne uliczki, gdzie nie było już tłoku ani potracających się nawzajem ludzi z wypchanymi do granic możliwości torbami. Zaszywałam się tam, wśród kiosków z chińskim jedzeniem, komisów płyt winylowych i sklepów z tanią odzieżą prowadzonych przez Brytyjski Czerwony Krzyż lub Armię Zbawienia. Potem opowiadałam Ci, co przydarzyło mi się w ciągu tych kilku godzin samotności. O małym chłopcu, który wpadł do fontanny na Trafalgar Square, o odkrytej przypadkiem kawiarni w podziemiach kościoła św. Marcina, o złotym kolczyku znalezionym niedaleko Łuku Admiralicji.

Wysiadłam w pobliżu St. Martin’s Lane. Nie miałam żadnych planów, więc po prostu skręciłam w prawo i nieoczekiwanie stanęłam przed czerwonymi drzwiami sklepu herbacianego na Neal Street, wąskiej uliczce, sprawiającej wrażenie nieco zapomnianej. Niewiele myśląc, nacisnęłam klamkę i weszłam do środka. Już na progu uwiódł mnie zapach tego miejsca. Omiotłam wzrokiem niski sufit, antresolę, wiszące nad kontuarem chińskie lampiony, puszki, torby, torebki, cukier na patyku, brązowy, biały, w kostkach i kryształkach. Na okrągłym stoliku mrużył oczy biały kot z porcelany, filiżanki wydawały się szeptać między sobą. Na ladzie w szklanym słoju stały pączki róż, do kupienia na wagę. Natychmiast zaczęłam żałować, że nie ma Cię obok, że wśród czarnych i zielonych herbat, z aromatem lub bez, nie możemy razem poszukać smaków naszej codzienności.

Opuściłam sklep, gdy słońce zaczynało chylić się ku zachodowi. Przypomniałam sobie, że jesteśmy umówieni w pewnej znanej knajpie na Covent Garden Market, której taras wychodził na zatłoczony plac. Na szczęście udało mi się dotrzeć tam przed Tobą. Z trudem znalazłam wolny stolik i zamówiłam przy barze specjalność lokalu: pieczonego ziemniaka nadziewanego mięsem i żółtym serem. Czekając na Ciebie, obserwowałam z góry sprzedawców popcornu, waty cukrowej,

bransoletek wyplatanych z kolorowych nici i malarzy gotowych sporządzić pamiątkowy portret w ciągu zaledwie piętnastu minut. Nieco dalej dostrzegłam kasę, w której można było nabyć bilety na większość wydarzeń kulturalnych odbywających się w mieście, oblepioną ze wszystkich stron kolorowymi afiszami; informowały o koncertach, spektaklach teatralnych, imprezach na wolnym powietrzu, wystawach i czasowych ekspozycjach w najsłynniejszych muzeach. Czarnoskóra piękność podobna do Naomi Campbell sprawnie przyjmowała pieniądze i wydawała wejściówki, obdarzając kupujących uśmiechem. Ludzie odchodzili od okienka z minami zwycięzców albo próbowali wcisnąć się pod kawiarniane parasole. W tłumie spacerowiczów i gapiów wyróżniali się performery: chodzący na szczudłach chłopak w stroju clowna, zongler, egipski faraon o kamiennej twarzy; grupka dzieci w szkolnych mundurkach robiła sobie z nim właśnie pamiątkowe zdjęcie. Grubszy mężczyzna w zgrzebnym płóciennym stroju chował się pod kapturem i potrząsał dzwonekami, udając trędowatego. Dwójka akrobatów pomalowanych srebrną farbą bawiła publiczność chodzeniem po linie.

Zapatrzona w hinduskiego połykacza ognia, nie zauważyłam, kiedy przysiadł się do mnie. Teraz patrzyliśmy razem, jak słońce dogasało powoli nad naszymi głowami. Żłociste promienie zamieniły cały plac w podszyty światłem rozżarzony dywan.

Mały chłopiec o egzotycznej buzi, może siedmioletni, z żeliwnym lampionem, w którym płonęło kilka woskowych świec, nadszedł z niewiadomego kierunku. W tłumie przechodniów to on przyciągnął nasze spojrzenia. Obserwowaliśmy z tarasu, że najpierw uważnie rozejrzał się wokół, przypominając szukającego okazji kieszonkowca, a potem, znalazłszy kawałek wolnej przestrzeni, rozsiadł się wygodnie i wyciągnął rzeźbiony flet. Z jego ust popłynęła melodia. Smutek wpleciony w dźwięki wirował w powietrzu, przenikając i poruszając do głębi. Nagle tłum rozstał się, a na plac lekkim krokiem wbiegła młoda dziewczyna. Nim rozpoczęła taniec, na chwilę zastygła w bezruchu z dłońmi wzniesionymi ku górze jak świątynna kapłanka oddająca hołd potężnym bogom. Tu, na Covent Garden Market, jednym z nich był zapewne okrągły, blady księżyc, wychodzący zza chmur, jeszcze zanim słońce zdążyło ustąpić mu miejsca. Szmaragdowa suknia tancerki wyszywana delikatną złotą nicią, zwiewny szal tęskniący kolorami za światłem gasnącego dnia, sięgające niemal do pasa hebanowe włosy, w których odbijała się widoczna na niebie mapa gwiazd, natychmiast oczarowały gapiów. Oczy dziewczyny były jak morze, którego wody czasem stają się zielonkawe, brunatne lub turkusowe, nocą natomiast przyoblekają się w czerń bądź migoczą światłem statków i portowych latarni. Widziałam je z daleka, a mimo to mogłam w nich utonąć. Ktoś zaczął klaskać, część gapiów zbitych w ciasny krąg bezwiednie wystukiwała butami rytm na śliskim bruku. Uczestnicy widowiska z zapartym tchem wpatrywali się w eteryczną postać, poruszającą się tak, jakby chciała wytańczyć z siebie ból, smutek i przerażającą swym ogromem rozpacz, w ten sposób, by zniewolić obserwatorów.

Tancerka strzeliła smukłymi palcami i wokół rozległ się dźwięk złotych bransolet podzwaniających na jej szczupłych nadgarstkach. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Zrozumiałam, że ten taniec zawiera w sobie coś ostatecznego, ukryte pożegnanie, prośbę do natury o to, by przyjęła na powrót jej cielesną powłokę. Całkowite, bezgraniczne oddanie muzyce zdawało się zwiastować nadchodzącą śmierć. Dziewczyna spojrzała na księżyc. Wydawało się, że dookoła są tylko we dwoje, ona i on, że stłoczeni wokół ludzie pełnią rolę rekwizytów przypadkiem pozostawionych na scenie. Powiodłam wzrokiem po tym zgromadzeniu turystów, przypadkowych przechodniów, pracowników okolicznych sklepów, biur i kawiarni. Zachwyty wyraźnie widoczny na twarzach i ociężały bezruch, wynikający zapewne ze strachu przed tym, żeby nieopatrzny gestem nie zepsuć atmosfery spektaklu, przypomniały mi pewien wieczór w St. James Park, podczas którego opowiadałeś jakąś indyjską legendę. Twoi słuchacze wyglądali tak samo jak widzowie tanecznego misterium, połączeni ze sobą pragnieniem dalszego ciągu opowieści. Nawet drzewa, krzewy i kwiaty na klombach gotowe były pójść wtedy za Tobą, tak jak tu, na Covent Garden Market, kamienice i budynek dawnej hali targowej wydawały się chętne, by ruszyć za tancerką.

Melodia nagle zamilkła, żeby za moment znów zabrzmieć ze zdwojoną siłą. Mały chłopiec, nie odrywając fletu od ust, podał dziewczynie tamburyn i metalowe blaszki instrumentu wzbogaciły smutną melodię. Ludzie stopniowo przyłączali się do egzotycznego tańca. W niedługim czasie ko-

rowód zaczął sunąć przed siebie, mijać stoiska porozkładane przez samozwańcych artystów i wciągać w swe barwne szeregi nawet performerów, dotąd obrażonych z powodu nieprzewidzianej konkurencji. Ciemności zgęstniały, flet zamilkł nieoczekiwanie, melodia ucichła, a po placu rozszedł się szmer zawodu. Rozległy się brawa. Tancerka złożyła ukłon przed publicznością, po czym ujęła w dłonie dużą, błękitną misę i przechadzając się dostojnym krokiem po placu, zbierała datki pośród zgromadzonych. Czasem przystawała, żeby zamienić z kimś parę słów albo uśmiechnąć się do jakiejś małej dziewczynki, pogłaskać ją po głowie, pozwolić jej dotknąć błyszczącej zielonej sukni. W oczach dziewczyny lśniła książęca duma kogoś, kto próbuje zdobyć pieniądze na szczytny cel, a nie zarobić na swoje utrzymanie. Brzęczały monety, szeleściły banknoty, pewna starsza kobieta zdjęła nawet pierścionek z serdecznego palca. W misie dawno już nie było widać dna, gdy plac powoli opustoszał, ludzie odchodzili do domów lub przenosili się w inne zakątki miasta; część zdecydowała się zostać i zajmowała zwolnione miejsca w kawiarniach.

Zapalono latarnie. Poczuliśmy się oszukani ich światłem, jak błyskiem lamp na sali teatru w kulminacyjnym momencie przedstawienia. Powietrze wciąż jeszcze drżało wspomnieniem muzyki, którą wiatr gnał przed siebie i unosił w przestworza. Opuszczając taras, spojrzeliśmy w niebo zasnuwane chmurami. Nieregularne ogniste pęknięcia, pozostałość po niedawnym zachodzie słońca, rozbiły ciężką powłokę z ciemnego granatu. Przywodziły na myśl drogocenną, antyczną wazę, gotową w każdej chwili rozlecieć się ze starości. Znowu zapomnieliśmy, że jesteśmy w Londynie, a obok nie znalazł się nikt, kto mógłby nam o tym przypomnieć. Zewsząd spoglądały na nas oczy cudzoziemców, rozlegały się nieznane języki, chyba też nie całkiem świadome przestrzeni wokół.

Zbierając się do wyjścia, obserwowaliśmy, jak tancerka polewała stopy wodą z plastikowej butelki i wycierała je kawałkiem papierowego ręcznika, a potem zakładała wyszywane cekinami pantofle. Przedtem nie zauważyłam, że tańczyła bosą, ale nie to przykuło moją uwagę. W jej ruchach i w hafcie na szmaragdowej sukni tkwiło coś znajomego, nie umiałam jednak powiedzieć co. Zanim zeszliśmy na dół, dziewczyna niespostrzeżenie znikła w tłumie podążającym w stronę stacji metra. Przystanęliśmy w miejscu, gdzie odbywał się pokaz, i pochyliliśmy się nad ziemią, niczym aktorzy odciskający dłonie w hollywoodzkiej Alei Gwiazd. Kamienie drżały, z rozgrzanego tańcem bruku buchało gorąco. Pod nosem nuciłam zapamiętaną melodię, przekonana, że musiałam słyszeć ją już wcześniej, choć wersja małego artysty miała w sobie więcej uroku. Grupka ganiających się przed nami dzieciaków spłoszyła stado gołębi, które najwyraźniej zapomniały odlecieć na noc do swoich siedzib, i poderwały się do lotu z łoskotem, wzbijając kurz pokrywający nierówną nawierzchnię placu. Przymknęłam oczy, żeby pył nie dostał mi się pod powieki, i natychmiast przypomniałam sobie o paryskim śnie, pustej ulicy i pozytywce z tancerką w szmaragdowej sukni. Czy to była ona? Figurka wirowała w takt mechanicznie dopasowanych dźwięków, będących nieudolną podróbką melodii towarzyszącej pokazowi tańca.

Nie zdążyłam podzielić się z Tobą odkryciem, ponieważ ktoś kilka razy niecierpliwie szarpnął mnie za rękaw sukienki. Odwróciłam się, Ty natychmiast zrobiłeś to samo. Przed nami stał chłopiec z fletem wetkniętym do kieszeni spodni. Patrzył na nas nienaturalnie wielkimi, ciemnymi oczyma. Na jego okrągłej buzi malowała się przede wszystkim ciekawość.

„Zgubiłeś się?” – zapytałam przyjaźnie, żeby go ośmielić. Nie odpowiedział, tylko kilka razy przecząco pokręcił głową i dalej wpatrywał się w nas uporczywie. Jednocześnie dostrzeżliśmy, że chowa coś za plecami, i jak na komendę kucnęliśmy przed nim. Zdobył się wtedy na nieśmiały uśmiech i wetknął mi w dłoń srebrny łańcuszek z zawieszka, po czym pobiegł przed siebie. W oddali migwały nam jasne podeszwy jego sportowych butów, aż w końcu całkiem zniknął między budynkami.

Patrzyliśmy na dziwny upominek, nie bardzo wiedząc, dlaczego trafił w nasze ręce. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak zwykły wisiołek w kształcie prostokąta, jaki można kupić za bezcen u algierskich, marokańskich i tunezyjskich sprzedawców okupujących targi we wszystkich większych dzielnicach Londynu. Dopiero po dłuższej chwili obracania go w dłoniach natrafiłam na niewielkie zgrubienie z tyłu, swego rodzaju klamrę. Nacisnęłam ją, a wtedy okazało się, że to medalion, przeznaczony zapewne do noszenia przy sobie fotografii bliskiej osoby lub jakiejś cennej pamiątki. W środku nie było jednak ani jednego, ani drugiego, znaleźliśmy za to zwykłą białą kar-

teczkę zwiniętą w rulonik. Wbrew przewidywaniom nie napisano na niej miłosnego zaklęcia ani sekretnego listu z wyznaniem, lecz adres: Orange Street i numer mieszkania. Wielokrotnie przechodziliśmy tą ulicą, położoną na tyłach National Gallery, wracając z centrum miasta. Omijaliśmy w ten sposób tłumy gromadzące się zawsze na Trafalgar Square. Postanowiliśmy przy najbliższej okazji udać się pod tajemniczy adres i odszukać właściciela wisiorka. Żadne z nas nie podejrzewało chłopca o kradzież, myśleliśmy, że zamierzał po prostu oddać zgubę i uznać nas za właścicieli. Jeszcze raz otworzyłam medalion, chcąc z powrotem włożyć papier do środka, i mimowolnie przesunęłam palcem po jego tylnej ścianie. Wryto na niej jakieś słowa, czułam to wyraźnie. Podeszliśmy do najbliższej latarni, przy której krążyłyśmy, i w jej świetle odczytaliśmy wygrawerowany przez nieznanego jubilera tekst basmali.

Wokół nas artyści zwijali swoje kramy, chowali turystyczne krzesła, pakowali do plecaków rekwizyty i przybory malarskie. Portrecista męczył się z opornymi sztalugami, aż w końcu stracił do nich cierpliwość i z całej siły kopnął w drewnianą nogę. Przy wyjściu z placu jakaś kobieta, pewnie mieszkanka którejś z kamienic na rogu, ze złością przeganiała afrykańskiego bębniarza, grożąc mu policją. Wciąż było ciepło, choć nad okolicą zawisła delikatna, przezroczysta mgła, widoczna tylko na czarnym tle nieba. Otuleni nią, nie mieliśmy jeszcze ochoty wracać do domu i postanowiliśmy przejść pieszo do następnej stacji metra. Niewielu ludzi wybrało ten sam sposób na spędzenie wieczoru. Niemiecka piosenka dobiegająca z otwartego okna hostelu dla zagranicznej młodzieży wypełniała niemal całą przestrzeń ulicy. Zdarzało nam się przystawać przed dyskretnie podświetlonymi witrynami sklepów i pokazywać sobie palcem lalki, pluszowe misie, tandetne pamiątki z napisem *London*, filcowe kapelusze, figurki z porcelany, okładki książek i przewodników; wszystkie te przedmioty wyglądały zupełnie inaczej niż za dnia, tak jakby zamierzały ożyć i zniknąć z wystawy. W bramie całowała się jakaś para, trzymając łaciatego psa na zbyt długiej smyczy. Popatrzyliśmy na siebie ze śmiechem, bo parę minut wcześniej robiliśmy to samo na schodach pogrążonej w ciemności siedziby agencji pośrednictwa pracy tymczasowej. Jeszcze nie zdążyło opuścić nas to wspomnienie, gdy w oddali rozległo się wycie alarmu i dźwięk policyjnej syreny. Na chodniku stopniowo zaczęło pojawiać się coraz więcej osób, część z nich zataczała się nieznacznie, mając za sobą kilka drinków w pubie.

Dotarliśmy na Leicester Square. Przed klubami nocnymi rozsypanymi dookoła placu ustawiły się tłumy, podglądane z daleka przez paparazzich, w nadziei, że uda się wśród zgromadzonych wypatrzeć jakąś światową sławę, celowo unikającą wchodzenia wejściem dla VIP-ów. W blasku neonów wszystkie twarze zmieniały kolory, raz po raz stając się nienaturalnie białe, żółte, różowe albo niebieskie. Po ścianach kamienic biegały świetlne refleksy rzucane przez wiszącą na zewnątrz dyskotekową kulę, niektóre okna rozbłyskiwały światłem stroboskopowym i ultrafioletem. Koło wejścia do kasyna mężczyźni w garniturach rozmawiali przez telefony komórkowe, przy budynkach kina Odeon spacerowali oczekujący na seans. Na telebimach nieustannie wyświetlano reklamy najnowszych filmów i premier kolejnego sezonu. Pachniało popcornem i hot dogami.

Trawa na skwerze wydawała się niemal czarna, tak jak korony drzew. Na noc zamknięto fontannę, pośrodku której przysypiał posąg Szekspira, tu i ówdzie zapaskudzony przez mieszkające w okolicy gołębie. Ławki, okupowane za dnia przez turystów i spacerowiczów, teraz świeciły pustkami, po alejkach kręciły się grupy rozbawionych imprezowiczów. Parę osób pochylało się nad książką opisującą nocne życie Londynu, próbując wybrać najmodniejszy klub. W pobliżu krążyła Cyganka z włosami zaplecionymi w gruby warkocz. Długa czerwona spódnica w krzykliwe różowe kwiaty, żółta bluzka i opadające skarpety frotté upodabniały ją do kolorowego ptaka wdzięczącego się w nadziei, że ktoś zechce rzucić mu okruch. Trójkątna kolorowa chusta na jej ramionach podnosiła się na wietrze i układała w kształt przypominający ptasie skrzydła. Patrzyliśmy, jak kobieta zaczepia przechodniów i proponuje im przepowiednie.

– Może powróżyć? – zażartowałeś po chwili, naśladując jej głos.

– Umiesz czytać z kart? – zapytałam, ale powiedziałeś ze śmiechem:

– Częściej czytam z ludzkich oczu niż z kart.

Przeszliśmy właśnie na drugą stronę skweru, gdzie wiekowy Chińczyk sprzedawał słodycze z objazdowej budki. Kupiliśmy u niego wiśnie w czekoladzie, kandyzowane ananasy i śmieszne cu-



kierki, które pozwalały rozciągnąć się na długość jednego metra. Niosąc różki z błyszczącego papieru, zajęliśmy miejsce na ławce i obserwowaliśmy tętniący życiem plac. Udzieliła się nam gorączka sobotniej nocy, atmosfera niekończącego się karnawału. Tu nawet księżyc wydawał się błyszczeć, zamiast świecić, był inny niż ten z Covent Garden Market. Na horyzoncie znów pojawiła się Cyganka. Teraz targła kosz z ciemnej wikliny i do każdej przepowiedni dołączała dorodne czerwone jabłko. Przechodnie chętnie przystawali i dawali się wciągnąć w rozmowę, niektórzy bez nagabywania podawali dłonie, by poznać zakłątą w nich przyszłość.

Podnieśliśmy się z ławki z zamiarem kupienia czegoś do picia w barze pobliskiego kina, a wtedy Cyganka zmieniona zastąpiła nam drogę. „Może powróżyć panience?” – zapytała przymilnym głosem, chwytając moją rękę, ale puściła ją jak oparzona, niemal natychmiast przenosząc wzrok na Ciebie. W oczach kobiety odbiło się graniczące z obłędem przerażenie, kosz upadł na ziemię, jabłka potoczyły się po chodniku. Zanim rzuciła się do ucieczki, zdążyła wykonać w powietrzu znak krzyża. W biegu zgubiła kolorową chustę z frędzlami, a mimo to pędziła dalej, jakby sam diabeł deptał jej po piętach. Nie mogłam zrozumieć, co ją tak przestraszyło.

Ty byłeś za to nadmiernie spokojny. „Nie przejmuj się, Cyganie mają swoje przesady” – mówiłeś, gdy próbowałam śledzić wzrokiem znikającą kobietę. W oddali majaczyły niewyraźne sylwetki ludzi, którzy zdecydowali się przedwcześnie opuścić nocne kluby albo nie zostali do nich wypuszczeni przez selekcyonerów.

Na opustoszałej alejce byliśmy tylko my i mężczyzna zbierający śmieci do plastikowego worka. Zrezygnowaliśmy z wizyty w pobliskim barze i kontynuowaliśmy nasz spacer. Po niedawnym deszczu zostały jeszcze gdzieś na wpół wyschnięte, błotniste kałuże. W jednej z nich leżał przybrudzony, pocięty obrazek. Podchodząc bliżej, rozpoznałam w nim kartę do gry, nie była to jednak żadna z popularnych talii. Odręcznie wykonany rysunek przedstawiał młodą dziewczynę w czarnej sukni i w czarnym welonie, kładącą kwiat na płycie nagrobnej. Na dole znajdował się jeszcze napis *Wdowa*. Nie mogłam oderwać wzroku od rysunku, aż wzięłeś mnie za rękę i wyjaśniłeś, że to karta cygańska. Widząc, że wciąż jej się przyglądam, dodałeś żartem: „Lepiej ją wyrzucić, może przynieść nieszczęście”. Odwróciłam wzrok od znaleziska i spojrzałam na Ciebie z wyrzutem. W tej samej chwili po niebie przemknęła błyskawica i zerwał się wiatr. Nie zważając na to, przyciągnąłeś mnie do siebie, pocałowałeś w czoło i potargałeś mi włosy.

Próbując zdążyć przed deszczem, pobiegliśmy na Charing Cross Road, by tam złapać taksówkę. W tajemnicy przed Tobą zdążyłam schować kartę do torebki. Nie mogłam pozbyć się uczucia, że Cyganka, uciekając, specjalnie rzuciła mi ją pod nogi.

Na Orange Street wybraliśmy się niedzielnym przedpołudniem. Wcześniej wstąpiliśmy jeszcze do El Khimy na kawę z kardamonem. Mu‘allim Mustafa już od rana ogrywał w warcaby swoich klientów, świetnie się przy tym bawiąc. Ledwie zajęliśmy stolik, za oknem znowu się zachmurzyło, a przechodnie przyspieszyli kroku w obawie przed deszczem, przyzwyczajeni do znoszenia różnych kaprysów angielskiej pogody. W pośpiechu opuściliśmy kawiarnię, potrącając na chodniku sprzedawcę parasoli, który przezornie zamierzał ustawić się w pobliżu stacji metra. Po dwóch przesiadkach wysiedliśmy wreszcie na Picadilly Circus i zdziwieni, że jeszcze się nie rozpadało, poszliśmy przez Haymarket prosto na Orange Street. Znalezienie właściwego numeru nie zajęło nam dużo czasu. Pomarańczowa kamienica z pomalowanymi niebieską farbą futrynami okien już z daleka rzucała się w oczy, stwarzając złudzenie, że nad ulicą, mimo zasnutego nieprzyjaznymi chmurami, białego nieba, zaświeciło słońce. Po ścianie budynku wspinała się winorośl. Podeszliśmy do bramy i wcisnęliśmy guzik domofonu. Po drugiej stronie nikt się nie odezwał, ale usłyszeliśmy brzęczyk otwierający ciężką, metalową kratę. Klatka schodowa pachniała czystością, woń proszku do prania mieszała się w powietrzu z charakterystycznym zapachem środka do konserwacji kamiennych podłóg. W jednym z mijanych mieszkań ktoś grał na fortepianie. Wspinaliśmy się na górę, wodząc wzrokiem po kolejnych drzwiach. Wszystkie wyglądały tak samo. Nikt nie trzymał przed nimi butów, trójkołowych rowerków ani dziecinnych wózków, jak to miało miejsce w londyńskich blokowiskach, gdzie znaczna część życia lokatorów toczyła się na korytarzu. Kryształowe kinkiety, wypolerowane na wysoki połysk schody, mosiężne poręcze i klamki nie pozostawiały żadnych wątpliwości, że właściciel wziął sobie za cel przekształcenie kamienicy w luksusowy apartamento-

wiec. Nie potrafił jednak zdecydować, jaki styl mu nadać. Mniej więcej w połowie drugiego piętra poczuliśmy zapach świeżej mięty. Najpierw objawił się nam dyskretną, ledwie wyczuwalną nutą, potem stopniowo nabierał intensywności, prowadząc nas coraz wyżej, aż na ostatnią kondygnację. Niski, ukośny sufit zdawał się opadać tu na głowę, wokół panował półmrok chowający w cieniu drewniane drzwi.

Dzwonek nie zadziałał. Za pierwszym razem nikt też nie zareagował na nasze pukanie, lecz wyczuwaliśmy po drugiej stronie czyjaś obecność. Najpierw ktoś nasłuchiwał uważnie odgłosów z korytarza, potem po cichu skradał się coraz bliżej, żeby wyrzucić przez wizjer. Zapukałeś jeszcze raz i wówczas za drzwiami rozległ się tupot bosych stóp. Po chwili drzwi otworzyły się z przesadną ostrożnością. Z mieszkania wypłynęła ku nam fala silnego, obezwładniającego zapachu, zza futryny wyjrzał chłopiec spotkany na Covent Garden Market. Jego oczy wydawały się jeszcze większe niż poprzedniego wieczoru. Na nasz widok uśmiechnął się nieśmiało i otworzył szerzej drzwi, zapraszając nas do środka gestem boya hotelowego. Skorzystaliśmy z zaproszenia i znaleźliśmy się w jasnym, przestronnym salonie o nieskazitelnie białych ścianach. Gliniane donice z bujnie rosnącą miętą zajmowały cały parapet, sadzonki tej rośliny okupowały również podłogę pod oknem, popychane ciasno do skrzynek i pojemników po jogurtach. Pokój umeblowano prosto, wręcz ascetycznie. Duży drewniany stół z trzema krzesłami, łóżko starannie zaścienione kolorową narzutą, turystyczna szafa z szarego brezentu, kilka książek ułożonych jedna na drugiej dawały wrażenie przygnębiającej tymczasowości. Innych sprzętów w pokoju nie było. W kącie, za symbolicznym przepierzeniem z cienkiej gipsowej płyty, znajdował się aneks kuchenny. W przeciwieństwie do wielu domów, gdzie poniewierają się różne drobiazgi, szczotki do włosów, spinki, kubki po pitej w pośpiechu porannej kawie, kosmetyki używane tuż przed wyjściem do miasta, gazety i resztki jedzenia, tu nie można było znaleźć żadnych oznak codziennego życia, tak często objawiających się w bałaganie. Każdy przedmiot wyglądał tak, jakby musiał mieć swoje miejsce, znajdować się pod ręką, gdyby zaistniała nagle konieczność spakowania go do stojącej w przedpokoju walizki. Stailiśmy tak, rozglądając się coraz śmieiej, aż za nami trzasnęły drzwi i rozległ się odgłos lekkich, ostrożnie stawianych kroków. Odwróciliśmy się gwałtownie i zetknęliśmy się wzrokiem z dziewczyną wycierającą wilgotne włosy pasiastym ręcznikiem.

Przywitała się grzecznie, ale bez cienia uśmiechu, z rezerwą, nakazującą przypuszczać, że czuje się skrępowana z powodu naszej wizyty. Uprzejmość, a może wynikająca z tradycji wierność zasadom gościnności, nie pozwoliła jej okazać niezadowolenia ani uchybić nam w żaden sposób, jednakże oboje zauważyliśmy, że próbuje zachować jak największy dystans. Patrzyła z lękiem i nieufnością, jakby chciała przejrzeć nas na wylot. W pierwszej chwili nie rozpoznałam w niej tancerki z Covent Garden Market. W spranych dzinsach i bawełnianej tunice z błękitnym haftem wokół dekoltu trudno było zobaczyć egzotyczną piękność potrafiącą oczarować publiczność. Wyglądała zwyczajnie, jak skromna uczennica z pobliskiego college'u. Zmęczona twarz bez makijażu, sztywny kark i wyprostowana sylwetka pozbawiały ją tej zwiewności, jaką miała na placu. W kilku słowach wyjaśniła, kim jesteście i dlaczego przyszliście, pokazała wisiołek, tak jakby był przepustką do dziwnego świata tych dwojga. Dziewczyna ujęła medalion w dłoń i w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia. Jeszcze raz przyjrzała nam się uważnie, aż w końcu uznała, że również powinna się przedstawić.

– Mam na imię Fatima – powiedziała cicho – a to Ahmed, mój młodszy brat.

Chłopiec, do tej pory stojący nieruchomo, u boku siostry, pociągnął ją mocno za skrawek tuniki, a gdy na niego spojrzała, skrzywił się i potępiająco pokręcił głową. Na moment zapadła cisza, lecz mały nie dawał za wygraną. Nie doczekawszy się spodziewanej reakcji ze strony dziewczyny, najpierw parę razy podskoczył w miejscu, potem niecierpliwie szarpnął jej rękę. Nic nie wskórawszy jednak, wreszcie poddał się i utkwiał wzrok w Twojej twarzy. Niemal natychmiast odwróciłeś się w jego stronę, jakby zawołał Cię po imieniu, w pokoju jednak nie rozległ się żaden dźwięk. Porozumieliście się oczyma jak para dobrych znajomych, po czym zwróciłeś się do tancerki:

– Nie masz na imię Fatima, a on wcale nie nosi imienia Ahmed i nie jest twoim bratem.

Zamiast spodziewanego wyrzutu w Twoich słowach brzmiało zrozumienie, być może nawet współczucie, przełamujące nieufność dziewczyny. Chłopczyk przebiegł przez pokój i przylgnął po-

liczkiem do Twojej nogi, obejmując ją chudymi rączkami. Z uśmiechem na twarzy zmierzwiłeś mu włosy, a on, dumny z siebie, poprowadził Cię prosto do stołu. Wsunąwszy drewniane krzesło, wskazał, byś na nim usiadł, a następnie wdrapał Ci się na kolana. Nikt nie miał już wątpliwości, kto został jego ulubieńcem. Na ten widok gospodyni niewielkiego mieszkanka zreflektowała się i wskazała mi drugie krzesło, jednocześnie kładąc na nim płaską poduszkę. Sama zajęła miejsce na łóżku.

– Nazywam się Jasmina al-Kamari, a Karim jest moim synem. Od czterech lat mieszkamy w Europie. Do Londynu przyjechaliśmy z Maroka, dokładnie z Marrakeszu – westchnęła z rezygnacją, a że chłopiec nie spuszczał z niej oczu, jakby pilnował, żeby mówiła prawdę, dodała wyjaśniająco: – Właściwie nie przyjechaliśmy. Musieliśmy stamtąd uciekać.

Dalszy ciąg opowieści nie następował, choć wypatrywaliśmy go niecierpliwie. Przeczuliśmy, że musi kryć w sobie tragiczną tajemnicę. Woleliśmy, żeby to dziewczyna nadała swoim słowom kształt ostateczny, zdecydowała, które z nich wypowiedzieć, a które ukryć za zasłoną milczenia, i dlatego powstrzymaliśmy się od zadawania pytań. Ona tymczasem wstała, przyniosła z przedpokoju dużą skórzaną torbę, wydobyla z niej coś i przywołała do siebie Karima. Chłopiec niechętnie zsunął się z Twoich kolan. Jasmina wcisnęła mu do ręki banknot pięćdziesięciofuntowy, szepnęła coś do ucha i kazała założyć kurtkę.

– Przepraszam, musiałam wysłać go do sklepu. Przy nim nie mogłabym wszystkiego wam opowiedzieć – wyjaśniła, kiedy malec zamknął za sobą drzwi. – Jak wróci, zaparzę herbatę, znam zasady gościnności, ale teraz nie chciałabym tracić czasu.

Znów wyszła z pokoju na niewielki korytarz, otworzyła drzwi prowadzące na klatkę schodową i upewniwszy się, że nikt za nimi nie stoi, ponownie zajęła miejsce na łóżku.

– Mój syn jest bardzo sprytny – uśmiechnęła się smutno, co miało wystarczyć nam za wyjaśnienie jej dziwnego zachowania. – Jak już się pewnie zorientowaliście, nie mówi. Zaraz wam opowiem, jak do tego doszło. Część z tych strasznych wydarzeń zdążył na szczęście zapomnieć i wolałabym mu o nich nie przypominać.

Przez otwarty lufcik do salonu wpadał wiatr, wydymając firankę i poruszając delikatnie listkami mięty. To w nich dziewczyna utkwiała na chwilę wzrok, ale zaraz przerwała milczenie.

– Nigdy dotąd nie dzieliłam się z nikim naszą historią, ale skoro Karim wam zaufał, ja również powinnam. Wiele razy kłamałam w jego obecności. Wie, że musimy zachować ostrożność, jednak dziś domagał się, żebym mówiła prawdę. Może pomożecie mi znaleźć w tym jakiś sens.

Dziewczyna zachowywała się jak ktoś, kto długo przebywał w cieniu i po wyjściu na słońce nie mógł znieść jego blasku. Przez jej twarz przepływały wspomnienia tych wszystkich imion i nazwisk, które zmuszona była nosić, odgrywanych ról, fałszywych tożsamości. Pragnienie powiedzenia prawdy wciąż walczyło w niej z przyzwyczajeniem do ubierania swojego życia w wymyśloną opowieść. Jeszcze raz zmierzyła nas wzrokiem, żeby ostatecznie upewnić się, czy może powierzyć nam swoje tajemnice. Nie dostrzegłszy niczego podejrzanego, w końcu zdecydowała się mówić, a słowa popłynęły szerokim strumieniem.

– Miałam szesnaście lat, kiedy pierwszy raz zobaczyłam ojca Karima. Nigdy nie zapomnę tamtego dnia, ludzie nie zapominają chwil, które na zawsze zmieniły bieg ich własnych historii. Pewnie pomyślicie, że jeden dzień nie ma znaczenia dla całej opowieści, a jednak musicie o nim usłyszeć, żeby zrozumieć to, co wydarzyło się później.

Oczy Jasminy zaśniły takim samym blaskiem, jaki płonął w nich, gdy tańczyła na placu. Z każdym kolejnym słowem cofała się w tę odległą przeszłość, kiedy jeszcze nie istniały gniew, rozpacz ani ból, a nawet jeśli zdarzyło im się pojawić, przemijały łagodnie jak pory roku, nie zamieniając życia w udrękę.

– Przyjechałam do Marrakeszu tuż przed pójściem do szkoły. Wcześniej mieszkaliśmy na obrzeżach Tangeru, ale niewiele pamiętam z tamtego okresu. Ojciec postanowił wrócić po latach do rodzinnego miasta i zająć się tym, czym z mniejszym lub większym powodzeniem zajmowali się jego przodkowie: sprzedają suszonych owoców na placu Dżama al-Fna'. Nieraz słyszałam od obcych, że powodem nieoczekiwanego powrotu nie była bynajmniej smykałka do interesów ani tęsknota za domem na Rue de la Kasbah, w pobliżu słynnej bramy Bab Agnaou, lecz zawód miłosny. Nie pamiętam matki, prawdę mówiąc nie mam nawet jednego wspomnienia, które byłoby

z nią związane, znam za to krążące o niej legendy. W Tangerze szeptano na mój widok, że uciekła do Europy z przystojnym cudzoziemcem. Niektórzy twierdzili, że została porwana, inni, że otruta przez zazdrosnego kochanka. Czasami sąsiadki zatrzymywały mnie na ulicy i mówiły, że matka była dzinniją o wielbłądzich nogach, czarownicą, istotą nieczystą zabraną przez Szejtana w głąb piekła, albo wmawiały, że zostałam podrzucona przez ghule. Ojciec wpadał w szał, kiedy z płaczem powtarzałam mu te historie, opowiadane najczęściej przez kobiety, które za wszelką cenę chciały go wyswatać. Pewnego dnia po prostu spakował nasze rzeczy i wyjechaliśmy.

Na ramieniu dziewczyny usiadła zbłąkana mucha. Jasmina przegoniła ją delikatnym ruchem, jednym z tych, które wykonywała w tańcu, i powróciła do przerwanej opowieści.

– Dzieciństwo w Marrakeszu upływało mi spokojnie, choć pamiętam też, że na początku przyjęto nas z nieufnością i tak jak w Tangerze szeptano na nasz temat. Tu jednak nikt nie próbował szukać ojcu żony, ludzie litowali się nad nim i jego złamanym sercem, a potem po prostu przyzwyczaili się, że żyje sam. W tym czasie próbował razem z moim wujem ratować rodzinny interes, doprowadzony przez dziadka niemal do ruiny. Przestając z Francuzami w czasach protektoratu, dziadek popadł w alkoholizm i regularnie przepijał wszystko, co udało mu się zarobić. Po całych dniach włączył się gdzieś z cudzoziemcami albo siedział przed domem, palił kif i śpiewał na całe gardło, a rodzina nie miała co włożyć do garnka. W końcu umarł, zostawiając po sobie jedynie długi i wstyd.

W miarę rozwijania się opowieści z twarzy dziewczyny zniknęło napięcie, rysy łagodniały, głos nabierał miękkości. Słyszeliśmy w nim tęsknotę, wzruszenie i ciepło, wszystko, co składa się na niepowtarzalny dźwięk wspomnień.

– Po szkole nigdy nie wracałam od razu do domu, szłam do ojca, na Dżama al-Fna'. Tam odrabiałam lekcje albo obserwowałam przyjezdnych, podjadając różne słodkości, morele, figi albo daktyle. To plac był moim domem, powiernikiem i przyjacielem, znałam tam każdy kąt. Ciągłe śni mi się, jak idę wzdłuż murów i przesuwam po nich ręką. Pamiętam, w których miejscach tkwią w nich ubytki, potrafię odtworzyć z pamięci fakturę ścian, widzę je, wystarczy, że zamknę oczy. My, ludzie z placu, trzymaliśmy się razem. Sprzedawcy dzielili się między sobą kuskusem, tadżinem, pachnącą harirą, płaskim chlebem wypiekany przez ich żony w opalanych drewnem glinianych piecach. Krążący wśród tłumu roznosiciel herbaty co i rusz częstował nią kogoś znajomego, cmokając go w oba policzki. Czasem śmiałyśmy się, że Dżama to takie miejsce, gdzie nie da się umrzeć z głodu i pragnienia. Jednego tylko nie mogłam zrozumieć: dlaczego nazwano go Zgromadzeniem Umarłych. Tak jak wszyscy mieszkańcy medyny znałam ludowe podania, wysysane przez nas niejako z mlekiem matki, także legendę o nieszczęśnikach poległych przy budowie meczetu Kutubijja. Ich krew miała zabarwić na czerwono glinę, z której wznoszono tutejsze budynki, a dusze podobno wciąż błąkały się po placu. Słyszałam opowieści o widmach czarnych niewolników zgłodzonych w czasie niegdysiejszych targów, o zjawach wychodzących ze ścian domów i straszących przechodniów niemal na śmierć, ale dla mnie Dżama zawsze był placem życia, sercem miasta, oceanem ludzkiej życzliwości.

Jasmina opowiadała w taki sam sposób, w jaki tańczyła: zwiewnie i lekko. Chwilami wydawała się zapominać, że czas pędzi nieubłaganie i lada moment w mieszkaniu znów zjawi się Karim. Spojrzenie jej płonęło, na policzkach kwitły rumieńce. Z każdym wypowiedzianym słowem przeobrażała swoją historię w baśń snutą gdzieś na pustyni, przy ogniu, pod rozgwieżdżonym niebem. Wspomnienia dziewczyny prowadziły nas wąskimi uliczkami medyny Marrakeszu prosto na Dżama al-Fna' i sprawiały, że patrzyliśmy na świat jej oczami. Słuchając opowieści, myślałam o tym, że każdy ma miejsce, do którego należy i z którym splata swój los, że łączące z nim więzy są nierozrwalne i wieczne.

– Wraz z zapadnięciem zmroku plac przeobrażał się. Stragany rozświetlały się jasnym światłem żarówek, ze stoisk z jedzeniem ulatywały wąskie smużki dymu, oplatając budynki nicią białej mgły. W nocy plac należał do innych ludzi niż za dnia. Ciemność wyganiała do domów czyścicieli butów, samozwańczych przewodników i hochsztaplerów, próbujących od rana do wieczora naciągać turystów. Z zaułków wynurzali się poobwieszani towarem sprzedawcy pamiątek, muzycy, tancerze z pochodniami, kuglarze, artyści z okolicznych wiosek, niekiedy również – twarz Jasminy przybrała kolor purpury – prostytutki albo młodzi chłopcy oferujący swoje usługi bogatym

cudzoziemcom. Niektórzy rozpalali ogień wprost na bruku i skakali przez płomienie, które buchały coraz wyżej i wyżej. Część miejscowej młodzieży wypatrywała w tłumie starej Amny. Czasem zdarzało jej się przyczłapać na opuchniętych nogach, z żyłakami przypominającymi grube korzenie drzew, żeby malować henną dłonie i stopy za parę dirhamów. Podobno była w tej sztuce najlepsza.

Jasmina wyciągnęła przed siebie prawą rękę, jakby próbowała dostrzec na skórze niewidzialny rysunek, potem przeniosła wzrok na nas. Widząc, że oboje jesteśmy spragnieni dalszego ciągu opowieści, odrzuciła w tył głowę ruchem przypominającym przygotowywanie się do kulminacyjnego punktu przedstawienia i znów zaczęła mówić.

– Co noc ktoś zostawał na Dżama pilnować straganów. Gdy nadchodziła kolej mojego ojca, zostawałam razem z nim. Plac wyludniał się dopiero między drugą a trzecią w nocy, ludzie wracali wtedy do domów, z wyjątkiem awanturników i rzezimieszków czających się w ciemnych bramach medyny. Rozkładaliśmy posłania, zawsze pod gołym niebem, a wokół nas życie nigdy nie zamierało. Pamiętam te noce – uśmiechnęła się tylko do siebie. – W oddali rżał osioł, warczał motor, płakało dziecko, słychać było nawoływania ginące za dnia wśród innych odgłosów. Zazwyczaj długo leżałam, nie śpiąc i wpatrując się w wędrujące po dachach promienie księżyca. W myślach układałam sobie baśń o tajemniczym przybyszu z dalekich krain, który objechał cały świat, ale dotarłszy do Marrakeszu, uległ czarowi placu i postanowił zostać tutaj na zawsze. Zamieszkał w jednym ze starych domów, z oknami wychodzącymi na meczet Kutubijja. Po całych dniach przesiadywał na dachu i notował wszystko, co działo się na dole, jakby chciał zatrzymać w ten sposób każdą mijającą godzinę. Nawet po śmierci nie potrafił opuścić Dżama al-Fna'. Wyobrażałam sobie, jak jego dusza błąka się po kawiarniach i sukach, między straganami, czasem pojawia się na balkonach i maszrabijjach. Którejś nocy wymyśliłam, że nie mogąc dłużej przebywać na ziemi, wcieliła się w księżyc i powraca na plac pod tą postacią. Wiele razy opowiadałam sobie tę historię od nowa, aż w końcu uwierzyłam, że człowiek zaklęty w księżycu znów zjawi się na Dżama i wyjdę za niego za męża. Nabrałam przekonania, że jego nadejście poprzedzą różne znaki i dzięki nim go rozpoznam. Podczas jednej z wielu nocy na placu usłyszałam piosenkę. Dolatywała z soku al-Bahja, na którym komuś najwyraźniej nie chciało się spać. Nieznany śpiewak zawodził tęsknie: *Uyunak majja, 'uyunak kifayya, tinawar lajali, habibi, habibi, habibi ya nur al-'ajn*<sup>2</sup>, a mój wzrok wędrował ku lśniącej tarczy na niebie, powtarzając słowa o oczach ukochanego, które zawsze są ze mną, ich blask rozświetla nocne ciemności i rozpala płomień w moim spojrzeniu. Wówczas nie zdawałam sobie jeszcze sprawy z tego, że baśnie mają wielką, niczym nieograniczoną moc i mogą stać się rzeczywistością.

Jasmina smutno zapatrzyła się w niebo zamknięte w okiennej ramie, pochmurne, wyniosłe i niedostępne. Nawet ptaki omijały je z daleka, przysiadając na kominach z czerwonej cegły, zamiast lecieć w dal albo krążyć nad miastem. Minęło dobrych kilka minut, nim oblicze dziewczyny rozjaśniło się na powrót, jakby padła na nie wiązka niewidzialnego światła.

– Tamtego dnia nie zapomnę do końca życia, być może będę pamiętać go nawet po śmierci, jeśli cokolwiek istnieje na tamym świecie – powiedziała. – Akurat trwał święty miesiąc ramadan. Na placu panowała niespokojna, nerwowa atmosfera. Wszyscy byli wyczerpani postem, upałem i przygotowaniami do iftaru. Mężczyźni nie mogli sięgnąć po papierosa i tylko burczeli na siebie nawzajem. Po szkole jak zawsze przyszedłam na plac pomóc ojcu obsługiwać klientów, akurat w tym czasie ludzie na potęgę kupowali daktyle. Z meczetów dobiegały fragmenty Koranu, głosy muezzinów mieszały się ze sobą, zacierając znaczenie słów i wywołując efekt podobny do echa. Długie stoły przed stoiskami z jedzeniem dużo wcześniej przygotowywano na wieczorną kolację, zakrywając je ceratą albo białym papierem. Wielu ludzi nie zamierzało świętować w swoich domach. Akurat wsypywałam do foliowej torebki morele dla dwójki Hiszpanów, kiedy nieopodal zaczęło się coś dziać. Zwróciłam głowę w tamtym kierunku i wypatrzyłam grupę przyprowadzoną na Dżama przez przewodnika. Poznałam go. Stał zwrócony tyłem do mnie, mówiąc głośno i wyraźnie, a ruchem ręki pokazując przyjezdnym, gdzie znajdują się restauracje, kawiarnie, stragany i sklepy. Skończywszy objaśniać skomplikowaną topografię placu, popatrzył na zegarek i wyznaczył godzinę zbiórki. Turyści zaczęli rozchodzić się na wszystkie strony, kilku zatrzymało się na dłużej i zarzuciło przewodnika pytaniami. Mężczyzna cierpliwie tłumaczył, ale w pewnym momencie prze-

rwał rozmowę i zaskoczony rozejrzał się dookoła, jakby dobiegło go czyjeś wołanie. Nie zauważył jednak niczego i pewnie uznał, że mu się wydawało, bo znów zajął się swoją pracą. Sytuacja powtórzyła się jeszcze dwukrotnie. Za drugim razem odwrócił się gwałtownie, reagując na niedostrzegalne szarpnięcie za ramię, i wtedy spotkaliśmy się wzrokiem. Jego oczy zaślnęły tak, jakby rozpoznał kogoś, kogo dawno nie widział, a Dżama al-Fna' zamarł i stracił oddech.

Głos Jasminy drżał od powstrzymywanych z trudem emocji, od namiętności kryjących się za zasłoną słów. Przetrzęsając zakamarki pamięci w poszukiwaniu wspomnień, traciła kontrolę nad opowieścią, pozwalając jej wymykać się z rąk i podążać tam, dokąd chciała dotrzeć.

– Chmury zatrzymały się na niebie jak ogniste rumaki, którym woźnica nagle ściągnął lejce. Wszystko wokół pokrył pustynny kurz, choć nie wiadomo, jakim sposobem wiatr przygnał go aż na plac. Cienka warstwa piasku złociła się w promieniach słońca, a ludzie zastygli w bezruchu, upodabniając się do bohaterów *Księgi tysiąca i jednej nocy*, zamienianych w kamień przez podstępne dzinnije. Dłoń sprzedawcy soku z pomarańczy zawisała w próżni, trzymając na wpół obrany owoc, ze skórką poskręcaną niczym sprężyna, przechodnie zamarli z otwartymi ustami. W powietrze wzbily się niedokończone rozmowy. Gołębie, nie mogąc poderwać się do lotu, wciąż tkwiły na bruku, który zdawał się więzić ich nogi. Przypominały wycinanki z szarego papieru. Sprzedawcy z Dżama myśleli, że nadszedł już koniec, że plac za chwilę zapadnie się w sobie, zniknie pod ziemią, wciągając ich w otchłań. Ja widziałam tylko oczy nieznanego mężczyzny, ogromne jak dwa czarne, bezbrzeżne oceany, i dopiero później ojciec zrelacjonował mi wydarzenia tamtego popołudnia. Nigdy nie przypuszczałam, że może istnieć piękno zatrzymujące odwieczny ruch świata, piękno, któremu podporządkowują się wszystkie żywy. Taki właśnie był Jasin, choć może to tylko mnie się takim wydawał. Pokochałam go tym rodzajem uczucia, o którym mówi się, że jest prezentem od Boga. Dwa lata później wzięłam z nim ślub. Ktoś jednak postanowił za wszelką cenę zniszczyć nasze szczęście.

Na rzęsach dziewczyny błysnęły łzy. Powstrzymała je w porę, nie pozwalając, by potoczyły się po policzkach, na wszelki wypadek jednak przetarła podbródek kantem dłoni. Przemknęło mi przez głowę, że powinnam podać jej chusteczkę, gdy nagle drzwi otworzyły się z hukiem. Do mieszkania wbiegł Karim i z miną łowcy tygrysów podał matce pudełko herbaty.

– *Szukran, habibi* – powiedziała, cmokając go w policzek i pilnując, by głos jej nie zadrżał – ale zapomniałeś o ciastkach. Musimy mieć ciastka dla gości.

Chłopiec w jednej chwili wyrwał się z jej uścisku i znów popędził do sklepu. Słyszeliśmy, jak przeskakuje schody po dwa stopnie, żeby jak najszybciej zbiec na dół. Jasmina podniosła się z łóżka i wyjrzała przez okno. Przyglądała się Karimowi, dopóki nie zniknął za rogiem sąsiedniego budynku. Na jej twarzy malowała się czułość i matczyna duma.

– Nie mogę się nadziwić, że on tak szybko rośnie. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. Synek na moment rozjaśnił mroki przeszłości, tę ciemną, niepożądaną część własnej historii, którą zamierzała nam opowiedzieć. W końcu poczuła się na to gotowa i wróciwszy na łóżko, zaczęła ostrożnie: – Na mojej ulicy mieszkał pewien chłopak. Miał na imię Ismail i wychował się w południowej Francji. Jego rodzina uważała się za lepszą od innych, ale ludzie z sąsiedztwa nie darzyli jej szczególną sympatią. Rodzice Ismaila dorobili się fortuny w Europie i wrócili do Marrakeszu. Na tego chłopaka wołano Francuz, bo nie chciał rozmawiać w naszym języku, często udawał nawet, że nie rozumie słowa po arabsku. Był wysoki i chudy, zawsze apatyczny, ciągle włóczył się z książką. Sprawiał wrażenie, że wszyscy wokół są zbędni. Nie miałam pojęcia, że mu się podobam i że śledzi każdy mój krok. Dopiero po ślubie z Jasinem wszystko się wydało. Wesele odbywało się oczywiście na Dżama. Zaprosiliśmy na nie również sąsiadów, zaprzyjaźnionych sprzedawców i wielu towarzyszy naszego życia na placu. Stara Amna ozdobiła moje dłonie i stopy henną, o jakiej żadna panna młoda nawet nie śmiała marzyć. Nagotowano potraw na kilkaset osób, stoły uginały się od pieczonych baranów, kuskusu z rodzynekami, ciastek szebakia, przypominających kształtem róże pustyni. Wesele trwało w najlepsze, były tańce, kobiecy *zagharid* niósł się echem po całym Marrakeszu, a w tym samym czasie ktoś otruł wszystkie zwierzęta w okolicy i pomalował ohydną, krwawą mazią drzwi domów w medinie. W apartamencie nowożeńców, gdzie mieliśmy spędzić noc poślubną, wybuchł pożar. Powtarzano nam, że to zły omen, zwiastun nieszczęścia, ale byliśmy tak

zajęci sobą, że nic nas nie obchodziło. Uznaliśmy to gadanie za zwykłe przesady. Szeptaliśmy do siebie, że żadne zło nie będzie w stanie pokonać naszej miłości, ale dziwne rzeczy zdarzały się coraz częściej.

– Jak dowiedzieliście się, kto za tym wszystkim stoi? – zapytałeś.

– W końcu się przyznał – westchnęła dziewczyna – ale wiele musiało się zdarzyć, zanim do tego doszło. Razem z Jasinem zamieszkaliśmy u mojego ojca. Już kilka dni po ślubie Jasin dostał pierwszy list z pogrozkami, potem były kolejne, choć długo o nich nie wiedziałam. Pewnie to nie przypadek, że listy, owinięte wokół czarnych kamieni kahlá, tych, które zawiesza się dzieciom na szyi dla ochrony przed złym spojrzeniem, wpadały akurat przez okno tego pomieszczenia, w którym mnie nie było. Treść zawsze brzmiała podobnie: Jasin miał mnie zostawić albo stracić życie. Nie wiedziałam nie tylko o listach, ukrywano przede mną również to, że na naszym progu zaczęły pojawiać się różne świństwa: ludzkie odchody, trochę zakrzepłej krwi, barania głowa przeżarta przez białe, wijące się robaki, które wylażyły pustymi oczodołami, martwy wąż z rozprutym brzuchem albo krowie wnętrzności. Byłam już wtedy w ciąży, Jasin zabronił mówić mi o czymkolwiek, bo bał się nie tylko o mnie, ale i o nasze dziecko. Wraz z ojcem i resztą krewnych uciekali się do rozmaitych wybiegów, żeby zatrzymać mnie w domu: zmyślali, że w okolicy panuje groźna zaraza, przestrzegali przed urokami rzucanymi z zazdrości na ciężarne kobiety, wynajdowali ważne, niecierpiące zwłoki zajęcia. Nie najlepiej się wtedy czułam, poza tym za każdym razem, gdy jednak zdarzyło mi się wyjść, miałam wrażenie, że ktoś za mną chodzi, więc nie protestowałam. Parę razy dostrzegłam dziwną postać w czarnej dzellabie, zawsze spowitą czymś w rodzaju mgły. Towarzyszył jej duszący zapach palonego drewna i ziół. Wydawało mi się, że ten ktoś dzierżył w dłoni kij z nabitą nań głową kozła. Wmawiałam sobie, że to tylko omamy, ale na wszelki wypadek stałam się ostrożna.

Im bliżej było końca opowieści, tym szybciej i donośniej mówiła Jasmina. Usta najwyraźniej przestały się jej słuchać. W pokoju rozlegało się głośne bicie serca dziewczyny, jakby to ono wystukiwało rytm słów.

– Pewnego wieczoru zostałam w domu sama. Jasin poszedł na plac pomóc ojcu rozładowywać towar. – Jasmina sięgnęła po miękką poduszkę i zasłoniła nią brzuch. – Przez cały dzień było mi słabo, męczyły mnie nudności i zawroty głowy. W końcu zasnęłam, wyczerpana, a kiedy się obudziłam, poczułam na sobie czyjś wzrok. Moje oczy jeszcze nie zdążyły przyzwyczać się do ciemności, ogarnął mnie lęk i prawie przestałam oddychać. Z mroku wynurzyła się chuda, wyprostowana sylwetka Ismaila. Najpierw przypominała wielką czarną plamę rozlewającą się po ścianie pokoju, na którą padało światło z ulicznej latarni, potem polującego ptaka ze szponami wyciągniętymi w kierunku ofiary. Chciałam krzyknąć, ale głos uwiązł mi w gardle. Ismail przypadł do łóżka i wbił we mnie głodne, rozjarzone szaleństwem spojrzenie. Prawdopodobnie aż do tamtej chwili nie wiedział, że jestem w ciąży, bo patrzył na mój brzuch z przerażającą nienawiścią. „I tak będziesz moja. To dziecko się nie urodzi”, wysyczał przez zaciśnięte zęby. „Życie za życie”. Tak brzmiały jego ostatnie słowa, zanim wybiegł, trzaskając drzwiami. Ja leżałam bez ruchu, skamieniała. W powietrzu znów poczułam ohydny woń spalenizny, chciało mi się wymiotować. Nie pamiętam, ile czasu minęło do powrotu Jasina. Szlochając, opowiedziałam mu o tym, co zaszło. Trudno się dziwić, że wpadł w straszny gniew i wybiegł gdzieś w noc. Już następnego dnia mężczyźni z mojej rodziny udali się do domu Ismaila i zagrozili mu śmiercią, jeśli się do mnie zbliży. Na parę tygodni zapanował spokój.

Palce Jasminy już od kilku minut mięły nerwowo skrawek tuniki, na materiale powstały głębokie wgniecenia. Jej zdenerwowanie udzieliło się nam, nie byłam pewna, czy mam ochotę na dalszy ciąg opowieści, przeczuwając, że nieuchronnie zmierza do finału. Nie pierwszy raz wyobrażnia utrudniała mi wsłuchiwanie się w ludzkie tragedie. Wiedziałam, że gdy w końcu zostanę z nimi sam na sam, powrócą i zaczną mnie nękać albo poniosą w czyjś makabryczny świat. Potok słów jednak płynął nieprzerwanie, a historia podążała tą drogą, którą musiała pójść.

– Karim urodził się przed wyznaczonym terminem. Radość z jego przyjścia na świat przyćmiewał nieokreślony niepokój, inny niż ten, jaki zazwyczaj odczuwają młode matki. Prześladował mnie lęk przed wiszącym w powietrzu nieszczęściem, czułam, że wkrótce wydarzy się coś

złego. Co wieczór bałam się zasnąć. Wydawało mi się, że gdy otworzę oczy, znów zobaczę nad sobą upiorną postać Ismaila w czarnej dżellabie. Czasem wiatr niósł ulicą swąd spalonych ziół i wiedziałam, że jest w pobliżu. Cienka smużka dymu wpadała przez otwarte okno jak wąż albo pętla gotowa w każdej chwili zacisnąć się wokół szyi. Jasin wraz z ojcem pilnowali, żebym nie zostawała sama, żeby w pobliżu zawsze znajdował się jakiś mężczyzna. W końcu zdecydowali się powiedzieć prawdę o prześladowaniach, listach z pogrozkami, padlinie na progu. Stałam się kłębkim nerwów. Myślałam o tym, żeby porzucić męża i synka, w ten sposób chroniąc ich przed szaleńcem, ale nikt nie chciał nawet o tym słyszeć. Próbowaliśmy przeprowadzić się na obrzeża miasta, potem do Fezu, po kolejnych kilku miesiącach do Casablanki. Ismail jakimś cudem zawsze wpadał na nasz trop. Wyjechaliśmy do Egiptu, mając nadzieję, że tym razem uda się nam od niego uwolnić i wszystko wskazywało na to, że tak właśnie się stało. Pewnego dnia przyszła wiadomość, że nasz prześladowca zniknął, prawdopodobnie zmarł, a władze oficjalnie potwierdziły zgon. Oczekaliśmy trochę i wróciliśmy do Marrakeszu. Życie popłynęło spokojnym, utartym rytmem. Karim zaczął wymawiać pierwsze słowa, cały dom pełen był jego śmiechu i bieraniny. Nic nie zapowiadało nieszczęścia.

Z pamięci Jasminy na wolność wyrwały się kolejne wspomnienia, pochmurne i złe. Przez chwilę zbierała się w sobie, by wyjść im naprzeciw. W jej oczach dostrzegłam pioruny, błyskawice, które potrafią rozdrzeć niebo na strzępy, jak źle utkany materiał. Siedząc w tym małym, jasnym mieszkaniu, pozbawionym jakichkolwiek zbędnych przedmiotów, pomyślałam, nie po raz pierwszy zresztą, że pamięć przybiera czasem postać najstraszniejszego z potworów.

– Miesiąc później, a było to wieczorem, przyniesiono mi wiadomość, że Jasin nie żyje. – Dziewczyna odwróciła ku oknu ściągniętą bólem twarz. – Usłyszałam, że dostał nagle ataku serca, kiedy oprowadzał po okolicach Dżamy zagraniczną wycieczkę. Dużo czasu minęło, nim dowiedziałam się prawdy: został otruty. Nie uwierzyłam w to, o czym mi doniesiono, i wyjąc jak zwierzę, pobiegłam na plac. Niewiele pamiętam z tego, co się działo. Wydawało mi się, że Dżama stanął w płomieniach, budynki waliły się, a gruz spadał mi prosto pod nogi. Na niebie pojawił się księżyc zasnuty krwawą mgłą, taką samą, jaką przesłaniała mi oczy. W głowie miałam tylko jedno imię: Ismail. Czulałam, że to on jest mordercą, byłam tego pewna i nie myliłam się. Policja znalazła go po paru tygodniach w dzielnicy czarownic, gdzie żaden normalny człowiek nigdy się nie zapuszczał. To od nich miał truciznę, której musiał dosypać Jasinowi ukradkiem do jedzenia lub picia.

Jasmina przerwała na chwilę i wzięła kilka głębokich oddechów. Twarz nie przestawała jej jednak płonąć gniewem, gdy powracała myślami do tamtych czasów. Zanim zaczęła opowiadać dalej, postanowiła wyjaśnić nam jedną z tajemnic rodzinnego miasta.

– Wiedźmy z Marrakeszu cieszyły się złą sławą. Mówiono, że piją krew noworodków, sprawdzają choroby, nieszczęścia, wywołują niemoc u mężczyzn i rzucają uroki. Swego czasu wspierały szajkę złodziei podszywających się pod zaklinaczy węży, która siała postrach w medinie. Magicznymi formułami i tajemniczą miksturą sprawiały, że wstrętne gady stawały się posłuszne woli człowieka. Wypuszczane z koszy straszły przechodniów, dzięki czemu łatwiej było ich okraść, niektórzy w panice porzucali torby, dostarczając łupu bandytom. Ismail zawarł z wiedźmami pakt, podobno w zamian za mnie oddał duszę samemu Iblisowi.

Przytłoczona ciężarem opowieści, świadomie unikałam spojrzenia dziewczyny, kierując wzrok w inną stronę, błędząc nim po sprzętach zgromadzonych w pokoju, czasem zatrzymując go na Twojej twarzy, jakbym szukała w niej pocieszenia. Jasmina nie zwracała na nas uwagi, w tamtej chwili nie interesowało jej nic, co nie było przeszłością.

– Morderca mojego męża został wypuszczony na wolność – ciągnęła. – Przypuszczalnie dzięki czarom albo łapówce. Oficjalna wersja brzmiała, że nie zgromadzono przeciw niemu żadnych dowodów. Ja nie chciałam już dłużej mieszkać w Marrakeszu, każdy kamień i każdy kąt przesiąknięty był wspomnieniami. Ojciec mnie rozumiał. Napisał do cudzoziemców, których poznaliśmy na placu, i wielu zaoferowało mi dach nad głową. Propozycje nadchodziły z różnych części świata. Wspólnie zdecydowaliśmy, że powinnam udać się z synem do Francji. Staralam się wmawiać sobie, że wszystko się ułoży, ale wciąż miałam złe przeczucia. Dzień przed planowanym wyjazdem zniknął mój synek. Nikt nie wiedział, jak to się stało, w końcu zostawiłam go pod dobrą opieką i wyszłam tylko na chwilę po ostatnie sprawunki. Szukali go wszyscy, cała medyna. Odcho-



dziłam od zmysłów, aż po tygodniu znalazłam na progu kartkę, na której było napisane, że wróci do mnie cały i zdrowy, jeżeli wyjdę za Ismaila. Mężczyźni z mojej rodziny kolejny raz postanowili działać, ja modliłam się tylko, żeby wszystko poszło jak trzeba. Nie będę wam mówić, jak udało mi się odzyskać dziecko, najważniejsze, że wrócił, a dla dobrych ludzi, którzy mi pomogli, narażając życie, zachowam wdzięczność do samego końca. Był brudny, głodny i przerażony. Od tamtej pory, choć minęły lata, nie odezwał się ani słowem. Podobno przetrzymywano go u jednej z tych strasznych kobiet, w jutowym worku zawieszonym na ścianie, ale wolałam nie znać szczegółów, o nic nie dopytywałam. Przysięgłam sobie tylko, że Ismail nie skrzywdzi go nigdy więcej. Uciekliśmy z Karimem, tak jak było zaplanowane, do Francji. Znałam francuski, myślałam, że dzięki temu dam sobie radę i nie będę ciężarem dla znajomych ojca. Ukrywałam przed wszystkimi, dokąd się wybieramy, ale Ismail poznał nasze plany i pojechał za nami. Miał francuski paszport i mógł podróżować swobodnie po całym świecie. Znów musieliśmy uciekać. Cudem wywiedliśmy go w pole, przyjeżdżając do Anglii. Tym razem los nam sprzyjał. Nasz prześladowca został zatrzymany na granicy za jakieś przestępstwa. Okazało się, że od dawna jest poszukiwany międzynarodowym listem gończym. Podobno przebywa w więzieniu, ale nasz spokój jest jak kruchy lód, który może załamać się w każdej chwili.

Ismail. Parę razy powtórzyłam w myślach imię zbrodniarza, sama nie wiem dlaczego. Patrząc na Jasińkę, zastanawiałam się, jak bardzo musi nienawidzić człowieka, przez którego straciła rodzinę. Jej kolejne słowa okazały się odpowiedzią na moje pytanie.

– Od lat staram się pokonać nienawiść – powiedziała spokojnie. – Wiem, że jeśli pozwolę jej się rozwinąć, pewnego dnia zyska nade mną władzę, oblepi mnie niczym brud, który ciężko zmyć z ciała, przerwie tamę trzymającą w ryzach to, co w mojej duszy najgorsze, i wywoła kataklizm. Nikt, kto tego nie przeżył, nie będzie umiał zrozumieć, jak czuje się człowiek okradziony z miłości. Gdybym uległa nienawiści i żądzy zemsty, stałabym się podobna do Ismaila. Uciekłam w taniec. Na Covent Garden Market odnalazłam kawałek Marrakeszu, wspomnienie Dzama al-Fna'. Podczas pełni zawsze chodzę tam tańczyć. Spoglądałam w księżyc i wyobrażałam sobie, że Jasin patrzy z góry, czuwa nad nami i czeka.

Jasmina wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń i już po raz drugi tego popołudnia patrzyła na nią uważnie.

– Ktoś mógłby oczywiście powiedzieć, że jestem młoda, że przyszłość przede mną, że na pewno spotkam mężczyznę gotowego zająć się mną i Karimem – powiedziała po chwili. – Jeżeli jednak obcięłabym sobie teraz jeden palec, dziewięć pozostałych nigdy go nie zastąpi ani tym bardziej nie sprawi, że zapomnę, gdzie był. Na zawsze zostanie po nim puste miejsce. Próbowaliście kiedyś wyobrazić sobie hamkę, rękę Fatimy, bez któregoś z palców? – zapytała tak, że nie czuliśmy, aby oczekiwała od nas odpowiedzi.

Być może dodałaby coś jeszcze, gdyby nie hałas dobiegający z klatki schodowej. Wszyscy jednocześnie odwróciliśmy głowy ku drzwiom i nasłuchiwalismy kroków Karima, tupania, którym oznajmiał swój powrót do domu, skoro nie mógł zrobić tego słowami. Otworzył drzwi z impetem, zgrzany, spocony, z zaczerwienioną buzią. Ściągnął szybko buty i podał matce plastikową siatkę, pokazując na migi, że w sklepie była kolejka. Matka pomogła mu zdjąć kurtkę i odniosła ją na wieszak w przedpokoju, chłopiec tymczasem pobiegł do kuchni i przyniósł z niej błękitne naczynie, to samo, które widziałam na Covent Garden Market. Na widok glinianej misy Twoją twarz rozjaśnił uśmiech, w oczach zamigotał dziwny błysk przypomnienia. Pogłaskałeś ją, jakbyś witał psa, który wypatrzył Cię gdzieś z daleka i wybiegł na powitanie, ale gdy tylko podchwyciłeś moje spojrzenie, natychmiast cofnąłeś rękę. Karim wsypał do środka przyniesione przed chwilą słodczyce i wspólnie czekaliśmy, aż Jasmina przygotowuje herbatę. Przez chwilę patrzyłam, jak krząta się po kuchni, z której dobiegało bulgotanie gotującej się wody.

– Przynieś trochę mięty, *habibi* – zwróciła się do synka.

Mały nazrywał listków, ułożył je w bukiet i wręczył matce.

Siedziałam z podbródkiem opartym na łokciach. Kiedy chłopiec schował się za przepierzeniem, mój wzrok mimowolnie spoczął na Twoich włosach, osiadł na nich jak gnany wiatrem suchy jesienny liść.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziałaś, śmiejąc się cicho.

– Jak? – zapytałam zupełnie bez potrzeby, bo przecież dobrze znałam ten rodzaj spojrzeń, którymi można pogłaskać kogoś po twarzy. – Zawsze będę tak na Ciebie patrzeć. Musisz się przyzwyczaić. – Próbowałam nadać głosowi żartobliwy ton, żeby ukryć powagę słów.

W tym samym momencie do pokoju przydreptał Karim i przerwał naszą rozmowę. Chłopiec postawił na stole mosiężną cukiernicę i znów usiadł Ci na kolanach. Jasmina nadeszła po chwili, niosąc na tacy szklanki z herbatą i czajnik.

– Skąd macie to naczynie? – Pytanie samo wyrwało mi się z ust, jakby zadała je zupełnie inna osoba. Wskazałam wzrokiem błękitną misę ze słodyczami.

– To rodzinna pamiątka – wyjaśniła dziewczyna. – Jedna z niewielu rzeczy, jakie zabrałam z domu.

– Wygląda na spód od tadżinu.

– Masz rację – zaśmiała się, nieco zdziwiona, że rozpoznałam ten kształt. – Pokrywa niestety pękła podczas podróży.

Schyliła się pod łóżko, skąd wyjęła turystyczną torbę i zaczęła przerzucać znajdujące się w niej przedmioty. Słyszeliśmy szelest papieru, odwijaną folię, a potem dźwięk zasuwanego zamka. Odłożywszy torbę na miejsce, położyła przede mną kilka błękitnych odłamków o nieregularnych, postrzępionych brzegach. Pociemniała ze starości surowa glina w miejscach, z których odpadło szklivo, przypominała strużki zakrzepłej krwi.

– Z tym tadżinem wiąże się pewna nieprawdopodobna historia – powiedziała. – Choć mój ojciec zawsze twierdził, że to się zdarzyło naprawdę. Byliście kiedyś w Marrakeszu, prawda? – zwróciła się do nas, a kiedy potwierdziliśmy krótkimi skinieniami głowy, zapytała tak, jak pyta się o kogoś z grona wspólnych znajomych: – Dobrze go znacie?

– Tak – odpowiedzieliśmy równocześnie.

– Świetnie – odetchnęła, zadowolona, że nie będzie musiała rozbudzać wyobraźni rozmówców, którym miasto zapewne nie objawi się obrazami i poezją symboli zrozumiałą tylko dla wtajemniczonych. W zamyśleniu nalała herbaty do szklanek z ręcznie malowanym srebrnym ornamentem. Dopełniwszy rytuału, odstawiła czajnik, podsunęła nam cukier i kruche ciastka z irańskiej piekarni, nie chcąc nic mówić, dopóki nie wypełni obowiązków gospodyni. Potem zajęła miejsce naprzeciw nas. Karim nadstawił uszu.

– Do Marrakeszu nieustannie przybywa mnóstwo ludzi z różnych zakątków świata, ale niewielu z nich potrafi go zrozumieć – zaczęła nową opowieść. – Niektórzy po prostu zwiedzają, inni napawają się egzotyką, przesiadując w kawiarniach i błędząc po medinie, jeszcze inni chcą oglądać artystów, palić kif albo spotkać się z barwną codziennością na placu Dżama al-Fna'. Czasem zdarzają się łowcy, poszukiwacze skarbów. Skradają się między straganami i szukają łupów wśród wplatanych koszy, tkanych dywanów, mosiężnych talerzy, berberyjskich świecidełek, talizmanów, lamp z żeliwa i terrakoty. Niektórzy gubią się w plątaninie ulic i bram, bezradnie rozglądają się po tutejszym niebie i próbują szukać czegokolwiek znajomego. Na twarzach przechodniów niemal zawsze widać to samo niedowierzanie, że to, co ich otacza, to rzeczywistość, a nie egzotyczna baśń, coś, w co zostali wplątani niedającym się wyjaśnić zbiegiem okoliczności. Nie każdemu jednak miasto decyduje się opowiedzieć o sobie. Dla nas, mieszkańców, Marrakesz to tajemnica, którą próbujemy rozwikłać każdego dnia, wieczne poznawanie, mowa znaków zatartych przez czas, szept symboli wrytych na drzwiach domów, miejsce, gdzie można czasem usłyszeć wiszące w powietrzu modlitwy marabutów, śpiących od stuleci w grobowcach. Marrakesz jest niekończącą się opowieścią, której początki mogą być prawdą, ale też wymysłem puszczonej w świat niczym latawiec. Nikt z nas, tam urodzonych i wychowanych, nie wie o tym mieście wszystkiego, choć we dnie powierzamy mu swoje marzenia, a nocami sny, chociaż karmi się naszymi uczuciami.

Jasmina nie spieszyła się ze swoją historią. Tym razem nie musiała. Robiła sobie przerwy, podczas których przesuwiała po stole odłamki tadżinu, próbując ułożyć z nich wzór. Obserwując jej zgrabne ręce złączone z błękitem szklawa, miałam wrażenie, że wewnątrz lśniących, delikatnie wygiętych, lazurowych skorup coś się porusza, że w środku zbiera się dym, próbujący wydostać się gęstymi kłębam. Kiedy bezwiednie spozjrzałam w okno, uznałam, że pewnie widzę po prostu odbi-

cia pędzących po niebie obłoków.

– Żyjąc wśród baśni, nie wiesz, kiedy niespostrzeżenie stajesz się ich częścią. – Dziewczyna wypowiedziała to zdanie tak, jakby powtarzała po raz kolejny nieco zużytą sentencję. – W ciągu tylu lat spędzonych na Dżama spotykałam ludzi o niejasnym pochodzeniu, o biografiami bogatszych niż orientalny ornament. Pamiętam starca kulejącego na prawą nogę. Miał podziurawioną twarz, jakby podziobały ją ptaki. Kuśtykał, podpierając się sękatym kosturem, i twierdził, że potrafi dokonywać nim cudów, gdyż zrobiono go z drewna, które pochodziło z rajskiego drzewa z Sidrat al-Muntaha. Kiedyś na plac zabłąkał się pewien Syryjczyk, do dziś czuję na sobie jego świdrujące spojrzenie, potrafił chyba dostrzec nawet wnętrze człowieka. Zapytany, skąd przybywa, odparł, że z bardzo daleka, z samego krańca ziemi. Handlarze, zawsze spragnieni opowieści o miejscach, w których nie mogli się znaleźć, zaprosili go do Cafe Argana i tam opowiadał im, że wrócił z wyprawy w góry Kaf i zwiedził dwa mityczne szmaragdowe miasta – Dżabalka i Dżabarsa – z tysiącem wież. Był bardzo przekonujący, wszyscy zgromadzeni wierzyli mu na słowo. Dżama przyciągał ludzi rozumiejących mowę zwierząt i ptaków, tłumaczy snów, sprzedawców iluzji. Widywałam tam również przedmioty sprzeciwiające się prawu istnienia: zaczarowane flety, uzdrawiające korzenie, kolorowe babusze, w których można było iść w dal, nie czując zmęczenia. Być może dlatego wierzę w tę rodzinną historię, że poznałam wiele znacznie dziwniejszych rzeczy.

Domyślałam się, że wszystko, co usłyszeliśmy przed chwilą, miało być usprawiedliwieniem, próbą przekonania nas, że na świecie wciąż zdarzają się dziwy. Jasmina nie wiedziała, że nie musi nam tego tłumaczyć.

– Pewnego poranka siedzieliśmy z ojcem w kuchni naszego domu. Jedliśmy śniadanie i śmialiśmy się, opowiadając sobie na przemian, co wydarzyło się poprzedniego dnia na placu. Przy Bab Dukkala, niedaleko bulwaru Fatimy Zahry, mieszkał ptasznik, który na Dżama al-Fna' wypożyczał turystom ptaki do pamiątkowych zdjęć. Mężczyźni lubili z niego żartować, bo był straszliwie skąpy, w dodatku kłął jak szewc. Pech chciał, że jedna z jego papug, wyjątkowo rzadki i drogocenny okaz, sprowadzony podobno aż z Południowej Afryki, podchwyciła przekleństwa i zaczęła obrażać wszystkich wokół. Ojciec właśnie opowiadał mi, zanosząc się przy tym od śmiechu, że nieszczęsne ptaszysko obrzuciło wyzwiskami imama z meczetu Alego Ibn Jusufa, gdy przez otwarte drzwi do mieszkania wbiegł Nabil, syn mego wuja. Spodziewaliśmy się, że znowu coś spsocili i uciekał przed laniem. Chłopak nie zahamował na czas i przewrócił się na niedawno umytej podłodze. Przy okazji uderzył nogami w kredens i naczynia szczęknęły złowieszczo. Pokrywa błękitnego tadżinu zsunęła się z półki i dosłownie w ostatniej chwili ojciec zdążył pochwycić ją tuż nad ziemią.

Jasmina uśmiechnęła się do synka zasłuchanego w opowieści. Karim zastygł przy stole, wpatrzony w matkę jak w obraz, łowiąc chciwie każde jej słowo, a gdy przerwała opowieść, ruchem ręki zaczął ponaglać, żeby mówiła dalej.

– Nabil patrzył na nas z niepewną miną, byłam pewna, że zaraz się głośno rozplacze. Ojciec odłożył wieko tadżinu na swoje miejsce i sprawdził, czy małemu nic nie jest, choć z jego poblądłej twarzy wywnioskowałam, że najchętniej spuściłby mu manto. „Niewiele brakowało, a rozbiłbyś naszą rodzinną pamiątkę”, zwrócił się do chłopca karcącym tonem. „Ten przedmiot wiele znaczy dla naszej rodziny, zawdzięczamy mu życie. Czy wiesz, co mogło się stać?”, mówił coraz ostrzej. Oczy mego kuzyna wypełniły się łzami, a ja byłam zdumiona. Nigdy wcześniej nie widziałam ojca takiego. Zawsze był uosobieniem spokoju i łagodności, nie wpadał w gniew ani nie dawał ponieść się emocjom.

Dziewczyna zamilkła gwałtownie i w pokoju zaległa cisza. Siedząc ze spuszczoną głową, z czołem wspartym na prawej dłoni, jak na smukłym filarze, Jasmina sprawiała wrażenie zakłopotanej tęsknotą za rodzinnym domem. Znów zaczęłam zastanawiać się, czym naprawdę jest pamięć. Wcześniej widziałam w niej potwora, spragnionego krwi drapieżnika, ale w tamtej chwili pamięć wydała mi się podobna do muzyka, harfisty wygrywającego melodię na cienkich strunach wspomnień. Jasmina dosypała sobie cukru do szklanki z zimną herbatą, chyba przede wszystkim po to, by ukryć zmieszanie, i obdarzyła nas przelotnym spojrzeniem.

– Ojciec odprowadził Nabila do rodziców, a po powrocie zupełnie stracił humor – wróciła

do opowieści, ale powoli, żeby przypadkiem nie zgubić żadnego szczegółu. – Długo siedział przy stole, nie odzywając się ani słowem. Noc mieliśmy spędzić na Dżama, akurat wypadła nasza kolej, by pilnować straganów. Spakowałam do torby trochę jedzenia i po ciemku, bo jakiś żartowniś powykrecał żarówkę z ulicznych latarni, poszliśmy na plac. Przez całą drogę ojciec też nic nie mówił. Na placu dołączył do przyjaciół, pił z nimi wieczorną herbatę, palił nargile i wyglądało na to, że po-nure myśli przestały go nękać. Uspokojona, zawinęłam się w śpiwór, kiedy zawołał mnie po imie-niu. Zajął miejsce na posłaniu obok mojego i powiedział, że jestem już wystarczająco dorosła, żebym mogła poznać historię błękitnego tadżinu.

Jasmina przerwała znowu, bo spostrzegła, że szklanki są puste. Napęliła je ponownie i podsunęła nam misę ze słodyczami. Nie chcąc jej sprawić przykrości, wzięłam kawałek daktylowe-go ciasta ranginak, potem długo rośło mi w ustach. Nie pierwszy raz musiałam ukrywać swoją niechęć do egzotycznych słodkości, ciężkich od nadmiaru miodu, cukru i mdłego posmaku wody kwiatowej. Z trudem przełknęłam kilka kęsów, próbując skoncentrować się na słowach dziewczyny.

– Ojciec zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie, o tym, jak przyszedł na świat w rodzinie naznaczonej piętnem zgubnego nałogu. Wspominałam już, że dziadek doprowadził do upadku ro-dzinny interes, a bliskich na skraj nędzy, prawda? Nim do tego doszło, podobno był bogobojnym, uczynnym człowiekiem, lecz o słabej woli. Odkąd nawiązał kontakty z Francuzami, pił niemal na umór. Całe noce spędzał w podejrzanych miejscach, w towarzystwie kobiet o złej reputacji, z dnia na dzień staczając się coraz bardziej. W 1956 roku Francuzi opuścili Maroko i kraj uwolnił się od nich, lecz dla mojego dziadka było już za późno. Nigdy nie odzyskał wolności ani straconej twarzy. W medinie wszyscy uważali go za hulakę i nieodpowiedzialnego lekkoducha. Odcięty od funduszy regularnie wypłacanych mu przez cudzoziemców, wynosił z domu wszystko, co tylko dało się sprzedać. W niedługim czasie w mieszkaniu nie zostało już nic wartościowego, dziadek wykradł na-wet część biżuterii, którą dał żonie w prezencie z okazji zaślubin.

Jasmina otwierała usta, żeby przejść do następnego epizodu opowieści, gdy Karim przerwał jej, wyciągając palec wskazujący ku oknu. Potem zwrócił twarz w naszą stronę. Popatrzyliśmy w tamtym kierunku. Niebo przybrało barwy czerwieni i fioletu. Przestraszony chłopiec przylgnął do Ciebie, a zaraz potem usłyszeliśmy pojedynczy grzmot. Jasmina miała swoje sposoby na łęki syna: podała mu ciastko sezamowe i wróciła do opowieści.

– Mój ojciec i jego brat nie mieli w życiu lekko, często chodzili głodni, właściwie zdani byli na łaskę sąsiadów – powiedziała ze smutkiem. – Babcia z trudem wiązała koniec z końcem, chociaż podejmowała się każdej dorywczej pracy, żeby uniknąć nędzy. Nocami cerowała, pomagała hafto-wać ślubne wyprawy, a we dnie dorabiała sobie sprzątaniami w bogatych domach. Czasem udawało jej się nieco więcej zarobić, lecz dziadek znajdował pieniądze i przepuszczał na wino. Podejrzewam też, że bił żonę i synów, chociaż ojciec, opowiadając mi o dzieciństwie, nie mówił o takich spra-wach. Bóg jednak nie opuścił rodziny i postawił na jej drodze kogoś szczególnego.

Z oddali dobiegł kolejny grzmot, huk wstrząsnął budynkiem, zadźwięczały szklanki na sto-le. Pociemniało, lecz mimo to Jasmina nie zapaliła światła. W półmroku Twoja twarz wydała mi się jakaś inna niż dotąd, zmęczona, naznaczona znudzeniem i obojętnością. Głaskałeś Karima po roz-czochranej czuprynie, błędząc myślami w zupełnie innym świecie i nie przysłuchując się opowieści.

– Nikt nie wiedział, skąd się wziął ów człowiek. – Jasmina odczekała, aż burza pozwoli jej mówić i kontynuowała: – W medinie Marrakeszu od lat mieszkają stare marokańskie rody, dosko-nale znające dzieje swoich przodków. Pojawienie się każdego obcego przybysza zawsze wywołuje sensację i falę plotek, a wieści roznoszą się z szybkością błyskawicy. On pojawił się znikąd, jak muszla wyrzucona nagle przez fale na piaszczysty morski brzeg. Ludzie natychmiast uznali go za istotę nadprzyrodzoną.

Wyprostowałam się na niewygodnym krześle i zaczęłam słuchać uważniej. Opowiadana hi-storia przypomniła mi o czymś, co już od dawna musiało tkwić przyczajone gdzieś z tyłu głowy, obudziła jakąś niespokojną myśl, uwierającą niczym za ciasne buty.

– Ojciec zapomniał imienia cudzoziemca, pamiętał za to, że mieszkał w wąskiej uliczce, jednej z tych najstarszych w medinie, niedaleko meczetu Mulaja al-Jazida. Kiedyś pokazał mi na-wet dom tego mężczyzny. Do środka prowadziły niskie, skarłowaciale ze starości drewniane drzwi,

przygniecione ciężarem własnych przeżyć. W lewym dolnym rogu dostrzegłam wtedy symbol ryby złożony z pordzewiałych nitów, a tuż nad samym progiem zatarty ze starości napis, którego nie dało się odczytać. Ściany budynku, w przeciwieństwie do innych, nie były czerwone, ale karminowe, jak pomalowane szminką usta młodej dziewczyny. Z tego, co słyszałam, po dziś dzień dom ten stoi pusty i nikt nie wie, do kogo należy. Wówczas też był pusty, mężczyzna zamieszkał w nim, a ludzie natychmiast zaczęli powtarzać o nim niestworzone rzeczy. Podobno władał wieloma językami, znał też na pamięć stare księgi arabskie, indyjskie i perskie, recytował fragmenty dzieł z czasów Bizancjum i imperium zachodniorzymskiego.

– Czy ojciec mówił ci, jak wyglądał ten człowiek? – przerwałam Jasminie dość ostro, choć nie wyglądałaś jak ktoś, kogo zżera ciekawość.

– Próbował mi go opisać – odparła dziewczyna, intensywnie się nad czymś zastanawiając – ale był dzieckiem i nie mógł w tej sprawie polegać na własnej pamięci. Powtórzył tylko to, co słyszał od świadków minionych wydarzeń. Przybysz miał podobno szlachetną twarz z lekkim zarostem, delikatną cerę i piękne, zmysłowe usta. Jedni widzieli w nim księcia o błękitnych oczach, inni o piwnych bądź szarych. Ktoś porównał jego włosy do żywego srebra, ktoś inny przekonywał, że przypominały barwą ciężkie, ołowiane chmury, czasem wiszące nisko nad Marrakeszem. Relacje tak bardzo odbiegały od siebie, że należy uznać, iż każdy trzymał się po prostu swoich wyobrażeń. Po jakimś czasie ojciec przypomniał sobie jeszcze, że nad lewym okiem mężczyzny, w miejscu, gdzie kończy się brew, widniała niewielka blizna, jasnobrązowe znamię podobne do myszki, mniej więcej takie jak twoje – zwróciła się do Ciebie i pokazała małą plamkę, wyglądającą na przebarwienie od słońca.

Podążyłam spojrzeniem za jej ręką, ale nagle w pokoju zaczęło się coś dziać. Ściany zadrżały, gotowe ruszyć z miejsca, zgnieść, zetrzeć nas na pył, jakby stały na straży pilnie strzeżonej tajemnicy i miały zamiar zaatakować każdego, kto zechce ją zdradzić. Widziałam, że usta Jasminy poruszają się, lecz słowa mnie omijały, do uszu nie docierał żaden dźwięk. Dziwne i przykre uczucie wkrótce ustąpiło, a pokój znów stał się przytulnym miejscem. Dziewczyna mówiła dalej, tak jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Z barwy jej głosu, z pobrzmiwających w nim ciepłych tonów wywnioskowałam, że osoba, o której opowiada, musiała od dawna ją fascynować.

– Istniał jednak pewien wspólny element, łączący ze sobą wszystkie wersje tej niezwykłej historii – mówiła powoli, z namysłem, upewniając się wzrokiem, że skupia na sobie uwagę słuchaczy. – Każdy, kto miał okazję rozmawiać z cudzoziemcem, twierdził, że Bóg nie mógłby obdarzyć takim głosem żadnej ludzkiej istoty. Niektórzy celowo ubarwiali swoje opowieści, zarzekając się, że nim uzdrawiał, a nawet wskrzeszał umarłych. Mój ojciec nie dawał temu wiary, sam jednak wielokrotnie podkreślał, że słowa wylatujące z ust nieznanego miały niezwykłą moc, a jego oczy zdolność do zagłębienia w najgłębsze zakątki duszy. Tajemniczy przybysz krążył co dnia po medynie, tak jakby kogoś szukał. Plotka głosiła, że rozpytywał o jakąś kobietę, ale nie znalazł nikogo, kto mógłby coś o niej powiedzieć, nikt też nie pamiętał, jak ją opisywał. Na pewno nie pochodziła z Marrakeszu, bo przecież miejscowi musieliby ją znać. Mężczyzna spędzał wieczory w kawiarniach, a wokół niego niemal zawsze gromadził się tłum. Nawet najwięksi samotnicy dzielili się z nim dziejami swojego życia i powierzali mu sekrety. Potem po mieście zaczęły rozchodzić się wieści o cudach.

Jasmina zmarszczyła czoło i próbowała przypomnieć sobie o czymś ważnym, a w mojej głowie zapanował chaos. Podobieństwo obu historii, tej, którą słyszałam teraz, i tej sprzed wielu lat, wydawało mi się nieprzypadkowe.

– Mówiono – dziewczyna zniżyła głos niemal do szeptu – że obcy nie rozmawia z człowiekiem, lecz przemawia wprost do jego duszy. Przybysz posiadał jeszcze jedną niezwykłą umiejętność: przykładając dłonie do ścian, drzwi domów, nawet do ulicznego bruku, odczytywał historie zakłute w drewnie i kamieniu. W ten sposób poznawał dzieje mieszkańców Marrakeszu, podróżników i ulicznych przechodniów. Nigdy się w tym nie mylił.

W tle wybrzmiewały ostatnie pogłosy burzy. Z nieba posypał się grad, lodowe grudki odbijały się o szybę z wściekłością. Karim nie spuszczał wzroku z matki, sezamowe ciastko pozostało

nietknięte. Przejęty tym, co mówiła, zapomniał je zjeść.

– Słuchałam opowieści ojca o nieznanym i zastanawiałam się, dlaczego mi o nim opowiada – ciągnęła Jasmina – aż wreszcie doszedł do momentu, gdy tajemniczy mężczyzna spotkał na placu jego młodszego brata, liczącego wówczas sześć, może siedem lat. Wuj Murad zebrał w tłumie przyjezdnych, a obcy przybysz wziął go za rękę i odprowadził do domu. Tylko dzięki niemu chłopak nie dostał się tamtego dnia w ręce policji. Cudzoziemiec opowiedział babci o tym, co się wydarzyło. Zobaczył, że jest sama, nie chciał wchodzić do środka, rozmawiali więc przy otwartych drzwiach. Jego bystry wzrok w ciągu sekundy omiół skromną izbę, w której znajdowała się jedynie stara drewniana szafa i dwa cienkie materace do spania. Nieznajomy w lot pojął sytuację, choć niczego nie dał po sobie poznać. Musiał już wtedy słyszeć o słynnym w całym mieście pijaku Hasanie Maknaoui. Nie wiem, czy moją babcię oczarował hipnotyzujący głos nieznanego, ale wydaje mi się, że ujął ją przede wszystkim szacunek i ciepło, z jakim się do niej odnosił. Nic nie oswaja cudzej samotności tak jak bezinteresowna ludzka życzliwość. Znekany życiem człowiek łatwiej otwiera serce przed obcym, gdy widzi, że jego los nie jest mu obojętny. Sąsiadki patrzyły na nią z drwiną albo z politowaniem, obcy mężczyźni składali wulgarne propozycje, wiedząc, że w domu się nie przelewa, mąż poniewierał ją przy każdej okazji, a tu nagle zjawił się ktoś, kto przypomniał tej nieszczęśliwej kobiecie, że jest nie tylko żoną miejscowego pijaka. Tłumacząc się za syna, niejako przy okazji opowiedziała cudzoziemcowi swoją smutną historię, a on słuchał z uwagą. Potem zaczął regularnie odwiedzać dom moich dziadków, choć ojciec podkreślał, że nigdy nie wszedł za próg.

– Dlaczego przychodził? – zapytałam, patrząc na Twoją nieruchomą twarz, zastygłą w mroku jak antyczna rzeźba. Obserwowanie Cię było dla mnie częścią każdej opowieści.

– Myślę – odezwała się Jasmina po chwili milczenia – że to, co zobaczył, wstrząsnęło nim i postanowił zaopiekować się tą rodziną. Chciał pomóc, a jako człowiek szlachetny robił to niezwykle dyskretnie, z wyczuciem, żeby przypadkiem nikogo nie urazić. Nieznajomy doskonale wiedział, że babcia nie przyjęłaby od niego pieniędzy, nie tylko ze względu na honor, ale również z obawy, że wpadną w ręce jej męża, uciekł się więc do podstępów. Od czasu do czasu zjawiał się w domu przy Rue de la Kasbah, prosząc o drobne przysługi: naprawę ubrań, przyrządzenie kolacji dla gości, upieczenie ciastek, które chciał zanieść komuś w prezencie. Babcia zaczęła mu pracować i gotować, a on okazywał wdzięczność, robiąc zakupy. Ojciec zaznaczał, że zawsze miał też w kieszeniach różne drobiazgi dla niego i brata. Sąsiedzi zaczęli lepiej odnosić się do Lejli Maknaoui, widząc, że ma takiego protektora. Podejrzewam, że babcia skrycie się w nim podkochiwała, choć ojciec, ma się rozumieć, nigdy o tym nie wspominał. Mówił tylko, że się zaprzyjaźnili.

W pokoju nagle zrobiło się tak zimno, że zadrżałam. Jasmina roztarła przemarznięte dłonie i wyjęła spod łóżka pled dla mnie, po czym zniknęła w kuchni. Ty i Karim wyglądaliście na nietkniętych chłodem, zasłuchani, pogrążeni w zadumie. Narzuciłam na plecy koc, a milczenie przedłużało się, dopóki dziewczyna nie wróciła ze srebrnym imbrykiem.

– Herbata z miętą ochładza organizm – powiedziała – więc teraz zaparzyłam angielskiej earl grey.

Owinęła się narzutą z łóżka, tak że widać było tylko jej świecące czarne oczy. Przypominała teraz pustynnego nomada, szczególnie wtedy, gdy przykładła szklankę do ust i siorbała cicho. Miałam wrażenie, że wargi Jasminy zaraz przymarzną do krawędzi szklanki, ale zdążyła oderwać je na czas. Obie szczękałyśmy zębami.

– Cóż, może rozgrzeje nas dalszy ciąg opowieści – powiedziała z uśmiechem i powróciła do przerwanej historii.

Przytaknęłam, ale nie byłam w stanie wymówić ani słowa.

– Nadszedł dzień, w którym nieznanomy ostatni raz odwiedził dom mojej babci. Okoliczności jego wyjazdu owiane są tajemnicą, wiadomo jedynie, że z dnia na dzień zdecydował się opuścić miasto. Ojciec twierdził, że cudzoziemiec nie wsiadł do pociągu ani samochodu, nie odleciał samolotem, nie odjechał konno, po prostu znikł tak jak stał. Powtarzał za innymi, że mężczyznę pochłonęła gęsta, biała jak mleko mgła, która tamtego dnia aż do wieczoru utrzymywała się nad okolicą.

Jasmina owinęła się ciasniej kolorową narzutą, na jej czole pojawiła się głęboka zmarszczka, oznaka wątpliwości. Zmrużyła oczy, usiadła wygodniej i mówiła dalej:

– Mój ojciec nie pamiętał ostatniej rozmowy babci z przybyszem, pamiętał ją za to jego brat, co wydaje się oczywiste, bo był przecież starszy. Kiedyś powtórzył mi wszystko, słowo po słowie. – Zrobiła przerwę na łyk herbaty. – Mówił, że babcia wraz z cudzoziemcem usiedli przed drzwiami, ona na progu, on po prostu na ziemi. W chłodnym, porannym powietrzu wisiła melancholia i zapach pomarańczy. Mężczyzna cicho tłumaczył, że musi wyjechać i żeby dbała o chłopców, jak to się zwykle mówi przy pożegnaniu. Kiedy babcia ze smutkiem spytała, dlaczego wyjeżdża, odpowiedział: „Nie znalazłem tej, której szukałem”. Widząc zdumione i ciekawskie spojrzenie swej towarzyszki, zbyt śmiało jak na kobietę z Marrakeszu, dopowiedział: „Szukałem Szeherazady” – i zaśmiał się gorzko. Lejla Maknaoui zamilkła wówczas z urazą. Myślała, że nieznajomy żartuje sobie z niej w chwili wymagającej powagi, ale kiedy spojrzała w jego oczy, zrozumiała, że to nie żart. Zdania, które tamtego dnia padły z jego ust, ojciec powtarzał często, a ja zapamiętałam je jako przestrozę: „Wyobraź sobie, Lejlo, dwóch ludzi na pustyni. Wędrując poprzez piaski, obaj dostrzegli źródło. Jeden podszedł bliżej, napił się wody, odpoczął i ruszył dalej, a drugi umarł z pragnienia, bo nie uwierzył, że źródło jest prawdziwe. Ja byłem tym drugim. Nigdy nie pozwól szczęściu odejść, nigdy. Obiecuj”. „Szukam utraconej baśni – dodał jeszcze nieznajomy – i choć poszukiwania te przypominają czasem ściganie uciekającego pociągu, nie mam wątpliwości, że wciąż warto biec, nawet w nieskończoność”.

– A tadżin? – zapytałam, kiedy minęła tak długa chwila ciszy, że nie miałam już wątpliwości, że to nie jest kolejna pauza, a koniec opowieści.

– Ach właśnie, tadżin! – zawołała Jasmina, przypominając sobie nagle, że to przecież on miał być głównym bohaterem opowiadanej historii. Powagę malującą się na twarzy dziewczyny zastąpił uśmiech, w oczach zamigotały iskielki. – Mężczyzna odszedł wolno w sobie tylko znanym kierunku – zaczęła wyjaśnienia – a kiedy na dobre znikł babci z oczu, spojrzała smutno pod nogi i zobaczyła, że zostawił niewielki pakunek. Z ciekawości odwinęła papier i znalazła naczynie, którego część widziecie przed sobą. Dla babci prezent był tak cenny, że zaraz schowała go do szafy, żeby nikomu przypadkiem nie przyszło do głowy, żeby go używać. Szybko wyszło jednak na jaw, że nie jest to tylko pamiątka po przyjacielu. Mój wujek Murad jako pierwszy zobaczył, że tadżin dziwnie podskakuje, a ze środka dobywają się kłęby pary, i kazał memu ojcu natychmiast zawołać matkę. Babcia przybiegła prędko i nie zastanawiając się nad tym, co robi, uniosła pokrywę. Po izbie rozszedł się smakowity zapach ziół i jagnięciny. Cała trójka zamarła ze zdziwienia, nie wierząc własnym oczom. Od tej pory w tadżinie każdego dnia pojawiały się warzywa duszone z mięsem i rodzynkami, kuskus, pieczone w miodzie owoce, wszystko niezwykle smaczne i sycące. Rodzina Lejli Maknaoui dzięki niezwykłemu podarunkowi nie zaznała już głodu. Podobno tadżin stracił swe magiczne właściwości dopiero wtedy, gdy ojcu i wujowi udało się postawić interes na nogi.

– Jak to się stało, że twój dziadek nie sprzedał tego naczynia? – zapytałam.

– Też o tym kiedyś myślałam – Jasmina uśmiechnęła się w odpowiedzi – i wydaje mi się, że on go po prostu nie widział. Jak to mówił mój ojciec, tadżin zawsze wymykał się jego oczom.

– Ciekawe, dlaczego nieznajomy nie pomógł twojemu dziadkowi pokonać nałogu – zastanawiałam się głośno.

– Bo dziadek nigdy go o to nie prosił. – Z odpowiedzią na to pytanie Jasmina nie miała żadnego kłopotu. – Już tamtego wieczoru na placu ojciec wyjaśnił mi, że cudzoziemiec nie mógł i nie chciał wtrącać się w cudzą wolę. Proszony o ingerencję w życie innych ludzi, zawsze odmawiał, uważając, że każdy człowiek jest wolny i jako jedyny ma prawo decydować o sobie.

Zmęczony Karim przysnął na Twoich kolanach. Cały czas przytulał się do Ciebie. Spokój chłopca wydawał się przesadnie dojrzały, przygniatający powagą.

Tancerka podniosła z podłogi zapomniany wisiołek, z którym do niej przyszedliśmy, i zajęła się rozplątywaniem poskręcane go łańcuszka.

– Jeśli Karim się zgubi, nie powie, gdzie mieszka. Dlatego nosi przy sobie ten medalion z adresem – tłumaczyła. – Podejrzewam, że dał go wam, bo po prostu chciał, żebyście do nas przyszli.

Skinęłam potakująco głową, a Ty ostrożnie ułożyłeś śpiącego chłopca na łóżku i przykryłeś kocem.

– Na nas już czas – wyjaśniłeś, napotkawszy pytające spojrzenie Jasminy. – Za dwadzieścia minut muszę być w teatrze.

– Odwiedźcie nas jeszcze – poprosiła. – Mój syn się ucieszy.

Zaproszenie zabrzmiało szczerze. Jasmina uściśniła nas na pożegnanie, jak dobrych przyjaciół. Będąc w połowie schodów, usłyszeliśmy, jak Karim głośno zawołał matkę.

Brama kamienicy zatrasnęła się za nami z upiornym zgrzytem. Na ulicy działo się coś dziwnego. Miasto wydawało się zjawą, potępieńcem, który bez celu błąka się po okolicy albo bezskutecznie puka od drzwi do drzwi. Latarnie pochylały się, przypominając pogrążonych w modlitwie świętych z aureolami wokół głów. Zza rogu wytoczył się pijak, ciągnąc za sobą ohydny woń przetrawionego wina. Zatrzymał się tuż przed nami, widocznie spragniony rozmowy, i wybełkotał: „Zaprawdę powiadam wam, w takiej mgłę giną ludzie”. Zorientowawszy się, że nie znajdzie w nas wiernych słuchaczy, mężczyzna machnął ręką i ledwo trzymając się na chwiejnych nogach, próbował ominąć taksówkę, którą dla mnie zatrzymałeś. Byłam już w środku, więc przysunął zarośniętą, pokrytą strupami twarz do zamkniętej szyby pojazdu i powtórzył: „Uważajcie, taka mgła żywi się ludźmi. Wysysa z nich dusze”.

Podaliśmy kierowcy adres i ruszyliśmy. Patrzyłam, jak idziesz w stronę Charing Cross, skąd tylko jedna przecznica dzieliła Cię od teatru, i opędzasz się od mgły, tak jakbyś miał wokół siebie rój natrętnych owadów. W końcu zniknąłeś za jej ciężką zasłoną. Miałam wrażenie, że w powietrzu zawisło zło, choć może po prostu zawładnęła mną ponura aura wieczoru.

„Na Regent Street był karambol” – sympatyczny czarnoskóry kierowca wyjaśnił, dlaczego kluczymy bocznymi uliczkami, choć o to nie pytałam. Nie pamiętam, co mu odpowiedziałam, słowa, podobnie jak wszystko wokół, utonęły we mgle. Chciałam jak najszybciej schować się w domu. Kiedy człowiek zostanie sam na sam z opowieścią, ona na nowo odżywa w jego umyśle. Nie spodziewałam się, że po wielu latach usłyszę w Londynie tę melodię przeszłości, która z biegiem lat być może przycichła w mojej głowie, ale nigdy nie udało się jej zamilknąć na dobre. Przez brudną szybę samochodu oglądałam karykatury budynków, ledwie widoczne, wyblakłe plamy okien, nadgryzione mgłą kościoły, urzędy i gmachy teatrów, utwierdzając się w przekonaniu, że przeznaczenie już od dawna próbowało opowiedzieć mi pewną historię. W dziwnym świecie przeblysków intuicji i sennych objawień przyjęło rolę bazarza, oplatając mnie niewidzialną nicią wydarzeń.

Mgła sprawiła, że po wyjściu z samochodu długo szukałam furtki, a kiedy wreszcie udało mi się ją znaleźć, nie mogłam trafić na ścieżkę. Ziemia w ogrodzie przypominała bagno, wciągające w swe grząskie odmęty omszałe kamienie, spleśniałe kępy traw i zeschniętej lawendy. Niebo znikło, przepadło bez wieści, zastąpione lepkiem, widmowym oparem. Spojrzałam w okna domu, podobne do oczu starca zmęczonego zbyt długim patrzeniem na świat. Lśniły wrogością. Drzwi niechętnie wpuszczały mnie do środka, zimna, oślizgła klamka wymykała się z rąk, a kiedy zламаłam jej milczący opór, natychmiast tego pożałowałam. Ten nierzeczywisty, robaczywy twór nie mógł być przecież domem, w którym mieszkałam od kilku miesięcy, lecz złudzeniem, podróbką, nędzną pozostałością po czymś zupełnie innym. Popękaną podłogę pokrywał kurz, meble sprawiały wrażenie posypanych pyłem, z książek opadły kartki niczym jesienne liście. Powstrzymując odrzę, przylgnęłam do wilgotnej, cuchnącej zgnilizną, zagrzybionej ściany i pogłaskałam ją tak, jak głaska się po policzku kilkuletnie dziecko. „Przemów do mnie, opowiedz mi swoją historię” – poprosiłam, wiedząc, że jedynie ten dom zna prawdę o Tobie i tylko on może potwierdzić podejrzenia rozrastające się w moich myślach albo im ostatecznie zaprzeczyć. Odpowiedziała mi cisza, lekceważąca, wyniosła obojętność.

„Powiedz coś, proszę” – powtórzyłam, a wtedy wydał z siebie przeciągłe westchnienie. Odychał powoli, ostrożnie, przyczajony, pełen wahania. Być może rozważał, co powinien zrobić, zastanawiał się i zmagał z decyzją. Stałam zrezygnowana na środku salonu i wtedy dobiegł mnie szept, lekki jak podmuch wiatru. „Chodź”. Ruszyłam korytarzem, który nagle okazał się nieskończenie długi i kręty. Dostępu do pomieszczeń broniły barykady nieruchomych drzwi, pod sto-



pami chlupotała woda, jakbym brnęła przez kałuże. „Chodź” – usłyszałam znowu. Ciężkie podwoje rozstały się nagle przede mną jak para gwardzistów, ujawniając dobrze znane wnętrze gabinetu.

Stałam twarzą w twarz z szafą, mym odwiecznym wrogiem. Poczułam na sobie jej pogardliwe, pełne obrzydzenia spojrzenie, jakby miała zamiar mnie opluć. Ze szpary pomiędzy drzwiami wyfrunęła kartka pożółkłego papieru i upadła mi pod stopami. Podniosłam ją i zobaczyłam portret kobiety, a wokół zapadła ciemność.

Obudziłam się na dywanie. Do pokoju wpadało z ulicy bladporóżowe światło wieczoru. Niebo, zabarwione gdzieś resztką błękitu, wróciło na swoje miejsce, a kurtyna mgły uniosła się, znikając bezpowrotnie. Miasto przestało być wreszcie widmem, fatamorganą i odzyskało swoje zwykłe, codzienne oblicze. Wciąż zadziwiała mnie jego nieustająca zmienność, umiejętność noszenia tak wielu twarzy, przywdziewania wciąż nowych masek. Londyn był mistrzem w ukrywaniu prawdy o sobie, lecz zapewne robił to niezamierzenie. Prawda musiała sama wymykać mu się z rąk i omijać go z własnej, nieprzymuszonej woli. Oderwałam wzrok od okna i rozejrzałam się wokół siebie. Po podłodze przemykały podszyte złotem refleksy, rzucane przez ostatnie promienie gasnącego słońca, ściany płonęły ognistą czerwienią. Meble pozbyły się zmarszczek, przybierając wyraz łagodnego zamyślenia, spokojnej, sennej zadumy. Stojące na półkach bibeloty, hebanowe skrzynki, wykładane mozaiką pudełka na biżuterię, gliniany dzbanek pełen długopisów, ołówków i wypisanych flamastrów, porozrzucone tu i ówdzie srebrne łyżeczki, niektóre ze śladami herbaty albo pokryte szorstkim mchem zaschniętego cukru – wszystkie te przedmioty, które dawno zdążyły przyzwyczaić się do moich rąk, w wieczornej poświacie odzyskały swą wcześniejszą, dobrze znaną postać. To był mój dom. Takim zobaczyłam go po raz pierwszy, w takim codziennie zostawiałam swój ślad, każdym krokiem, oddechem, każdym snem i wypowiedzanym słowem. Uśmiechnęliśmy się do siebie, puszczając w niepamięć tę niedawną urazę.

Nie wiem, ile czasu spędziłam, leżąc i wsłuchując się w odgłosy z ulicy. Pomyślałam w pewnej chwili, że na dworze powinna być już noc, i zaczęłam jej wypatrywać, a jednak nie nadchodziła, choć w oddali zamigotało kilka samotnych, pojedynczych gwiazd. Kiedy wreszcie usiadłam, próbując rozprostować ciało, odrętwiałe od długotrwałego bezruchu, ledwie słyszalny szelest zakłócił ciszę. W półmroku pokoju zaśnił papier, na który niechcący nadepnęłam. Jego biel naruszała spokój, zbyt nachalnie przyciągając wzrok i odcinając się wyraźną granicą od ciemnego dywanu. Dopiero wtedy przypomniałam sobie o portrecie. Jak się okazało, jego biel wcale nie była białą, ale bliżej nieokreśloną pastelową barwą, czymś pośrednim między szarością a beżem. Ze sztywnego, niemięłego w dotyku papieru spoglądała czyjaś twarz. Z początku dzieło wydało mi się pełne niedociągnięć, niedokończonych, urwanych w kilku miejscach. Uznałam, że to szkic, wykonany w pośpiechu albo od niechcienia źle zatemperowanym ołówkiem. Miałam jednak wrażenie, że uwieczniona postać staje się coraz bardziej widoczna, jakby podążała w moim kierunku, przedzierając się przez zasłonę mgły. Najpierw dostrzegłam bezkształtną, szarą plamę, potem – słabo zarysowany kontur ludzkiej sylwetki. Rysunek stopniowo nabierał kolorów, wśród czerni, bieli, kilku odcieni szarości zaczęła pojawiać się żółć, błękit, delikatny róż i chłodna, morska zieleń; choć może to mój wzrok powoli przyzwyczajał się do gęstniejących ciemności i zaczynał rozpoznawać kolejne szczegóły. To, co początkowo wzięłam za szkic, okazało się obrazem. W końcu stanęłam twarzą w twarz z kobietą, a z ust wyrwał mi się okrzyk zdumienia. Przyszło mi do głowy, że przez pomyłkę lub dziwny przypadek podniosłam z podłogi lustro. W lustrze jednak musiałabym zobaczyć też wszystko to, co znajdowało się za moimi plecami: półkę na książki, bukiet suszonych kwiatów, parapet zawałony różnymi rupieciami, okno, zepsutą latarnię zapalającą się i gasnącą na przemian. Tymczasem patrzyłam na egzotyczne wnętrze, którego nigdy wcześniej nie widziałam. W tle pisał się misternie wykonany luk mauretański, nawiązujący stylem do tych z pałaców Kordoby, prowadzący na obszerny dziedziniec. Zza filaru nieśmiało wychylał się spory oleander, obsypany gęsto różowym kwieciem. W lewym rogu umieszczono niski, indyjski stolik z drewna teakowego o bokach inkrustowanych mozaiką z masy perłowej, identyczny z tym, który w cieplejsze dni wynosiliśmy na taras za domem, żeby pić przy nim popołudniową kawę. Na blacie w poprzeczne romby stała ażurowa, mosiężna kadzielnica. Obok ktoś porzucił czerwoną apaszkę, zapewne po to, by przeszła zapachem kadzidła. Postać będąca moim lustrzanym odbiciem opierała się o ścianę zdo-

bioną zellidżem. Ubrana była w orientalne szaty, jakich na pewno nigdy nie miałam na sobie. Doskonale skrojona suknia w kolorze miodu, przewiązana w talii granatową chustą, bosc stopy i grube złote obręcze na krągłych ramionach upodobniały ją do mieszkanki haremu, ale wewnątrz, w którym przebywała, nie dawało pewności, że to on właśnie był jej domem. Im dłużej patrzyłam na tę kobietę, tym większą czułam niepewność. Pochyliłam się nad malowidłem z nadzieją, że uda mi się znaleźć jakąś wskazówkę, ukryte znaczenie, atrybut pozwalający rozwikłać zagadkę pochodzenia obrazu, i powoli zaczęłam dostrzegać subtelne różnice między mną a dziewczyną z portretu. Moja cera była jasna, w kilku miejscach pokryta drobnymi piegami, jej – gładka, zaróżowiona, jak u starodawnych lalek z porcelany. Spod czerwonej chusty na głowie kobiety wymykały się długie, lekko kręcone włosy, o kilka tonów ciemniejsze od moich; wpleciono w nie sznury złotych monet. Na prawym policzku miała niewielki okrągły pieprzyk, taki jak ja na lewym. Reszta pasowała niemal idealnie: owal twarzy, oprawa oczu, ułożenie brwi, kształt nosa, ust i podbródka, nawet utkwione w oddali poważne spojrzenie, to, z którego czasem zdarzało Ci się śmiać; zawsze pytałeś wtedy, gdzie się podziałam.

Te rozważania pozwoliły mi się uspokoić. Zaczęłam zastanawiać się, co powinnam zrobić z tym znaleziskiem. Przez myśl przeszło mi nawet, że być może zamówiłeś ten portret i schowałeś do szafy, żeby zrobić mi niespodziankę, ale nie zgadzał się w tym wszystkim pewien istotny szczegół. W londyńskich galeriach, na wystawach i w sklepach z antykami tak często miałam okazję oglądać dzieła dawnych mistrzów, że bez trudu potrafiłam odróżnić je od współczesnych. Obraz musiał wykonać wybitny artysta, ktoś, kto przez wiele lat studiował dzieła francuskich orientalistów i naśladował ich tak dobrze, że tylko prawdziwy znawca mógł odróżnić ten portret od oryginałów z epoki. Wiedzioną nowym pomysłem, poszukałam sygnatury malarza, ale okazało się, że artysta nie podpisał się ani na obrazie, ani na jego odwrocie. To utrudniało sprawę, ale nie zamierzałam się poddać. Wsunęłam portret do skórzanej teczki, między dokumenty i kserokopie notatek. Postanowiłam, że przy najbliższej okazji zaniosę go do pewnej znanej galerii na Portobello Road, prowadzonej przez emerytowanego profesora Thomasa Wrighta, historyka sztuki, pasjonata i kolekcjonera, do którego z prośbą o wycenę antyków zwracały się najstarsze w mieście domy aukcyjne, i podobno nawet sam Pałac Buckingham. Staruszek uchodził w okolicy za ekscentryka i milionera. O skarbach zgromadzonych w jego okazałej londyńskiej rezydencji przy Wycombe Square krążyły niezliczone plotki. Jedna z nich głosiła, że miał w piwnicy kolekcję obrazów przewyższającą wartością zbiory najslawniejszych światowych muzeów. Pytany o nie, profesor odpowiadał tajemniczym uśmiechem, widać było, że niespecjalnie przejmuje się ludzkim gadaniem. Zdrowie nie pozwalało mu już pracować tak dużo jak kiedyś, ale nie chcąc opuścić cotygodniowych targów staroci, każdej soboty pojawiał się w sklepie. Czasem widywałam go na zewnątrz, siedzącego z drewnianą fajką w ustach i z roztargnieniem przypatrującego się rzeszom przechodniów. Miałam nadzieję, że nie odmówi mi pomocy i spróbuje wyjaśnić sekret portretu.

Hałas wyrwał mnie ze snu o dramatycznie wczesnej, nieludzkiej godzinie. Za oknami było ciemno, choć na wschodzie niebo zdążyło rozjaśnić się już odrobiną czerwieni, gdzieniegdzie przypominając przetarty materiał. O tej porze zazwyczaj tłukli się śmieciarze, z łoskotem opróżniając kontenery, metalowe kubły i porozwieszane na żelaznych wieszakach plastikowe worki, ale tym razem to nie ich odgłosy rozdzierały na strzępy spokojną ciszę nocy. Wyrzałam na ulicę. W mroku szybko przemykały cienie sprzedawców, którzy już od świtu nadciągali z okolicznych miast i wydobywali ze zdezelowanych furgonetek stare książki, rodowe srebra, zabytkowe meble i porcelanę. Ich pokrzykiwania, tupanie ciężkich butów, niekończące się kłótnie o miejsce lub – dla odmiany – tubalne wybuchy śmiechu niosły się po całej dzielnicy, płosząc sen jej mieszkańców. Niezrażona porannym chłodem, patrzyłam, jak Portobello Road powoli staje się olbrzymim targowiskiem. Cały miniony tydzień umknął mi gdzieś, przepadł bez śladu i ze zdziwieniem uświadomiłam sobie, że znowu nadeszła sobota. Ty wciąż spałeś w najlepsze, nie zdołał zbudzić Cię warkot silników, trzaskanie drzwi samochodów i nerwowe trąbienie klaksonów. Na palcach przeszłam do salonu i po ciemku włożyłam do torby skórzaną teczkę z portretem tajemniczej kobiety. Miałam zamiar wrócić jeszcze do łóżka, ale z sąsiedniej posesji dobiegało wściekle ujadanie psa, przekreślając nadzieje na dalszy sen, więc zmieniłam plany. Ubrałam się byle jak, zakładając na siebie to, co znalazłam pod

ręką, i wyszłam na ulicę. Zewsząd straszyły kikuty rozstawianych w pośpiechu straganów, kartonowe pudła i przepełnione śmietniki. Nocny wiatr gnał przed siebie pojedyncze kartki wyrwane z gazet. Niektóre zatrzymywały się na krawężnikach, oponach samochodów zaparkowanych w poprzek chodnika albo na słupach ulicznych latarni i krzyczały nagłówkami o skandalach, zbrodniach, tragediach i kataklizmach. Z daleka pozdrowił mnie Shekher, Hindus handlujący owocami, szczerząc białe zęby w szerokim uśmiechu. Sklepowe witryny, schowane za zasłoną rolet i okiennic, jako jedyne na Portobello wydawały się nadal śnić swoje sny, dlatego z ulgą powitałam cienką strużkę światła wymykającą się spod drzwi prowadzących do galerii sir Thomasa Wrighta. Uniosłam nieznacznie metalową żaluzję na oknie wystawowym i zapukałam w szybę. Profesor otworzył po kilku minutach, dłużących się w nieskończoność. Miał na sobie drelichowy kitel, spod którego wystawały mankiety nienagannie uprasowanej koszuli, bordowy węzeł krawata i eleganckie spodnie w kolorze stalowoszarym. Natychmiast odczułam wstyd z powodu swojego niedbałego stroju: sportowych butów, džinsów i długiego do kolan swetra. Staruszek nie poznał mnie od razu, ale zerknąwszy ponad okularów, szybko przypomniał sobie moją twarz, tak często widywaną w pobliskich sklepach i kawiarniach.

W galerii panował półmrok, tylko na masywnym, mahoniowym biurku paliła się lampka z pochyloną metalową szyją. Kręgi żółtego światła rozchodziły się po marmurowej podłodze jak po tafli wody, z cienia wybiegały rozpędzone konie, uwiecznione na jednym z obrazów myśliwskich, niosąc na kopytach grudki niebieskawego śniegu. W ślad za nimi podążały postacie mężczyzn, kobiet i dzieci w różnym wieku, żebraków, arystokratów, kurtyzan i świętych, wychodząc ze wszystkich kątów, niczym barwna procesja. Eteryzna baletnica zastygła w tanecznej pozie na podniszczonym płótnie, po sąsiedzku drzemał kot, dalej młoda dziewczyna o piersiach jak melony pochylała się nad leśną sadzawką. Na nich patrzyła spod oka hiszpańska tancerka w karminowej sukni, z kwiatami wpiętymi w ciemne, rozwiane tańcem włosy, drwiąco wskazując palcem chudego arleki- na. Niektóre twarze wydawały mi się niewyobrażalnie smutne, jakby pozowanie sprawiało modelom przykrość, inne z kolei wyglądały na frywolne, rozbawione, bez troski, czasem wyzywające. Naga kobieta, z nogą przerzuconą przez oparcie żółtej otomany, roziskrzonym wzrokiem próbowała przywołać do siebie niewidzialnego portrecistę, licząc na to, że dostanie coś jeszcze oprócz obrazu. Naprzeciw niej spokojnie, jak gdyby nigdy nic Hinduska w różowym sari karmiła stado ptaków. Na ramionach przysiadły jej kolorowe papugi, pawie wyciągały ku niej długie, niebieskawe szyje. Kiedy oswoiłam się już z tłumem postaci, poszukałam wzrokiem obrazów, z których przybyły. Przed moimi oczami rozciągały się prowansalskie łąki, porośnięte makami i lawendą, ulice anonimowych miast rozwijały się niczym długi dywan, z precyzją przewodnika oprowadzając po parkach, bulwarach, mostach i ruinach. Portrety, pejzaże, geometryczne abstrakcje, martwe natury, pełne jabłek, pomarańczy, kwiatów, glinianych dzbanów i pustych butelek, tłoczyły się na każdym kawałku wolnej przestrzeni, wisiały na ścianach, stały na podłodze oparte o siebie plecami, najcenniejsze natomiast chroniły się w oszklonych gablotach. Wśród obrazów ginęły pojedyncze grafiki i kilka pasteli. Życie wewnętrzne dzieł sztuki pochłonęło mnie całkowicie.

Sir Thomas Wright musiał przyglądać mi się już od dłuższego czasu, nim wreszcie przypomniałam sobie o jego obecności.

– Maluje pani? – spytał jak ktoś, kto nie spotyka nikogo poza artystami. Być może pomyślał, że będę chciała wstawiać do niego swoje obrazy.

– Nie, piszę – uśmiechnęłam się.

Porozumieliśmy się wzrokiem, natychmiast wyczuwając w sobie pokrewne dusze. Takie chwile, w których czyjeś myśli odbijają się w naszych jak w lustrze, zawsze wywoływały u mnie pełne niedowierzania zdumienie. Profesor wskazał mi pluszowy fotel po drugiej stronie biurka i zachęcił uśmiechem, żebym usiadła. Zająłam miejsce przy stole zarzuconym serią starych, czarno-białych zdjęć kobiet o alabastrowych ramionach, łabędzich szyjach i włosach upiętych wysoko ozdobnymi klamrami. Wśród fotografii leżały różnej wielkości szkła powiększające, kilka par okularów, pęseta i zestaw małych pędzelków. Profesor jednym ruchem przesunął wszystko bliżej krawędzi i powiedział ciepło:

– Pisać czy malować to przecież prawie to samo.

– To prawda – przytaknęłam. – W obu przypadkach chodzi przecież o jedno.

– O istotę piękna? – upewnił się.

– O łączenie kolorów.

– Co ma pani na myśli? – zapytał, ale nim zdążyłam odpowiedzieć, zwierzył się jeszcze: – Czytam książki, ale ich nie piszę. Wyceniam obrazy, sprzedaję je, analizuję kreskę, strukturę farb, kąt padania światła, ale ich nie maluję. Choćbym próbował bez końca, nigdy nie zrozumiem, co kryje się za powstaniem dzieła, które mam przed sobą. Zobaczę tylko tyle, ile obraz zechce mi pokazać. Czasem czuję się jak ktoś, kto schowany za zasłoną podgląda nieznany świat i próbuje odkryć, jakie prawa nim rządzą. Zaintrygowało mnie to, co pani mówi. Dotąd wydawało mi się, że wszystkie dziedziny sztuki łączy poszukiwanie ideału piękna.

Twarz profesora ożywiła się, wyglądał jak ktoś, kto od dawna miał ochotę podyskutować na jakiś ciekawy temat, ale najwyraźniej brakowało mu towarzystwa. Być może za tą nieoczekiwaną potrzebą rozmowy kryła się po prostu zwykła ludzka samotność.

– Wydaje mi się, panie profesorze, że pisanie to po prostu zdolność widzenia barwy słów – powiedziałam, nieco onieśmielona. – Łączenie ich w zdania przypomina mieszanie farb, żeby potem stworzyć obraz idealny, gdzie wszystko pasuje do siebie nawzajem, współgra, komponuje się w całość.

– A więc uważa pani, że każde słowo ma swój kolor? – Profesor był zaskoczony albo przynajmniej takie sprawiał wrażenie. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Ciekawa teoria, muszę przyznać.

– Trudno powiedzieć, czy to teoria, czy może pewna właściwość umysłu, który nakazuje nadawać barwy wszystkiemu, co istnieje, i tłumaczyć język słów na język obrazów. Wie pan co – podsunęłam mu czystą kartkę, którą znalazłam na biurku – proszę coś tu napisać, cokolwiek.

Staruszek sięgnął za siebie po porcelanową filiżankę, napełnił ją kawą i postawił przede mną. Dopiero wtedy wziął do ręki wieczne pióro i na białym papierze wykaligrafował swoje imię.

– Co pan tutaj widzi, panie profesorze? – zapytałam.

– Jeden wyraz, nic więcej. A pani?

– Ja widzę fiolet zmieszany z błękitem i odrobiną bieli. Gdyby dopisał pan swoje nazwisko, zobaczyłabym jeszcze jasny odcień granatu. Kiedy buduję zdania, staram się układać słowa w taki sposób, żeby kolory pasowały do siebie nawzajem, a całość nie drażniła oczu złym połączeniem. Chcąc pana dobrze opisać, powinnam to zrobić tak, żeby czytelnik miał wrażenie, że patrzy na zdjęcie albo stoi naprzeciw pańskiego portretu. Wyobraźnia pisarza nie może być zakłęta w bezbarwny ciąg wyrazów ani w czarno-białe linijki tekstu, słowa muszą stać się widzialne, objawiać się obrazami. Myślę, że malarz postępuje podobnie, choć posługuje się innym rodzajem narzędzi.

– Czyli jednak pani maluje – zaśmiał się. – Tyle że słowami.

Na dłuższą chwilę zaległa cisza, podczas której oboje zajęci byliśmy popijaniem kawy. Pochłonięta rozmową ze staruszkim, niemal zapomniałam, z czym do niego przyszłam. Po tej wymianie zdań nie wiedziałam, od czego zacząć, a nie chciałam wikłać się we własne domysły ani podejrzenia, dlatego po prostu wyjęłam obraz z teczki i wyciągnęłam go ku profesorowi. Przez chwilę patrzył na niego w taki sam sposób, w jaki zapewne oglądał dotąd setki malowideł, coś jednak musiało go zaniepokoić.

– Gdzie pani kupiła ten obraz? – zapytał i ostrożnie wziął go do ręki. Ani na chwilę nie ode-rwał wzroku od portretu.

Odniosłam wrażenie, że chciał zapytać o coś innego. Zastanowił mnie jego podejrzliwy ton. Czyżby obawiał się, że mam coś, co pochodzi z nielegalnego źródła?

Postanowiłam odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

– Znalazłam go. A właściwie to on mnie odnalazł.

Sir Thomas Wright nie zareagował. W milczeniu studiował pociągnięcia pędzla, dotykał palcem grubej warstwy farb, założywszy uprzednio cienkie rękawiczki. Od czasu do czasu brał do rąk szkło powiększające albo jedną z wielu par okularów.

– Komu przyszło do głowy malować po tym farbami olejnymi? – mamrotał oburzony. W tamtej chwili zapewne zastanawiał się, czy nadwyrężony latami ciężkiej pracy wzrok nie płała mu

figla.

Spojrzenie staruszka spoczęło wreszcie na twarzy namalowanej kobiety. Czekałam na ten moment, a jednocześnie była to chwila, której najbardziej się bałam, planując wizytę w galerii. Staruszek patrzył to na mnie, to na nią, z coraz większym niedowierzaniem.

– To niemożliwe – wykrztusił, a w jego oczach kryło się coś, czego nie chciał lub nie potrafił wyrazić słowami.

Odczekałam chwilę, aż emocje trochę opadną, i w końcu odważyłam się zabrać głos.

– Panie profesorze, możemy porozmawiać o tym obrazie?

Właściciel galerii potwierdził skinieniem głowy, a okulary zsunęły mu się z nosa.

– Przedtem wolałbym jednak zwrócić się do kilku moich przyjaciół, którzy potwierdzą, że nie zwariowałem. Czy mogłaby pani zostawić ten... – zawahał się na moment – portret na jakiś czas u mnie? Rzecz jasna, wystawię pani pokwitowanie.

– Oczywiście – zgodziłam się bez wahania. – Ale proszę powiedzieć mi o nim przynajmniej kilka słów. Jak pan się domyśla, to dla mnie bardzo ważne.

Sir Thomas Wright odwzajemnił uśmiech, z zakłopotaniem jeszcze większym niż moje.

– Mam swoją teorię, ale sam nie jestem w stanie w nią uwierzyć. Wolałbym o niczym nie mówić, dopóki nie zdobędę całkowitej pewności, odnośnie do tego, jak dalece jest słuszna. Proszę mi dać trochę czasu.

Zrozumiałam, że wizyta właśnie dobiegła końca i że staruszek na razie nie powie mi niczego więcej.

Na gwarnej, zatłoczonej ulicy, tak różnej od tej, którą przechodziłam dwie godziny temu, od razu oślepiły mnie promienie słońca. Miałam wrażenie, że całe miasto nagle zebrało się tu, na Portobello Road, a w pozostałych dzielnicach straszą teraz opuszczone domy, senne ogrody i autobusy widma. Rozstawione na środku stragany, zadaszone płótnem w kolorowe pasy, przypominały gondole wolno sunące po weneckich kanałach. Pod kamienicą naprzeciwko galerii jakiś mężczyzna rozstawił zabytkowy aparat na wysokim trójnogu i przymierzał się do robienia zdjęć. Patrząc na niego, myślałam o tym, ilu z nas zastyga bezwiednie na cudzych fotografiach, użyczając siebie jako tła. Utrwalona przez przypadek ręka, głowa, kawałek buta, stopa w pasiastej skarpetce, odwrócona bokiem sylwetka, gest, nieopatrznie skradziony właścicielowi – wszystko to niespodziewanie wkracza w obcy świat i zostaje w nim, często wbrew własnej woli. Do ilu mieszkań trafiłam w taki sposób? Ile miejsc udało mi się odwiedzić, w ilu rodzinnych albumach znalazłam dla siebie kątek, będąc anonimowym, niczego nieświadomym przechodniem? Wokół przepływały nieznajome twarze. Niektóre z nich przyciągały mój wzrok, a wtedy – jak duchy uciekające z ponurych, mrocznych ruin – nawiedzały mnie uczucia mijanych ludzi. Czułam ich strach przed życiem, leniwa, ociężała bierność, z jaką unosili się na jego falach, widziałam setki sprzeniewierzonych marzeń, wrzuconych do cuchnącego rynsztoka codzienności. Uwięzieni w nudzie, melancholii, tęsknocie za przeszłością, w żalu za minionymi latami, bezradnie patrzyli w przyszłość, nie dostrzegając w niej żadnych kształtów i kolorów. „Nic już na mnie nie czeka”, „Niczego nie chcę”, „Gdybym mógł cofnąć czas”, zdawali się mówić spojrzeniami, zapamiętani we własnym zgorzknieniu. Kontrastowała z nimi niewyczerpana radość ulicy, na której szukali pocieszenia w skrzeku papugi, dźwięku katarynki, turkusowych koralach oferowanych nachalnie przez ulicznego sprzedawcę, w pożółkłych ze starości książeczkach do nabożeństwa, przetartych od zbyt częstego przewracania stron. Nagle zrozumiałam, że ci ludzie po prostu spragnieni są opowieści, czegoś, co potrafiłoby wnieść trochę ciepła w ich skostniałe, przemarznięte dusze. To właśnie tu, na Portobello Road, pełnej kolorowych kramów, w gąszczu antyków, staroci i przedmiotów, których chciano pozbyć się z domów, wystawiając je prosto na chodnik, próbowali odnaleźć zapomnianą baśń, a wraz z nią również siebie.

Wypatrzyłam Cię w tłumie, kolejny raz doznając objawienia, że wśród okolicznych sklepów i straganów dzień po dniu toczy się moja własna opowieść. W promieniach słońca Twoje oczy lśniły wpadającym w zieleń odcieniem szarości, we włosach buszował wiatr. Patrzyłam z daleka, jak uśmiechnąłeś się do kota, który wygrzewał się na pustym balkonie, i jak rozglądasz się na boki, spoglądając w mijane twarze, jakbyś kogoś szukał. Zawołałam Cię, choć byłam przekonana, że mój głos utonie w gwarze ulicy, rozplynie się w rozmowach, śmiechach, dyskusjach o tym, co kupić, a

wobec czego lepiej przejść obojętnie. Ty jednak natychmiast podążyłeś za moim głosem i odnalazłeś mnie wzrokiem, jakbyś potrafił z tylu różnych dźwięków wychwycić ten jeden właściwy ton. Patrzyliśmy na siebie ponad głowami przechodniów, żeby nie stracić się z oczu, a gdy w końcu udało nam się spotkać, nasze dłonie zrosły się ze sobą jak drzewa. Zacząłeś mówić coś z przejęciem, przeskakując z tematu na temat. Opowiadałeś mi o dwóch chłopcach spuszcających włochatego pajaka z balkonu nad sklepem muzycznym tuż pod nogi klientów, o sąsiadce, która robiła zakupy w kapciach i papilotach. Nie zadałeś pytania o moje wczesne wyjście, bo przypuszczalnie znałeś już na nie odpowiedź. Kiedy siedłeś obok, w swoich nieodłącznych butach z monogramem, świat z minuty na minutę ulegał przemianie, stawał się lepszy, spokojniejszy, bardziej poukładany. Twarze ludzi dookoła nabierały przyjaznego wyrazu, znikająca z nich nerwowość, znużenie i przygnębienie, wszystko, co sprawiało, że wyglądały jak wycięte z pogniecionych, czarno-białych gazet. Znajomi sprzedawcy wykrzykiwali za nami słowa powitania, ktoś kłaniał się w milczeniu krótkim skinieniem głowy, ktoś inny przemykał obok z nieśmiałym uśmiechem.

Wokół panował nieustanny ruch, tylko okoliczne budynki, ciche i niewzruszone, pełniły rolę rekwizytów na wielkiej scenie ulicy. „Filmy Bollywood, Kajol, Shah Rukh Khan” – dał się schrypiętym głosem niski Pakistańczyk. „Hot dogi, hamburgery” – głośnie wtórował mu szczupły nastolatek w czerwonej czapce z daszkiem. Mężczyzna w stroju kucharza z zapamiętaniem mieszał coś w wielkim garze pośród kłębow pary. Na sąsiednim stoisku Chińczyk pakował na wynos długie, poskręcane makaron, który co chwilę wymykał mu się z rąk. Sędziwa staruszka w eleganckim kapeluszu oganiała się parasolką od czyjegoś psa. Z pękniętej plastikowej siatki jakiegoś przechodnia wypadły pomarańcze wprost pod nogi dwóch kobiet klócących się o srebrną patelnię przy kramie z antykami. Handlarz warzywami z niewzruszoną miną obsługiwał klientce, zbyt długo przebijającej wśród główek kapusty, kabaczków i bakłażanów. Jego konkurent z przekleństwem na ustach przykrywał płacami szarego papieru skrzynki pełne ziemniaków, ogórków i pomidorów, żeby przypadkiem nie zapaskudziły ich gołębie przesiadujące na pobliskim drzewie.

Szliśmy wolnym krokiem, od czasu do czasu zatrzymując się gdzieś, żeby poszperać w stosach starych książek, przedwojennych widokówek, zepsutych kieszonkowych zegarków i w pełnych rupieci tekturowych pudłach. Śmiałeś się, kiedy przymierzałam czapeczki z kolorowej włóczki, etole, mufki, okulary w plastikowych oprawkach i staromodne pantofle na obcasach, i mówiłeś do mnie: „Madame”. Dziwne, niepotrzebne przedmioty, od dawna nienadające się już do użytku, zdawały się wychodzić nam naprzeciw z ciemnych, zakurzonych sklepowych zakamarków, zbiegać ze schodów, witać nas z otwartymi ramionami albo spoglądać z nadzieją rozbitka, któremu ktoś niespodziewanie zaproponował schronienie. Lodówki, pralki, przenośne klimatyzatory i piecyki do ogrzewania wody, wystawione przed komis ze sprzętem gospodarstwa domowego, przypominały ponure złomowisko, strasząc bliznami chropowatej rdzy i obdartymi naklejkami z nazwą producenta. Przed sklepem z antykami meble ze wszystkich epok prezentowały swe wdzięki niczym modelki na pokazach znanych projektantów. Zapatrzyłam się na bogato rzeźbione, masywne stoły z marmurowymi blatami, na miękkie fotele z przetartą tapicerką, na wygniecione krzesła, mahoniowe łóżka, szezlongi, komody i toaletki, porcelanowe dzbany pochodzące zapewne z dworskich umywalni, na lampy o abażurach przypominających kościelne witraże, aż w końcu natknęłam się na dębową szafę z przymkniętymi drzwiami. W środku przed ciekawskimi spojrzeniami przechodniów skrył się bezdomny i drzemał w najlepsze. Pomarszczone dłonie zastygły mu na kolanach, dziurawy but zsunął się z prawej nogi i leżał na zewnątrz. Przez chwilę zastanawialiśmy się, o czym może śnić, ze spokojem wypisanym na twarzy greckiego mędrca, kogoś, kogo świat znudził i zmęczył do tego stopnia, że postanowił zapaść w wieczny sen. Ścisnąłeś mocniej moją rękę i pociągnąłeś w kierunku najbliższej kawiarni, jednej z tych, których pełno przy Portobello Road. Przed wejściem do lokalu w bezładzie tłoczyły się motocykle, skutery i rowery miejskie. W środku klienci, przekrzykując się nawzajem i półleżąc na barze, zamawiali piwo, tosty, kanapki na gorąco oraz wszechobecną kawę w tekturowych kubkach, którą rozlewali w drodze do wyjścia albo do właśnie zwolnionego stolika. Ściany pokryte bordową tapetą obwieszono starymi reklamami herbaty, czekolady, cygar i alkoholi.

Udało nam się znaleźć miejsce w sali na piętrze. Zajadając się jajkami na bekonie, podpatry-

waliśmy, co dzieje się na ulicy. Przed sklepy wylegli sprzedawcy i usadowili się na turystycznych, rozkładanych krzesłach, wystawiając twarze do słońca, paląc papierosy albo popijając napoje gazowane z plastikowych butelek. Aptekarz, fryzjer i handlarz mięsem halal wdali się w ożywioną dyskusję o polityce zagranicznej imperium brytyjskiego. Samochód dostawcy ryb przemknął z łoskotem, zostawiając za sobą falę dusznego smrodu. Kończyłeś jeść, a ja po raz kolejny przeglądałam torby, pakunki i własne kieszenie, wyciągając z nich po kolei wszystko, co udało nam się zdobyć na targu: porcelanowy nocnik z epoki wiktoriańskiej (mieliśmy zamiar posadzić w nim pnącą różę), dziewiętnastowieczne wydanie *Niebezpiecznych związków* de Laclosa, turkusową misę na owoce, ręcznie malowany jedwabny szal, przedwojenne czarno-białe widokówki z medyną Tunisu, bursztynowe kolczyki w srebrnej oprawie, złożone lustro, które odbijało promienie słoneczne. Roześmiani i rozgadani ludzie przy stolikach obok robili to samo ze swoimi skarbami.

W doskonałych nastrojach opuściliśmy lokal. Po drodze do domu, w wąskim przesmyku między straganami, zauważyliśmy mężczyznę w słomkowym kapeluszu wyciągniętego leniwie na drewnianym stołku. Sprzedawał starą porcelanę, ale jakby od niechcenia, nie zwracając baczniejszej uwagi na swoje stoisko. Ludzie zręcznie omijali go wzrokiem i obojętnie szli dalej, choć delikatne filiżanki na okrągłych talerzykach robiły, co mogły, żeby przyciągnąć uwagę przechodniów. Wdzięczyły się mleczną bielą, beżem kości słoniowej, bogactwem ornamentów i kwiatowych wzorów. Jedna z nich stała na uboczu, oddalona od swoich towarzyszek, pełna milczącego dystansu, wyróżniająca się głębią koloru – rzadko spotykanym, kobaltowym odcieniem granatu. Złote wykończenie górnej krawędzi nadawało jej szlachetny, niemal królewski wygląd, tak że pozostałe filiżanki wydawały się przy niej pospolitym, nieciekawym tłem. Tajemnicza, melancholijna aura przedmiotu sprawiała, że przywodził na myśl kogoś, kto świadomie unika towarzystwa, odsuwa się, pozostając samotnym wśród tłumu.

„Poproszę tę filiżankę” – zwróciłam się do sprzedawcy. Na dźwięk mojego głosu podskoczył, jakby ktoś oblał mu kolana wrzątkiem. Najwyraźniej nie spodziewał się już żadnego klienta. Stołek zatrzeszczał niebezpiecznie, gdy mężczyzna podnosił się, żeby nas obsłużyć. „Jest pani zdecydowana? Może zechce pani jeszcze się rozejrzeć?” – zaproponował tonem zdradzającym nadzieję, że w ostatniej chwili zrezygnuję z zakupu. Pomyślałam, że chyba nie ma ochoty pozbywać się filiżanki, ale pełne niechęci spojrzenie, jakim ją obrzucił, wskazywało na coś zupełnie przeciwnego. Siląc się na uśmiech, pokręciłam stanowczo głową i uparcie trwałam przy swoim wyborze. Mężczyzna zażądał wysokiej zapłaty, chwytając się zapewne tej ostatniej deski ratunku, żeby jakimś sposobem zatrzymać przedmiot przy sobie. Jego upór wzmógł moją ciekawość, byłam gotowa zapłacić tyle, ile oczekiwał. Wyjąłeś z portfela odliczone banknoty i wyciągnąłeś dłoń w kierunku sprzedawcy, kiedy uprzedziłam Cię i jako pierwsza podałam mu pieniądze. „Ona nie chce być prezentem od Ciebie” – próbowałam żartować, choć poczułam, że naprawdę tak jest. Właściciel stoiska pochylił się, zgarnął pieniądze i ociepiałym ruchem sięgnął po filiżankę, żeby ją zapakować. Patrzyłam na nią i widziałam, jak próbuje odsuwać się z obrzydzeniem, za wszelką cenę chcąc uniknąć dotyku sprzedawcy. Chyba pierwszy raz w życiu miałam przed sobą przedmiot, który stawał tak zacięty opór. Chwilę później mężczyzna z roztargnieniem podał mi przezroczystą plastikową siatkę i wymamrotał kilka niewyraźnych słów pożegnania, po czym znów zajął swoje stałe miejsce na stołku. Oddalając się od straganu, widziałam, że z wyrazem błęgiego zamyślenia na pulchnej, spalonej słońcem twarzy chrupał pestki słonecznika wyjmowane z kieszeni kraciastej koszuli.

Filiżanka całkowicie zawładnęła moimi myślami. Nie mogłam się pozbyć wrażenia, że ma do powiedzenia coś niezwykle ważnego, o czym nie mówi się przypadkowym osobom, że być może dławi ją żal, głęboko skrywana uraza albo inne emocje rozpaczliwie pragnące wydostać się na zewnątrz. Już kiedy ją zobaczyłam, miałam ochotę poznać jej historię, dowiedzieć się, do kogo należała. Zaczęłam nagle spieszyć się do domu, żeby jak najszybciej poszukać na niej śladów dawnego życia. Wyobrażałam sobie kształt dłoni trzymających delikatne uszko, okrągłą, oszkloną szafkę do przechowywania rodowej porcelany, salonowe rozmowy, twarze nieznanymi ludźmi, zmieniające się przed oczyma tak szybko jak postacie w galerii portretów.

Położyłam pakunek na biurku w gabinecie, a potem wolno odwinęłam papier. Zbłąkane pro-

mienie słońca padły na filiżankę, wypełniając jej wnętrze. Ten widok na chwilę nas onieśmielił. Sekundy płynęły w milczeniu. Zdażyliśmy już obrócić się ku sobie i otworzyć usta, żeby powiedzieć coś ważnego, gdy pokój wypełnił trzask. Filiżanka pękła i rozpadła się na cztery równe części, spodek poszedł w jej ślady.

Czułam, że za chwilę rozplączę się jak świadek wypadku, na oczach którego ktoś właśnie poniósł śmierć. Mówiłeś, że spróbujesz posklejać filiżankę, przekonany, że na pewno się uda, ale zapewne po to, by wyśmiać Twoje obietnice, kobaltowe skorupy zaczęły rozpadać się na coraz mniejsze kawałki. „Musimy uszanować jej wybór. Myślę, że po prostu nie chciała do nas należeć” – szepnęłam. „A ja myślę, że nie chciała należeć do nikogo” – poprawiłeś mnie i przypomniałeś dziwne zachowanie handlarza porcelaną. Przerywając ciszę, jaka na moment zapadła między nami, zaproponowałeś, żebyśmy wrócili na targ i spróbowali porozmawiać z mężczyzną. Na pewno wiedział o filiżance znacznie więcej od nas.

Nie zdażyłam powiedzieć, że to dobry pomysł, a już pociągnąłeś mnie za sobą prosto na ulicę, między sprzedawców, nieświadomych tego, co przed chwilą wydarzyło się w murach naszego domu. W milczeniu przeliczali zyski, chowali całodzienny utarg do metalowych kas, pobrzękiwali monetami zawijanymi w papierowe rulony albo powoli pakowali swe kramy, składając turystyczne krzesła i parasole. Gdźieniedzie pojawiali się jeszcze pojedynczy łowcy okazji, pozostałość po tłumie, który tak niedawno przemierzał ulice.

Sprzedawca porcelany wciąż tkwił na posterunku i drzemał, zasłonięty słomkowym kapeluszem. Jego sen wydał mi się podejrzany, nieszczerzy, pełen ukrytych, nie całkiem czystych intencji. Im bliżej jednak byliśmy, tym większego nabierałam przekonania, że mężczyzna tylko udaje śpiącego, obserwując czujnymi oczami wszystko, co dzieje się dookoła. Przypuszczenia okazały się słuszne. Podeszliśmy do stolika, na którym nie brakowało żadnej filiżanki oprócz tej jednej, kupionej przez nas niecałą godzinę temu, a handlarz natychmiast zerwał się na równe nogi, przygotowany na to, że zmierzamy w jego kierunku.

– Czym mogę państwu służyć? – zapytał, tłumiąc udawane ziewnięcie.

Obrzuciłeś go badawczym spojrzeniem, a ja pomyślałam, że patrzysz na twarz mężczyzny, jakby była książką. Czytałeś ją, studiowałeś uważnie, zdanie po zdaniu, słowo po słowie, przecinek po przecinku, z powagą i zaangażowaniem niepozwalającym opuścić ani jednej linijki. Twój wzrok ewidentnie wytrącił handlarza z równowagi, ręce zaczęły mu się trząść, nogi pod nim drżały, a rozbiegane oczy zdradzały zdenerwowanie. Przypominał pasera, który obawiał się nalotu policji. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy pokazałeś mu potłuczone kobaltowe kawałki.

– Serce nie wytrzymało? – W pozornie szczerym śmiechu sprzedawcy zabrzmiała nuta szyderstwa.

Handlarz nie podejrzewał nawet, że przez nieuwagę, brak ostrożności lub z jakichś innych powodów stłukliśmy filiżankę, a teraz będziemy się domagać pieniędzy. Od razu wiedział, że rozpadła się sama z siebie.

– Gdzie zaopatruje się pan w porcelanę? – zapytałeś, puszczając mimo uszu ironiczną uwagę.

– Nigdzie. – Wzruszył ramionami. – Ludzie sami ją do mnie przynoszą.

– A kto przyniósł tę? – Podniosłeś wyżej pudełko ze skorupami.

– Nie udzielam informacji o moich klientach – warknął. – Szczególnie o tych, którzy podrzucają mi jakieś stare, niebezpieczne rupiecie, byle tylko pozbyć się ich z własnych czterech ścian. Zobaczcie, co się stało, kiedy dotknąłem tej waszej cennej skorupy.

Wyciągnął przed siebie rozcapierzoną dłoń i palcem drugiej ręki dotknął wąskiej blizny po oparzeniu.

– Niech pan nam powie, jak możemy skontaktować się z właścicielem – upierałam się. – Może ta filiżanka należała do kompletu i uda nam się kupić taką samą.

Handlarz podrapał się po brzuchu i spojrzał spode łba. Widoczna na naszych twarzach determinacja musiała przekonać go, że nie damy za wygraną i powinien odpowiedzieć na pytanie.

– Idźcie tam. – Wskazał niedbale ręką na drugą stronę ulicy, gdzie znajdowała się nieczynna księgarnia z oknem do połowy zasłoniętym bordową roletą. Elegancki, nieco staromodny szyld z



nazwą *Patel's Bookstore* i rokiem założenia sklepu opatrzony był również napisami w kilku obcych językach. Popatrzyliśmy na mężczyznę zdezorientowani.

– Tam, tam – potwierdził, zniecierpliwiony. – Ona jest w środku, ten srebrny jeep, pierwszy po prawej, to jej samochód. Zapukajcie w szybę, może was wpuści.

Odniosłam wrażenie, że sprzedawca celowo nie wypowiedział imienia kobiety, jakby obawiał się ukrytej w nim klątwy.

– Przecież wewnątrz jest ciemno – powiedziałam, nie zamierzając dzielić się z nim swoim przypuszczeniem.

– Jest ciemno, bo nie ma prądu – warknął.

– Nie ma prądu? – powtórzyłam, bo wydało mi się to niedorzeczne.

– Ano nie ma. Ten stary dziwak Patel pewnie nie płacił rachunków i mu odłączyli, a teraz trzeba czasu, żeby to odkręcić. Nawet licznik mu zdjęli, nie widzicie?

Na ścianie rzeczywiście widniał ślad po zdemontowanym liczniku.

– Radzę wam się pospieszyć, zaraz będzie ciemno. Paniusia nigdy nie lubiła przyjeżdżać do starego i lichy wie, kiedy się znów pojawi. No, jazda, ja też muszę się zbierać.

Odeszliśmy na bok i zaczęliśmy naradzać się przyciszonymi głosami. Ulica pustoszała, powoli nadciągał wieczór i jeśli właścicielka księgarni rzeczywiście zjawiała się tutaj rzadko, należało od razu skorzystać z okazji. Chciałam jak najszybciej spotkać się z kobietą i ułożyć opowieść z kobaltowych odłamków. Postanowiliśmy rozdzielić się, porzucając swoje wcześniejsze plany udania się do teatru, a potem na późną kolację. Po niej miałam odprowadzić Cię do radia na nocną audycję o egipskim pisarzu Jusufie Idrisie.

„Uważaj na siebie” – poprosiłeś, gdy się żegnaliśmy, jakbym wybierała się w jakąś daleką, samotną wyprawę. W Twoich oczach dostrzegłam głęboki odcień smutku. Gdyby mógł mieć swój kolor, byłby przyczajoną w szarości tęczy kropłą niebieskiej farby. Odchodząc, raz po raz odwracałeś się, dopóki nie nadjechał autobus linii numer 7. Zniknąłeś w jego wnętrzu, a ja ścisnęłam mocniej tekturowe pudełko z kawałkami rozbitej filiżanki i pewnym krokiem przeszłam przez ulicę. Ze środka pakunku dobiegało żalosne pobrząkiwanie skorup.

W oknie księgarni nadal wisiała tabliczka informująca o godzinach otwarcia, a pod nią wyblakły plakat reklamujący wznowienie *Stu lat samotności* Márqueza. Chciałam zapukać, ale drzwi otworzyły się same, nim jeszcze zdążyłam położyć dłoń na klamce. Prawdopodobnie ten, kto wszedł do środka przede mną, przymknął je, zamiast zatrzasnąć za sobą. W pomieszczeniu panowały ciemności, tylko spod częściowo zasuniętej rolety przenikał z ulicy niewielki snop bursztynowego światła. Wbrew temu, czego się spodziewałam, nigdzie nie było kurzu ani pajęczyn zwieszających się z sufitu jak dziurawe zasłony. W kominku ktoś zapewne niszczył niepotrzebne, stare dokumenty, które pozostawiły po sobie garść brunatnego popiołu. Masywne kolonialne regały z drewna teakowego po sufit wypełniały książki, przywodząc na myśl bibliotekę w angielskiej rezydencji. Przytwierdzone do półek mosiężne tabliczki pozwalały zorientować się w pochodzeniu zbiorów. Literaturę podzielono ze względu na kraj pochodzenia pisarza, nazwy państw ułożono natomiast według alfabetu. Starodruki i cenne woluminy znalazły się razem w zamykanej na klucz dębowej biblioteczce, wspierającej się na czterech dziwnie wygiętych lwich łapach. Podeszłam bliżej, tracąc oddech z wrażenia na widok pierwszych wydań dzieł wybitnych rosyjskich pisarzy, Puszkina, Dostojewskiego, Tołstoja i Turgieniewa. Obok stała poezja symbolistów francuskich, Paula Verlaine'a, Charlesa Baudelaire'a i Teofila Gautiera. Patrzyłam na okładki książek z niedowierzaniem, raz po raz przebiegając wzrokiem nazwiska wypisane na podniszczonym płótnie.

– Niesamowite – powiedziałam sama do siebie, dziwiąc się, jak głucho zabrzmiał mój głos w panującej dookoła ciszy.

– Prawda? – Z cienia dobiegł szept.

Spodziewałam się, że w księgarni zastanę właścicielkę, ale zdążyłam o tym zapomnieć, pochłonięta przyglądaniem się unikatowym woluminom. Głos dobiegający z głębi pomieszczenia sprawił, że poczułam się bardzo nieswojo. Musiałam zdrzeć, ponieważ fragmenty rozbitej filiżanki szczęknęły złowieszczo tonem ostrzeżenia. Odruchowo spojrzałam w szklane drzwi biblioteczki i dostrzegłam w nich zarys drobnej postaci, wpatrującej się we mnie błyszczącym, kocim spojrze-

niem. Niewyraźne, zniekształcone odbicie gubiło się gdzieś, znikало między ciemnymi okładkami. Odwracałam się wolno, aż wreszcie spotkałam wzrokiem szczupłą kobietę w eleganckiej popielatej garsonce. Opierała się o futrynę, przestępując z nogi na nogę. Na pierwszy rzut oka wydawała się małą dziewczynką, która pod nieobecność rodziców ukradkiem przymierza stroje swej matki, wyglądając w nich zbyt poważnie i śmiesznie. Widząc, że nadal stoję bez ruchu, pierwsza zaczęła iść w moim kierunku. Zauważyłam, że kobieta ma białe stopy i pewnie dlatego bezszelestnie wynurzyła się z wąskiego przejścia prowadzącego do pomieszczeń ukrytych na tyłach sklepu. Próbowałam zgadnąć, ile może mieć lat. W swym idealnie skrojonym kostiumie, szytym zapewne na miarę u jednego ze słynnych londyńskich krawców, pasowała raczej do gabinetu prezesa robiącego błyskotliwą karierę w międzynarodowej korporacji niż do starej księgarni.

– Abhaja Patel – przedstawiła się, wyciągając w moją stronę szczupłą, małą dłoń. – W czym mogę pani pomóc?

Uścisnęłam jej rękę i uśmiechnęłam się. Kobieta patrzyła chłodno, w milczeniu taksując mnie wzrokiem i nie zamierzając odwzajemnić uśmiechu. Lśniące czarne włosy zebrane w ciasny kok na czubku głowy nadawały jej twarzy oschły, surowy wyraz. Stojąc w przejściu, zasłaniała sobą znajdujący się w głębi sklepu krótki, ciemny korytarz. Prowadził do niewielkiej izdebki, która niegdyś pełniła zapewne funkcję zaplecza, dopóki nie została przerobiona na pokój mieszkalny. Przez wąski przesmyk drzwi widać było eklektyczne łóżko zasłane staroświecką, ręcznie zdobioną, koronkową pościelą i fragment okna wychodzącego na porośnięty krzakami, zaniedbany ogród. Pomiędzy nagimi gałęziami, skąpanymi w purpurowym blasku zachodzącego słońca, jaśniały postrzępione kawałki nieba. Na szafce nocnej i na drewnianej podłodze leżały stopy książek – prawdopodobnie kobieta porządkowała je, zanim zjawiłam się w księgarni.

– Proszę popatrzeć – powiedziałam, pokazując naprędce wydobyty z pudełka kobaltowy odłamek, żeby w ten sposób oszczędzić sobie wyjaśnień.

– No tak, przypadek nagłej śmierci.

Przenikliwe spojrzenie czarnych oczu zatrzymało się na mojej twarzy. Abhaja Patel, podobnie jak wcześniej uliczny sprzedawca, nie mówiła o filizance jak o zniszczonym przedmiocie, lecz jak o kimś, kto odszedł z tego świata.

– Jest pani drugą osobą, od której słyszę to samo – zauważyłam.

– Cóż – kobieta zmarszczyła czoło – pewne przedmioty mają własne życie. Domyślam się, że ten idiota Barnes naopowiadał pani niestworzonych historii o kawałku szkła, który odgryzł mu rękę? Mam rację?

Pełen drwiny sposób mówienia wskazywał, że właścicielka księgarni nie darzyła sympatią ulicznego handlarza ani nie miała najlepszego zdania o jego inteligencji.

– W jakim właściwie celu przyniosła pani do mnie te nieszczęsne skorupy? – zapytała niemal niegrzecznie, nim zdążyłam wyrazić swoje zdanie na temat sprzedawcy.

– Chciałabym wiedzieć, co się stało – odpowiedziałam i w kilku słowach streściłam przebieg wydarzeń.

Moja rozmówczyni wpatrywała się we mnie twardo, bez mrugnięcia okiem, ale wytrzymałam ciężar tego spojrzenia.

– A czy to takie ważne? – odezwała się nieprzyjemnym dla ucha, oficjalnym tonem.

– Dla mnie tak – oświadczyłam, unosząc brwi.

– Do czego to pani potrzebne? – nie ustępowała. – Czy nie lepiej po prostu wyrzucić skorupy do śmieci i zapomnieć o sprawie? Jeśli pani chce, zwrócę pani pieniądze.

– Nie chodzi o pieniądze.

– Więc o co?

– O prawdę.

– O prawdę? – powtórzyła. – W dzisiejszych czasach, proszę pani, nie ma już czegoś takiego jak prawda. Są tylko iluzje. Coś, co na pierwszy rzut oka wygląda na filizankę, okazuje się garścią bezużytecznych porcelanowych odłamków.

– Filizanka rozpadła się na moich oczach, niedotykana przez nikogo. Takie rzeczy nie dzieją się przypadkiem.

– Może tak, a może nie – rzuciła enigmatycznie Abhaja Patel i znów obdarzyła mnie swoim przeciągłym, poważnym spojrzeniem.

Milczałam z nadzieją, że uda mi się jednak usłyszeć coś więcej.

– Czym dla pani jest życie? – zapytała zniechęcona.

– Opowieścią – odpowiedziałam bez zastanowienia, zaskoczona treścią pytania i własną szczerością.

– No tak, wszystko jasne – prychnęła. – I co, pewnie spodziewa się pani jakiejś romantycznej historii? – Właścicielka księgarni nawet nie próbowała kryć brzmiącego w jej głosie sarkazmu. Uśmiechnęła się ironicznie, krzywiąc usta jak ktoś, kto właśnie zjadł coś gorzkiego.

– Nie spodziewam się niczego poza prawdą – powtórzyłam i spojrzałam na nią chłodno.

– Cóż, dla mnie życie jest zwykłym bałaganem. Dziś posprzątane, jutro znów zrobi się bajzel. Przyjdą ludzie, naśmiecą, zostawią ślady na umytej podłodze, wdepczą w dywan resztki jedzenia, wysmarują szyby paluchami. A potem znikną i zostanie po nich tylko cały ten syf. Nie dziwi pani, że w dzisiejszych, psich czasach nawet martwym przedmiotom nie chce się żyć?

– Wierzy pani w życie martwych przedmiotów? – W tonie mojego głosu zabrzmiała ironia.

– Nie wiem, w co wierzę. – Pokręciła głową z niechęcią. – Od kilku tygodni próbuję uporządkować sklep, który dostał mi się w spadku, i wciąż dziwi mnie, że zwykła szczoteczka do zębów jest w stanie przeżyć swojego właściciela. Książki, notatki, buty, spinki do koszul wydają się bardziej długowieczne od nas. Dotykamy ich, przekładamy z kąta w kąt, odchodzimy, a one zostają. Nie ma z nich kompletnie żadnego pożytku poza tym, że na każdym kroku przypominają o braku tego kogoś, kto był dla nas ważny, albo o czymś, czego nie mamy.

– Ta filiżanka najwyraźniej nie chciała zostać – przerwałam jej.

– Najwyraźniej – przyznała właścicielka księgarni – i wcale się temu nie dziwię. Myśli pani, że człowiek jest w stanie obdarzyć jakiś przedmiot własną duszą?

Rozmowa zmierzała w jakimś dziwnym, niezrozumiałym kierunku. Odniosłam wrażenie, że Abhaja Patel wystawia mnie na próbę, chce sprawdzić, czy na pewno zasługuję na to, żeby poświęcała mi swój cenny czas. Stojąc naprzeciw siebie, spowite szalem mroku, byliśmy tylko dwoma głosami rozlegającymi się gdzieś w ciemnościach.

– Mój ojciec zaklął swą duszę w tej filiżance – powiedziała cicho. – Zamknął ją w niej dla kobiety, którą kochał ponad wszystko na świecie. Niech pani pójdzie za mną.

Posłusznie podążyłam za właścicielką księgarni do pokoiku na tyłach sklepu. Wcześniej dostrzegłam to pomieszczenie przez szparę w uchylonych drzwiach. Mijając nieczynny kominek, zahaczyłam wzrokiem o gzyms, dostrzegając w księżycowym świetle oprawioną w ramki fotografię ładnej, młodej dziewczyny. Do czoła przystawiała dłoń w białej rękawiczce, próbując wypatrzeć coś na horyzoncie. Nie wiem nawet, czy rękawiczka na pewno była biała, równie dobrze mogła być błękitna, szara czy blad różowa, zmieniać kolory pod osłoną nocy. Podłoga skrzypiała złowieszczo pod moimi butami, lecz idąca boso Abhaja Patel poruszała się bezszelestnie, jak polująca w mroku pantera.

Pokój wyglądał baśniowo. Przez okno wpadały pojedyncze promienie księżyca i zastygały na meblach jak palce muzyka na klawiaturze pianina. Kobieta uprzątnęła część poślizgniętych tomów z podłogi i rozłożyła w ich miejscu dywan z gałganków.

– Niestety, jak pani widzi, nie mam tu krzeseł, a z materaca na łóżku wychodzą sprężyny.

Musimy usiąść na tym – powiedziała i znikła za drzwiami, których kontury rozmywały się na szarej ścianie.

Zastanawiałam się, co za nimi jest. Wydawało mi się, że w księgarni nie ma innych pomieszczeń poza sklepem i pokojem na zapleczu, ale okazało się, że nie mam racji.

Minęło kilku minut, nim właścicielka sklepu powróciła, niosąc przed sobą starą lampę nafową ze szklanym kloszem w kształcie tulipana. Blask ognia wydobył z twarzy kobiety siatkę drobnych zmarszczek wokół oczu i w kącikach ust, zdradzając dojrzały wiek. Pomyślałam, że przedtem musiał zmylić mnie ten dziecięcy wzrost i dlatego w pierwszej chwili uznałam ją za młodszą.

– Jeżeli tak bardzo chce pani usłyszeć historię tej filiżanki, to ją pani opowiem – przemówiła tonem królowej, która postanowiła okazać łaskę poddanym.

Nie zamierzałam dziękować jej za tę wspaiałości. Patrzyłam, jak stawia lampę między nami i sadowi się na przeciwległym krańcu dywanu. Czekałam niecierpliwie na obiecaną opowieść. Ciepłe, żółte światło tworzyło na suficie krąg, niczym baldachim rozpięty ponad naszymi głowami.

– W księgarni nie ma prądu – wyjaśniła najpierw Abhaja – ponieważ mój ojciec nie pamiętał, że przychodzimy na świat przede wszystkim po to, żeby płacić rachunki. Wydawał fortunę na książki, a potem czytał je w takich właśnie warunkach. – Powiodła ręką po skromnym poikoiku, zatrzymując się na każdym z nielicznych sprzętów. – Niektórzy klienci, tacy sami dziwacy jak on, uwielbiali odwiedzać nasz sklep jesienią, kiedy wcześniej robiło się ciemno. Ojciec gotował im herbatę na butli gazowej. Jak pani widzi, niewiele potrzebował do szczęścia. Kiedyś w końcu nie wytrzymałam i uregulowałam zaległe faktury. I co? Dalej używał tylko lampy naftowej.

– Jak miał na imię pani ojciec? – zapytałam, zaintrygowana tym, co usłyszałam o właścicielu księgarni. Żałowałam, że nigdy go nie poznam.

– Dhaval, ale wszyscy i tak wołali go po nazwisku.

Uśmiechnęłam się. Pochodzące z Indii nazwisko Patel w ciągu ostatnich kilkunastu lat stało się jednym z najpopularniejszych w Wielkiej Brytanii, obok Smitha i Jonesa.

– Co oznacza to imię? – chciałam wiedzieć, być może dlatego, że czułam coraz silniejszą więź z nieżyjącym mężczyzną.

– Olśniewającą biel. To z sanskrytu – powiedziała Abhaja i zaraz dodała z przekąsem: – Cały on. Krystalicznie czysty. Człowiek bez skazy.

– To źle? – Nie rozumiałam. – Chyba nieczęsto spotyka się takich ludzi.

– Niech mnie pani posłucha. – Głos kobiety znów zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie. – Dhaval był idealistą. Żył złudzeniami, a kiedy zawiódł się na nich, co przecież było nieuniknione, zaczął żyć wyobraźnią, rekompensując sobie to, czego nie miał na co dzień. To jego problem, że zmarnował sobie życie, ale inni niestety musieli na to patrzeć, co nie było ani trochę przyjemne.

Abhaja Patel sięgnęła do pudełka, które postawiłam między nami, wyjęła z niego odłamek filizanki i zaczęła przyglądać mu się pod lampą. Już chciałam powiedzieć coś o jego kształcie, gdy wróciła do opowieści o ojcu.

– Wie pani, co Patel robił, zanim przyjechał do Anglii? – zapytała. – Pewnie pani myśli, że był księgarzem i w Indiach też siedział zagrzebany w tych swoich tomiszczach. Otóż nie. Proszę sobie wyobrazić, że roznosił herbatę pracownikom placówek dyplomatycznych, korporacji i tych wielkich biurowców, których dachy wydają się dotykać nieba. Śmigał z tacą i zmywał szklanki.

– Żadna praca nie hańbi – zauważyłam, ale Abhaja Patel oczekiwała ode mnie innego komentarza.

– Zależy, jak na to patrzeć – skrzywiła się. – Choć rzeczywiście nie zhańbiła go praca, ale zrządzenie losu. Na jednym z przyjęć dla tych nadętych snobów Dhaval wyjątkowo często podchodził do pewnej młodej damy, która przyszła w towarzystwie małżonka z tytułem „lord” przed nazwiskiem. Nowa sekretarka z brytyjskiej ambasady pomyliła dwie Angielki o tych samych imionach. Wysłała zaproszenia pod niewłaściwy adres i w ten sposób Betty zjawiała się na przyjęciu zamiast na bankiecie w rezydencji nowego ambasadora. Gdyby nie ta pomyłka, kto wie, jak potoczyłoby się życie Dhavala.

– Nikt – odpowiedziałam – ale z jakiegoś powodu widocznie musiało potoczyć się tak, jak się potoczyło. Domyślam się, że pani ojciec zakochał się w tej kobiecie?

– Zakochał? – Abhaja Patel prychnęła jak rozwścieczony kot. – Nie znoszę słowa „zakochać”, jest takie powierzchowne i płaskie. „Zakochać” brzmi prawie tak jak „zaziębić się”, nic poważnego, przejdzie, przeminie. On się w niej nie zakochał, proszę pani, on dla niej zwariował.

Słuchając właścicielki księgarni, zastanawiałam się nad tym, czy wysoko urodzona Angielka mogła odwzajemnić uczucie ciemnoskórego Hindusa, czy też pozostała na nie zupełnie obojętna, uważając go za niegodnego uwagi przedstawiciela niższej klasy, kogoś, kto mierzy zbyt wysoko. Tego typu historie zazwyczaj nie zapowiadały niczego dobrego i krążyły zawsze wokół tych samych słów: mezalians, skandal, nieszczęście.

– Myśli pani, że ona też kochała pani ojca? – zapytałam.

– Może i kochała, co to ma do rzeczy? Oprócz miłości są jeszcze inne, równie silne uczucia. Na przykład strach. Do miłości, tak jak do życia, trzeba mieć odwagę. Wszyscy jej chcą, wszyscy za nią tęsknią, a gdy przychodzi, zatrząskują jej drzwi przed nosem, a potem znów płaczą za tym, czego nie mają. Opowiem pani, jak to było z Patelem i z Betty, proszę z tego wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Płomień lampy naftowej zatańczył na ścianach pokoju, ożywiając chybotliwe cienie niczym duchy przeszłości. W jego świetle surowa twarz kobiety wyglądała jeszcze poważniej. Wsłuchałam się w ciszę, lecz wkrótce zabrzmiały pierwsze słowa opowieści.

– Patel wcale nie pochodził z nizin społecznych, przeciwnie, jego rodzina należała do tych lepszych. Nie do elity, ale też nie do tych, którzy mieszkają w slumsach albo w kamienicach pełnych szczurów i karaluchów. Przedstawiciele klasy średniej, jeśli w Indiach w ogóle istnieje coś takiego. Ojciec Patela był nauczycielem w szkole prowadzonej przez misjonarzy, co gwarantowało mu regularną pensję i powszechny szacunek. To on zaraził syna obsesyjną miłością do książek. Patel szczególnie upodobał sobie literaturę rosyjską, zaczytywał się nią od dziecka.

Chciałam zapytać, dlaczego w takim razie pracował jako roznosiciel herbaty, ale nie zdążyłam.

– Roznoszenie herbaty to nie była dla niego praca, to była misja – kontynuowała Abhaja Patel. Pierwszy raz tego wieczoru roześmiała się szczerze, na cały głos, a w śmiechu tym nie usłyszałam zgorzknienia. – Przesiąkł ideami z *Braci Karamazow* i zachciało mu się pójść w świat, służyć ludowi. A żeby móc mu służyć, musiał go najpierw poznać. Tak to sobie wymyślił. Czytała pani Dostojewskiego? – zapytała niespodziewanie.

Przytaknęłam.

– Patel uważał, że bogaci popełniają błąd, zamykając oczy na wszechobecną nędzę. Wie pani – właścicielka księgarni znów stała się oschła – Indie to bezwzględny kraj. Gdyby przeszła pani ulicą i zobaczyła nastoletnie prostytutki, a później wyobraziła sobie, że co czwarta z nich zostanie zamordowana w jakimś hotelu przez tak zwanego klienta, gdyby zobaczyła pani te tłumy żebraków, trędowatych, ludzi, którzy sami się okaleczają, żeby wzbudzić litość i zdobyć więcej datków, te dzieciaki wyciągające rękę do każdego przechodnia, głodne i przestraszone, zrozumiałaby pani, o co mi chodzi. Zaraz pewnie powie mi pani, że to normalne, że tak jest wszędzie, w każdym społeczeństwie, ale to nieprawda. W Indiach dzieją się rzeczy, o jakich nawet nie śniło się mieszkańcom innych krajów. Nawet tych biednych.

– Czytałam o tym – powiedziałam.

– Czytać, a widzieć to nie to samo, proszę mi wierzyć. Dla Patela takie obrazki były codziennością. Wiedział, że walka z tymi, którzy mają dużo, bo dorobili się cudzym kosztem, na nic się nie zda, przeciwnie, może spowodować kłopoty. Skorumpowanych polityków, mafiosów, przestępców i wyzyskiwaczy miał za całkowicie straconych. Nie był przecież głupi, wiedział, że jak napyta sobie biedę, nikomu nie pomoże. Wolał ich unikać ze względu na podejrzaną interesy, handel narkotykami, czerpanie zysków z nierządu, przemysł na szeroką skalę, brak skrupułów i przekonanie, że tych ludzi nie zmieni nic, chyba że zdarzy się cud.

– Rozumiem go. Uważam, że postępował właściwie. – Poczulałam się w obowiązku bronić księgarza.

– W tym przypadku tak, ale nie o to tu chodzi. Patel dzielił bogatych na dwie grupy: przestępców, o nich właśnie mówiłam, i tych, którzy doszli do czegoś w miarę uczciwie, a jednak odcinali się od biedoty, pozostawiali obojętni na cudzą nędzę. Woleli nie widzieć, nie słyszeć, zrzucić winę na system albo na ludzkie lenistwo. Ojciec na swój sposób chyba nimi gardził, zawsze powtarzał mi, że nadmiar pieniędzy szkodzi bardziej niż niedostatek. Okrada z uczuć, niszczy zdolność do przeżywania współczucia. Twierdził, że ci uczciwi, niby z zasadami, są jak mnisi klasztorni z powieści Dostojewskiego, którzy chowają się za murami monastyrów, żeby uniknąć konfrontacji ze złem. Najważniejsze, to nie skalać się nim, nie zabrudzić, nie dopuścić do niczego, co mogłoby wywołać wyrzuty sumienia i poczucie winy. On nie chciał taki być. Inspirował go starzec Zosima, powtarzał jego mądrości przy wielu okazjach. Pamięta go pani?

– Tak. Starzec Zosima kazał Aloszy opuścić klasztor i pójść w świat, między ludzi. Uczył

go, że świętość nie polega na życiu w odosobnieniu, gdzie łatwo uniknąć pokus, bo nie jest się na nie narażonym. Droga do świętości miała prowadzić przez grzech, przez świeckie życie, w którym człowiek staje ze złem twarzą w twarz i musi stawić mu czoła. Grzech trzeba popełnić, żeby poznać jego istotę, a przebóstwiony grzesznik miał mieć dla Boga większą wartość niż ten, kto od zawsze był święty.

– No właśnie. I co pani na to?

– Ten, kto nie poznał piekła, nie zrozumie nieba – uśmiechnęłam się. – Właściwie zgadzam się z Dostojewskim. Świętość jest światopoglądem, sposobem myślenia i postępowania, który nie ma nic wspólnego z żadną religią.

– Widzę, żebyście się dogadali z Patellem – zakpiła właścicielka księgarni. – Niech pani sobie wyobrazi, że pewnego dnia Patel oświadczył rodzicom, że wyprowadza się z domu. Właśnie rozpoczął studia i nikt się tego nie spodziewał.

– Co studiował? – zapytałam.

– Filologię rosyjską, a cóż by innego. Nie pamiętam dokładnie, ale rok czy dwa lata wcześniej Uniwersytet w Bombaju otworzył ten kierunek i ojciec był jednym z pierwszych absolwentów. Wie pani – Abhaja Patel roześmiała się stanowczo zbyt głośno – szli tam tylko tacy szaleńcy jak on, no i jeszcze wielbiciele Lenina albo Trockiego.

– Dokąd wyprowadził się pani ojciec?

– W tym tkwił właśnie największy problem. Gdyby postanowił po prostu rozpocząć życie na własny rachunek, jego rodzice jakoś by to przełknęli. Ale nie, jemu oczywiście musiał przyjść do głowy najgłupszy pomysł z możliwych: wyniósł się do Dharavi.

– Do slumsów? – zdziwiłam się.

Każdy, kto miał przynajmniej mgliste pojęcie o Indiach, wiedział, że mieszkańcy takich dzielnic robią, co mogą, żeby się z nich wydostać, a najciemniejsza, śmierdząca, pełna robactwa klitka stanowi dla nich przepustkę do lepszego świata. Kiedyś zostaliśmy zaproszeni na wystawę fotografii z Bombaju i wiedziałam, że nigdy nie zapomnę tych zdjęć. Wisiały na ceglanych ścianach magazynu portowego nad Tamizą, a patrząc na nie, czułam się jak ktoś, kto ogląda książkę z obrazkami będącymi wytworem zdeformowanej wyobraźni. Nie mogłam oderwać oczu od prowizorycznych, miniaturowych domków skureczonych w ciasnych uliczkach. Ich dachy przypominały mozaikę z potłuczonych kawałków dachówek, blachy i kolorowych gałganów. Dziury uszczelniano plastikowymi reklamówkami o barwie spłowiałego różu i zieleni. Pierwszy raz w życiu widziałam prawdziwe ludzkie mrowisko, o wąskich, niekończących się korytarzach, z tysiącami odnóg prowadzących nie wiadomo gdzie. Po ubitej glinie i nierówno ułożonych płytach, zapewne wyrwanych z chodnika w innej części miasta, biegały kury, poszarzałe i brudne jak wszystko wokół nich. Na jednym ze zdjęć wypatrzyłam pasącą się chudą kozę, nad jej głową fruwało stado much. Ulice były rynsztokami, wezbranymi czarną, smolistą substancją, której składu wołałam nigdy nie poznać. Na jednej z fotografii kilkuletnia dziewczynka w pomarańczowej sukience piła coś z pojemnika po środku ochrony roślin, dalej grupka dzieci wyciągała z wysypiska kineskopy starych telewizorów. To wszystko stanęło mi przed oczami, gdy Abhaja Patel rozwodziła się nad młodzieńczymi ideałami ojca. Na chwilę przestałam jej słuchać, ale jakieś głośniejsze słowo pozwoliło mi powrócić do opowieści.

– Ojciec założył na studiach stowarzyszenie o nazwie „Ulice Miasta” – mówiła, patrząc w ścianę. – Zgromadził w nim takich samych nieszkodliwych idiotów jak on i zabrał się za naprawę świata. Znaleźli sobie kąt w Dharavi i postanowili doświadczyć uroków życia biedoty. Żaden nie brał forsę od rodziców, musieli utrzymać się sami. Patel został roznosicielem herbaty, jego kolega Sahin sprzedawcą owoców. Nie wiem, co robili inni. Dopóki nie dostali porządnie po tyłku i nie przekonali się, że w slumsach obowiązują zasady, o których nie mieli pojęcia, żyli w miarę spokojnie, poznawali nowy świat, zarabiając przy tym marne grosze.

– No tak, domyślałam się, czego musieli tam doświadczyć. Dharavi podobno rządzi się własnymi prawami – zauważyłam.

– Ludzie ze slumsów na ogół są mili, dopóki nie nadeprnie im się na odcisk. Patel i jego koledzy na szczęście mieli dość rozsądku, żeby pilnować własnego nosa. Byli raczej lubiani, w wol-

nym czasie uczyli miejscowe dzieciaki czytać i pisać, ostrożnie podpytywali mieszkańców o ich największe problemy i dzielili się wrażeniami. Szybko jednak pozbyli się złudzeń, że świat da się naprawić. Co z tego, że jakiś dzieciak poznał litery, jeśli za chwilę i tak rodzice posyłali go w miasto na żebrzy? Ten, kto przywykł do twardych realiów ulicy, nie stanie się nagle przykładowym obywatelem. Nie mówię, że to wina tych ludzi, tak jest to wszystko urządzone i kropka – zastrzegła się.

– Nawet jeśli udało im się odmienić los tylko jednej osoby, myślę, że to, co robili, miało sens. – Już w połowie zdania, uświadomiłam sobie, że zareagowałam banałem, ale czułam, że to właśnie trzeba było powiedzieć. – Najprościej jest nic nie robić, wychodząc z założenia, że to przecież nic nie da.

Abhaja Patel spojrzała na mnie spod oka. Miałam wrażenie, że chciała dodać coś jeszcze, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Przykręciła lampę i zwróciła twarz ku oknu, za którym srebrzył się ogród. W blasku księżyca nagie gałęzie krzaków wyglądały jak pokryte szronem. Kobieta długo siedziała, milcząc, po czym nagle zmieniła temat rozmowy.

– Patela zazwyczaj posyłano z herbatą do placówek dyplomatycznych, pewnie dlatego, że miał dobrą prezencję. Firma, która zleciła mu to ambitne zadanie, obsługiwała ambasady, konsulaty, zagraniczne przedstawicielstwa, czasem też te wszystkie śmieszne towarzystwa przyjaźni i biura współpracy handlowej. Część pracowników tych instytucji traktowała go uprzejmie, część obojętnie, inni jak zwykłego pariasa. Bywało, że znosił szturchańce i wyzwiska w imię tych swoich idei. Aż tu nagle, na przyjęciu powitalnym prezesa spółki zajmującej się importem indyjskich tekstyliów, poznał pewną zamężną Angielkę i już było po nim. Pytała mnie pani, czy ona go kochała. Jak się pani wydaje, czy mogła szczerze pokochać Hindusa żyjącego w slumsach i trudniącego się roznoszeniem herbaty?

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Ale przecież świat zna niejedną tego typu historię.

– Ze szczęśliwym zakończeniem?

– Na ogół nie.

– Otóż to. Patel mówił, że kiedy pierwszy raz zobaczył Betty, zdziwił się, że można mieć tak smutne oczy. Wie pani, niektórzy ludzie wyglądają na szczęśliwych, zadowolonych z życia, ale spojrzenie ich demaskuje. To, o czym milczą usta, niemal zawsze wyraża wzrok. Nieszczęścia nie da się utrzymać w zamknięciu, samo znajdzie sposób, żeby w końcu wydostać się na zewnątrz.

Właścicielka księgarni przez krótką chwilę bawiła się guzikiem szarej marynarki. Miała bardzo zadbane, eleganckie dłonie.

– Ojciec nie musiał opowiadać mi o Betty – powiedziała. – Była z nim cały czas, w jego wzroku, uśmiechu, w dotyku. Mówiąc o niej, zawsze wspominał o oczach, wymykających się wszelkim opisom. Miał nadzieję, że w końcu znajdzie taki, który będzie do nich pasował. Szukał go w swoich książkach, ale na próżno. Podobno nawet mieszkanki slumsów nie patrzyły tak smutno.

Wtedy wróciły do mnie obrazy z wystawy. Młoda matka w czerwonym sari – z dzieckiem wczepionym w nią niczym mała, przerażona małpka – uśmiechała się do obiektywu, nieświadoma, że jej zdjęcie obiegnie cały świat. Wyschnięta na wiór wdowa kulila się pod murem świątyni, ścisnąc w dłoni mosiężną miseczkę na datki. Staruszka owinięta turkusowym szalem próbowała ukryć przed fotografem szramę biegnącą przez pomarszczony policzek, zasłaniając ją rogiem tkani-ny. Gdzieś z tyłu elegancki mężczyzna w garniturze zatrząskiwał drzwi samochodu za wyzywająco ubraną nastolatką, o przeraźliwie obojętnym wyrazie twarzy. Na kolejnym zdjęciu szczupła dziewczyna w zielonym *salwar kamiz* tajemniczo spoglądała przez lewe ramię, pokryte bliznami po oparzeniu. Zaczerwieniona skóra przypominała pognieciony materiał albo powierzchnię jakiejś odległej planety. Bieda, przemoc i wstyd, ubrane w kolorowe stroje, przyobleczone w uśmiech, pobrząkujące bransoletami na stopach i nadgarstkach, krążyły wśród śmierdzących jatek, ruin i rynsztoków jak wielobarwne motyle. W porównaniu z nimi smutek Angielki wydał mi się czymś niestosownym.

– Wie pani, że Patel po tylu latach potrafił ze szczegółami opisać, jaką Betty miała na sobie sukienkę tamtego wieczoru? Czasem zastanawiam się, dlaczego to właśnie ona, a nie jakaś inna dziewczyna spośród tłumu gości zrobiła na nim aż takie wrażenie.

– Kim był jej mąż? – zapytałam.

– Nieskalanym pracą dziedzicem wielkiej fortuny – prychnęła pogardliwie. – Pochodził z jakiejś starej, utytułowanej angielskiej rodziny, jednej z tych, która upycha swoich potomków w zarządach korporacji, placówkach dyplomatycznych, organizacjach odpowiedzialnych za wymianę handlową albo pomoc charytatywną, żeby nie przynosili wstydu nazwisku. Pozory, nic więcej. Wielka kariera cudzym kosztem. Nie twierdzę, że tacy są wszyscy, ale on idealnie pasował do tego schematu. Wie pani, kto zazwyczaj przyjeżdża do Indii?

Spojrzałam na nią pytająco.

– Ci, którzy podpadli komuś ważniejszemu od siebie. Skorumpowani działacze społeczni i polityczni, ale też bohaterowie obyczajowych i gospodarczych skandali, które należy wyciszyć. Potencjalni konkurenci do intratnych stanowisk, bo trzeba się ich pozbyć przy użyciu wpływów, powierzając niezwykle ważną misję w drugim końcu świata. Również lenie i obiboki, których rodzina wysyła na jakieś zadupie i opowiada niestworzone historie o tym, czego dokonali. Za taką przeprowadzką niemal zawsze stoją różne ciemne sprawy, przekręty i wpadki.

– A mąż Betty czym się naraził?

– Już pani mówiłam. Zepsuty do szpiku kości synalek bogatego tatusia, w dodatku przekonany, że wszystko mu wolno. Nieudacznik, który byłby nikiem, gdyby ojciec nie ciągnął go przez życie za uszy. Jeśli jego inteligencja byłaby równie wielka jak mniemanie o sobie, to, proszę mi wierzyć, zostałby co najmniej premierem tego kraju.

– Dlaczego Betty wyszła za kogoś takiego? – Nie było mi łatwo się z tym pogodzić. Zaczynałam ją lubić, już choćby za to, że pokochał ją ktoś taki jak Dhaval Patel.

– Pojęcia nie mam, powodów mogło być wiele: młodość, głupota, nieznajomość życia. Może na początku udawał innego, niż był? Może się zakochała i straciła rozum? Patel mówił, że za tym małżeństwem stały obie rodziny. Chodziło o połączenie dwóch fortun, wpływów, nazwisk z tradycjami. Trudno powiedzieć, gdzie leży prawda.

– A pani? Co pani o tym myśli?

– Myślę, że dała się zwieść pozorom, pozwoliła się oczarować komuś, kto z racji wychowania doskonale potrafił udawać gentlemiana. Popelniła błąd, jaki popelnia niejedna młoda osoba umiejscowiona jedynie wzdychać i wyznawać swoje ideały. Jeśli ktoś sam nie udaje, myśli, że inni również tego nie robią. A po ślubie, jak już szanowny mąż poczuł się pewnie, bo w rękę miał akt własności, prawda wyszła na jaw.

– To znaczy?

– Traktował ją jak mebel, jak dodatek do własnej osoby, a ona, w przeciwieństwie do innych pań z towarzystwa, miała więcej marzeń niż tylko dobrze wyjść za mąż. Nie zna pani kobiet, których jedyną ambicją jest złapanie męża i urządzenie się jego kosztem? Betty taka nie była, dlatego prędko okazało się, że nie ma z mężem za wiele wspólnego. On żył z rozmachem, brylował w towarzystwie. Lubił się bawić, nie stronił od alkoholu, hazardu, od kobiet też raczej nie. Ona wolała czytać książki. Uważała, że jest w nich mniej fikcji niż w świecie, który ją otacza. Pod tym względem świetnie się zrozumieli z Patelem.

– A jak to się stało, że pani ojciec zaczął się z nią spotykać? – Znow musiałam sprowadzić opowieść na właściwe tory.

– Tam, na przyjęciu, oboje od razu wpadli sobie w oko. Wierzy pani w to, że pokrewne dusze zawsze się rozpoznają? Ja tak. Spodobali się sobie, ale z oczywistych względów nie wypadało im wtedy ze sobą rozmawiać. Patel wymyślił plan. Nie wiem, jak to zrobił, ale udało mu się zatrudnić w jej rezydencji. Mąż Betty ciągle gdzieś zniknął, mogę sobie tylko wyobrazić, co robił, spuszczonej ze smyczy, daleko od domu. Pod jego nieobecność Patel zaczął zabierać ją do miasta, organizował jej czas.

– Tamten niczego nie podejrzewał?

– Nie. Wiele Angielek poruszało się wtedy po Bombaju w towarzystwie swoich indyjskich służących. Miejscowi wozili je na zakupy i eskortowali w inne miejsca, tak miało być bezpieczniej. Nikt nie widział w tym nic nadzwyczajnego, oczywiście do czasu. Im lepiej Patel poznawał Betty, tym bardziej mu na niej zależało. Zdaje się, że z wzajemnością.

– Jaka ona była? – zapytałam.



– Z tego, co mówił ojciec, inna niż wszystkie Angielki, jakie poznał w Bombaju. Wrażliwa, mądra. Nie interesowały jej plotki, skandale, nowinki ze świata mody. Bywanie na przyjęciach traktowała jak przykry obowiązek. Nie znosiła podrabianych uśmiechów, nieszczerých uścisków dłoni i fałszywej uprzejmości, co było normą w jej sferach. Nie cierpiała ludzi mających się za kogoś lepszego. Pochodzenie nie było dla niej czymś, na co człowiek ma wpływ, ani tym bardziej powodem do wywyższania się i to musiało się ojcu spodobać. Sądzę, że lepiej czuła się na ulicach Bombaju niż w salonach angielskiej szlachty.

Abhaja Patel pogłaskała z czułością łóżko zasłane koronkową pościelą. Ten odruchowy gest sprawił, że zaczęłam zastanawiać się nad jej stosunkiem do ojca. Mówiła o nim w taki sposób, w jaki zazwyczaj mówi się o szkolnych kolegach albo kumplach z sąsiedztwa. Odnosiłam wrażenie, że uważa go za niepoprawnego marzyciela, kogoś, kogo traktuje się z przymrużeniem oka. Nie powiedziałam jednak tego głośno.

– Patel i Betty włączyli się razem po mieście. – Głos kobiety wyrwał mnie z zamyślenia. – Żeby nie wyróżniała się z tłumu, kupił jej błękitny *salwar kamiz* z jedwabiu i lawendową *dupattę*. Przy nim poznała wszystkie smaki Indii, polubiła miejscową kuchnię. Zaciekawiona zatrzymywała się przy ulicznych jadłodajniach, żeby próbować samosy, wypieków z mąki z ciecierzycy, aromatycznych sosów curry, tikka i korma, czerwonego mięsa z pieca tandoor. Wreszcie dowiedziała się, do czego służą przyprawy. Angielska kuchnia jest obrzydliwa. Człowiek przyzwyczajony do kminu rzymskiego, setek odmian masali, świeżego chilli, imbiru i kolendry, nie jest w stanie jej znieść. Nie cierpię tych mdłych papek i mrożonych warzyw, śmierdzących plastikiem. Gdyby nie sklepy i knajpy emigrantów, umarłabym z głodu nad kolejnym kawałkiem tektury. Za żadne pieniądze nie przeszedłby mi przez gardło. Skąd pani pochodzi?

– Z Polski – odpowiedziałam, zastanawiając się, czy cokolwiek słyszała o mojej ojczyźnie.

– Też macie tam takie paskudne jedzenie? – Wzdrygnęła się. – Czasem myślę, że to przypadłość całej Europy.

– Nie, mam nadzieję, że nie – roześmiałam się i zapewniłam: – Mnie też nie smakuje większość angielskich potraw. Podobnie jak pani, jadam u emigrantów.

– No, to przynajmniej w tym mnie pani rozumie – odparła zadowolona. – Wróćmy jednak do Betty. Ona nie oglądała miasta, ale je przeżywała, tym bardziej że przedtem mogła poznać je tylko przez okno samochodu, wożona gdzieś przez szofera. Zachwycało ją po prostu wszystko: niebieskie ściany domów, kruszące się jak kawałki zeschniętego ciasta, kolorowe, zatłoczone ulice, krowy leniwie spacerujące po jezdni, świątynie pełne dziwnie wyglądających, nieznaných bóstw. Wie pani, na ilu bogów można się natknąć w Indiach?

– Podejrzewam, że na wielu. Podobno nawet kilku bollywoodzkich aktorów wprowadzono do panteonu – odparłam nieco wymijająco.

– Doliczono się trzystu trzydziestu milionów. Proszę sobie teraz wyobrazić te wszystkie świątynie i miejsca kultu, które można zwiedzić.

– Nigdy nie byłam w Bombaju i teraz zaczynam żałować – powiedziałam, bo wyraźnie oczekiwała jakiejś odpowiedzi.

– Patel pokazywał Betty Bombaj, jakiego z kim innym pewnie nigdy by nie poznała. Zwiedzili mnóstwo zabytków i nie mógł nadziwić się temu, że cudzoziemka, osoba z zewnątrz, tak łatwo odnalazła się w obcym miejscu, że wśród krętych uliczek, zaułków, zatłoczonych bazarów, rachticznych domków, starych kamienic i nowoczesnych wieżowców poruszała się tak zdecydowanie i pewnie jak rdzenny mieszkaniec miasta. Wie pani, co Patel opowiadał mi zamiast bajek na dobranoc?

– Nie, skąd – roześmiałam się.

– Historie o przygodach Betty w Bombaju. Układał baśnie o tym, jak zwiedzała wiszące ogrody, katedrę Świętego Tomasza czy Wrota Indii. Wtedy rzecz jasna nie miałam pojęcia, kim była bohaterka tych opowiadań ani co ich łączyło. Miałam ją za kogoś podobnego do postaci z książek, superbohaterkę, potrafiącą wyjść cało z każdego niebezpieczeństwa. Nie wydaje się to pani czymś – dłuższą chwilę szukała słowa – bliskim patologii?

– Nie – odpowiedziałam, już nie po raz pierwszy tego wieczoru biorąc księgarza w obronę.

– Czasem ktoś wymyśla historię, żeby za jej pośrednictwem przekazać nam coś ważnego. Pod postacią baśni przemyca do naszego życia to, co mu leży na sercu i o czym, być może, nie ma odwagi powiedzieć w inny sposób. Wydaje mi się, że ojciec po prostu chciał przedstawić pani kogoś bliższego najlepiej, jak potrafił.

Abhaja Patel spojrzała ironicznie. Nietrudno było się domyślić, że moja odpowiedź nie przypadła jej do gustu.

– A ja myślę, że mówienie o niej po prostu sprawiało mu radość. Pamiętam, jak opowiadał, że Betty zdziwiła się, widząc niskiego, zasuszonego rikszarza, który miał siłę, by wieźć dwóch spasionych klientów, z trudem mieszczących się na siedzeniu pojazdu. Patel przedstawiał mi całą scenę, naśladując obu grubasów. Śmiałam się z tego do łez i raczej nie pomagało mi to zasnąć. Kiedy indziej opisywał, z jaką fascynacją chodziła po bazarach i przyglądała się sprzedawcom o palcach pożółkłych od curry i kurkumy. Wspominał, jak zatrzymywała się, żeby popatrzeć na mężczyzn dźwigających na głowach ciężkie worki z ryżem i soczewicą albo tace z przekąskami sprzedawanymi wprost na ulicy. Wiem też, że uśmiechała się do handlarzy oferujących przechodniom kwiatowe girlandy, do poważnych, milczących sikhów w kolorowych turbanach, że brała na ręce umorusane dzieci, przytulała je, nie obawiając się, że któreś z nich pobrudzi jej ubranie.

– Nie przerażała jej nędza? Warunki życia tych ludzi? – zapytałam. – Każdy, kto był w Indiach, mówi, że tego się nie da zapomnieć.

– Na początku przerażała, tak jak każdego, kto ma jakieś ludzkie odruchy. Potem ludzie zaczynają się przyzwyczajać. Przestają ich dziwić osiedla trędowatych, żebracy, którzy wyciągają jałmużnę skuteczniej od telemarketerów wciskających klientom te swoje produkty, kalecy, bezdomni, szaleńcy, obdarte dzieciaki i zawođenje dochodzące niemal z każdego zaułka. Człowiek głuchnie i traci wzrok, bo inaczej by nie wytrzymał. Betty na swój sposób zbratała się z indyjską biedotą. Potrafiła pomóc zejść kalekiemu ze schodów, nawrzeszczeć na cudzoziemca, który kopnął zebrzące dziecko. Kiedyś dała kilka rupii staruszce we wdowim sari. Kobieta z wdzięcznością ucałowała rękę Betty, a ona, niewiele myśląc, odpowiedziała tym samym. Ależ jej się udało wzruszyć wtedy Patela.

– Bardzo lubię pani ojca – powiedziałam niespodziewanie, nawet dla samej siebie.

Abhaja Patel popatrzyła na mnie bez cienia spodziewanej złośliwości, ale nic nie odpowiedziała, tylko ciągnęła dalej:

– Myślę, że Betty w ogóle nie zastanawiała się nad tym, co robi, działała pod wpływem chwili. Tam, na ulicach Bombaju, znalazła prawdziwą wolność i szczęście, które tak często wyraża się w rzeczach najprostszych, w uśmiechu do przypadkowego przechodnia, w jedzeniu palcami zamiast wypolerowanym kompletem srebrnych sztućców. Patel czasem żartował, że nie nadawała się na prawdziwą damę, a moim zdaniem właśnie nią była. Naturalnie, z klasą i wdziękiem potrafiła odnaleźć się w każdych warunkach.

Abhaja Patel – sama nie wiedząc kiedy – porzuciła protekcyjny, nieprzyjemny ton. Po raz kolejny przekonałam się, jak bardzo opowiadanie potrafi zmienić człowieka. Obie niespostrzeżenie stałyśmy się częścią cudzej historii, ona, dlatego że usłyszała ją kiedyś, i ja, dlatego że słuchałam jej teraz.

– Pewnie się pani domyśla, że szczęście Patela i Betty nie trwało długo. – Właścicielka księgarni utkwiała wzrok w płomieniu lampy, tak jakby spodziewała się ujrzeć w nim ludzką twarz. – Zakochani, zapatrzeni w siebie, coraz częściej zapominali, że otaczający ich świat nie zniknął, nie rozpląnął się w parnym, wilgotnym powietrzu, ale patrzył na nich z rosnącą uwagą. Nie dostrzegli samochodu z przyciemnionymi szybami, który zwolnił, mijając ich, kiedy przeglądali się w sklepowej wystawie i pokazywali sobie języki czerwone od żucia *paan*. Pojawiły się szepty i plotki, potem zaczęły przybierać na sile.

– Ktoś na nich doniósł? – przerwałam.

Kobieta skrzywiła się z dezaprobatą i kontynuowała opowieść, ignorując pytanie.

– Otoczenie zawsze dostrzeże to, na co zakochani są ślepi. Nie da się ukryć spojrzenia płonących blaskiem uczucia, przeoczyć momentu, gdy bezwiednie łączą się czyjeś dłonie. Ludzie obserwują uważnie i notują wszystko w pamięci.

Przez chwilę miałam przecucie, że Abhaja Patel nie mówi już o ojcu i jego ukochanej, ale o sobie. Wyczuwałam jakieś doświadczenia, emocje, które próbowała nazwać, odwołując się do cudzej historii.

– Bombaj to wielkie miasto i tam zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce spieniężyć cudze tajemnice.

Zapadła cisza, od czasu do czasu przerywana tykaniem ściennego zegara. Być może kobieta spodziewała się reakcji z mojej strony, ale tym razem nie chciałam już o nic pytać.

– Wie pani, co jest w tej historii najzabawniejsze? Nie wiadomo nawet, czy oni mieli romans – zaśmiała się cynicznie.

– Jak to? – Nie rozumiałam.

– Myśli pani, że święty Patel tak po prostu potrafiłby pójść z kobietą do łóżka?

– Nie wiem, nie znałam go.

– Owszem, nie znała go pani, ja też czasem mam wątpliwości, czy na pewno go znałam, czy może przyśnił mi się albo przeczytałam o nim w jakiejś książce. On bezgranicznie kochał tę kobietę, a miłość zawsze oznaczała dla niego szacunek. Może i dali się ponieść uczuciu, namiętności czy czemuś tam, ale nie postawiłabym na to ani funta. Nie zdziwiłabym się, gdyby tylko patrzyli sobie w oczy, trzymając się za ręce.

– To sprawa między nimi, coś, co nie powinno nas interesować.

Irytacja brzmiąca w moim głosie obudziła czujność kobiety. Zanim zdążyłam wyrazić swoje zastrzeżenia, Abhaja Patel bezpiecznie zmieniła temat.

– Wie pani, w Indiach informacja bywa czasem cenniejsza niż złoto. Można na niej zbić grubą forszę, ubiegając kogoś w interesach albo lawirując między skonfliktowanymi przywódcami gangów. Wśród ludzi ulicy zdarzają się tacy, którzy potrafią latami ciągnąć zyski z szantażu. No i właśnie jeden z takich typków poszedł do męża Betty z rewelacjami o rzekomym romansie. I tu niespodzianka! Nie przewidział, że szanowny małżonek wyrzuci go za drzwi, słusznie podejrzewając, że chodzi o wyludzenie. Myślę, że Anglik nie uwierzył w to, co usłyszał, dlatego że związek Angielki z Hindusem wydawał mu czymś tak nieprawdopodobnym, że śmiesznym do granic absurdu. Jak jakakolwiek kobieta mogłaby zdradzić jego lordowską mość, wcielenie doskonałości i piękna, z jakimś, pożałujcie Boże, roznosicielem herbaty? W jego przekonaniu ktoś taki nie miał prawa w ogóle istnieć, dla męża Betty ludzie spoza jego sfery byli niewidzialni.

– Co zatem sprawiło, że w końcu zmienił zdanie?

– Obdartus z ulicy nie jest tak wiarygodnym źródłem informacji jak powszechnie szanowany przedstawiciel angielskiej elity. Na przyjęciach, spotkaniach biznesowych, w klubach dla gentlemanów zaczęły docierać do niego pewne plotki, najpierw niby niewinne, w formie żartów i koleżeńskich kpin, potem coraz mniej zabawne. Poczul się zagrożony. W końcu, za czyjąś namową, wynajął jakiegoś lokalnego Marlowe'a, żeby śledził Betty. Pogłoski potwierdziły się dosyć szybko, ale niech pani sobie nie myśli, że ten cwaniak zrobił żonie awanturę czy dostał ataku wściekłości. Nic z tych rzeczy. Postanowił załatwić sprawę po swojemu.

Spojrzałam pytająco na moją rozmówczynię, ale błędziła wzrokiem gdzieś daleko ode mnie.

– Wie pani, jak najprościej z kimś wygrać, unikając konfrontacji? – spytała, jednocześnie nie dając mi dojść do głosu. – Przebiegłością. Mężowi Betty wcale nie zależało na żonie. Zależało mu natomiast na pieniądzu, które straciłby razem z nią, no i oczywiście na uniknięciu skandalu. Nazwisko, tytuł szlachecki, forsa i to, co ludzie powiedzą – tyle miał do stracenia. Zdrada żony nie zraniła jego uczuć, bo takie nie istniały, zraniła jego ambicję i poczucie własności, a tego nie mógł znieść. Podjął zręczną grę, posuwając się do ostateczności.

Właścicielka księgarni od czasu do czasu próbowała mną manipulować. Specjalnie zawieszła głos w ciekawym momencie, wystawiając moją cierpliwość na próbę, czekała, aż przerwę jej pytaniami. Nie należała do tych, którym wystarczyło snuć opowieści i milcząca uwaga słuchaczy, pełen wyczekiwania wzrok, ciekawość dalszego ciągu. Swoim sposobem mówienia przypominała kogoś, kto prowadzi poważne, biznesowe rozmowy i chce skłonić drugą stronę do negocjowania warunków transakcji. Nie doczekawszy się jednak z mojej strony spodziewanej reakcji, odezwała się znowu, choć jej twarz przybrała wyraz gniewnej wyższości.

– Betty nagle oświadczyła Patelowi, że wraca z mężem do Anglii. Sądzę, że cały czas liczył się z tym, że pewnego dnia usłyszy coś podobnego. Przyjął to ze spokojem, nie dał po sobie poznać, co czuje. Potem po całych dniach włóczył się ulicami, nie mógł jeść, spać ani usiedzieć spokojnie. Wędrował po różnych dzielnicach i w czasie jednej z tych samotnych wędrówek na wystawie sklepu z porcelaną zobaczył filiżankę. Natychmiast przyciągnęła jego wzrok, zupełnie jak Betty wtedy, na przyjęciu. Czasem żartował, że filiżanka na niego czekała, śmiał się gorzko, że gdyby umiała mówić, pewnie zawołałaby go po imieniu. Już wcześniej myślał o tym, że powinien podarować Betty coś, dzięki czemu nigdy go nie zapomni, gdy będą ich dzielić tysiące mil. Musiało to być coś osobistego, niebudzącego podejrzeń, coś, co każdy przedstawiciel jej sfery uznałby za zwykły przedmiot codziennego użytku. Filiżanka idealnie wpisała się w ten plan. Problem w tym, że była przeraźliwie droga, kosztowała co najmniej trzy, może nawet cztery ówczesne pensje wyższego urzędnika państwowego.

– A jednak ją kupił?

– Tak, Patel prawie zawsze potrafił postawić na swoim. Kupienie komuś prezentu, tak po prostu, w sklepie, nie było w jego stylu. Dla niego wartość miało coś, co daje się z poświęceniem, co trzeba zdobyć, włożyć w to pewien wysiłek, a nie po prostu zapłacić i wyjść z pakunkiem pod pachą. Postanowił zapracować na tę filiżankę. Całymi dniami roznosił herbatę, mył samochody, sprzątał biura, choć mógł przecież poprosić rodziców o pożyczkę. Nie wiem, jak to zrobił, ale w końcu zebrał potrzebną sumę.

Właścicielka księgarni westchnęła ciężko, wznosząc oczy ku niebu, jakby nawet na tamtym świecie chciała okazać ojcu swą dezaprobatę.

– Wie pani – włożyła dłoń do pudełka i przemieszała kawałki porcelany – Patel twierdził, że były do siebie podobne, Betty i filiżanka. Obie eleganckie, dystygowane, dostojne. A poza tym ten kobaltowy kolor przypominał mu trochę szal, który Betty nosiła w Bombaju. – Kobieta odkaszlnęła i sięgnęła po stojącą za jej plecami wodę mineralną. – Przepraszam, zaschło mi w ustach. Napije się pani?

Nie czekając na odpowiedź, co widocznie miała we krwi, podała mi jedyną znajdującą się w pokoju szklankę, napełniła ją wodą, a sama upiła parę łyków prosto ze szklanej butelki.

– Niestety nie mam nic innego, nie spodziewałam się gości.

W wyjaśnieniu więcej było przygany niż tłumaczenia się, tak jakbym swoim wtargnięciem naruszyła jej terytorium i zakłóciła spokój. Ze szklanką w ręku poprosiłam, żeby mówiła dalej. Wolno skinęła głową, nie odrywając wzroku od łóżka. Pomarańczowa od blasku ognia pościel, pełna fałd i załamań, przypominała morskie fale o zachodzie słońca.

– Pewnie wyda się to pani banalne i śmieszne – stwierdziła nonszalancko – ale Patel wierzył, że przedmioty zapamiętują, co do nich mówimy, że nasze słowa, myśli, intencje, wnikają w nie i zostawiają po sobie trwałe ślady. Słyszałam to wielokrotnie. Był przekonany, że każdy przedmiot ma duszę i że człowiek jest w stanie do niej dotrzeć, jeśli się tylko postara. Kiedy kupił tę filiżankę, godzinami trzymał ją w dłoniach, zaklinał w niej swoje uczucia. Podejrzewam, że chciał zrobić z niej talizman, żeby Betty pamiętała, że gdzieś na świecie jest ktoś, kto stale o niej myśli. Ciekawe, jakie to uczucie wstawać rano, czesać się przed lustrem, jechać gdzieś samochodem i nawet nie wiedzieć, że jest się dla kogoś kimś najważniejszym na świecie.

– Nie zamierzał nic zrobić, żeby zatrzymać Betty? Nie miał do niej żalu? – zapytałam.

– Na pewno nie przyjął tego z uśmiechem na ustach. Niemniej jednak uważał, że są pewne decyzje, które człowiek powinien podjąć sam. On dawał Betty to, co tak mało ludzi potrafi sobie dać: całkowitą wolność wyboru. Nie chciał niczego wymuszać, tupać nogami jak dziecko, które zobaczyło zabawkę na wystawie i histeryzuje, bo rodzice nie chcą mu jej kupić. Kiedyś denerwowała mnie ta jego bierność.

– A teraz?

– Teraz uważam, że to nie była bierność. To była życiowa mądrość, głębokie przekonanie, że miłość wymuszona łzami i szantażem, wyproszona na siłę u Boga, taka, o którą trzeba się nieustannie modlić i walczyć, żeby zapewnić jej trwanie, jest bezwartościowa. Prawdziwa miłość to akt wolnej woli.

– Słuchając o pani ojcu, zaczynam wierzyć w magię imienia – uśmiechnęłam się.

– Dhaval. Olśniewająca biel, prawda? – powtórzyła z przekąsem.

– Musiał być naprawdę szlachetnym człowiekiem, jeśli potrafił stłumić własne pragnienia dla jej dobra – zauważyłam sentencjonalnie.

– Umiał przewidywać. – Abhaja Patel patrzyła na to bardziej pragmatycznie. – Przecież wiedział od początku, jak jest. Nikt nie musiał mu tłumaczyć, że zamężna kobieta ma pewne obowiązki i nie rzuci wszystkiego z dnia na dzień, żeby mogli żyć razem długo i szczęśliwie. Brał pod uwagę różne scenariusze. Czuł się zresztą winny, że była mężatką. Myśli pani, że nie wolałby tysiąc razy zakochać się w wolnej kobiecie, ułożyć sobie życie?

– Myślę, że tu nie chodzi o to, co wolał, ale o to, co mu było pisane... – zaczęłam, chcąc powiedzieć, że niewiele mógł zrobić, ale moja rozmówczyni swoim zwyczajem nie dała mi czasu na odpowiedź.

– Pani nie знаła Patela i tej jego obsesyjnej uczciwości. Zawsze mnie uczył, że wszystko, co mówimy, wywołuje określony skutek. Ponosimy odpowiedzialność za wiarę pokładaną w słowach, które często tak niefrasobliwie wypowiadamy. Powtarzał, że nie można bawić się kimś, składając obietnice bez pokrycia, dając złudną nadzieję. Twierdził, że to nas kompromituje, odbiera wiarygodność i autorytet. Patel nie kłamał nie dlatego, że brzydził się kłamstwem, on po prostu nie znosił pustosłowania. Jak pani uważa, czy ktoś z takim podejściem jak on mógł lekko traktować łamanie przysięgi małżeńskiej?

– To oczywiste, że nie.

– No i proszę nie zapominać: było jeszcze coś. Wiara. *Co więc Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela*<sup>3</sup>. Rozumie pani? Dla Patela obietnica złożona przed Bogiem, wszystko jedno jakim, była rzeczą świętą. Dopiero potem, po tej swojej wielkiej duchowej przemianie, Patel wreszcie zrozumiał, że Bóg też czasem może zmienić zdanie, a już na pewno wtedy, jeśli uzna, że ktoś nie szanuje tego, co od niego otrzymał. Bóg daje, Bóg odbiera, Bóg łączy, Bóg też może rozdzielić, o ile tak postanowi. Dziwię się, że ojcu tyle zajęło dotarcie do tej prawdy. Niech mi pani powie, czy ten sam Bóg, który dał człowiekowi wolną wolę, za chwilę kazałby mu się jej zrzec? Czym wtedy ślub złożony przed Bogiem różniłby się od cyrografu podpisanego z diabłem? Czy dobro czynione pod przymusem jest w ogóle dobrem? Czy miłość z przymusu nadal jest miłością? I tak dalej, mogłabym wyliczać do rana. Każdy rozsądnie myślący człowiek, który wyraża takie wątpliwości, jest przez duchownych karcony jak niesforny dzieciak, zarzuca mu się wygodnictwo, egoizm, sto innych „schorzeń duszy”. Co za bzdury.

Abhaja Patel wyskubała z wściekłością kilka niesfornych nitek z dywanu. Korzystając z chwili milczenia, zaczęłam przyglądać się stertom porozkładanych dookoła książek. Kant. Nietzsche. Kierkegaard. Hegel. Kilka przekładów Biblii, biografia Mahatmy Gandhiego, Koran, zbiory mitów greckich i rzymskich, żywoty świętych, ilustrowany przewodnik po kartach tarota. Właścicielka księgarni dostrzegła, gdzie podąża mój wzrok, i poczuła się w obowiązku wyjaśnić:

– Odkąd Patel obraził się na Boga, przestał czytać powieści. Zaczął interesować się religioznawstwem, filozofią, magią, zjawiskami nadprzyrodzonymi.

– Obraził się na Boga? No tak...

– Wolał obrazić się na Boga niż na tę swoją Betty. Prawdę mówiąc, myślę, że się po prostu pogubił, pozwolił sobie wmówić te bzdury, którymi żyje większość z nas, zakładając tym samym, że Bóg jest bezmózgim idiotą. Pamięta pani testament Zosimy? „W cierpieniu szczęścia szukaj”<sup>4</sup>. Właśnie o to cierpienie Patel miał do Boga największe pretensje.

– W rozwoju duchowym istnieją podobno dwie drogi – uśmiechnęłam się. – Jedna prowadzi przez miłość, druga przez cierpienie. Nie umiem się z tym zgodzić, jeśli mówimy o świadomym wyborze cierpienia, a nie o takim cierpieniu, które spada na nas niespodziewanie, na przykład w chorobie.

– Być może coś w tym jest. Patel do pewnego momentu podążał drogą cierpienia. Twierdził, że spotkała go zasłużona kara boska z powodu nieczystego uczucia. Nawet jeśli mąż Betty zachowywał się jak dureń, to jednak ich związek był w oczach Patela uświęcony przez Boga. Wydawało mu się, że występując przeciwko tamtemu mężczyźnie, występuje przeciw samemu Bogu.

Rozłącza, rozdziela. Musiało minąć wiele czasu, nim wreszcie przejrzał na oczy i dotarło do niego, że niektórych ludzi rozdziela sam Bóg, bo szlag go trafia, gdy widzi, w jak głupi i bezsensowny sposób marnują sobie życie. Tysiące razy tłumaczyłam Patelowi, że on i Betty nie działali z premedytacją. Nie przyszli na to przyjęcie, żeby kogoś poderwać, nie odpowiedzieli na anons w gazecie, żadne z nich nie szukało przygody. Zetknęła ich ze sobą cudza pomyłka, zdarzenie losowe. Stało się coś, co miało się stać. Wie pani, co jest moim zdaniem najbardziej bezsensowne w chrześcijaństwie?

– Co? – Domyślałam się, że właścicielka księgarni czeka na to pytanie.

– Przysięga małżeńska. Proszę mi wierzyć, nie ma większej bzdury. Niech pani pomyśli. *Co więc Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela*. A ja jeszcze raz pytam, co wtedy, kiedy rozdziela sam Bóg, powodując taki, a nie inny przebieg wydarzeń, płacząc ludziom ścieżki, kreując różne sytuacje losowe? Naprawdę wierzy pani w to, że Bóg chce, żeby ludzie męczyli się ze sobą, użerali, ciągnęli nawzajem w dół albo traktowali się obojętnie, w imię danego słowa? Przecież wszystko się zmienia, my się zmieniamy, dojrzewamy, nabywamy doświadczeń. Nie jesteśmy tacy sami, jacy byliśmy w dniu ślubu, gdy obiecaliśmy coś komuś, zapewne ze szczerego serca, wierząc, że uda się dotrzymać obietnicy. A potem okazało się, że albo nas oszukano, albo daliśmy się ponieść złudzeniom. Przychodzi taki moment, gdy człowiek nagle odkrywa, że ideałom też śmierzają skarpetki. Wierzy pani w Boga, który chce, żebyśmy tkwili w nieszczęściu, umartwiali się, z powodu obietnicy?

Nie odpowiedziałam, uświadamiając sobie, że rozmowa potoczyła się zupełnie inną drogą, niż powinna, oddalając się od opowieści o filizance. Zastanawiałam się, w jaki sposób sprowadzić ją z powrotem na właściwe tory, gdy do pokoju wleciała ćma. Na ścianie pojawił się nowy cień, przybierając rozmiary olbrzymiego motyla. Właścicielka księgarni podniosła do ust w połowie pustą butelkę, po czym z hałasem odstawiła ją na podłogę i powiedziała ze złością:

– W głowie mi się nie mieści, że maltretowana kobieta, szukająca w kościele ucieczki przed mężem alkoholikiem, przed potworem znęcającym się nad rodziną albo innym dewiantem, słyszy, że ma do niego wracać i nieść swój krzyż, bo związek małżeński jest święty. Co za jakaś wynaturzona, wstrętna patologia. Jakie trzeba mieć wyobrażenie o tym świecie, żeby w takich sytuacjach powoływać się na wolę boską i zakładać, że Bóg jest sukinsynem, a do tego jeszcze wmawiać to innym ludziom! A pani w jakiego Boga wierzy? – zapytała bezceremonialnie i rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie.

Przez tę godzinę czy dwie zdążyłam już trochę poznać właścicielkę księgarni i wiedziałam, że nie próbuje być obcesowa. Była po prostu bezpośrednia i prostolinijna. Nie mogłam nie odpowiedzieć, choć nie czułam się komfortowo, mówiąc o sprawach tak ważnych.

– Po prostu wierzę w Boga, ale i wierzę Bogu.

– Dobrze. – Ten komentarz mógł oznaczać wiele, ale wolałam się nad tym nie zastanawiać. – Nie wydaje się pani, że na świecie wszystko jest przypadkowe, bezładne?

– Przeciwnie. Wierzę, w przeznaczenie, *kadar, kadr, maktub*, niech pani to nazwie, jak chce. Wierzę, że każdy z nas przychodzi na świat z określonym zadaniem.

– Karma?

– Determinizm z poszanowaniem swobód obywatelskich jednostki – roześmiałam się, choć nasza rozmowa zaczęła przypominać mi przemawianie na wiecu. – Cel jest ustalony, ale sami wybieramy drogę, którą do niego zmierzamy.

– Wie pani – Abhaja Patel wydawała się błądzić myślami gdzieś daleko ode mnie – my, Hindusi, nie przestajemy wierzyć w karmę, nawet jeśli wyznajemy inne religie. Karma to praca, tak zresztą powinno się tłumaczyć to słowo. Ma prowadzić do rozwoju duszy, do doskonalenia się, żeby powracać w coraz lepszej postaci. Może dlatego, że dla mnie to takie ważne, długo nie umiałam zrozumieć Patela. Zafascynowany chrześcijaństwem, zmagający się z niespełnionym uczuciem, według mnie źle pojmował znaczenie cierpienia. Próbowałam wytłumaczyć mu, że się pomylił, ale wtedy zawsze dochodziło do kłótni. On oczywiście nazywał to ożywioną dyskusją. Doprawdy! Wspomniała pani o dwóch drogach, przez miłość i cierpienie, prawda?

– Tak.

– No właśnie. Ale moim zdaniem tę drugą drogę dusza wybiera sobie jeszcze przed narodzeniem i sama decyduje, kim chce być tutaj. Chrześcijanie mieli i wciąż mają problem z wyjaśnieniem istnienia zła. Od początku zmagają się z tym, w jaki sposób dobry Bóg może zsyłać na ludzi choroby, klęski żywiołowe, tragiczną śmierć. Dla mnie to oczywiste. Cierpienie to wybór, i tyle. Wybór dokonany przed przyjściem na świat po to, żeby rozwijać się dalej. Niektórzy rodzą się z nieuleczalną chorobą, bo taką siedzibę wybrała sobie dusza. A Patel myślał, że droga do zbawienia prowadzi przez grzech. Grzechem miało być jego uczucie do Betty, a cierpieniem niespełnienie, wieczna tęsknota. *Per aspera ad astra*, przez ciernie do gwiazd. W życiu nie słyszałam większej głupoty. Tysiące razy kłóciliśmy się o to, dopóki wreszcie nie zmądrzał.

– A więc zmienił zdanie? – zdumiałam się.

– Tak. Z powodu książki. – Abhaja Patel uśmiechnęła się wyrozumiale i ze stosu za swoimi plecami wyciągnęła *Z genealogii moralności* Fryderyka Nietzschego. Pomachała mi okładką przed nosem i mówiła dalej: – W ślad za nią poszły inne. Czytał i czytał, aż w końcu się obudził. Mnie nie uwierzył, doszukiwał się w moich słowach bluźnierstwa, ale filozofowi udało się go przekonać. Patel wreszcie zrozumiał, że moralność chrześcijańska jest na swój sposób bezwzględna, że odbiera wolną wolę, czyniąc z ludzi niewolników, poddanych, którzy muszą być ślepo posłuszni. Zwraca się ku cierpieniu, kultuwało męczeństwo, negując wyższą duchowość. Na szczęście umiał przyznać się do błędu. Te modlitwy o wstawiennictwo do świętych męczenników, kult śmierci na krzyżu, przekonanie, że wszystko, co doczesne, jest złe, w końcu i jemu zaczęły wydawać się niedorzecznością. A pani ma świadomość, do czego to prowadzi? – Spojrzała na mnie z podejrzliwością nauczyciela domyślającego się, że uczeń nie odrobił zadania.

– Nie chciałam się wymądrzać – podjęłam ten wątek, zgadzając się na jej warunki – ale wiem, że to nie są wyłącznie chrześcijańskie motywy. Pojawiają się też w innych religiach.

– Pojawiają się czy powracają? – zripostowała szybko, jakby od dawna miała przygotowaną odpowiedź. – Nie wmówi mi pani, że to nie chrześcijaństwo pierwsze wychwalało biednych, słabych, pokrzywdzonych, nadawało im rangę tych lepszych, miłszych Bogu, zasługujących na zbawienie bardziej od tych, którym dobrze się wiedzie dzięki własnej pracy i zaradności. To przez chrześcijaństwo, a właściwie przez jego wynaturzenia, przez zachwianie pierwotnej jedności, świat przewrócił się do góry nogami. Proszę popatrzeć, jak do cierpienia podchodzą religie starsze od chrześcijaństwa, na przykład buddyzm czy hinduizm. Nakazują wyzwolenie się z niego, uczą, jak to osiągnąć. Uznają cierpienie za konsekwencję złych wyborów. Uwaga: złych, ale wolnych. Prawo karmy mówi, że to, co robimy, do nas powraca, ale za każdym czynem stoi wolna wola, sami decydujemy o szczęściu lub cierpieniu w kolejnych wcieleniach. Kiedyś nie wytrzymałam i powiedziałam Patelowi, że chrześcijanie są największymi bluźniercami w historii i on też jest bluźniercą. Powiedziałam mu to prosto w twarz.

– To pani podsunęła ojcu tę książkę, prawda? – Właściwie nie musiałam o to pytać.

Kiwnęła głową.

– Tak, ale nie dałam mu jej do ręki – podkreśliła swój spryt. – Dołożyłam ją do innych, które zamierzał przeczytać. Chciałam mu pomóc, żeby się opamiętał.

– Dlaczego uważa pani, że chrześcijanie są bluźniercami? – zapytałam.

Abhaja Patel spojrzała na mnie w taki sposób, jakby miała przed sobą ostatniego głupca.

– Proszę pomyśleć – powiedziała, właściwie literując mi te wyrazy. – Chrześcijanie wierzą w Jezusa, który poniósł męczeńską śmierć na krzyżu, w to, że zstąpił na ziemię i oddał za nich życie, odkupując grzechy całej ludzkości. Wierząc w to wszystko, swoją cierpiętniczą postawą negują sens tej ofiary. Paradoks, czyż nie? Przecież nie po to Jezus umarł na krzyżu, żeby inni wciąż musieli nieść swój krzyż, uginać się pod jego ciężarem, ani tym bardziej na nim umierać. On zrobił to za nich. Za nich, rozumie pani? Ta śmierć miała uwolnić od zła, dać nowy początek, duchowe odrodzenie. Naśladowanie Jezusa nie polega moim zdaniem na naśladowaniu w cierpieniu, ale w miłosierdziu. Życie nie jest cierpieniem, życie jest darem Bożym. Cierpienia powinno być tyle, ile przyprawy w zupie, żeby nadać jej smak. Nadmiar przyprawy sprawi, że zupa stanie się niejadalna. Nikt mi nie wmówi, że to Bóg wymaga od nas cierpienia.

– Dobrze, a co z pani ojcem? – przerwałam, chyba zbyt opryskliwie, bo znów zostałam spio-

runowana wzrokiem.

– Patel w końcu zrozumiał, chyba mu to pomogło. A przy okazji ja również coś zrozumiałam.

– Co takiego? – Wiedziałam, że to wyznanie musiało ją drogo kosztować i nie mogłam odpowiedzieć na nie milczeniem.

Wzrok Abhai Patel spoczął na naszych cieniach kładących się na ścianie. Jej dłoń znów powędrowała na łóżko i spoczęła na koronkowej pościeli, odcinając się złocistym beżem od śnieżnej bieli materiału. Płomień lampy odbijał się w szybie podzielonej drewnianą listwą na cztery równe części. Od czasu do czasu drżał i kołysał się w oczach kobiety, nadając im barwę bursztynu.

– Byłam tu, kiedy umierał – odezwała się zdławionym głosem i odwróciła twarz w kierunku okna, zapewne po to, by ukryć wzruszenie. – Siedziałam przy jego łóżku, dokładnie tak samo jak teraz. To ode mnie zjadł ostatni posiłek. Wie pani, człowiek umiera od nóg. Nogi są już martwe, zimne, gdzieś tam pojawiają się na nich fioletowe plamy, a głowa wciąż jeszcze pozostaje ciepła.

Pogłaskałam kobietę po ramieniu. Nie odpowiedziała na mój gest, może nawet go nie zauważyła.

– To dziwne uczucie siedzieć tak i patrzeć na kogoś, kto umiera – powiedziała bardziej do siebie niż do mnie. – Trzymać za rękę, dotykać czoła. Wtedy dopiero rozumie się istotę czasu, z przerażającą jasnością człowiek uświadamia sobie, że jest niczym wobec wieczności. Do głowy napływa całe mnóstwo wspomnień, tłoczą się, przepychają. Przypominałam sobie, jak Patel czekał na mnie po lekcjach, jak chodziliśmy do St. James Park karmić czarne łabędzie, jak kupił mi pierwsze perfumy. Ten sam Patel, który leżał w łóżku i nie miał już sił, żeby unieść powieki. Nawet nie wiem, czy w ogóle czuł, że jestem obok.

Chciałam jej powiedzieć, że na pewno tak było, ale w porę zdałam sobie sprawę, że zabrzmiałoby to co najmniej sztucznie.

– Czułam się trochę tak – mówiła dalej, choć jej głos łamał się niczym kruchy lód – jakbym to ja leżała w tym łóżku i czekała na śmierć. Wyobraziłam sobie, że nie mam już sił, żeby cokolwiek powiedzieć, zastanawiałam się, kto siedziałby obok, trzymał mnie za rękę. I czyją twarz chciałabym wówczas mieć naprzeciw siebie. Uświadomiłam sobie, że w tym wszystkim nie chodzi wcale o to, by ktoś pod koniec życia podał nam tę przysłowiową szklanekę wody. Opieka społeczna jest w dzisiejszych czasach dobrze rozwinięta. Najważniejsze jest to, kto się do nas uśmiechnie, nie z przymusu, obowiązku, poczucia wdzięczności albo dlatego, że wziął za to pieniądze. Dwa dni po śmierci Patela złożyłam w sądzie pozew rozwodowy.

Od dawna wiedziałam, że kobieta opowiada mi również o sobie, choć przyznała się dopiero teraz. Byłam jej winna wysłuchanie tej opowieści.

– Cokolwiek sobie pani o mnie pomyśli, przyznam się, że decyzję o rozwodzie podjęłam, czuwając przy Patelu w jego ostatnich godzinach. Zrozumiałam wtedy, że to nie twarz mojego męża chciałabym zobaczyć jako tę ostatnią. Dotarło to do mnie z niezwykłą jasnością.

– Czyją twarz chciała pani zobaczyć? – zapytałam, dopiero potem uświadamiając sobie, że pytanie nie było całkiem na miejscu.

– Jest taki ktoś – odpowiedziała, bezwiednie się uśmiechając. – Przepraszam, że nie opowiem pani tej historii, ale proszę mi wierzyć, istnieje taka twarz.

Uśmiech zgasł tak szybko, jak się pojawił. Siedziałyśmy obok siebie, pogrążone we własnych myślach, mając za towarzysza jedynie ciszę panującą w pokoju. Nie musiałam odpowiadać sobie na pytanie, które niechcący zadałam właścicielce księgarni.

– Proszę mi wierzyć, niedokończone historie są zawsze najgorsze. Wloką się potem za ludźmi i nie dają im żyć, a przy okazji gnębią też wszystkich wokoło. – Głos Abhai Patel zdążył odzyskać już normalne brzmienie. – Nieszczęśliwy człowiek nie będzie w stanie uszczęśliwić nikogo innego. Może się starać z całych sił, ale jego wysiłki i tak spełzną na niczym. Równie dobrze należałoby się spodziewać, że matematyki nauczy nas ktoś, kto z trudem opanował tabliczkę mnożenia.

– Mówi pani o nieszczęściu tak, jakby było chorobą – zauważyłam.

– Bo to jest choroba. Wstrętna, niszcząca choroba. Rozumie pani? Nieszczęście to zaraza,



przenosząca się z jednej osoby na drugą. Czasem własne szczęście to najlepszy prezent, jaki można podarować swoim bliskim.

Właścicielka księgarni starała się ukryć żal, on jednak nieustannie wymykał się z jej słów. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że to Dhaval Patel jest sprawcą tego żalu, choć po tym, co o nim usłyszałam, wydawało mi się nieprawdopodobne, by mógł wyrządzić komuś krzywdę. Sama mi przecież o tym powiedziała. Abhaja siedziała nieruchomo, nieobecna duchem, obejmując kolana szczupłymi ramionami. Zaczęłam się zastanawiać, do którego z rodziców była bardziej podobna, być może dlatego, że zdążyłam przypisać nieżyjącemu właścicielowi księgarni cechy na pierwszy rzut oka obce jego córce. Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że Abhaja musiała mieć matkę, która z jakiegoś powodu została pominięta, wykreślona z tej opowieści. Po chwili wahania zdobyłam się na odwagę i postanowiłam o nią zapytać.

– Jak Dhaval Patel poznał pani matkę?

– Nie poznał jej. Nie widział jej nigdy na oczy. – Kobieta roześmiała się.

Nie przestawała się śmiać, widząc moje niesłabnące zdumienie. W jej ciemnych oczach pojawił się błysk satysfakcji. Przypominała w tej chwili handlarza dywanów z arabskiego targowiska, który wciąż zachwalał swój towar i namawiał do kupna, zadowolony, gdy udało mu się wzbudzić zainteresowanie przechodniów.

– Naprawdę sądziła pani, że w życiu Patela znalazłoby się miejsce na inną kobietę? – Spojrzała z powątpiewaniem. – Dhaval zabrał mnie z sierocińca w Bombaju. Nie pamiętam, ile miałam lat. Pięć, może sześć? Cóż, jak pani widzi, nie miał szczęścia do płci przeciwnej. Nie pasowaliśmy do siebie. Ja nie spełniałam jego wyobrażeń o idealnej córce, która siedzi na kocyku przed domem i szyje ubranka dla lalek, a on nie był takim ojcem, jakiego wypatrywałam przez okno przytułku z nosem przy szybie.

Teraz wreszcie zrozumiałam ten dziwny, lekceważący, choć nie całkiem pozbawiony czułości stosunek Abhai Patela do ojca. Zastanawiałam się nad nim od pierwszych chwil spędzonych w towarzystwie kobiety, zapewne dlatego, że nigdy dotąd nie spotkałam kogoś, kto wypowiadałby się o swoich rodzicach w taki sposób jak ona.

– Kiedy już zdążyłam się ucieszyć, że Patel jest mój, że wreszcie mam ojca, w nasze życie powoli zaczęła wkradać się Betty, krok po kroku przemykać, najpierw pod osłoną opowieści, potem faktów i dat. Cały czas miałam poczucie, że coś mi zabrała, ukradła, zniszczyła. Buntowałam się, potrafiłam być naprawdę okropna. Teraz myślę, że po prostu chciałam z nią wygrać, pokazać, kto rządzi w naszym domu.

– To rozumiałe, większość córek zachowuje się w taki sposób – uśmiechnęłam się. – Była pani zazdrosna o Dhavala Patela, chciała pani mieć go tylko dla siebie. Wiem, jak to jest – powiedziałam, próbując przypomnieć sobie własne relacje z ojcem. Wydawało mi się, że kobieta oczekuje z mojej strony słów, które pomogłyby jej zagłuszyć wyrzuty sumienia.

– Nie nazwałabym tego zazdrością. – Gorycz przemawiająca przez właścicielkę księgarni szła w parze z twardym, nieustępliwym wyrazem twarzy. – Czułam się jak pies albo kot wzięty ze schroniska, żeby oszukać samotność. Takie stworzenie, które przyjdzie, położy łeb na kolanach, połasi się, da się pogłaskać. Coś zamiast. Uznałam, że Patel potrzebował mnie tylko po to, żeby czymś się zająć, stłumić tęsknotę za Betty.

– Nie lubiła jej pani, prawda?

– Do pewnego momentu wręcz nienawidziłam – odparła. – Z opowieści Patela wynikało, że nie była tchórzem, pozbawionym własnego zdania i pozwalającym sobą dyrygować, a jednak to, co zrobiła, zdawało się temu przeczyć. Chyba żaden normalny, uczciwy człowiek nie jest w stanie na dłuższą metę tkwić w fikcji. Umiałaby pani budzić się rano i patrzeć na kogoś, kto wydaje się obcy, w dodatku z myślą, że oddałby pani wszystko, żeby na jego miejscu był ktoś zupełnie inny? Znosiłaby pani dotyk jego rąk, nawet tłumacząc to sobie prawem małżeńskim? Jak długo można się oszukiwać i właściwe po co? A jednak Betty wróciła z mężem do Anglii. To kłóciło się z moim dziecięcym idealizmem i, prawdę mówiąc, nie rozumiem tego do dziś.

– Zastanawiała się pani, dlaczego tak się zachowała?

– Najpierw wydawało mi się, że nie traktowała Patela poważnie. Imponowało jej czyjeś za-

interesowanie, podziw, komplementy bądź co bądź przystojnego mężczyzny, wszystko to, czego nie miała w małżeństwie. Zabawiła się i poszła sobie, tak to wtedy widziałam, bo przecież dla jakiegoś tam Hindusa nie chciała wywracać swojego życia do góry nogami. Wybrała wygodę, to było dla mnie takie oczywiste. Dużo później dowiedziałam się trochę więcej o tej sytuacji. Otóż ojciec Betty podobno wdał się przed laty w jakiś nielegalny interes, Patel nie chciał mówić o szczegółach, mógł ich zresztą nie poznać. Podejrzewam, że chodziło o fałszerstwo albo o łapówkę. Jako wysoko postawiony urzędnik, miał szerokie pole do wszelkich nadużyć. Mąż Betty dobrze znał tę sprawę, bo teść kiedyś wygadał mu się po pijanemu, widać jeszcze wtedy mu ufał. Tamten w odpowiednim momencie sprytnie to wykorzystał.

– Chce pani powiedzieć, że Betty była szantażowana przez męża?

– Coś w tym rodzaju. Zagroził, że upubliczni ciemne sprawy starego. Kompromitacja to była w tamtych kręgach potężna siła.

– To wszystko wydaje mi się nieprawdopodobne – powiedziałam. – Trudno mi uwierzyć, że nie próbowała znaleźć innego rozwiązania i tak po prostu uległa pogróżkom.

– Tak, też to zauważyłam, ale cóż, życie przypomina czasem historię z kiepskiej literatury, choć być może istnieje też inne wyjaśnienie. Żyjąc wśród blichtru, obłudy, ciągłych pozorów, człowiek czuje się coraz bardziej zmęczony i rozczarowany. Myślę czasem, że Betty po prostu nie wierzyła, że ktoś mógł ją zwyczajnie, bezinteresownie pokochać, i dlatego zachowała się jak tresowany piesek, na którego wystarczyło tupnąć, żeby z podkulonym ogonem wrócił pod stół. Jeśli komuś konsekwentnie, przez długie lata wmawia się, że jest nikim, w końcu zaczyna w to wierzyć. Betty nie potrafiła znaleźć w sobie sił, żeby walczyć o samą siebie. Uznała, że nie warto.

Abhaja Patel obracała w dłoniach pustą butelkę po wodzie mineralnej, śledząc wzrokiem jej ruchy.

– Z nieudanym życiem jest jak z rozbitą filiżanką – powiedziała. – Można ją posklejać, ale zostaną ślady, rysy, z czasem pojawią się nowe pęknięcia. Stanie się bezużyteczna. A jeśli ktoś spróbuje się z niej napić, skaleczy się w usta. – Westchnęła z rezygnacją i popchnęła leżący obok niej stosik cienkich książek. – Ja też muszę ciągle pojawiać się na rautach, bankietach i wernisażach. – W jej głosie brzmiała niechęć. – Ale pewnie pod wpływem Patela nabrałam dystansu do towarzystw wzajemnej adoracji. Drażnią mnie te układy, umizgi, szepty w kuluarach. Teraz zdaję sobie sprawę, w jakim środowisku musiała obracać się Betty. Czasy się zmieniły, ale mechanizmy pozostały te same. Jestem prezesem dużej spółki handlowej, „bywanie” to część mojej pracy. Na większości przyjęć czuję się jak widz, obserwator. Przypomina mi się wówczas pewien wiersz Aleksandra Błoka, który znalazłam w jednej z tych niezliczonych książek Patela. Znam go na pamięć.

– Mogę posłuchać? – poprosiłam.

Właścicielka księgarni usiadła wygodniej, uciekając ode mnie spojrzeniem gdzieś w kąt pokoju. Przez chwilę poczułam to samo napięcie, co czasami w teatrze, parę minut przed podniesieniem kurtyny. Abhaja Patel zaczęła recytować.

*Trupowi jak jest ciężko niesłychanie*

*Żywego wciąż udawać pośród ludzi!*

*Lecz trzeba wciskać się w socjetę, ludzić*

*I dla kariery kości kryć szczękanie...*

*Śpią żywi. Martwy z grobu swego wstaje*

*Do sądu idzie, do urzędu, banku...*

*Im bielsza noc, złość się czarniejsza staje*

*Pióra z triumfem skrzypią bez ustanku.*  
*Trup nad raportem cały dzień się głowi.*  
*Urzędowanie kończy się. I oto –*  
*Do ucha szeptce trup senatorowi,*  
*Ruszając tyłkiem, sprośne anegdoty.*  
*Już wieczór. Drobny deszcz zaszargał błotem*  
*Przechodniów, domy, całą bzdurę w końcu...*  
*A trupa stąd do innej znów szpetoty*  
*Wieżie taksówki pudło zgrzytające.*  
*Do sali ludnej, z kolumnami wielu*  
*Umarły śpieszy. Na nim frak wspaniały.*  
*Uśmiechem go łaskawym tam obdzielą*  
*Kretynka pani i pan skretyniały.*  
*Już nie ma sił po nudzie dnia w urzędzie*  
*Zgrzytanie kości muzyka zagłuszy...*  
*Przyjaciół dłonie mocno ścisnąć będzie –*  
*Ach, żywym, żywym zdać się ludziom musi!*  
*I tylko wzrokiem przy kolumnie spotka*  
*Swą towarzyszkę – jak i on nieżywą.*  
*Poprzez rozmowę, salonowe plotki*  
*Usłyszysz takie słowa ich prawdziwe:*  
*– Znużony bracie, straszno mi w tej sali.*  
*– Znużona siostrze, jakże zimno w grobie.*  
*– Już północ. – Północ. Lecz nie zapraszałeś*  
*N. N. do walca, choć się kocha w tobie...*  
*A tam N. N. spojrzenia śle namiętne,*

*Ach, za nim, za nim! tętni krew wzruszeniem...*

*Na jej twarzączce, nieskalanie pięknej,*

*Miłości nierozumne zachwycenie...*

*Trup szepcze jej nic nie znaczące słowa,*

*Dla żywych tak zniewalające zdania,*

*I widzi trup ramiona jej różowe,*

*I widzi, jak na ramię głowę skłania...*

*I ostry jad światowej, zwykłej złości*

*Roztacza z gniewem nawet tu nieznanym...*

*– Jak mądry! Jaki we mnie zakochany!*

*W jej uszach dźwięk brzmi dziwny, niesłyszany:*

*To kości tłuką się o kości.*

– Dhaval bardzo lubił ten wiersz. – Abhaja Patel przerwała ciszę, która zaległa na koniec.

– Konformizm, strach przed byciem sobą jest tysiąc razy gorszy od strachu przed śmiercią. Trudno się z tym nie zgodzić. Lepiej od razu zatrzaskać się w trumnie i oddychać przez wywiercone otwory, niż zarażać nieszczęściem. Jaki ma tytuł?

– *Taniec śmierci* – parsknęła. – Cóż, dzisiejszego wieczoru śmierć jest wciąż obok nas. Wie pani, na czym polegał mój błąd? Wydawało mi się, że Patel jest wieczny, że zawsze będzie tu siedział i przekładał z miejsca na miejsce te swoje książki. Uciekałam jak najdalej od niego, może bardziej nawet od tej jego Betty. Dusiałam się w tym miejscu, miałam wrażenie, że zamknął się w nim jak w więzieniu, a mnie brakowało tutaj powietrza. Potem dowiedziałam się, że jest chory. W pierwszej chwili uznałam, że to zupełnie niemożliwe, niepasujące do niego. Najbardziej mi żal, że już nigdy nie powiem mu tych wszystkich ważnych rzeczy, które odkładałam na potem. Nic oryginalnego. Nie doceniałam go. W ogóle nie zastanawiałam się nad tym, co stałoby się ze mną, gdyby mnie nie adoptował. Pewnie skończyłabym na ulicy, tysiące dzieci w Bombaju tak kończą. Jestem mu wdzięczna, ale on już się o tym nie dowie.

Po raz kolejny nie wiedziałam, co odpowiedzieć, ale Abhaja Patel nie wyglądała na specjalnie przejętą moim milczeniem.

– Na szczęście zdążyłam powiedzieć Dhawalowi, że na swój sposób zawsze go przecież kochałam. Usłyszał to co prawda dopiero pod koniec życia, ale lepiej późno niż wcale. I powiem pani coś jeszcze. Kiedy dowiedziałam się o jego chorobie, wskoczyłam w najbliższy pociąg, żeby tu przyjechać. Naprzeciwko mnie siedziała pewna kobieta. Wsiadając w pośpiechu na jednej ze stacji, zostawiła na siedzeniu książkę. Wzięłam ją do rąk i wtedy okazało się, że to Biblia. Otworzyłam na chybił trafił i trafiłam akurat na przypowieść o dwóch matkach i królu Salomonie.

Właścicielka księgarni upewniła się spojrzeniem, że wiem, o czym mówi, i kontynuowała opowieść:

– Oczywiście znałam tę historię doskonale, przerabiałam ją, jak i wiele innych, w szkółce niedzielnej, ale wtedy, w drodze do chorego Patela, odkryłam ją na nowo. Czytając, zrozumiałam, że jestem jego córką, a nie właścicielem, że nie mogę odmawiać mu prawa do uczuć ani tym bardziej wymagać, żeby poświęcił mi się całym sobą. Zobaczyłam siebie w tej kobiecie, która chciała

przeciąć dziecko na pół, czym pokazała, że nie jest prawdziwą matką. Od tamtej pory myślę, że jeżeli naprawdę się kogoś kocha, czasem trzeba umieć z niego zrezygnować, dać wolność wyboru. To właśnie miało miejsce w przypadku Patela i Betty. Pozwolił jej odejść.

– Wie pani, co się z nią stało?

– Umarła samotnie, niecałe dwa lata przed śmiercią Patela. Choroby lubią nieszczęśliwych ludzi, zawsze się ich czepiają. Kiedy zaczęło dziać się z nią źle, wszyscy, których miała wokół siebie, zwiali jak szczury z tonącego okrętu. Dowiedzieliśmy się o tym, bo w testamencie zastrzegła, że spadkobiercy mają przysłać tutaj tę właśnie filiżankę. – Ruchem głowy wskazała niewielki stos kobaltowych odłamków. – Rozmawiałam wtedy z jej pełnomocnikiem. Nie był szczególnie dyskretny.

– Przykre – powiedziałam, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, żeby wyrazić, co czułam.

– Cóż, takie są konsekwencje niewłaściwych wyborów. Oto, do czego prowadzi strach przed ryzykiem. Podobno większą część swojego majątku Betty zapisała sierocińcowi w Bombaju, temu, z którego zabrał mnie Patel. Jej córka nawet nie przyjechała na pogrzeb, tak ją to dotknęło.

– Miała córkę? – zdziwiłam się.

– Tak, jeszcze zanim poznała Patela. Przed przyjazdem do Indii umieścili ją z mężem w jakiejś prywatnej szkole z internatem. Potem wyjechała do Ameryki i rzadko kontaktowała się z rodzicami.

– A mąż Betty?

– Nie mam pojęcia, co się z nim stało.

Powiedziała to tak ostro, jakby definitywnie kończyła temat. Ja również poczułam się zmęczona tą smutną, przytłaczającą historią. Właścicielka księgarni sięgnęła tymczasem do kieszeni marynarki i wyciągnęła z niej srebrną papierośnicę. Widząc moje pytające spojrzenie, uśmiechnęła się szelmowsko.

– Patel nie pozwalał mi palić w sklepie. Mówił, że dym z papierosów wsiąka w papier i potem książki śmierdzą nikotyną. Cóż, tych książek nikt już nie kupi, więc mogę skorzystać z okazji.

– Co pani z nimi zrobi?

– Z książkami? Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym. Część zabiorę, resztę może oddam jakiejś bibliotece.

– Dziękuję, że powiedziała mi pani to wszystko – uśmiechnęłam się.

Kobieta zaciągnęła się papierosem, patrząc na mnie z ukosa.

– Pewne historie nie mogą zostać po prostu opowiedziane. Muszą jeszcze zostać zrozumiane. Teraz już pani wie, że filiżanka, tak samo jak Dhaval, mogła mieć tylko jednego właściciela.

Abhaja Patel zgasiła lampę. Powietrze przeszył zapach dymu i nafty.

– Odwiozę panią do domu – zaproponowała. – Lepiej nie włóczyć się samemu po nocy.

– Nie trzeba, mieszkam tuż obok.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Gdzie? Nigdy tu pani nie widziałam.

– Na rogu Westbourne Grove i Portobello. W tym dużym, białym domu.

– Niemożliwe – stwierdziła. – Tam przecież mieszka Gabriel Stork.

– Zgadza się – potwierdziłam.

Kobieta popatrzyła na mnie tak, jakbym była meteorytem, który nagle spadł z nieba, tworząc olbrzymią wyrwę pod jej stopami.

– Zna pani Gabriela? – spytałam zaskoczona.

– Tak. Widziała pani te stare książki w gablocie? To on podarował je Dhawalowi, gdy byłam jeszcze dzieckiem.

– Jak to? – Moje zdumienie było coraz większe. – Przecież jesteście mniej więcej w tym samym wieku. Jak mógł odwiedzać wtedy waszą księgarnię?

– Ależ skąd. Gabriel jest starszy, dużo starszy. – Mówiąc to, zaczęła powoli podnosić się z dywanu. – Przepraszam, muszę już iść – powiedziała, w widoczny sposób chcąc skończyć rozmowę o Tobie. – Ach i proszę wziąć to ze sobą, na pamiątkę naszego spotkania.

Podeszła do gabloty, wyjęła jedną starą książkę i podała mi ją.

Charles Baudelaire, *Kwiaty zła*, przeczytałam na okładce, wyteżając wzrok.

Pożegnałam się z Abhają Patel na progu księgarni i patrzyłam, jak odchodzi w dal, schowana pod czarnym parasolem nocy. Dopiero kiedy znalazła się przy swoim aucie, zaczęłam iść w stronę domu. Słyszałam za sobą trzaskanie samochodowych drzwi, potem warkot zapalnego silnika. Po chwili błysk reflektorów przeciął mi drogę i zatrzymał się na najbliższym drzewie. Przed pubem, zamykanym zazwyczaj dopiero nad ranem, ktoś stłukł szklaną butelkę. Z sąsiedniej ulicy dochodziły odgłosy domowej awantury, krzyki w nieznanym języku wydostawały się przez otwarte okno. Zawyla policyjna syrena.

Weszłam do domu, nie zapalając światła. Po omacku dotarłam do sypialni, wyciągnęłam się na pustym łóżku i włączyłam radio. Twój głos natychmiast rozszedł się po pokoju i przybierając najróżniejsze barwy, wypełnił sobą ciszę. Wynurzał się z mroku jak kontury przedmiotów, gdy wzrok zdąży przyzwyczaić się już do ciemności. Byłeś jedynym człowiekiem na świecie, w którego słowach potrafiłam dostrzec te same kolory, co w tych na papierze. Mówiłeś o *Egipskim erotyku* Jusufa Idrisa, wplatając w treść książki opowieść o podwójnym życiu miasta, pierwszym tocącym się na dole, w gąszczu ulic, wśród stert śmieci i zgiełku samochodów, i drugim, rozgrywającym się na spalonych słońcem dachach budynków. W dwoistej naturze Kairu widziałeś metaforę skomplikowanych relacji bohaterów, odrębne światy Szurhat i Abd Allaha, zmuszone do spotykania się. Leżąc tak i słuchając, pozostawiona sam na sam z Twoim głosem, myślałam o miastach, które widziałeś beze mnie, o poznawanych ludziach, wysłuchanych historiach i o tym, ile jeszcze o Tobie nie wiem.

Minęły niespełna trzy tygodnie od spotkania z właścicielką księgarni, gdy nad ranem wyrwał mnie ze snu dzwonek telefonu, inny niż dotąd, ostry, natarczywy, nieznoszący sprzeciwu. Odpędzając noc, spojrzałam na zegarek. Dochodziła szósta. Zerwałam się na równe nogi, przekonana, że o takiej porze dzwoni tylko ktoś, kto ma do przekazania jakąś ważną wiadomość. Drżącą ręką podnosiłam słuchawkę. Głos sir Thomasa Wrighta przedzierał się przez zgrzyty i trzaski, jakby profesor telefonował zza oceanu, a nie z sąsiedniej ulicy.

„Musimy porozmawiać. Natychmiast” – powiedział. Był zdenerwowany. Obiecałam, że za kwadrans pojawię się w galerii, i w pośpiechu zaczęłam szukać czegoś do ubrania.

Po kilku minutach byłam już gotowa. Szybko wyszłam z domu i przebiegłam na drugą stronę ulicy. Zwolniłam nieco kroku, widząc przed sobą okno wystawowe galerii. Sir Thomas Wright wypatrywał mnie na schodach, z pobladłą twarzą i podkrążonymi oczyma. Wyglądał tak, jakby od czasu naszej ostatniej rozmowy posunął się mocno w latach. Gdy weszłam do środka zaciągnął roletę i zamknął za nami drzwi, dla większej pewności przesuwając żelazną sztabę. Na biurku profesora, jak zwykle, paliła się ta sama lampka, oświetlając kilka dużych, prostokątnych kopert, tekturową teczkę i portret, który mu powierzyłam.

– Zupełnie nie wiem, jak to pani powiedzieć. – Staruszek bezradnie rozłożył ręce i wpatrywał się we mnie ni to z rezygnacją, ni z niedowierzaniem. – Czegoś takiego nie widziałem w ciągu pięćdziesięciu lat pracy zawodowej.

– Zaczyna mnie pan przerażać, profesorze – powiedziałam.

Sir Thomas Wright sięgnął po futerał, wyjął okulary, przetarł je dokładnie i ułożył na nosie.

– Już wtedy, gdy po raz pierwszy rozmawialiśmy o tym obrazie, podejrzewałem, że kryje w sobie tajemnicę, która mnie przerasta. Mam wśród przyjaciół kilku wybitnych znawców sztuki i dzięki nim udało mi się co nieco wyjaśnić. Są jednomyślni.

– Panie profesorze, co właściwie chce mi pan powiedzieć? – zapytałam tak szybko, że nie wiedziałam, czy mnie zrozumiał.

– Wszystko wskazuje na to, że autorem portretu, który mamy przed sobą, jest Léon-François Comerre, choć nigdzie się nie podpisał. Ten styl, ta technika malarska, dobór kolorów...

– Z tego, co wiem, Comerre żył w dziewiętnastym wieku – przerwałam profesorowi w pół zdania. – Jak mógł namalować mój portret? Przecież to niedorzeczne.

– W tym tkwi właśnie zagadka. Może pozowała mu po prostu modelka podobna do pani?

Wpatrywałam się w sir Thomasa Wrighta, mając pewność, że wciąż mi o czymś nie mówi.

– Wierzy pan w aż takie podobieństwo? – Popatrzyłam na mężczyznę z nadzieją, że zaprzeczy i powie mi całą prawdę.

– Gdybym nie widział tego, co mamy przed sobą, pewnie bym nie wierzył. Wzrok mnie jed-

nak nie myli, choć w moim wieku ma już do tego prawo – odparł.

– Nie chcę podważać niczyich kompetencji – uśmiechnęłam się przepraszająco – ale czy jest pan w stu procentach pewien, że obraz pochodzi z dziewiętnastego wieku? Proszę mi wybaczyć, chciałabym wiedzieć, jak to można ustalić.

– Istnieją różne sposoby. – Odniosłam wrażenie, że profesor odczuł ulgę, że może przejść do kwestii, o których wie coś na pewno. – Najpierw ogląda się obraz, ocenia się styl, technikę. Potem bada się strukturę farb, sprawdza, czy nie zostały na nich resztki brudu, fragmenty włosów z pędzla. Kolejnym krokiem jest analiza chemiczna farb. Znając ich skład, można w przybliżeniu określić czas powstania dzieła. Byłoby nam łatwiej, gdyby portret namalowano na płótnie, a nie na papierze, materiał też ma znaczenie. Zapewniam, że eksperci, których poprosiłem o pomoc, podeszli do tematu z należytą powagą.

Staruszek zajął do kilku kopert leżących przed nim na biurku, a kiedy zobaczył, że są puste w środku, sięgnął po jedną z tekturowych teczek. Wyjąwszy z niej plik starannie ułożonych dokumentów, szybko je przejrzał, a następnie wręczył mi, mówiąc:

– Proszę spojrzeć. To cała korespondencja dotycząca tej sprawy.

Przebiegłam wzrokiem rzędy czarnych liter i nieznane nazwiska poprzedzone tytułami naukowymi. W każdym z kilkunastu listów wyłapałam jedno najważniejsze słowo: Comerre.

– A jednak jest coś, o czym pan mi nie mówi, profesorze. – Spojrzałam na mężczyznę wychekującą, nie chcąc czytać ekspertyz, zanim nie poznam prawdy.

Twarz sir Thomasa Wrighta spoważniała, zagościło na niej zmęczenie.

– Przejrzała mnie pani – stwierdził słabym głosem. – Widzę, że potrafi pani nie tylko malować słowami. Umie pani zaglądać ludziom w dusze. Nie wiem, czy sam chciałbym posiadać taką umiejętność. Cóż. Granica między szaleństwem a zdrowym rozsądkiem jest cienka. Nie chciałem zdradzić, co sobie pomyślałem, pierwszy raz patrząc na ten portret, ale co mi tam. Najwyżej dojdzie pani do wniosku, że pomieszało mi się w głowie na starość.

Staruszek ponownie pochylił się nad portretem, potem spojrzął na mnie i powrócił do namalowanej kobiety. Z głową opuszczoną tak, jakby bał się podnieść wzrok, zapytał:

– Wierzy pani w wędrówkę dusz? – Po czym dodał pospiesznie: – Proszę nie odpowiadać. Wiara to prywatna sprawa każdego człowieka.

– Dlaczego pan o to pyta? – Nie mogłam zrozumieć, do czego zmierza profesor.

– Kiedy zobaczyłem ten obraz, od razu wiedziałem, że jest stary. Lata praktyki robią swoje, potrafię odróżnić oryginał od reprodukcji. Tak, wiem, to tylko portret, nie karty do wróżenia, które odwołują się do naszej intuicji. Niemniej jednak, gdy wziąłem go do rąk, przekaz był jednoznaczny: to pani się na nim znajduje.

Nie rozumiałam, co sir Thomas Wright zauważył od razu i tłumaczył dalej:

– Przez ostatnie kilka tygodni wielokrotnie zadawałem sobie to pytanie i wielokrotnie słyszałem odpowiedź, jakby ktoś znajdował się obok tylko po to, żeby mi ją podsuwać. Kobieta z obrazu musiała istnieć już wcześniej, żyć dawno temu, w jakimś obcym kraju i stanąć na drodze sławnego malarza. Musiał malować ją w pośpiechu, o czym świadczy to, że portretu nie sporządzono na płótnie. Zapewne istniał też powód, dla którego artysta nie podpisał się pod swoim dziełem.

– Sugeruje pan, profesorze, że żyłam w ubiegłym stuleciu, co mogę jeszcze zrozumieć – odparłam. – Załóżmy, że dusza naprawdę wędruje przez wieki. A ciało? To też panu wyszeptał tajemniczy, wewnętrzny głos? – Nie zamierzałam być uszczypliwa, ale wydawało mi się, że rozmowa przekroczyła dopuszczalny poziom absurdu. – Dlaczego miałabym wyglądać dawno temu tak samo jak teraz?

– A dlaczego nie? – Sir Thomasa Wrighta niespodziewanie rozbawiło moje pytanie. Puścił mi nawet perskie oko. – Proszę, niech pani poda jakiś argument przeciw.

W galerii zapadło pełne zadumy milczenie. To, czemu z całą mocą sprzeciwiał się rozsądek, intuicja uznawała za prawdę. Słowa profesora padały na podatny grunt wyobraźni. Wciąż uważałam, że staruszek stroi sobie żarty, ale coraz mniej wierzyłam we własne odczucia.

– Czyli zgadłem – powiedział po dłuższej chwili. – Ma mnie pani teraz za starego wariata, prawda?

– Po prostu nie wiem, co z tym wszystkim zrobić. – Pokręciłam głową i zaczęłam wyłamywać palce. Poczułam się niewyobrażalnie zmęczona.

– Jest jeszcze coś, o czym powinna pani wiedzieć. – Z piersi profesora wyrwało się ciężkie westchnienie. – Nie jestem pewien, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, ale może pani coś z tego zrozumie. Na rewersie portretu widniał pewien napis.

– Napis? – powtórzyłam.

– Tak. Dokładnie rzecz ujmując: imię.

– Jakie? – zapytałam kilka minut później zniecierpliwiona, bo profesor najwyraźniej odpłynął gdzieś myślami.

– Przepraszam, coś pani mówiła? Zamyśliłem się.

W paru słowach przypomniałam mu, czego dotyczyła rozmowa.

– Ach, rzeczywiście, napis. Proszę popatrzeć. – Sir Thomas Wright delikatnym ruchem odwrócił obraz. – Znajduje się tu, na dole, jest bardzo niewyraźny. Musi pani dobrze się przyjrzeć, żeby cokolwiek zobaczyć.

Pochyliłam się nad stołem, prawie dotykając nosem sztywnego papieru, i natychmiast rozpoznałam charakter pisma. Przez ponad piętnaście lat, a tyle minęło, odkąd zobaczyłam go po raz pierwszy, zdążył utrwalić się w mojej pamięci. Wpatrywałam się w niego tysiące razy, zapamiętując kształt każdej litery i pozwalając mu wsiąkać w swój umysł. Szeherezada, Szahrazad, Szirazad. Tym razem posłużył do zapisania tego imienia w trzech różnych językach. Nie było tam ani słowa więcej.

Pochwyciłam portret, nie mogąc dłużej znieść dudnienia w głowie, odsunęłam krzesło i wybiegłam na pustą ulicę.

Nie chcąc zrozumieć prawdy, zmuszamy ją, by pewnego dnia uderzyła nas w twarz. Już od dłuższego czasu prawda dobijała się do moich drzwi, łomotała w nie coraz natarczywiej, żeby je w końcu wyważyć. Kiedy wybiegłam z galerii sir Thomasa Wrighta, ściskając w ręku swój portret pochodzący z minionego stulecia, uświadomiłam sobie, że to, co zaczyna się w wyobraźni, niemal zawsze kończy się w rzeczywistości. Przez całe życie szukałam mojej baśni, a ona od dawna stała w progu, mówiąc: „Oto jestem”. Przypomniałam sobie wszystko, co dotąd słyszałam o samospełniających się prorocत्वach i sprawczej mocy słów, wciąż zastanawiając się nad tym, jak mogłam być tak ślepa, żeby nie widzieć znaków, lekceważyć przeblyski intuicji i fakty, którym nie umiałam zaprzeczyć.

Nie, nie byłam ślepa. Te wszystkie lata przyzwyczajały mnie uważać wyobraźnię za coś zwykłego, istniejącego samo przez się, za taki sam przedmiot codziennego użytku jak kubek porannej kawy, parasol, bilet do metra, i być może dlatego czasem myliłam ją z prawdą. Świat próbuje wmawiać nam, że baśń zawsze zaczyna się tam, gdzie kończy się rzeczywistość, ale to tylko iluzja stworzona na potrzeby kolejnych chwil, które muszą przeminąć. Baśń i rzeczywistość nie są przeciwieństwem, sprzecznością, nie są też dopełnieniem ani tłem dla siebie nawzajem, w co niegdyś wierzyłam. Przenikają się, tak jak różne dziedziny sztuki według wyznawców romantycznej idei korespondencji sztuk. Sztuka życia i sztuka opowieści. Rzeczywistość i baśń.

Każdy przedmiot, budynek, wszystko to, czego dotykamy i na co patrzymy, musiało najpierw zostać wymyślone. Świat to ożywiona wyobraźnia, wymysł, któremu nadano kształt, ale codzienność przesłania nam wzrok, nie pozwalając tego zauważyć. Baśń rozmywa się w realiach życia, w zabieganiu, w czasie traconym na głupstwa, w błahych rozmowach i nic nieznaczących, powtarzanych do znudzenia czynnościach, dlatego wciąż nam umyka.

„Jesteśmy częścią baśni”. Powiedziałabym Ci to, gdybyś był wtedy w domu, a nie na Festiwalu Żywego Słowa w Berlinie. Być może wszystko potoczyłoby się wówczas inaczej, sprawy przybrałyby zupełnie inny obrót, ale po otwarciu drzwi odpowiedziała mi jedynie milcząca nieobecność. Chodząc po pokojach, oglądałam zgromadzone przez nas przedmioty i meble tak, jakby nie zostały przyniesione z miasta, kupione, przywiezione z dalekich podróży, lecz wyczarowane. Na biurku leżały porozrzucane zapiski, układając się w bliżej nieokreślony kształt, który mógł być przepowiednią czekającą na odczytanie. Notatki ze sklepu Abu Zajda, ze spotkania z bezdomnym, Jasminą, Abhają Patel nagle przestały wydawać mi się cudze, obce, zewnętrzne. Zobaczyłam w



nich pewne przebłyski prawdy, dotąd wplecione w życie innych ludzi, a teraz próbujące też przemknąć ukradkiem do mojego świata. Zyskałam niemal pewność, że znałeś historię Zaklinacza Słów. Dawno temu powinnam była z Tobą porozmawiać, opowiedzieć Ci, co znalazłam pewnego dnia w odległym kraju. Czy znałeś zakończenie tej opowieści? Czy do Ciebie należało jej ostatnie słowo? Poczułam się tak, jakbym czytała książkę, z której wyrwano kilka ostatnich, najważniejszych stron, a one przypuszczalnie leżały schowane w Twojej kieszeni. Teraz, gdy zaledwie kilka zdań dzieliło mnie od brakującego fragmentu, od ubytku w treści, wreszcie nadszedł czas, żeby wrócić na właściwe miejsce.

Następnego dnia wpadłeś w pośpiechu do domu, przejęty spotkaniem z francuskim reżyserem teatralnym Alainem Levittoux, który zaprosił nas do restauracji w Haringey, żeby omówić warunki współpracy nad pewnym paryskim spektaklem. Chciałam z Tobą porozmawiać, ale już dawno nauczyłam się, że wszystko musi mieć swoje miejsce i czas. Być może nie umiałam znaleźć odpowiednich słów, bojąc się zawartej w nich ostateczności, rozstrzygnięcia, na które nie byłam gotowa.

W tym zabieganiu, szukaniu czegoś w nierozpakowanej walizce, wciąż opatrzonej naklejkami linii lotniczych, w przekładaniu z miejsca na miejsce różnych przedmiotów Twój wzrok padł wreszcie na portret spoczywający na stercie notatek. To wtedy prawda wślizgnęła się pomiędzy nas, ale nic nie mogło się zdarzyć, dopóki była milczeniem. Nic, poza przypieczeniem tego, co nieuchronne.

Wyszliśmy z domu tak samo jak zwykle, niespiesznym krokiem zmierzając w stronę stacji metra. Powietrze było rześkie i przejrzyste, nad miastem gromadziły się zielonkawe chmury.

– Jakaś dziwna ta zieleń – powiedziałam. – Wygląda tak, jakby ktoś zepsuł rysunek, nie chcący wylewając na niego wodę do płukania pędzli.

– Niebo spleśniało – zażartowałeś, ciągnąc mnie za sobą, choć Twój głos przypominał pękające szkło. Wydawało mi się, że na głowy zaraz spadnie nam grad ostrych odłamków.

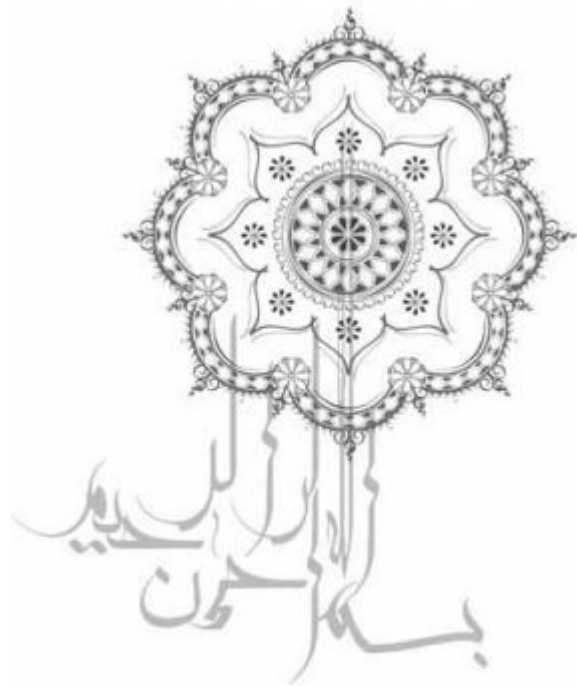
Na Oxford Circus mieliśmy się przesiąść, ale nie zdążyliśmy na pociąg. Czekając na następny, kupiliśmy dwie kawy w pobliskiej kawiarni i próbowaliśmy rozmawiać o zwykłych codziennych sprawach, bibliotece, festiwalu, minach przechodniów, dziecku, które zwymiotowało na chodnik. Przeleciał gołąb, zatrąbił klakson, zapiszczały hamulce autobusu, starsza kobieta wygrażała kierowcy, jakiś mężczyzna gonił kieszonkowca. Odwróciłam się i zaczęłam oglądać buty na wystawie. Wtedy słowa powiedziały się same. Potem wielokrotnie żałowałam, że nie utonęły w gwarze ulicy, nie przepadły wśród innych dźwięków, nie roztrzaskały się w drobny mak. Nikt jednak nie potrafi powstrzymać słów, które muszą zostać wypowiedziane.

– Chciałabym wiedzieć, kto wymyślił Szeherezadę.

Spojrzałam na nasze odbicia w sklepowej witrynie. Zielonkawe chmury zgęstniały w Twoich oczach, twarz nagle upodobniła się do starej kamienicy, z której odpadał tynk, a całość zaczęła obracać się w ruinę.

Na tamtym popołudniu, na słowach „Napisz o mnie”, wypowiedzianych w śmierzącym metalicznie wagonie pociągu, skończyła się moja pamięć. Być może zabrałeś ją ze sobą, tak jak brakujące strony opowieści.

## CZEŚĆ CZWARTA



W dniu, w którym zniknąłeś, coś stało się z pogodą. Rośliny w ogrodzie pokrywał szron, choć termometr za oknem wskazywał ponad trzydzieści stopni. Słońce świeciło niezmordowanie, odciskając swe piętno na jasnych ścianach kamienic. Wyrwana nagle ze snu, zdążyłam zobaczyć przez okno, że wsiadasz do taksówki, która miała zawieźć Cię na Dworzec Wiktorii, skąd odchodziły pociągi na lotnisko Gatwick. Odprowadziłam Cię wzrokiem, potem zesłam na dół i znalazłam kartkę przypiętą magnesem do drzwi lodówki, jeszcze jeden śmieszny liścik, jakie mieliśmy zwyczaj pisywać do siebie, gdy któreś z nas wychodziło wcześniej. „Czekam na końcu świata”.

Nie potrafię przypomnieć sobie, czym zajmowałam się przez kolejne godziny tamtego dnia. Gdybym wiedziała, że jest jakiś szczególny, niezwykły, inny niż wszystkie, pewnie próbowałabym dokładnie go zapamiętać. Może byłam w bibliotece, sklepie, pralni chemicznej – nie wiem. Gdzieś w mojej pamięci ostały się wyrywki, strzępki owego dnia, pojedyncze zdarzenia, które równie dobrze mogły być tylko wymysłami, iluzją podsunietą w zastępstwie faktów przez udręczoną wyobraźnię. Po południu chmury wyglądały jak uwiecznione na obrazie kończonym w pośpiechu przez zniecierpliwionego artystę, pomazane niedbale czerwoną i żółtą farbą, z przeświecającą gdzieś bielą płótna. Potem nabrały chłodnego, niebieskiego odcienia, kładąc się wszędzie błękitnawym blaskiem, płosząc inne kolory. Spadł śnieg, ale zamiast zastygać na dachach domów i samochodów, na ulicach, płotach, okiennych parapetach, rozpląwał się w powietrzu. Na dworze zaczęło się ściemniać, ptaki przesiadujące na gałęziach drzew poderwały się nagle do lotu, gubiąc pióra po drodze. Wkrótce nastąpiła dziwna, gęsta noc, pełna lęku i niepokoju, nad miastem zawisł ponury całun nieba.

W bezpiecznym zaciszu kuchni zgarnęłam ze stołu fotografie z festiwalu, których nie zdążyliśmy obejrzeć. Brudna łyżeczka po kawie wypadła ze środka gazety z metalicznym dźwiękiem, pewnie jak zwykle zaznaczyłeś nią niedokończony artykuł. W oddali rozległ się suchy, pojedynczy grzmot, przez niebo przetoczyła się błyskawica, przypominająca szpony drapieżnika. Lampa zgasła nagle, bez ostrzeżenia, nic nikomu nie mówiąc, jakby nie chciała współzawodniczyć

z błękitnym blaskiem piorunów. Żarówka syknęła złowieszczo, bursztynowy abażur sposepniał, upodabniając się do drzewa, z którego wichura nagle strąciła liście. Powietrze poczerniało, stając się duszne i cierpkie, mrok kładł się na skórze i ubraniu.

Niecodzienne zachowanie lampy zapowiadało coś nieuchronnego, nieodwracalnego, przepowiadało złą, ponurą przyszłość. Z każdego kąta strach wychodził, wypełzał, wytaczał się pod nogi. Tamtej nocy bałam się snów, które nie nadeszły, tylko bezszelestnie kłębiły się u wezglowia łóżka. Szumiały w głowie, kołysały myślami, bezwzględne, lepkie, złowrogie. Ich odłamki godziły w rozedrganą nerwowo rzeczywistość. Próbowалам łapać je i ucierać w palcach, aż w końcu udało mi się zasnąć. Koło godziny trzeciej odkryłam, że zatrzymały się wszystkie zegary. To właśnie ta dziwna cisza martwych zegarów wyrwała mnie ze snu, obwieszczając, że obudziłam się w nowym, zniekształconym świecie.

Nadeszły dni bez treści i dni bez koloru, zmięte, porwane na pół, jak źle zapisana kartka papieru. Dni, o których mogłam powiedzieć, że są, a jakby nie istniały, puste od wewnątrz, zastygłe w bolesnych, chorobowych skurczach, zdeformowane, kalekie, z płytkim snem i ciężkim oddechem. Wymykające się pamięci, lecz nie uchodzące w niepamięć. Dni za zamkniętymi drzwiami, ze zwiniełym pod głową swetrem, tym samym, który niedawno miałeś jeszcze na sobie. Dni wypełnione szukaniem ostatniego dotyku na książkach, notatkach, błękitnym talerzu w kuchni, uchwycie imbryka, na oparciu krzesła, na zmiętym prześcieradle, wypatrywaniem odcisku ust na fajansowym kubku. Upływający czas zamieniał przedmioty w relikwie, a gazety w mieście krzyczały nagłówkami, że znikł, przepadł bez wieści, zmarł nagłą, tajemniczą śmiercią, ale nikt nie wie, co stało się z ciałem.

Nie mogłeś umrzeć. Gdybyś umarł, musiałbyś stać się milczeniem, a tymczasem wciąż byłeś tym odwiecznym szeptem w mojej głowie. Gubiąc się w spekulacjach wścibskich dziennikarzy, poszukiwaczy sensacji, tej całej gromady powierników ludzkiej ciekawości, starałam się pamiętać, że wyobraźnia zawsze wypełnia pustą przestrzeń niekończącymi się domysłami. Co wobec tego myślałam? Czy w takich chwilach można w ogóle myśleć, czy tylko wsiąść w metro, autobus, w czarną taksówkę, żeby wyruszyć w miasto, które Cię pochłonęło? Zaczęłam wypatrywać Cię w twarzach sprzedawców, przypadkowych przechodniów i współpasażerów, szukać wśród ulic, zaciskających się wokół mnie jak pętla na szyi wisielca, w stertach śmieci nad Tamizą, w przeznaczonych do rozbiórki portowych magazynach. Wokół zdawała się panować dziwna zmowa milczenia.

Kobieta na kawiarnianym patio, podobna do Fridy Kahlo, raz za razem wrzucała rodzyнки w karminową otchłań ust i wyglądała na taką, która wie. „Czy widziała pani Gabriela?” – chciałam zapytać, ale mój wzrok natknął się tylko na puste krzesło, brudną filiżankę z kilkoma kroplami kawy na dnie i niedopałek papierosa zawinięty w torebkę po cukrze.

Przed pomalowaną sprayem brudną kamienicą na drewnianym krześle siedział staruszek z twarzą porysowaną przez czas i oczyma mętными jak zamarzające kałuże. Miał na sobie za krótkie spodnie i podciągnięte do połowy łydki skarpety w bordowe romby. Jego też zaczęłam. „Przechodził tędy mężczyzna? Średni wzrost, srebrne włosy, znamię na lewej brwi?” Dziadek podrapał się po głowie, poszukał czegoś w kieszeniach marynarki, w końcu wydobył z nich okrągłą metalową puszkę. „Nie wiem. Może tabaki?” – usłyszałam.

Tysiące ludzi, kobiet, mężczyzn, dzieci, z wypisaną na czołach ciężką, wymowną ciszą mijają mnie na niezliczonych londyńskich ulicach, na placach i w zaułkach. Zaczepiałam ich, zagadywałam, wciąż odnosząc wrażenie, że mnie nie rozumieją, że przemawiam w jakimś obcym języku, że słowa, które słyszą, mają inne znaczenie niż te, które wypowiadam. Nadzieja roztrzaskała się o nich jak okręt o skały wystające z morskiego dna. „Powiedźcie mi coś, do cholery!” – krzyczałam bezgłośnie, przestając wierzyć, że istnieje odpowiedź.

Niektórzy uśmiechali się głupawym, pustym uśmiechem, nasączonym złudną szczerością, uśmiechem zaczynającym się w oczach, a przecież mówi się, że co z oczu, to z serca. To nieprawda. Zrozumiałam, że z oczu nie można wyczytać prawie niczego, można podjąć tylko nieśmiałą próbę czytania, która zawsze będzie zaledwie interpretacją. Ludzkie wnętrza pozostaną niedoczytane.

Na początku, zaglądając do parków, do opuszczonych, wymarłych budynków, do oświetlonych neonami kin, teatrów i nocnych klubów, do publicznych toalet, do bram pilnie strzeżonych ka-

mienic z apartamentami dla gwiazd show-businessu, nie zauważyłam, że razem z Tobą znikły wszystkie kolory. Miasto, dotąd nasycone niezliczoną ilością barw jak indonezyjski batik, teraz przypominało wypłowiałą, spraną tkaninę. Szare firanki w oknach zasłaniały widok na szare autobusy, szare parasole chroniły przed szarym deszczem swoich właścicieli. Na szarym przystanku młody chłopak pogryzał tabliczkę szarej czekolady. „Ależ ma pani śliczną szarą sukienkę!” – zawołała za mną staruszka w szarym płaszczu na stacji metra Marylebone, a przecież sukienka była w kolorze indygo. Szarzało moje odbicie w sklepowych wystawach, kawa kupiona na wynos w teksturowym kubku, dłonie, chowane przed zimnem do kieszeni płaszcza, koty buszujące po śmietnikach przed restauracjami. Szary sufit w El Khimie przypominał rozpięte szeroko szare płótno, lampy rozrzuciły wokół poszarzały blask, nawet mu‘allim Mustafa wydawał się naznaczony szarością.

Zapytałam, czy wie coś o Twoim zniknięciu. Popatrzył na mnie oczyma, w których zapadła noc, odgarnął włosy z czoła, trzepnął muchę gazetą.

– Musisz przestać szukać, jeżeli chcesz znaleźć – powiedział w końcu.

– Co w takim razie mam robić? – zapytałam.

– Poczekaj. Czas sam da ci odpowiedź.

Czas niestety milczał, tak samo jak wszyscy. Milczały chodniki, mosty, uliczne latarnie, niebo też zasnęło się ciężkimi chmurami milczenia. Z coraz większą nieufnością przyglądałam się przechodniom, jakbym podejrzewała, że któryś z nich schował Cię do torebki, reklamówki, do skórzanej teczki, zamknął w walizce na kółkach albo w trzymanej pod pachą aktówce. Nikt nie potrafił zdradzić mi prawdy o Tobie, a przecież ta prawda musiała gdzieś się kryć. Liczyłam, że znajdę ją przyklejoną pod ławką w jednym z parków, odkryję w popękanych ścianach, wypatrzę w niedomkniętych oknach, wygrzebię w koszu na śmieci, ale się pomyliłam.

Nie znał jej nawet policjant, który pewnego dnia zapukał do drzwi. Nazywał się Salman i pochodził z Kaszmiru, błysnął odznaką, wymienił obco brzmiące nazwisko.

– Ja w sprawie tego zniknięcia – powiedział ze służbową pewnością siebie i rozciągnął usta w gwiazdorskim uśmiechu, budząc moją nieufność, bo w świecie bez Ciebie nie było miejsca na uśmiech.

Pozwoliłam mu wejść do środka, poprosiłam, by usiadł przy stole, gdzie wciąż leżała Twoja zakładka do książki i zegarek na rękę, który niespodziewanie przestał działać. No właśnie. Dlaczego nie wzięłeś ze sobą zegarka? Czyżby tam, dokąd odszedłeś, nie istniał czas? Mężczyzna wybrał krzesło, na którym zawsze siadałeś, zajął miejsce i czekał. W jego oczach dostrzegłam tę samą obcość, co w oczach innych ludzi, tę samą niewiedzę, zmieszaną z ciekawością.

– Ile dni temu zaginął? – zapytał, kładąc na kolanach kwestionariusz danych osobowych.

Nie mogłam sobie przypomnieć. Dwa? Trzy? Może tydzień? Co miałam odpowiedzieć, jeśli czas na moich oczach rozpadał się na kawałki, pękał, kruszył się i stawał nieskończonością?

– Nie wiem, nie pamiętam – wykrztusiłam.

Policjant spojrzął z ukosa, uśmiech mu nieco przygasł, poprosił o Twoje zdjęcie.

– Nie mam zdjęć – powiedziałam.

– Żadnych? – zdziwił się.

– Żadnych – potwierdziłam. – Gabriel nie lubił się fotografować.

– No tak. To dlatego nic nie znalazłem w gazetach – stwierdził tonem odkrywcy. Przez kilka minut bazgrolił coś na formularzu i rozglądał się po pokoju, potem wziął do ręki zegarek i zaczął się nim bawić. – To jego? – zapytał.

Nie podobało mi się, że mówił o Tobie bezosobowo, jakbyś był jednym z wielu zaginionych, kolejnym numerem sprawy w policyjnej statystyce.

– Tak – odpowiedziałam. Myślałam wtedy o tym, że właśnie niszczył Twój dotyk i pozbawiał mnie tych nielicznych śladów po Tobie, które jeszcze zostały w naszym domu.

– Ładny – rzucił przymilnie.

Nie odzywałam się. Nagle zaczęło mi się wydawać, że ta rozmowa jest częścią historii, którą opowiadasz.

– Proszę opisać jego wygląd – zwrócił się do mnie mężczyzna, a po chwili dodał: – Potrzebny będzie portret pamięciowy.

Poczułam się zmęczona. Przypomniałam sobie Twoją twarz w świetle lampy, włosy, na które padał jej złocisty blask, wiecznie błyszczące oczy przybierające barwę szarości, błękitu i brązu. Znamię, które zawsze miałam ochotę pocałować, mapę zmarszczek na czole, po której zdarzało mi się wodzić palcami, pięknie rzeźbione usta, delikatny zarost kłujący policzki. Czy tą pamięcią mogłam się z nim podzielić? A może powinnam zacząć od głosu, tej najważniejszej, nieodłącznej części Twojego wyglądu? Czy policyjny rysownik potrafiłby go naszkicować?

Opisałam Cię tak, jak opisuje się pogodę za oknem: średni wzrost, srebrne włosy, lekko kręcone, jeśli chciało Ci się układać je rano przed lustrem, niewielkie znamię tam, gdzie lewa brew schodzi ku dołowi, brak innych znaków szczególnych.

– To wszystko? – zapytał policjant.

Przytaknęłam, ale mógł nie widzieć ruchu mojej głowy, wciąż zajęty wypełnianiem formularza. Po chwili przestał notować, chrząknął, odłożył na bok długopis. Wtedy zobaczyłam, że spod czarnej policyjnej czapki wymykały mu się bokami strużki potu. Mężczyzna uniósł ją nieznacznie i przetarł skronie pogniecioną chusteczką higieniczną. Gdy skończył, popatrzył na mnie wymownie i trochę się zawstydził. W końcu, chcąc przerwać kłopotliwe milczenie, odezwał się mniej oficjalnym tonem:

– W ciągu ostatnich dni rozmawiałem już z jego współpracownikami z radia i teatru, odwiedziłem właścicieli knajp, w których występował, przepytalem okolicznych kupców i sklepikarzy, zaszedłem do sąsiadów. Nikt nie potrafił mi go opisać, wymienił choćby jednej charakterystycznej cechy jego wyglądu, a przecież od miesiący, może nawet lat, spotykał się z tymi ludźmi. Miałem wrażenie – tu głos uwiązł mi w gardle, szukał słowa niemieszczącego się w instrukcjach dla policjantów – że nagle wymknął się wszystkim z pamięci. Jest pani prawdopodobnie jedyną osobą, która zapamiętała jego twarz. Nic z tego nie rozumiem.

– Co panu powiedzieli?

– Powtarzali to samo, jakby się zmówili.

– Czyli co?

– Nagle zorientowali się, że słuchali tylko jego głosu i nikt nie zwracał uwagi na wygląd. Każdy czuł się otumaniony tym głosem, zniewolony nim, a jednocześnie wolny. Ktoś powiedział, że wierzył w ten głos, tak jak się wierzy w Boga, dla którego nie istnieją rzeczy niemożliwe. Co miałem robić, spisywałem to wszystko.

– Nie uwierzył im pan?

– A czy w coś takiego można w ogóle wierzyć? – Policjant znów sięgnął po chusteczkę. – Przecież te zeznania nie brzmią wiarygodnie.

Zamilkł, czekając, aż się z nim zgodzę, a nie doczekawszy się potwierdzenia, zapytał ugodowo:

– Co takiego było w tym głosie, że wszyscy tak o nim mówią?

Zastanawiałam się, co odpowiedzieć. Czy obcemu człowiekowi można wyjaśnić czyjś głos, przełożyć dźwięki na słowa?

– Musiałby pan usłyszeć, żeby zrozumieć – odparłam. – Nie umiem tego opisać.

– Proszę przynajmniej spróbować.

– Czy to ma związek ze sprawą? Umieści to pan w portrecie pamięciowym? – zapytałam trochę sarkastycznie.

– Nie – mężczyzna popatrzył mi prosto w oczy, z zainteresowaniem, które wydawało się szczere – nie potrzebuję tego do akt, ale im więcej się dowiem, tym lepiej poznam zaginionego, a na tym nam przecież zależy. Niech pani powie, czym jego głos różnił się od głosów innych ludzi?

– Tym, że było w nim wszystko – powiedziałam, choć słowa znów mnie zawiodły. –

Człowiek słyszał w nim wszechświat.

Wbrew temu, czego się spodziewałam, policjant nie roześmiał się. Zauważyłam, że zapisał ostatnie zdanie i podkreślił je kilkoma krzywymi liniami, potem przeniósł wzrok w dół formularza.

– Gdzie ostatni raz widziała pani zaginionego?

– Pod domem. Wsiadał do taksówki.

– W co był ubrany?

- W czarne spodnie i czarny płaszcz ze złotym ornamentem.
- Z kapturem czy bez? – dopytywał.
- Z kapturem.
- Może pani powiedzieć coś więcej o tym ornamencie?
- Mogę go narysować – zaproponowałam.

Mężczyzna podsunął mi czystą kartkę papieru i dał swój długopis. Kiedy skończyłam, dokładnie obejrzał wzór i bez komentarza przypiął rysunek spinaczem do reszty dokumentów.

- Czy coś szczególnego wydarzyło się tamtego dnia?

Tak. Nad miastem zawisło przekleństwo, na niebie wybuchł pożar, zatrzymały się wszystkie zegary.

- Nie.
- Dokąd miał jechać taksówką?
- Na Dworzec Wiktorii, a stamtąd pociągiem na lotnisko Gatwick.
- Gdzie zamierzał lecieć?
- Do Bagdadu.

Policjant sięgnął do kieszeni, tym razem po telefon komórkowy, wystukał numer i czekał na połączenie. Niewyraźnie usłyszałam wysoki kobiecy głos. Mężczyzna spytał o loty do Iraku, podał Twoje nazwisko, wymienił nazwy kilku linii lotniczych, niektóre dwukrotnie. Kobieta powoli sprawdzała żądane informacje, więc policjant zaczął się niecierpliwić. Po chwili na jego twarzy pojawiło się zdumienie i niedowierzanie. Skończył rozmawiać, po czym zwrócił się do mnie z nienaturalnie poszarzałą twarzą:

- Kogoś takiego nie było nigdy w żadnym samolocie.

Wyraziłam przypuszczenie, że może nie zdążyłeś dojechać na lotnisko, dziwiąc się, że policjant nie wziął tego pod uwagę, ale on zaprzeczył stanowczym ruchem głowy, zanim skończyłam zdanie.

– Pani nie zrozumiała – powiedział powoli. – Nikt taki nie figuruje w rejestrach pasażerów, ani w obecnych, ani w archiwalnych. Nie wylatywał z Londynu do Bagdadu, nie wylatywał do jakiegokolwiek innego miasta czy kraju. Nigdy. I nigdy nie lądował na żadnym z tutejszych lotnisk. Sprawdziłem wszystkie. Nie ma po nim śladu.

– Przecież to niemożliwe. – Popatrzyłam na policjanta jak na kogoś, kto całkiem oszalał, ale mój wzrok mówił co innego, niż chciała intuicja.

– Dziwne, prawda? – Mężczyzna jeszcze raz rzucił niepewne spojrzenie w stronę Twojego zegarka, sprawdzając, czy na pewno leży wciąż w tym samym miejscu, i dodał zmienionym głosem: – Gdyby tyle osób tego nie potwierdziło, pomyślałbym, że on nigdy nie istniał.

Czy po wielu zdarzeniach, których byłam świadkiem na przestrzeni ostatnich miesięcy, cokolwiek mogło mnie jeszcze zaskoczyć? A może to, o czym mówił policjant, było tylko kolejnym, brakującym fragmentem opowieści? Nie chciałam dzielić się z funkcjonariuszem swoimi przemyśleniami, wolałam zmienić temat, niż wyjaśniać coś, co przypuszczalnie uznalby za dalsze wymysły.

– Gdzie go szukaliście? – zapytałam z nadzieją, że wśród tylu niejasnych informacji uda mi się wreszcie usłyszeć jakieś konkrety.

– Wszędzie, proszę mi wierzyć. W szpitalach, schroniskach dla bezdomnych, w kostnicach – uśmiechnął się smutno i zaczął zbierać swoje rzeczy ze stołu. – Odezwę się, jeśli tylko coś ustalimy. Proszę dać mi znać, gdyby zamierzała pani wyjechać z miasta.

Na parapet wskoczył rudy kot sąsiadów i przyglądał się nam przez brudną od deszczu szybę. Policjant stał, gotów do wyjścia. Odprowadziłam go do drzwi. Pożegnał się ze mną w progu, ale na moment przystanął jeszcze na schodach i próbował mnie pocieszyć.

– Wie pani – mówił – kiedy byłem małym chłopcem, co roku spędzałem wakacje w Kaszmirze. Lubiłem tam jeździć, miło wspominałam ganiecie po dworze z czołem wysmarowanym sadzą, chroniącą od złego oka, smak zielonej herbaty albo tłustego jogurtu z listkami świeżej mięty. Pamiętam, jak babcia opowiadała mi o tych, którzy znikali w górach, wychodzili z domów i ślad po nich ginął. Rodziny zdążyły już ich oplakać, a tu nagle po wielu miesiącach okazywało się, że wra-

cali, że po prostu zblądzili, zachorowali w czasie podróży albo pogoda gwałtownie się pogorszyła i musieli przeczekać w jakiejś górskiej wiosce. Proszę się nie martwić, on też wróci.

Chciałam wierzyć, że mężczyzna mówi prawdę, lecz wyraz jego oczu zdawał się przeczyć słowom.

Po okolicy szybko rozniosła się wiadomość o Twoim zaginięciu, stając się legendą, podawaną z ust do ust opowieścią, krążącą wśród tłumu historią. Zaczepiali mnie sąsiedzi, uliczni handlarze, domokrażcy, listonosz, paru miejscowych pijaków. Rozmawiając z nimi, czułam się jak książka, w której każdy czytał to, co chciał, nie starając się zrozumieć treści ani nie szukając znaczeń zawartych w niej przez autora. Jedni odkrywali na jej kartach tragizm, niezasłużone cierpienie, drudzy sarkazm i obojętność, przekonani, że powinnam obnosić się z rozpaczą, jak obwieszeni towarami sprzedawcy pamiątek z arabskich targowisk. Wkrótce odkryłam, że wszyscy ci ludzie zaczęli mówić o Tobie w czasie przeszłym, jakbyś już na zawsze stał się częścią czegoś, co przeżyło, ale ja nie potrafiłam tak po prostu, zwyczajnie zamknąć Cię w przeszłości. Zaczęłam wyobrażać sobie, że jesteś gdzieś, w dalekiej przestrzeni miasta, a nawet jeśli nie tutaj, istnieją przecież tysiące innych miast, że nad Twoją głową rozciąga się to samo niebo, ten sam wiatr dogania Cię, gdy chodzisz ulicami, a w oknach o zmierzchu rozbłyskują światła podobne do tych, których kolory tak często przyciągały nasz wzrok. Dopóki w to wierzyłam, świat nie mógł opustoszeć, ale godziny z wolna przeobrażały się w dni, potem w tygodnie i zaczynałam rozumieć, że bursztynowa lampa, którą co wieczór stawiałam na parapecie, jest pustym gestem, nieudolną próbą wskrzeszenia zmarłej nadziei. Wtedy ze złością wkładałam kurtkę, brałam do rąk klucze i wychodziłam w ciemność.

Zazwyczaj wsiadałam w przypadkowy autobus, być może licząc na to, że Londyn, jak dawniej, da mi jakiś znak, że podążę za nim tak samo jak kiedyś i znajdę Cię tam, dokąd nikt i nic nie chciało mnie zaprowadzić. Noce rozkrzyczane głosami tych, którzy gromadzili się w pobliżu pubów, grali na automatach do gry albo dzwonili z ulicznych budek na drugi koniec świata, wydawały się tak samo jak ja zdziwione Twoją nieobecnością. Czasem w którymś mieszkaniu mignął mi włączony telewizor z nadawaną właśnie informacją o Twoim zaginięciu, ktoś wypowiedział w radiu Twoje imię, ale tłum zdawał się z wolna o Tobie zapominać i wracać do swoich zwykłych, codziennych zajęć.

Siedząc na drugim piętrze autobusu, zaplątana w noc, odkryłam, że istnieją dwa rodzaje samotności. Jedna jest wyborem, potrzebą przebywania sam na sam ze sobą, druga – brakiem, okrutnym, nękającym, bezwzględny. Patrzyłam na czarne ulice, bezpańskie psy, na okna, w których ludzkie sylwetki pojawiały się niczym figury w teatrze cieni, i coraz bardziej pragnęłam wydrzeć miastu prawdę o Tobie. Miałam je za złodzieja, wyrafinowanego przestępcę w białych rękawiczkach, kogoś, kto sprytnie wykorzystał chwilę nieuwagi, podstępem kradnąc mi spokojną, bezpieczną codzienność, leniwe wieczory wypełnione czytaniem, śmiechem i rozmowami, będące teraz udziałem tysięcy mieszkańców Londynu, nieświadomych, jak wiele posiadają.

Pewnej nocy czyjś szyderczy szept zatrzymał mnie w nieoświetlonej, śmierdzącej moczem bramie.

– Wiem, gdzie on jest.

– Gdzie?

– A kopsniesz szluga, paniusiu?

Z mroku wynurzyła się postać bezdomnego w obszarpanym płaszczu i zabłoconych butach.

– Nie palę.

– To daj chociaż buziaka – zaśmiał się.

– Nie ma mowy.

– Żartowałem.

– Wsadź pan sobie w tyłek te swoje żarty – odburknęłam. – Mówisz czy nie?

– A pewnie, że powiem. Rozpłynął się we mgłę.

Mężczyzna zachichotał, zasłaniając dłonią spierzchnięte, fioletowe usta. Nie wiedział, że niechcący przypomniał mi o czymś, co zostało dawno temu zapisane na kartce papieru, choć tu, w Londynie, zamiast Sekwany płynęła brudna, poźółkła Tamiza.

Wreszcie dotarło do mnie, że nie uda mi się zdemaskować tego cholernego, milczącego miasta. Zawiodłam się na nim, nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nie chciało dać mi żadnej wskazówki ani podpowiedzi. Moje myśli z wolna zaczynał przenikać żal, że pozwoliłam Ci wyciągnąć się z tłumu i porwać za sobą tamtego wieczoru, gdy na Tottenham Court Road nagle zabrakło prądu. Ogarniała mnie wówczas tęsknota za bezpowrotnie utraconą obcością, za czytaniem książek bez skojarzeń i słuchaniem muzyki bez nadinterpretacji słów, za czasami, w których Twoje spojrzenie nie zdążyło jeszcze zapisać się w moich oczach i nie dawało o sobie znać w bezsenne noce, dni powszednie, dni świąteczne, dni pełne autobusów, przechodniów, wystawowych okien i warzywnych straganów z ulicy Portobello.

Doszło wreszcie do tego, że całą sobą zapragnęłam znaleźć się w miejscu, gdzie nie musiałabym znosić ścian domu nieustannie wykrzykujących Twoje imię, zapachów, smaków, dźwięków i znajomych twarzy, które wciąż dręczyły mnie wspomnieniami. Miałam dość tego, że powracałeś pod postacią obrazów natrętnie wkradających mi się pod powieki i przypadkowych rozmów dopadających mnie zniemacka w ciemnych zaułkach. Zrozumiałam wtedy, że istnieją miasta, które bolą i gryzą, wydrapują oczy widokiem dobrze znanych miejsc, miasta upiory, niedomagające się krwi, ale ludzkiej duszy.

Nazajutrz po spotkaniu z bezdomnym wśród tysiąca stu wizytówek zgromadzonych w puszcze po herbatnikach odnalazłam numer telefonu Twojego pełnomocnika i umówiłam się z nim na następny dzień. Potem, nie zwracając uwagi na deszcz, udałam się do biura Brytyjskich Linii Lotniczych, żeby zarezerwować bilet na najbliższy lot do Warszawy. Błękitne niebo odbijało się w kałużach, stwarzając złudzenie, że zamiast wody to ono płynie ulicami. Jego odłamki zdawały się spadać na głowę, imitując krople zwieszające się z krawędzi dachów. Jedyne, czego wtedy chciałam, to zapomnieć Ciebie i zapomnieć miasto. Naiwnie wierzyłam, że wystarczy odebrać oczom londyńskie widoki, by osiągnąć cel. Powoli zaczynałam żegnać się z domem. Nie wiedziałam, czy ktoś w nim teraz zamieszka, czy w deszczowe noce wsłucha się w nasz śmiech, który wciąż chował się po kątach, czy znajdzie nas w ścianach, w suficie, w obłuzowanych deskach podłogowych, zobaczy, jak wylegujemy się na parapetach i na trawniku w ogrodzie. Czy ten, kto zaśnie w naszym łóżku, przejmie też nasze sny? Pamięć o minionym życiu zastygła w przedmiotach, w ręcznie malowanych ceramicznych talerzach, glinianych donicach, w perskich dywanach, ściennych kilimach, rzeźbach z drzewa sandałowego, została zapisana w Twoim kalendarzu, który wciąż leżał na stole w gabinecie. Wspomnienia o Tobie odbijały się w lustrach porozwieszanych w różnych częściach domu, w tureckich szklankach, w lampach z żeliwa i szkła. Żadnej z tych rzeczy nie mogłam zabrać ze sobą. Były przeszkodą na drodze do niepamięci, przyczyną, dla której człowiek wciąż potyka się o przeszłość, o niespełnione marzenia, niedokończoną baśń, przerwana w najciekawszym momencie. Wydawało mi się, że jeśli się ich wyrzeknę, wówczas wspomnienia znikną, rozplyną się w mojej pamięci. Między pakowaniem książek do kartonowych pudeł, zawijaniem obrazów w szary, śliski papier, przykrywaniem mebli białymi pokrowcami, żeby nie zjadł ich kurz i chciwy wzrok podglądaczy, którym czasem zdarzało się zakradać do ogrodów przy Portobello Road i podpatrywać przez okna wnętrza pustych domów, znajdowałam różne zapomniane przedmioty. Pod kanapę poturlało się kilka turkusowych koralików z pękniętej bransoletki, za komodą ukryła się butelka po portugalskim winie, do dziury przy kaloryferze w kuchni wpadło kilka odłamków błękitnego szkła po oku proroka, które pewnego dnia podmuch wiatru strącił ze ściany. Z najdziwniejszych miejsc wymiatałam wyblakłe sklepowe paragony, zaśniedziałe monety, pognieciony banknot dwudziestofuntowy. Przez głowę przemykała mi wówczas myśl, że wszystkie domy prowadzą podwójne życie: to wśród zwykłych, dobrze znanych sprzętów i to drugie, schowane w kątach i zakamarkach. Zastanawiałam się nad tym, gdy szczotka uderzyła w posępną, nadaśnaną szafę, tę samą, która zawsze budziła mój strach. Zamek wydał suchy trzask, drzwi otworzyły się z hukiem, jakby z całej siły kopnęła je jakaś nieprzyjazna, kryjąca się za nimi istota. Pomyślałam, że to ona specjalnie wykradła klucz, by bronić dostępu intruzom, lecz zaraz okazało się, że wewnątrz nie było niczego poza brudną, lepką od kurzu ciemnością i kilkoma smętnie zwisającymi pajęczynami. Dopiero potem dostrzegłam za ich cienką, porwaną zasłoną niewyraźnie zarysowany prostokątny przedmiot, który nie pozwalał wyciągnąć się na zewnątrz. Miałam wrażenie, że gdy tylko



staram się go pochwycić, oddała się, cofa pod ścianę jak prychający kot. Gdy zapaliłam światło, szafa zmrużyła oczy ze złością i próbowała zamknąć mi drzwi przed nosem, żeby udaremnić wszystkie moje wysiłki. W ostatniej chwili pochwyciłam odrapaną szkatułkę z ciężkiego metalu i ostrożnie przeniosłam ją na stół.

Przez kilka minut męczyłam się, chcąc unieść wieko, lecz ono nawet nie drgnęło. „I co teraz?” – zapytałam szeptem, zapominając, że obok nie ma nikogo, kto mógłby mi odpowiedzieć.

Zapaliłam wciąż jeszcze niespakowaną lampę z bursztynowym abażurem i zaczęłam w jej świetle przyglądać się szkatułce. Wśród otarć i zadrapań nie zauważyłam niczego niezwykłego. Gdy potrząsnęłam skrzynką, w środku coś zagrzechotało z cicha, wydając miękki dźwięk, przypominający przesypywanie z miejsca na miejsce starych widokówek. Pod spodem szkatułki dostrzegłam rdzawe plamy, podobne do kleksów pozostawianych niegdyś w szkolnych zeszytach. Pod nimi ukrywał się napis, koślawo wryty na kawałku blachy, którą próbowano załatać dziurawe dno. Przesunęłam po nim palcem, rozpoznając pełen błędów i niedociągnięć tekst basmali, co pozwalało przypuszczać, że wykonał go ktoś, kto nie posługiwał się językiem arabskim. Przyniosłam z gabinetu kawałek kalki, przykryłam nim niewyraźne litery i przesuwając ołówkiem po wyżłobieniach w metalu, próbowałam zrekonstruować napis. Gdy dotarłam do końca ostatniego wyrazu, coś zaczęło się dziać. Odwróciłam szybko skrzynkę, a wtedy, w pół ruchu, otwarła się z hałasem, uwalniając dokumenty, które natychmiast wypląły na stół. Część z nich niemal rozpadała się ze starości, przetarty na zgięciach papier łamał się i kruszył. Zaczęłam przeglądać je w pośpiechu, przekonana, że kryją w sobie jakąś tajemnicę – i to właśnie pragnienie odkrycia owej tajemnicy gnało mnie do przodu, pozwalając, by umykały mi te pozornie nic nieznaczące szczegóły, które tak często stanowią klucz do rozwiązania zagadki. Moim oczom ukazywały się spisane po francusku akty własności, opatrzone okrągłymi pieczęciami, nieaktualne mapy i plany Paryża, karnety do teatru, nieczytelne listy, na których atrament zdążył dawno wyblaknąć, zamieniając słowa w niezrozumiałe ciągi znaków. Spomiędzy luźnych kartek wypadały staromodne bilety wizytowe, pocztówki przedstawiające bulwary nad Sekwaną, puste koperty, papierki po cukierkach czekoladowych wyprodukowanych przez znaną manufakturę, zaproszenia wystawione na Twoje nazwisko, wygniecione serwetki pokryte niedbałymi rysunkami, a także plik powycinanych z gazet informacji o odratowanych cudem samobójcach i kryminalistach, którzy przeszli gwałtowną przemianę. W ręce wpadł mi również pierwszy plan paryskiego metra, z 1900 roku, a zaraz potem późniejszy, powojenny, z zaznaczonymi na czerwono stacjami Arsenal, St-Martin, Haxo, Champ de Mars i Porte Molitor. Wydawało mi się, że z tej zbieraniny dziwnych niepotrzebnych rzeczy, pamiątek i zwykłych śmieci, odczytam prawdę o Twoim zaginięciu, którą bezskutecznie próbowałam odnaleźć. Nawet gdyby miała okazać się gorzka do przełknięcia i trudna do zrozumienia, w tamtej chwili wolałam ją od niepewności, jaką nazaczył mnie już jej brak. Postanowiłam wydobyć ją z metalowej szkatułki, ułożyć jak puzzle ze starych papierów, ale nie zdecydowała mi się objawić.

Prawdopodobnie włożyłabym dokumenty z powrotem do skrzynki i wyjechała z Londynu, skazując je na długie lata zapomnienia albo na podzielenie losu tysięcy innych relikwów przeszłości, sprzedanych, wyrzuconych do śmieci, wyniesionych na strych, pozamykanych w graciarniach, żeby potem i tak się ich pozbyć, lecz jeden z nich nieopatrznie wymknął się ze sterty i spadł mi na kolana. Był to sporych rozmiarów elegancki kartonik w kolorze écru, na którym pochyłymi literami wydrukowano nazwisko i adres francuskiego malarza Léona-François Comerre'a. Przeczytałam je raz, drugi, potem trzeci, powtarzałam na głos, jak dziecko uczące się mówić, a potem znów sięgnęłam do szkatułki, żeby jeszcze raz obejrzeć każdą kartkę z osobna. Patrzyłam na stemple pocztowe z początku dwudziestego wieku, na Twoje nazwisko widniejące na pożółkłych kopertach obok adresu przy Rue Saint André des Arts, na zaproszenie z 1900 roku na paryską Wystawę Światową – połączoną z otwarciem pierwszej linii metra – przysłane pod ten sam adres. Wszystkie dokumenty pochodziły z przełomu XIX i XX wieku i zostały sporządzone w języku francuskim.

Skojarzenia pozwoliły mi cofnąć się do pamiętnej kolacji w Seven Sisters z Alainem Levittoux, który wręczył nam album o zabytkach Paryża. Przypomniałam sobie, że już wtedy zwróciłam Ci uwagę, że na końcu znajduje się plan ułatwiający dotarcie do najbardziej znanych miejsc, a na nim przydatne numery autobusów i szczegółowy opis paryskiej kolei miejskiej. Wydobyłam

książkę spakowaną już do tekturowego pudła i porównywałam poszczególne stacje, ze zdziwieniem odnotowując fakt, że brakuje w niej przystanków zaznaczonych w powojennych planach na kolor czerwony, jakby je zapomniano, pominięto albo odebrano im prawo istnienia. Tknięta kolejnym przecuciem, w encyklopedii znalazłam informację, że Léon-François Comerre zmarł w 1916 roku, że mieszkał nie tylko w Paryżu, ale i w Londynie. Co łączyło malarza, mój portret i metro? Dlaczego dawno temu ktoś adresował koperty na Twoje nazwisko, jeśli nie było Cię wtedy na świecie? Czy miałeś w Paryżu swego imiennika, tajemniczego przodka, kogoś, kto zostawił Ci w spadku skrzynkę pełną okruchów swojego życiorysu? Czułam, że wszystkie te rzeczy zostały naznaczone Twoim dotykiem i Twoim wspomnieniem, że nieuchronnie prowadziły do Ciebie, jednakże wciąż nie potrafiłam zrozumieć związków między nimi. Sięgnęłam po pustą, choć nadal ciężką szkatułkę, jakbym miała zamiar poprosić ją o radę, ale niechcący wypadła mi z rąk, zostawiając wgniecenie w podłogowej desce. Podnosząc skrzynkę, dostrzegłam, że pod wpływem uderzenia od dna oderwała się podłużna blaszka, ta sama, na której umieszczono basmalę. Odkryłam wówczas jeszcze jeden sekret: ledwie widoczny schowek.

W zagłębieniu spoczywał klucz z mojego paryskiego snu, wciśnięty w środek tak mocno, by nie przesunął się i nie zdradzał swej obecności niespodziewanym dźwiękiem. Nie wierzyłam, że jest prawdziwy. Wydawało mi się, że to utkany z wyobraźni wytwór zmęczonego umysłu, a jednak nie był złudzeniem. Pamiętałam, że we śnie otwierałam tym kluczem drzwi naszego domu. Poszłam sprawdzić, czy to samo stanie się na jawie, ale okazało się, że nie pasuje do zamka. Może czekał na inne drzwi, inne domy, inne zamki, do których nie miałam dostępu? A może został znaleziony wtedy tylko po to, żebym – odkładając go później na miejsce – niby przypadkiem natrafiła palcami na ukrytą w głębi schowka kartkę papieru, ten okruch prawdy, którego tak rozpaczliwie domagał się mój umysł?

*Wspomnienie o nim na dobre zawisło nad miastem. Jego głos nadal unosił się nad dachami, krążył po ulicach i wciąż rozbrzmiewał w uszach mieszkańców Paryża. Zaklinacz Słów niespodziewanie wkradł się w rozmowy i szepty, powoli zamieniając się w miejską legendę. W gronie artystów, licznie okupujących paryskie kawiarnie w okolicach bulwaru Saint Germain, krążyła opowieść, że przybył do Paryża w poszukiwaniu tajemniczej kobiety, której ślad wciąż się urywał. Wiść niesie, że pytał o nią w domach publicznych, rewiach i kabaretach, że szukał jej w katakumbach, nieczynnych tunelach metra, na stacjach widmach zamieszkiwanych przez rzesze bezdomnych. Widywano go w pobliżu Arsenal i Porte Molitor, a także w rejonie Haxo oraz Champ-de-Mars. W niektórych wersjach opowieści ta, której poszukiwał, posługiwała się przydomkiem słynnej arabskiej bajarki Szeherezady, a za każdym razem, kiedy Zaklinacz Słów o niej wspominał, robił to takim głosem, że gwiazdy zdawały się spadać z nieba ze smutku.*

Nie pamiętam, co czułam po przeczytaniu kolejnego fragmentu opowieści. Radość, że udało mi się poznać dalszy ciąg baśni, która mimo upływu lat wciąż próbowała wtargnąć do mojego świata? W owym czasie potrafiłam myśleć tylko o Twoim zaginięciu, a tamta opowieść kazała mi dzielić inną tęsknotę. Chciałam jak najszybciej uwolnić się od miasta prześladowającego mnie wspomnieniami, a jednak już wtedy musiałam mieć przecucie, że z jakiegoś powodu stałam się częścią tej dziwnej historii. Czy zostałam w nią zaplątana dlatego, że i Ty wydawałeś się w nią uwikłany?

Z urwanych zdań, z dat umieszczonych na nagłówkach gazet, zaproszeniach i stemplach pocztowych, z twarzy kobiety namalowanej przez Léona-François Comerre'a, stworzyłam własną wersję tej opowieści, taką, której najmniej sprzeciwiał się rozsądek. Pomyślałam, że zanim mnie poznałeś, musiałeś szukać w Paryżu śladów tajemniczego przodka, kogoś, po kim odziedziczyłeś nie tylko imię, lecz także swój niezwykły głos, i kto lata temu zjawił się tam, by znaleźć kobietę z portretu. Czy dlatego, że łączyło nas uderzające podobieństwo, wyciągnąłeś mnie z tłumy na Tottenham Court Road? Dlaczego nieznajoma posługiwała się pseudonimem pochodzącym od imienia arabskiej bajarki? Pewnie próbowałabym za wszelką cenę zgłębić tę tajemnicę, gdybym wierzyła, że po Twoim zniknięciu to wszystko miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

Tamtego ostatniego wieczoru szafirowy zmierzch pachniał wilgocią i spalinami. Walizki stały w przedpokoju i razem ze mną czekały na taksówkę, podobnie jak lampa ukryta w tekturowym pudle, tym samym, w którym niemal rok temu przywiozłam ją do Londynu. Resztę rzeczy,

popakowanych w kartony, zamknęłam na klucz w pokoju na górze. Nie zabierałam z domu niczego, co nie należało do mnie, z wyjątkiem portretu i szkatułki, wciąż licząc, że pewnego dnia może wydobędę z niej rozwiązanie zagadki.

Twojego pełnomocnika zatrzymały w biurze ważne sprawy i przysłał w zastępstwie swego asystenta. Mężczyzna miał twarz woskowej figury z muzeum Madame Tussauds, nieprzyjemny głos i świdrujące, przenikliwe spojrzenie. Podniesiona głowa i wysunięty podbródek wskazywały na poczucie wyższości i bezczelną arogancję. Zastanawiałam się, czy jego zwierzchnik wygląda podobnie, a jeśli tak, dlaczego to właśnie jemu zdecydowałaś się powierzyć swoje sprawy.

Steven Hall, przedstawił się, cedząc słowa przez zęby, i nie czekając na pozwolenie, poszedł się rozejrzeć. W tym czasie do drzwi zapukał listonosz. Odebrałam od niego kilka listów i kolorową gazetkę z supermarketu, a potem odprowadziłam go na schody i przez dłuższą chwilę staliśmy tam, a ja tłumaczyłam mu, dokąd powinien teraz kierować korespondencję. Kiedy ponownie weszłam do salonu, prawnik zdążył już skończyć obchód i zwrócony tyłem do mnie, rozmawiał z kimś przez telefon.

– Sam wiesz, jakie są te cwaniary z Europy Wschodniej. Ta na pewno też prędko się pocieszy, nie ma przecież ludzi niezastąpionych.

Nieprzyjemny głos niósł się echem po pustych pokojach. Mężczyzna najwyraźniej nie zdał sobie sprawy z tego, że jestem obok.

– Naprawdę pan tak uważa? – zapytałam ze złością, przerywając mu w połowie tę głęboką analizę ludzkiej duszy.

Asystent zamarł w bezruchu, potem powoli odwrócił się w moją stronę, a jego niesympatyczna twarz oblała się szkarłatem. Otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale nie pozwoliłam mu dojść do słowa. Natychmiast zadałam kolejne pytanie:

– Chodzi pan czasem na cmentarz?

– Chodzę, oczywiście – wyjąkał, zbity z tropu.

– W takim razie przy najbliższej okazji proszę pójść znowu i powiedzieć tym wszystkim, których pan tam spotka, że nie ma ludzi niezastąpionych. Bardzo proszę, niech pan pójdzie i im to powtórzy.

Mężczyzna wymamrotał coś na kształt przeprosin, cały czas przypatrując mi się intensywnie, jakby liczył na to, że przyznam się do nieszczerych intencji, o jakie mnie podejrzewał. Nie dostrzegłszy w moich oczach niczego poza dogasającymi iskrami wściekłości, w końcu odezwał się ugodowo:

– Proszę wybaczyć mi śmiałość, ale czasem trudno zrozumieć, co młoda, ładna dziewczyna widzi w kimś tak dużo starszym od siebie. W takich sytuacjach człowiek łatwo ulega stereotypom. Wie pani, znana postać, człowiek uwielbiany przez tłumy przyciąga fałszywych pochlebców. – Mężczyzna wciąż próbował tłumaczyć się przede mną, ale szło mu niezręcznie.

– Czy kiedykolwiek widział pan Gabriela? – zapytałam. – Słyszał pan jego głos?

– Widziałem go raz, przelotnie, ale nigdy z nim nie rozmawiałem – odparł.

– W takim razie pan tego nie zrozumie. Oczywiście mogłabym teraz powiedzieć, że był niezmiernie przystojny i równie inteligentny, ale to wszystko i tak rozplynie się, zniknie w banale.

– A nie był? Słynni aktorzy zazwyczaj bywają przystojni – rzucił i znów zaczął uważnie mi się przyglądać.

– To akurat nie ma znaczenia – powiedziałam. – Ważne jest co innego. Niektórzy ludzie sprawiają, że chce się być kimś lepszym, niż się jest. Dzięki nim odkrywamy swoje prawdziwe znaczenie, prawdziwą tożsamość. Przy nich umiemy latać, przy innych nie da się nawet biec, można tylko stać w miejscu albo z trudem powłóczyć nogami. Gabriel nauczył mnie czytać świat tak, jak czyta się książkę.

Steven Hall przekrzywił na bok głowę, pogrążony we własnych myślach.

– Bardzo to piękne, ale jego już nie ma, życie natomiast toczy się dalej – stwierdził filozoficznie po chwili milczenia. – Jest pani młoda, śliczna, przecież może pani mieć każdego mężczyznę.

– Każdy mężczyzna ma jedną zasadniczą wadę. Nie jest Gabrielem – odparłam, siląc się na

uprzejmy ton.

Asystent najwyraźniej czuł się w obowiązku udzielić mi stosownego pouczenia.

– A pomyślała pani o tym, co by było za dziesięć albo dwadzieścia lat? – zapytał z miną znawcy. – Przecież pani wciąż będzie wtedy pełną życia, piękną kobietą, a on? Po co pani taki balast, kula u nogi, ktoś stary, schorowany, przy kim nie czekałoby panią nic dobrego, a tylko samotna, ponura starość?

– Lepiej przeżyć z kimś te dziesięć czy dwadzieścia dobrych, szczęśliwych lat niż czterdzieści nijakich, których nikt już nie zwróci. Nie przeraża mnie samotna starość. Bardziej przeraża mnie samotne życie w towarzystwie kogoś, przy kim uśmiech zamarza na twarzy. – Z mojego głosu znikły resztki uprzejmości.

– Cóż, jak to pisał w jednym z wierszy znany angielski poeta William Blake, miłość ma podobno boską postać człowieka. – Steven Hall parsknął głośno, co miało zapewne imitować śmiech. – Ale skąd może mieć pani pewność, że któregoś dnia nie poczułaby się pani zmęczona albo że nie żałowałaby pani dokonanego wyboru? Słowa przychodzą łatwo, a potem nie wytrzymują próby czasu.

Przemądrzały, kaznodziejski ton, jakim nasycona była każda wypowiedź mężczyzny, drażnił mnie coraz bardziej.

– To samo można odnieść do każdej sytuacji – powiedziałam. – A jednak istnieją na świecie słowa, które zastygły w czasie, i historie, które tego dowodzą. Pyta pan, skąd mogę mieć pewność? Z tego samego źródła, z którego pan wie o tym, że jutro też wstanie dzień.

– Chciałbym, żeby jakaś kobieta mówiła o mnie tak, jak pani o nim. – Mężczyzna posłał mi zamyślane spojrzenie, na chwilę zdejmując z twarzy maskę znawcy ludzkich dusz. – A on zupełnie na to nie zasłużył. Zniknął, oszedł bez słowa wyjaśnienia. Proszę wybaczyć mi szczerość, ale tak postępują tylko ostatni tchórze.

– Nie wiem, dlaczego to zrobił, ale wierzę, że musiał mieć ważne powody – mruknęłam niechętnie, żeby uciąć temat.

– Dlaczego go pani tak broni? – nie odpuszczał asystent. – Może jemu wcale na pani nie zależało? Gdyby czuł to samo, nie zachowałby się w taki sposób. Czy nie jest czasem tak, że pani sobie wmawia to wielkie uczucie, idealizuje kogoś, kto nie jest tego wart?

– Wie pan, jak to jest być z kimś, przy kim słyszy się słowa, które nie zostały nigdy wypowiedziane? Ufam intuicji, ale proszę wybaczyć, nie mam ochoty dłużej o tym rozmawiać.

Pod dom podjechała zamówiona taksówka. Kierowca natychmiast wziął się za wynoszenie bagażu. Steven Hall stał z boku i przyglądał mu się spod oka.

– Musi pani wyjeżdżać? Przecież tutaj naprawdę są jeszcze inni ludzie – powiedział zupełnie poważnie, a potem dodał z arogancją i zadowoleniem jednocześnie: – Na przykład ja.

– Muszę, to miasto mnie dusi – roześmiałam się, widząc jego wyniosłą minę, choć nie było mi do śmiechu.

Mężczyzna nic nie odpowiedział, tylko wpatrywał się nieobecny wzrokiem w ogrodową zieleni.

Być może miasto nie chciało, żebym je opuszczała, gdyż w drodze do samochodu pękła jedna z toreb i na alejkę wysypały się buty, w których przemierzałam Londyn w ciągu ostatnich miesięcy. Ich podeszwy wciąż nosiły wspomnienie ulic, trawników, kałuż i błota. Oddałam asystentowi swój komplet kluczy i schowałam się we wnętrzu pojazdu.

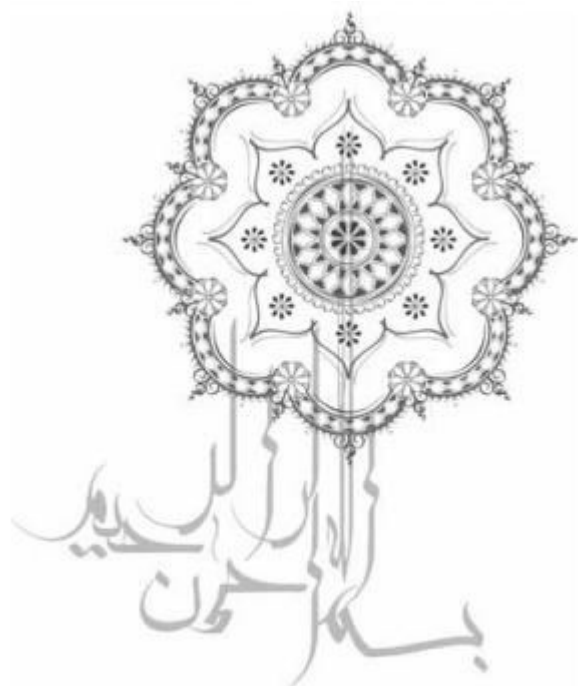
Odjeżdżając, nie popatrzyłam na dom, nie posłałam mu ostatniego spojrzenia. Bałam się, że nie zobaczę go tam, gdzie zawsze, że on, tak samo jak Ty, zniknął, poszedł w swoją stronę. Zamknęłam oczy, żeby nie widzieć ginącej w oddali Portobello Road, straganów, pubu U Alice, sklepów z antykami, galerii sir Thomasa Wrighta, znajomych sprzedawców machających mi na pożegnanie. Gdy w końcu odważyłam się wyjrzeć przez uchylone okno, znajdowaliśmy się koło Marble Arch. Tłumy ludzi próbowały opuścić centrum miasta po całym dniu pracy, tłocząc się na przystankach, biegnąc galopem do metra albo machając na wolną taksówkę. Od strony Speaker's Corner dolatywały do mnie fragmenty płomiennego przemówienia o prawach człowieka, ale znaczenie słów ginęło wśród warkotu silników, trąbienia klaksonów i pokrzykiwań kierowców

stojących w korku na Park Lane. Różowawe niebo nad Hyde Parkiem wydawało się wspierać na koronach drzew jak na greckich kolumnach, a miasto rozbłyskiwało światłami ulicznych latarni, samochodów, autobusów, neonów i sklepowych wystaw. Minęliśmy okolice Dworca Wiktorii, pełne hałasu pociągów, dudnienia megafonów i zdezorientowanych poszukiwaczy lepszego życia, obwieszonych ciężkimi, wytartymi torbami. Przemknęliśmy obok dworcowych knajp, obleganych przez bezdomnych, którzy wydawali w nich ostatnie pieniądze na kawę i kanapkę z tuńczykiem. Argentyński kierowca usiłował być miły, zadawał te banalne, grzecznościowe pytania, jakie niemal zawsze zadają taksówkarze swoim pasażerom, próbując znaleźć granicę między uprzejmością a wścibstwem. Właściwie byłam mu wdzięczna, że nieustanną paplaniną i szukaniem szybkich piosek na falach radiowych przepędzał tę melancholijną zadumę, w jaką zapewne popadłabym, gdyby milczał. Kiedy odjechał, a ja zostałam sama z bagażem u swego boku, poczułam pustkę, którą dotąd wypełniał jego głos. To ona usiadła ze mną przy kawiarnianym stoliku w hali odlotów i obserwowała wzbijające się w górę samoloty. Migające czerwone światła na szaroniebieskim tle nieba upodabniały je do haftowanego szala indyjskiej tancerki.

W tej samej kawiarni spędziliśmy trochę czasu przed Twoim odlotem do Syrii, próbując zgadnąć, dokąd udają się ludzie wokół nas i ile podobnych przedmiotów, pozamykanych w różnokolorowych walizkach, łączy ich ze sobą w nieistniejącą wspólnotę podróżników. „A wszystko to mgnienie” – szepnąłeś mi wtedy do ucha, patrząc na tych, którzy wchodzili i wychodzili przez obrotowe drzwi. Twoje palce wystukały na blacie ostatnie słowo z prędkością stenotypistki.

Tuż przed wejściem na pokład samolotu pomyślałam, że my też byliśmy takim mgnieniem, i poczułam się tak, jakby nagle zabrakło dla mnie miejsca na ziemi, jakby każde z nich miało być od teraz bezbarwne, nijakie i puste, bo odkąd pojawiłeś się w moim życiu, cały świat stał się opowieścią o Tobie.

## CZEŚĆ PIĄTA



Po powrocie do kraju szukałam miasta bez wspomnień i miasta bez pamięci, naiwnie wierząc, że takie istnieją, że są jak kupiona przed chwilą książka, która nie zdążyła jeszcze objawić nam swojej treści. Próbowałam przeczytać o nim we wzmiankach prasowych, usłyszeć jego nazwę w radiu i telewizji, w słowach piosenek nuconych przez ulicznych grajków, znaleźć je na rozkładach jazdy pociągów i autobusów, ale miasta nie chciały już ze mną rozmawiać. Przestałam rozumieć mowę ulic i budynków, zamilkły ceramiczne dachówki, rynny i krawężniki, martwa cisza zdawała się przysiądać na balkonach. Wdychałam tę ciszę, a potem – tak jak uciekałam od Londynu – uciekałam również od lubelskiej Starówki, od Teatru Starego i miejsc, gdzie przed laty zaczęła się moja opowieść. Chowałam się w czarnych liniijkach tekstu, w dziesiątkach wymyślonych historii, w barwnym życiu fikcyjnych bohaterów. Coraz częściej widywałam swoje nazwisko w gazetach i czasopismach, rozpoznawałam je w gronie nazwisk znanych autorów, ale wydawało mi się, że należy do innej, obcej osoby. W tej obcej osobie, jaką wówczas sama dla siebie byłam, wciąż dojrzewało nienasycone pragnienie anonimowego miasta, miasta tabula rasa.

Owo miasto, a może raczej to, co wydawało się nim być, wreszcie upomniało się o mnie krótkim, urywanym dźwiękiem telefonu.

– Czytałam pani opowiadanie o tunezyjskiej malarce, która była niemową i porozumiewała się obrazami – usłyszałam w słuchawce głos, który wcześniej oznajmił, że należy do redaktor naczelnej jednego z krakowskich magazynów o literaturze. – Proszę do nas przyjechać, proszę z nami zostać, proszę dla nas pisać.

– Dobrze – zgodziłam się.

– Nie zapyta pani o warunki współpracy?

Nie zapytałam.

– Jest mi bardzo miło. – Kobieta uśmiechnęła się, próbując pokryć zdziwienie. Nim odłożyła słuchawkę, powiedziała jeszcze: – Proszę mi wierzyć, pewnego dnia pani książki przeczyta cały świat.

Tak znalazłam się w Krakowie, z jedną dużą walizką i pragnieniem, by zagłuszyć przeszłość. Stary Kazimierz, idealny dla wygnańców, banitów świata, natychmiast wciągnął mnie w tajemniczą głębię zakamarków, otoczył ramionami i ukrył w swym wnętrzu. W tym miejscu spacerowały się same, bezwiednie, wyznaczone melodią wygrywaną zapamiętałe przez skrzypka przeniesione do rzeczywistości prosto z Chagallowskich obrazów. Jego twarz migiała między bramami, chowała się w szczelinach, w których od dziesięcioleci tkwiły uśpione mezuzy, odbijała się w bruku, lśniącym mglistą wilgocią. Na placu przy Szerokiej gwiazdy wisiały tak nisko, że mogłam strącać je parasolem, a ciemność gęstniała wokół słabo świecących latarni. Miałam nadzieję, że pewnego dnia przemówią do mnie zamknięte synagogi, otchłanie pustych okien, siedmioramienny świecznik pozostawiony w nadgryzionej zębem czasu sklepowej witrynie, lecz zamiast nich słyszałam tylko polifoniczną muzykę brudnych podwórek, zwanych tu z dawna podworcami. Tutajsi ludzie byli dziwni, ulice nagie, zwiędnięte, pozbawione kolorowych twarzy.

Na jednym z balkonów dwoje dzieci rozpruło któregoś dnia puchową pierzynę i bawiło się w zimę. Lekkie pióra sypały się na dół i tonęły w błotnej, kleistej mazi udającej kałużę. Po chwili przyszła matka, w wiskozowej podomce, nawrzeszczała, zamknęła z hukiem duże, oszklone drzwi. Jej głos: „Co wy robicie, gówniarze” jeszcze długo wisiało w powietrzu. Kilku przechodniów zatrzymało się, zadarło głowy do góry. „No nie ma wstydu”. „Wariatka jakaś”. „Przecież nikt normalny to by nigdy tak...”

W czasie tych kazimierskich wędrówek, gdy próbowałam oddawać się niepamięci, mój wzrok przechadzał się po stromych dachach kamienic, gdzie z przysadzistych kominów ulatywał w niebo cynamonowy dym, zeskakiwał na blaty kawiarnianych stolików, przykrytych wydzierganymi na szydełku białymi serwetami, po czym wpadał w nierówne chodnikowe rozstępy.

Moim domem stała się wynajęta mansarda przy ulicy Szerokiej. W tym samym budynku mieszkał niegdyś słynny kabalista Natan Spira i w jednym z okien zawsze paliło się wieczne światło ku jego pamięci. Polubiłam tę kamienicę, klatkę schodową cuchnącą piwniczną stęchlizną, drzwi wymięte przez czas, odchodzący od nich płatami olejnej farby. Drewniane schody na strych kryły w sobie bajeczny rytuał codziennych wspinaczek. Przez okna w dachu, brudne od deszczu albo od ptasich odchodów, widziałam tylko niebo i śmiesznie powyginane anteny telewizyjne. Nocami do środka wpadał księżyc i – zagubiony – odbijał się od ściany do ściany. Miasto nie miało tu wstępu, lecz wciąż próbowało przemknąć do środka dźwiękiem przejeżdżających pod domem tramwajów, pobrękiwaniem srebrnej łyżeczki o brzeg szklanki z herbatą, rozedrganą podłogą, łopotem gołębic skrzydeł. Czy potrafiłam rozpoznać siebie w błękitnych ścianach pokoju, w dębowym łóżku, w lustrze nieznacznie wykrzywiającym wszystkie kształty, w długiej niebieskiej spódnicy, płaczącej się wokół kostek? Ile mnie wciąż zostało we mnie samej, a ile tam, w Nie-tak-dawno-temu, gdzie bezsenność miała kolor bursztynu rozgrzanego od żarówki ukrytej we wnętrzu klosza?

Wciąż czekałam na listy znikąd, takie, które przychodzą zwykle w samym środku nocy, a niewidzialny listonosz nie wkłada ich do skrzynki, ale zawsze wsuwa przez wąską szparę w drzwiach. Budził mnie odgłos jego kroków, gdy odchodził, nie prosząc o podpis, skrzywienie drewnianych schodów i duszna, zatęchła cisza na powrót zalegająca w martwym powietrzu starej kamienicy. Otwierałam wówczas okno, żeby poczuć na twarzy podmuch lodowatego wiatru, zatrzymać się gdzieś u wrót przedświt i odpędzić od siebie kolejne urojenie, które miało zmienić się w błogosławieństwo. Próbowałam zawołać wiatr, zanucić deszcz, zagwizdać tęczę z nadzieją, że może usłyszysz.

Czasem zabijałam czytaniem te długie nocne godziny, ale za każdym razem, kiedy w przędzy liter odnajdowałam znajome słowo „dom”, ono zaczynało od nowa chodzić mi po głowie, pełzać, roić się mnogością pokoi, w których główną rolę grały indyjskie chusty i mahoniowe meble. Nauczyłam się, że dom to nie dach, ściany i podłogi, nie wymiar przestrzenny, lecz miejsce, do którego uciekają myśli.

Nie zawsze książki radziły sobie z moją bezsennością. Wędrowałam wtedy po uśpionym mieszkaniu i słuchałam, jak ogień dudni we wnętrzu pieca kaflowego, próbując wystukiwać rytm nieznannej melodii, wspólnie z deszczem natrętnie dobijającym się do okien. W swoich nocnych wędrówkach wszędzie natykałam się na dziwne, tajemnicze stworzenia – zegary. Te niezaplanowa-

ne, niechciane spotkania przypominały mi, że gdzieś, nie tak znów daleko, kierunek ludzkiego życia wyznacza inny czas, że wystarczy nieznacznie przesunąć wskazówkę do tyłu, cofnąć się zaledwie o godzinę, by w pamięci zawyła głośno myśl o tym „nieomal” i „prawie”, których nagle zabrakło do czegoś w rodzaju szczęścia. Zapominanie, przerywane przez zegarowe pomruki, trwało nieskończenie długo. Co krok pojawiały się kolejne przeszkody na drodze do niepamięci, przypadkowe „już od kilku godzin nie myślałam o...” albo głos Edith Piaf dobiegający z mieszkania sąsiadów, rozpaczliwy, z przepięknym francuskim akcentem... *Ne me quitte pas*. Powoli zaczynałam rozumieć, że nie można liczyć na milczenie przedmiotów, które wciąż mówią wspomnieniami. Choć nie zabrałam z Londynu niczego, co mogło przypominać mi odległe życie miasta, nadal wytrząsałam z torebek bilety autobusowe, karty wstępu do metra, wejściówki do muzeów. Wyrzucałam je do śmieci z nadzieją, że pewnego dnia uda im się w końcu zgnić w czasie, a moje ciało ogarniał paraliż smutku. Oswajałam ten smutek tak, jak oswaja się dzikie zwierzę, z wolna przyzwyczajając się, że nieustannie nam towarzyszy i biegnie przy nodze, dokądkolwiek się udajemy.

To, przed czym uciekałam na jawie, doganiało mnie w snach. Nadal przemierzałam w nich londyńskie ulice, licząc godziny tych dziwnych, mistycznych spacerów. Nie szukałam Cię, nie wypatrywałam Twojej twarzy wśród tłumu. Pozwalałam po prostu trwać mojej tęsknocie. Nic się nie zmieniało, szłam spokojnie przed siebie, a zapachy dochodzące z pobliskich drogerii, piekarni i restauracji stopniowo przyoblekały się w kształty. Wśród czarnych kłębow spalin i smrodu benzyny poczułam nagle aromat mocnej kawy, a potem rozpoznałam z daleka Twoje dłonie i ten odwieczny tekturowy kubek, z którym zawsze chciałam zamienić się na role. Podbiegłam, wyrwałam Ci go i wylałam wszystko na głowę, a potem patrzyłam na ciemne strugi spływające po włosach i ubraniu. Obok nas zatrzymywali się zaciekawieni przechodnie. „A masz, Ty wstrętny złodzieju dusz?” – krzyknęłam, odchodząc, bo rzeczywistość przywołała mnie z powrotem do siebie gwałtownym dzwonieniem budzika.

Próbowałam płoszyć takie sny, przepędzać je jak stado natrętnych, padlinożernych ptaków, ale wciąż powracały pod postacią zdziczałych fantasmagorii.

Kiedyś przyśnił mi się mały, przygarbiony dom, gdzieś na końcu świata. Na środku stał stół z kurzymi łapami zamiast nóg, przy nim dwa krzesła, dalej wygięte w koci grzbiet łóżko, pomalowane w duże czerwone kwiaty. Otworzyłam żeliwne drzwiczki bielonego pieca, który wciskał się w kąt pokoju, włożyłam głowę do środka.

– Co robisz? – zapytałeś, przyglądając mi się z ciekawością.

– Piekę Ci ciastka ze snu – powiedziałam, dziwiąc się, że sen jest biały i sypki jak cukier puder.

Potem siedzieliśmy wspólnie przy stole przebijającym niecierpliwie kurzymi łapami, głośno chrupiąc te ciastka.

– Dziwne takie. Kolorowe – mówiłeś.

– Jedz, nie narzekaj.

– No jem przecież – śmiałeś się. – Strasznie gruby będę przez ciebie.

– Dobrze. Będiesz miał taki fajny okrągły brzuszek jak u misia z rosyjskich baśni.

– A będziesz wtedy turlać mnie po podłodze?

– Będę. I po chodnikach też.

– Poturlamy się w miasto?

– Poturlamy się.

Pewnego snu strasznie się z Tobą pokłóciłam. Nie wiem, co to było za miejsce, w którym wtedy staliśmy, jakiś park, obok centrum handlowe, brzydkie, szare budynki z czasów socjalizmu.

– Całowałaś się z nim, widziałem. I to na ulicy, przy wszystkich – wmawiałeś mi.

– Coś Ci się chyba, Ty głupku, przywidziało.

– Nie przywidziało mi się.

– Właśnie, że tak – warknęłam.

– A co, nie całujesz się z nikim teraz, kiedy mnie nie ma?

– Oczywiście. Non stop – powiedziałam ze złością. – Dlaczego Ty ciągle nic nie rozumiesz?

– Czego nie rozumiem? – pytałeś z tym wyrazem oczu, który nie pozwalał się na Ciebie



gniewać.

– Tego, że nie chcę słyszeć nawet własnego imienia w ustach innych ludzi. A Ty tu mówisz o całowaniu się.

Niektóre sny były koślawe i powyginane, podobnie jak my w nich, lecz na szczęście potrafiłszy się z tego śmiać. Śmialiśmy się z tłustych, niebieskich kur, które uciekały przed nami po cudzym podwórku z głośnym gdakaniem.

– Jak myślisz, czy tylko w naszych snach ptaki są zawsze niebieskie?

Pomyślałeś chwilę, drapiąc się po głowie.

– Na pewno tylko w naszych mają czerwone nogi. Z piórami nie jestem pewien.

Bywały też sny, w których Cię nie widywałam, a jednak wiedziałam, że i tak w nich jesteś, nawet jeśli śniła mi się tylko rozłożona na dywanie kolejka z zielonymi wagonikami. Musiałam zmniejszyć się do rozmiarów zapałki, żeby do niej wejść. W środku, oprócz mnie, siedzieli też inni ludzie.

– Dokąd ten pociąg? – zapytałam pasażera siedzącego tuż przy drzwiach przedziału.

– Jak to dokąd? – zdziwił się. – Donikąd, proszę pani.

– Nie ma pociągów donikąd – powiedziałam.

– Przekona się pani, że są.

Lokomotywa wydała przeciągły gwizd, ruszyliśmy, za oknem pojawiły się pola pełne bordowych kwiatów. Nie wyrastały z ziemi, lecz z tureckiego dywanu, takiego jak ten, który rodzice mieli kiedyś w salonie. Ujechaliśmy kawalek i pociąg niespodziewanie zatrzymał się z piskiem kół na stacji Październik. Konduktor przeszedł korytarzem, kazał wysiadać.

– Nie wysiądę – poinformowałam go, kiedy stanął nade mną i nastroszył wąsiska.

– Musi pani.

– Dlaczego mam wysiąść akurat w Październiku? Nie chcę do Października, chcę do Czerwca.

– Nie ma pani biletu.

– To proszę mi sprzedać.

– Nie mogę, skończyły się. Wszyscy chcieli do Czerwca.

– To pojedę na gapę.

Konduktor wypisał mandat i poszedł kontrolować innych pasażerów. Pociąg zachwiał się i ruszył gwałtownie, mężczyźnie siedzącemu naprzeciw mnie wypadła na podłogę kanapka z kotletem. Jechałam i jechałam, na przemian budząc się i zasypiając, aż w końcu dotarłam do Czerwca. Stałam tam na peronie i byłeś niewidzialny.

Parę nocy później rozwieszaliśmy pranie w ogrodzie. Miałam wtedy usta zamknięte ciszą na klucz, patrzyłam na Ciebie spod przymkniętych powiek, nie śmiejąc się nawet wtedy, gdy założyłeś na głowę biustonosz w róże i tańczyłeś, udając arabską tancerkę. Potem nagle spadł deszcz, lał Ci się po szyi i wpadał w rynny koszulowych załamań. Na sznurkach wisały białe prześcieradła, między nimi amarantowa sukienka i kilka par szarych spodni. Mówiłeś mi wtedy, że boisz się przyszłości, bo w niej nie będzie już kartek „Czekam na końcu świata”. Zanim sen zdążył zrzędnać, rozproszyć się, znów wybiegłam myślami prosto w Ciebie, w Twoje ręce, usta, w oczy, we wszystko inne, a Ty wyciągnąłeś z kieszeni klucz do mojego milczenia.

Czasami zastanawiałam się, czy miejsca z moich snów istniały gdzieś naprawdę. Na przykład kuchnia z lobelią na parapecie i ozdobnymi talerzami przyklejonymi do ścian. Pękate garnki na kuchence wydawały z siebie ciężkie sapanie, sosjerka pogwizdywała, porcelanowe filiżanki rozmawiały o czymś przyciszonymi głosami. Stałam tam i byłam głodna Twoich ust, oczu, uśmiechu, chciałam zajadać się tym uśmiechem jak dzieci wykradające podstępem słodycze ze spiżarni, a Ty – ni stąd, ni zowąd – pojawiłeś się nagle za moimi plecami. Odwróciłam się wtedy do Ciebie, popatrzyłam Ci prosto w twarz. Oczy musiały mi zapłonać, palce wczepić się w te Twoje srebrne włosy, których dotyk zdążyłam już trochę zapomnieć. Nie wierzyłam, że jesteś i że za chwilę będziesz mój, jak w domu na Westbourne Grove. Chciałam mieć Cię natychmiast, zanim znów wymkniesz się gdzieś, zanim przebudzenie odbierze mi Ciebie na dobre. Razem zanurzaliśmy się w spokojnym oceanie kuchennego stołu, a wszystkie baśnie, które kiedykolwiek wymyślono na

świecie, wydawały mi się nic niewarte, kiedy byłeś obok. Odsunęliśmy się od siebie niechętnie, w tej godzinie, gdy jawa zaczyna polemizować ze snem, nasze ubrania leżące na podłodze też nie umiały się rozstać. Gdy otworzyłam oczy i zobaczyłam nad sobą białą płachtę sufitu, znów poczułam się jak rozrywana na strzepy kartka papieru.

Zaczęłam spać się w tych snach, nie chciałam ich, lecz gdy nie nadchodziły, wtedy za nimi tęskniłam. Niemal każdego ranka owe sny ciążyły mi pod powiekami, dławiły w gardle i nie pozwalały podnieść się z łóżka, podobnie jak myśl o tym, że gdyby wszystko potoczyło się inaczej, mogłabym wstawać zaczytana Twoim uśmiechem jak codzienną gazetą. W dole, wśród samochodowych spalin, huku tramwajów, mieszanki ludzkich głosów, toczyło się życie zbyt odległe, żebym na powrót stała się jego częścią. Światła miasta dogasały powoli wraz z nadejściem świtu, a wspomnienia cienką strużką materializowały się na mojej twarzy. Nie poddawałam się im, choć nie potrafiłam zamknąć oczu tak, żeby wciąż nie mieć przed nimi sklepów przy Oxford Street, pełnych tandetnego, krzykliwego obuwia, brzydkiego gmachu Nike Town i nieszczęśników rozdających ulotki obok stacji metra, choć z zimna krew przymarzała do żył. Spływająca z wieży kościoła Mariackiego melodia hejnału zaczynała kolejny dzień, którego nie było lub był nie taki jak trzeba. Dzień w zarysie, nieudany szkic, karykatura, nędzna podróbka tamtego dnia, gdy na Tottenham Court Road nagle zabrakło prądu. Wychodząc z domu, by w redakcji zagubić się wśród dźwięku faksów i telefonów, utonąć w szumie drukarek, próbowałam nie widzieć, że stragany na Placu Nowym do złudzenia przypominają te z Portobello Road, że tu też w soboty odbywa się targ staroci. Staralam się nie rozumieć rozmawiających po angielsku turystów i nie porównywać żółtego budynku Teatru Słowackiego do kopuły katedry św. Pawła. Udawałam, że nie obchodzą mnie tłumy na Rynku, tak podobne do tych na Trafalgar Square, skojarzenia jednak chadzały własnymi drogami w czasie przeszłym. Musiałam wreszcie przejrzeć na oczy i uświadomić sobie, że każde miasto pozbawione aury złudnej nowości i tak zaczęłoby szeptać mi do ucha wciąż to samo imię, do niedawna pretensjonalnie utożsamiane z imieniem całego świata.

Zima nadeszła nagle i niespodziewanie. Na ulicach zamiast ohydnych reklamówek z plastiku pojawiły się torby w renifery, w gwiazdki i mikołaje. Miasto przybrało kolory choinkowych świateł, szklanych bombek i srebrnych łańcuchów, przebudziło się z jesiennego snu dźwiękiem kolęd odtwarzanych ze sklepowych głośników. Zauważyłam, że z każdym dniem coraz bardziej Cię zapominam, podstępna, przebiegła, złośliwa niepamięć, odbierająca mi Ciebie kawałek po kawałku. Zapomniałam kształt Twoich dłoni, brzmienie Twojego śmiechu, to, jaką lubiłeś herbatę, a Twój dotyk wydawał mi się złudzeniem, które rozpląnęło się w czasie. Nie byłam pewna, czy rzeczywiście miałeś na szyi pieprzyk z prawej strony, czy po prostu łątałam wyobraźnią stale powiększające się dziury w pamięci. Na wszelki wypadek zaczęłam chwycić się wszystkich, najdrobniejszych okruchów wspomnień, żeby Cię w nich zatrzymać, choć do niedawna przecież pragnęłam, żebyś na zawsze zniknął z moich myśli. Przywoływałam do siebie błahe rozmowy o rzeczach nieważnych, opowiadałam je sobie tak, jak opowiada się mity i legendy, szczególnie w te noce, gdy budził mnie tajemniczy chłopot, mokre bim-bam kropli deszczu, wydzwaniających o dachowe okno godzinę w takt wschodzącego słońca. Na moich oczach niebo jaśniało, najpierw powoli, trochę niepewnie, po to, by po chwili zamienić się w różnobarwny kocioł, kipiący parą obłoków, podobnych do tych nad Covent Garden Market, gdzie przy kawiarnianym stoliku dzieliliśmy na pół porozumiewawcze spojrzenia i sernik z rodzynkami.

– Dlaczego nie zjadłaś tej truskawki? – zapytałeś, wskazując wzrokiem owoc zanurzony w gęstej polewie czekoladowej.

– Wygląda obrzydliwie. Jak zgniłek z kompotu.

– Jesteś pewna, że jej nie chcesz?

– Tak, nie będę aż tak ryzykować.

– W takim razie mogę ją zjeść?

Podaliśmy Ci truskawkę na srebrnej łyżeczce, cały czas bojąc się, że spadnie i potoczy się po białym obrusie.

– Smakowała? – zapytałam, próbując powstrzymać śmiech na widok Twojej miny.

– Miałaś rację, ohyda.

Nie zgadzałam się na tę wybiórczą, postępującą niepamięć, na powolne, stopniowe zanikanie wspomnień. Chciałam niepamięci absolutnej, zupełnej, takiej, która potrafiłaby całkowicie usunąć Cię z moich myśli, jakbyś nigdy się w nich nie pojawił, jakby nie istniała tamta pamiętna noc na Tottenham Court Road, do której później wracaliśmy w rozmowach.

– O czym pomyślałeś, kiedy zobaczyłeś mnie pierwszy raz?

– Zastanawiałem się, dlaczego jesteś taka smutna. A ty?

– A ja chciałam wiedzieć, jak często zagadujesz obce kobiety na ulicach.

– Niezbyt często – zaśmiałeś się.

„Niezbyt często” ześlizgnęło się w dół krętym korytarzem ucha. Gdzieś w myślach przez moment znów zamajaczyła mi własna twarz z cieniem półkolem kładącym się pod oczyma, odbita niewyraźnie w witrynie jednego ze sklepów przy Oxford Circus.

Czego nie chciałam bardziej: pamięci czy zapomnienia? Stojąc w połowie drogi między jednym a drugim, wciąż nie znalazłam odpowiedzi na to trudne pytanie. Wiedziałam, czym stał się bez Ciebie mój świat, moja wyblakła, poszarzała codzienność, ale nie miałam pojęcia, czym byłyby moje wspomnienia. Gdy z otwartych drzwi szafy, z szuflad i spod łóżka zamiast Ciebie wychodził już tylko Twój cień, przestraszyłam się utraty pamięci. Byłam ciekawa, czy gdzieś w Londynie nadal zachowały się nasze ślady, zaplątane w kałuże i płyty chodnika, czy może tam, tak jak tu, w Krakowie, śnieg zdążył przysypać wszystko, co nieuchronnie minione.

Twoja sylwetka mogła rozmywać się i blaknąć, znikać jak postać obserwowana na horyzoncie, lecz czas nie potrafił odebrać mi Twojego głosu. W te leniwe, niemrawe popołudnia, gdy z głową pochyloną nad stołem próbowałam dokończyć następną opowieść, pojawiał się i porządkował przestrzeń wokół mnie. Bez niego powietrze wypełniały tylko chaotyczne litery; sypały się z uszu i z nosa, wypadały spomiędzy niedomkniętych warg, a ich ostre kanty wbijały się w skórę, raniąc ją do krwi. Oddychałam nimi, krztusiłam się i wypluwałam je sobie pod nogi, a one łamały się jak czerstwy chleb, dopóki Twój głos na powrót nie zamieniał ich w słowa. „Nina, ta historia o człowieku błąkającym się po arabskim targowisku i chcącym zamienić myśli na sny jest rewelacyjna” – gratulował dziennikarz pewnej poczytnej gazety, nie wiedząc, że mam kogoś, kto podpowiada mi, o czym powinnam napisać.

Gdzie byłeś w te noce, które spędzałam na świętowaniu kolejnych sukcesów i podróżach od knajpy do knajpy w towarzystwie redakcyjnych kolegów? Wgryzałam się wówczas w Twoją nieobecność jak w plastry cytryny, a księżyc odbijał się w oceanie wódki zmieszanej z colą i szumiał w głowie. Z niego wyrastały jabłonie, najpierw nagie, potem kwitnące, później przekwitłe, liście z nich opadały, sad stawał w płomieniach i palił się szybko, jak wsiąkająca w ogień kartka papieru. Chciałam, żeby lecące w górze stado nocnych ptaków zabrało mnie ze sobą nad Londyn, do niespełnionego snu o Portobello. Tam, w domu, położyłabym się na pluszowej kanapie i podcięła sobie żyły, a wódka z colą pociekłaby z nich na drewnianą podłogę.

Zamiast włóczyć się z ptakami po niebie, włóczyłam się jednak po mieście, odzieranym przez noc ze skojarzeń rzucających się w oczy za dnia. Żegluga pogrążonymi w ciemności ulicami, przepelnionymi śniegiem i zmarzniętym błotem, przypominała mi *Statek pijany* Artura Rimbauda. Wszyscy zataczaliśmy się na nim, wpadając na siebie nawzajem. Czasem ktoś zwymiotował, wypadł za burtę albo wdał się w dyskusję z przechodzącym obok policyjnym patrolem.

– Panie władzo, przecież to nie my hałasujemy, to te pijane domy – tłumaczył świeżo upieczony szef Działu Kontakt z Czytelnikami, którego twarz przybrała taki wyraz, jakby czytał właśnie książeczkę do nabożeństwa.

– To prawda! – włączył się ktoś z przypadkowej grupki rozbawionych przechodniów. – Sam widziałem, że po placu Szczepańskim gonilo ich stado szalonych latarni.

Policjant zaniósł się nagle gwałtownym kaszlem, z całej siły próbując powstrzymać śmiech, który wydał mu się niegodny funkcjonariusza.

– Idźcie sobie. Tylko cicho bądźcie, bo następnym razem będę musiał was spisać – powiedział na odchodne.

Statek pożeglował po staromiejskim bruku w kierunku nowych wysp i portów, przybijał do kolejnych barów, restauracji i pubów, aż w końcu znalazł bezpieczną przystań w czynnym do

późnych godzin nocnych lokalu przy ulicy św. Tomasza. Wśród brzęku szklanek, pijackich pokrzykiwań i szumu rozmów toczyły się tam poważne filozoficzne dyskusje.

„Bo ona do mnie przemawiała!” – krzyczał początkujący powieściopisarz Wojciech, dzierżąc w dłoni parówkę, wyjętą z hot doga, kupionego po drodze w pobliskiej budce z jedzeniem. Koszula wystawała chłopakowi niedbale ze spodni, po palcach spływały gęste strugi ketchupu i musztardy. Wszyscy ryknęli śmiechem, a potem nagle zapragnęli się dowiedzieć, o czym mówią parówki, i zastanawiali się, czy nie poprosić o pomoc tłumacza.

„Nina, ty trupie” – wrzasnęła do mnie Krzysztof, krytyk literacki, słynny w swym środowisku z ciętego języka i przydomka Zdobywca. Nie przepadaliśmy za sobą, odkąd zorientował się, że nie zamierzam powiększać jego dworu ani mdleć z zachwyty, widząc go w redakcji. Skorzystał jednak z okazji, że obok właśnie zwolniło się krzesło, zajął je i zaczął przyglądać mi się oczyma mętnymi od nadmiaru whisky. Patrząc na niego, odnosiłam nieustanne wrażenie, że spoza swoich modnych okularów w stalowych oprawkach widzi świat równie niewyraźnie jak bez nich. Podniosłam się ze swego miejsca i poszłam do baru, ale ruszył za mną.

Przeciskając się między stolikami, niechcący usłyszałam fragment rozmowy o upijaniu się. „Głowa przypomina wtedy szklaną kulę, spada z szyi i roztrzaskuje się w drobny mak. O wszystkim można zapomnieć” – dowodził jakiś mężczyzna swojej towarzysze. „Wobec tego Twoje zdrowie” – kobieta podniosła do ust kieliszek czerwonego wina.

Nie usłyszałam, co było dalej, bo drzwi lokalu otworzyły się z hukiem i stanęła w nich grupa angielskich turystów.

– Co tam, Pani Niedostępna? – Krzysztofowi udało się przebyć tę samą drogę i znów stanąć przy mnie.

Zignorowałam go i zamówiłam kolejnego drinka.

– Chodźmy gdzieś potańczyć, zabawmy się. – Popatrzył natarczywie i zniżając głos do szeptu, wychrypiął mi wprost do ucha: – Przeleć mnie w końcu. Ile mam czekać?

– Po alkoholu nie jesteś ani trochę sympatyczniejszy niż na trzeźwo. – Odsunęłam się od niego niechętnie.

– Ty też nie należysz do grona sympatycznych, masz za to fajny tyłek.

– Punkt dla mnie – rzuciłam głośno, przeciągając słowa.

Barman parsknął pod nosem i podał mi szklanekę. Podziękowałam mu skinieniem głowy za drinka i już miałam wracać do stolika, gdy niespodziewanie poczułam na sobie czyjeś spojrzenie. Przebiegłam wzrokiem po twarzach ludzi zebranych w lokalu, aż wreszcie dostrzegłam czarnowłosą kobietę, obserwującą mnie bacznie z drugiego końca sali. Siedziała przy niewielkim, schowanym w cieniu stoliku, a jej lśniące, lekko skośne oczy emanowały niezwykłą, magnetyczną siłą przyciągania. Po chwili wahania ruszyłam ku niej chwiejnym krokiem.

– Przepraszam, czy my się skądś znamy? – zagadnęłam, uświadamiając sobie, że to zdanie zwykle wypowiada się z zupełnie innym zamiarem.

– A któż to wie? – odparła tajemniczo, głosem przypominającym szum wody.

– Obserwowała mnie pani. Dlaczego?

– Coś panią boli, prawda? – zignorowała moje pytanie.

– Tylko pamięć. Ma pani na to jakieś lekarstwo? – Spojrzałam na nią wyzywająco.

– Może i mam. – Kobieta uśmiechnęła się i poprawiła zsuwającą się jej czarną pelerynę.

– Czy pani jest może żoną Lucyfera? – zapytałam, a wiszące na ścianach secesyjne kinkiety zdrząły mi przed oczyma, jak lilie unoszące się na tafli wody.

– Niektórym tak właśnie się wydaje. – Nieznajoma popatrzyła z rozbawieniem i zaproponowała: – Usiądzie pani ze mną?

Niewiele myśląc, zajęłam wolne krzesło. Nie pamiętam, czy wymieniła jakieś imię, może w ogóle nie miała imienia, tylko to mamrotane, niewyraźne coś, co z grzeczności podaje się w sytuacjach, gdy należy się komuś przedstawić. Dlaczego opowiedziałam jej o wszystkim, co przydarzyło mi się od dnia, w którym znalazłam pierwszą część historii Zaklinacza Słów? Czy dlatego, że pojawiła się w kawiarni znikąd, tak samo jak on? Na początku, kiedy z szumu w głowie i pijackiego bełkotu próbowałam odtworzyć obraz tamtego spotkania, nie zwróciłam uwagi na podobieństwo

łączące obie postacie. Kobieta w milczeniu przysłuchiwała się opowieści, nie komentowała jej nawet wyrazem twarzy, nieprzeniknionej jak nocne ciemności. Nie zadawała pytań, nie śmiała się nawet w tych momentach, które mi samej wydawały się najbardziej absurdalne i śmieszne, a hipnotyczny spokój kryjący się w jej intensywnym, pełnym skupienia spojrzeniu udzielał mi się niespostrzeżenie.

Nieznajoma odezwała się dopiero, kiedy skończyłam.

– Ta historia jest znacznie prostsza, niż ci się wydaje – powiedziała łagodnie, jakby mówiła do dziecka. – Ale czasem każdy z nas potrzebuje tłumacza rzeczy oczywistych – dodała.

– Potrafi pani tłumaczyć cudze historie? – zdziwiłam się.

– Wszystko, co ci się przydarzyło, musiało się przydarzyć. – Znow nie zamierzała mi odpowiadać. – Nie powinnaś odwoływać się do przypadku czy zbiegu okoliczności. Twoja historia od początku toczyła się swoją drogą.

Kobieta obdarzyła mnie zagadkowym uśmiechem, a ja starałam się znaleźć w sobie tyle siły, by go odwzajemnić.

– Wiedziałaś o tym od dawna, gdybyś zaufała samej sobie. Nie ma przypadkowych dróg. Nawet ludziom, którzy pojawili się w tej opowieści, los z góry przypisał określone role ludzi drogowskazów.

– Ludzie drogowskazy? – powtórzyłam bezmyślnie. Znow kręciło mi się w głowie.

– Tak, drogowskazy, albo ludzie przewodnicy, jak wolisz. W każdej baśni jest ktoś, kto w odpowiedniej chwili podsuwa magiczne przedmioty, zaklęcia i dobre rady, żeby historia mogła podążać we właściwą stronę.

– Czy pani mi się śni? – zapytałam, choć właściwie chciałam wiedzieć, czy kobieta nie jest tylko pijackim omamem.

– Nie jestem snem ani przywidzeniem. – Na potwierdzenie dotknęła mojej dłoni. – Podobnie jak inni też nie znalazłam się tu przez przypadek. Widocznie musiałam dzisiejszego wieczoru wysłuchać twojej opowieści, choć dopiero teraz zaczynam domyślać się, z jakiego powodu.

Nieznajoma przywołała kelnera i szepnęła mu coś na ucho. Mężczyzna odpowiedział jej skinieniem głowy i odszedł szybkim krokiem. Wpatrywałam się w nią z wyczekiwaniem.

– Powiedziałas mi, że zawsze dążyłaś do tego, żeby twoje życie zmieniło się w baśń. Przyznałaś się, że z całej siły szukałaś jej wokół siebie, a teraz nie dostrzegasz, że twoje pragnienie w końcu się spełniło.

– Baśnie zawsze mają szczęśliwe zakończenie – mruknęłam buntowniczo.

– Twoja baśń jeszcze się nie skończyła. – Nieznajoma kręciła głową z wielką pewnością siebie. – Nie przewiduj, nie uprzedzaj faktów. Niczego nie przyspieszysz. Wszystko ma swoje miejsce i czas. Zrozum, że tę historię opowiada przeznaczenie, a nie ty. Ono postawiło na twej drodze przewodników i uczyniło ich bohaterami twojej opowieści. Czy wiesz, dlaczego właśnie ich?

Kobieta patrzyła na mnie wyczekująco, a ja nie potrafiłam zebrać myśli, żeby odpowiedzieć na jej pytanie. Głos też odmawiał mi posłuszeństwa. Przy stoliku znow pojawił się kelner ze szklanką świeżo wyciśniętego soku z cytryny. Stawiając ją przede mną, wymienił porozumiewawcze spojrzenia z moją rozmówczynią, ale nie ośmielił się odezwać. Kilku studentów przy sąsiednim stoliku oblewało właśnie wyniki egzaminów i pilnie przywołało mężczyznę. Odchodził z widoczną niechęcią. Nieznajoma upewniła się, że przystanął wystarczająco daleko, żeby nas nie słyszeć, nachyliła się ku mnie i powiedziała konspiracyjnym szeptem:

– Zaklinacz Słów.

– Skąd pani wie, że akurat on? – zapytałam, a w mojej głowie myśli załopotaly niczym ptasie skrzydła.

– Zaufaj mi, po prostu wiem – powiedziała pewnym siebie głosem, ucinając kolejne pytania.

– Zastanów się, dlaczego zaczęłaś pracować w El Khimie, u mu'allima Mustafy, pomyśl, kim był nieznajomy spotkany przez prapradziadka Hasana Abu Zajda i ten tajemniczy dobroczyńca Lejli Maknaoui? Kto mógł uwolnić od dzinnów bezdomnego? Kto zostawił stare książki w księgarni Dhavala Patela? Ludzkie ścieżki łączy labirynt, którego nie rozwikła czas. Czas w baśniach nie istnieje, jest takim samym wymysłem jak i cała reszta. Wiesz o tym, prawda?

Nic nie odpowiedziałam, bo nagle zaczęło mi się wydawać, że wcale nie siedzę w jednym z krakowskich lokali, a leżę wprost na piasku w pustynnej oazie. Ciasno stłoczone obok siebie stoły przypominały wielbłądy. Osiodłane staroświeckimi serwetami, dźwigające na grzbietach puste butelki i srebrne cukiernice, sprawiały wrażenie gotowych ruszyć z miejsca.

– Baśń i przeznaczenie mają więcej wspólnego, niż nam się wydaje – mówiła tymczasem nieznajoma.

Nie umiałam stwierdzić, czy słyszę jej głos tuż obok siebie, czy woła do mnie przez piaskową burzę.

– Są zadaniem do wykonania, drogą, czymś, co nieuchronnie zmierza ku końcowi, ale zawsze dzieje się w nich coś, co kieruje nas we właściwą stronę.

– Ale ta baśń nie może toczyć się dalej, jeśli brakuje w niej głównego bohatera – odparłam takim tonem, jakbyśmy rozmawiały o cenie warzyw na Kleparzu.

– Przesadzasz. Jego zniknięcie jest właśnie częścią baśni i częścią przeznaczenia. Powiedz, Nina, czy ktoś taki jak on mógł zniknąć tak po prostu? Bo miał kaprys, kryzys wieku średniego? Myślisz, że nagle znudziło mu się dotychczasowe życie i zapragnął przygody, gwałtownej odmiany losu?

Odwrociłam się do okna, nie mogąc dłużej znieść przenikliwego spojrzenia kobiety. Wdzie-rało mi się pod kopułę czoła i przesywało na wylot mój zmęczony mózg. Ulica, rozmazana jak na akwareli, zdążyła opustoszeć, czarny bruk srebrzył się w bladym świetle latarni. Na żółtej ścianie najbliższej kamienicy jedno samotne okno jarzyło się czerwonym blaskiem.

– Nina, jego zniknięcie też jest częścią baśni – przekonywała mnie dziwna tłumaczka losu. – Zadaniem, które musiał wykonać.

– Skąd pani wie? – spytałam niemal ze złością, w której wybrzmiewało wszystko, za czym tęskniłam w ciągu ostatnich miesięcy.

Kobieta patrzyła na mnie i skupiała się na tej irytacji jak na kolejnej nitce prowadzącej do prawdy. W końcu odezwała się stanowczym, ale uprzejmym głosem:

– Wracaj teraz do domu, Nina. Prześpij się, odpocznij i wytrzeźwiej. Popatrz, twoi znajomi już się zbierają. – Kobieta pokazała mi dwóch kolegów kierujących się pospiesznie do wyjścia. – Spotkajmy się tutaj jutro o wpół do piątej, dobrze? Wytlumaczę ci tyle, ile będę w stanie.

Dopiero te słowa uświadomiły mi, że spędziłam z nieznajomą kilka długich godzin, a na dworze powoli zaczynało się już przejaśniać. Zza moich pleców dobiegało nieprzyjemne dla ucha szuranie odsuwanych krzeseł, komuś rozsypały się po podłodze drobne monety. Przed lokal, jedna po drugiej, podjeżdżały zamówione taksówki, widziałam przez okno, jak uwoziły ostatnich klientów w różne części miasta, żeby za chwilę powierzyć ich ciała i dusze opiece pustych ganków, bram i pogrążonych w ciszy klatek schodowych.

Wysłam z lokalu w towarzystwie kolegi mieszkającego w sąsiedztwie. Chodniki zdawały się szeleścić nam pod stopami. Pogrążeni w milczeniu, zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać, szliśmy wyludnioną ulicą Starowiślną, a światła lamp rozmazywały się w ciemnych oknach kamienic. W hałdach brudnego śniegu pełno było niedopałków i psich odchodów. Rozdzieliliśmy się na placu przy Szerokiej, każde z nas ruszyło w swoją stronę. W domu, nie zdejmując ubrań, rzuciłam się na łóżko, czekając, aż pijacki, rozkołysany sen zagłuszy myśli chrzęszczące w mojej głowie.

Ulica Świętego Tomasza, pokryta śniegiem brudnym od węglowego pyłu, który wraz z gęstym, śmierdzącym dymem wydobywał się ze staromiejskich kominów, wydawała się nie mieć końca. Idąc wolno, krok za krokiem, zastanawiałam się, czy wczorajsze tajemnicze spotkanie nie było zwykłą pijacką fantazją. Zaulek Niewiernego Tomasza sprawiał senne, ociążałe wrażenie, pod drzwiami lokali potworzyły się zamarznęte zasy. Przez szybę kawiarnianej witryny próbowałam dostrzec twarz nieznajomej, ale nie udało mi się jej odnaleźć wśród tych niewielu osób siedzących przy stolikach. Siwiejący mężczyzna chował się za czarno-białą płachtą lokalnego dziennika, dwie studentki o zaczerwienionych z zimna dłoniach piły grzane wino. Minionego wieczoru kawiarnia pękała w szwach, teraz zdawała się tonąć w zimowej zadumie.

– Ach, to pani! – wykrzyknął tubalnie barman, ledwie zamknęłam za sobą drzwi.

Uśmiechnęłam się do niego ugrzecznionym, zdawkowym uśmiechem, nie wiedząc, jak się

zachować. Na szczęście nie musiałam nic mówić.

– Proszę za mną! – zawołał. – Ktoś na panią czeka.

Poprowadził mnie do małej, bocznej sali z wygodną aksamitną kanapą w kolorze butelkowej zieleni. Żyrandol z mlecznego szkła napełniał całe pomieszczenie przytłumionym światłem. Na stole parzyła się herbata w porcelanowym imbryku, obok czekały dwie duże filiżanki.

– Dzień dobry. – Moja nowa znajoma przywitała się ze mną swoim łagodnym, melodyjnym głosem, po czym grzecznie, ale stanowczo zwróciła się do kelnera: – Bardzo pana proszę, żeby nam nikt nie przeszkadzał. Chciałabym też, żeby przyciszył pan muzykę, a najlepiej całkiem wyłączył, jeśli to możliwe.

Mówiła tym samym głosem, którym wczoraj skłoniła mnie do zwierzeń. Nie było w nim nic z władczej wyższości, raczej hipnotyczny spokój, który sprawiał, że słuchacz stawał się posłuszny woli kobiety.

– Robi się – rzucił kelner i zniknął za drzwiami, zabierając z półki pod stolikiem kartkę z napisem *Rezerwacja*.

Wiedziałam, że za chwilę zawiesi ją z drugiej strony. Kątem oka dostrzegłam, że w pobliżu imbryka leży podobny do sakiewki jedwabny woreczek.

– Co to jest? – zapytałam, oglądając wyhaftowane na ciemnym tle materiału gwiazdki i półksiężycy.

Nieznamąca rozwiązała troczki i wyjęła ze środka małe prostokątne pudełko.

– Tarot – odpowiedziała. – Poszczególne talie różnią się symboliką. Ta nawiązuje do *Księgi tysiąca i jednej nocy*. Oczywiście mam też i inne.

– Mówi się, że w kartach tarota zamieszkał diabeł – uśmiechnęłam się na wspomnienie obejrzonej niegdyś debaty telewizyjnej.

– Kto mówi? – Kobieta uniosła wysoko prawą brew i popatrzyła na mnie z politowaniem. – Chyba tylko ignoranci i skończeni głupcy, wszędzie szukający kogoś, na kogo można by zrzucić odpowiedzialność za błędne życiowe wybory.

Nie zamierzałam zaprzeczać, tym bardziej że moja nowa znajoma chciała jeszcze pociągnąć temat. Najpierw sięgnęła jednak po imbryk i zajęła się nalewaniem herbaty. Kiedy filiżanki były już pełne, prychnęła i mówiła dalej ze złością:

– Diabeł nie siedzi w kartach, siedzi w ludziach, szczególnie w tych, którzy lubią myśleć o sobie, że są bardziej moralni i praworządni niż wszyscy pozostali. Karmi się ich pychą, brakiem pokory i złudnym przekonaniem, że wiedzą najlepiej, co jest dobre, a co złe. Jeden używa ognia, żeby się przy nim ogrzać, inny wznieca pożary. Uwierz mi, Nina, tym, czego należy bać się najbardziej na świecie, z wyjątkiem śmierci i utraty zdrowia, nie jest diabeł, lecz ludzka głupota.

– Kiedy mieszkałam w Londynie, spotkałam raz Cyganek, ale nie chciała mi wróżyć – przyznałam się.

– Powiedziała dlaczego? – zainteresowała się nieznajoma.

– Nie. Późno w nocy szliśmy z Gabrielem przez Leicester Square i tam właśnie się na nią natknęliśmy. Wróżyła wszystkim przechodniom, ale na mój widok przeżegnała się i uciekła.

– Ciekawe – skomentowała i zmierzyła mnie wzrokiem. – Ja nie zamierzam ci wróżyć – zapewniła. – To, czym się zajmuję, nie ma nic wspólnego z wróżbami. To zwykła matematyka, proste obliczenia. Karty pełnią tu tylko rolę pomocy naukowych.

– Nic z tego nie rozumiem – odezwałam się niepewnym tonem. – Jak może mi pani pomóc?

Moja rozmówczyni zamierzała coś odpowiedzieć, ale przerwała w pół słowa i gwałtownie odwróciła głowę do tyłu, skąd niespodziewanie dobiegł głuchy odgłos. To góra śniegu zsunęła się ze spadzistego dachu kamienicy i z hukiem rozbiła się na chodniku.

– Nie jestem wróżką, wizjonerem ani żadnym prorokiem, więc nie przepowiem ci przyszłości, rozkładając karty – odparła w końcu. – Jestem tą, która ma wiedzę i dzieli się nią z ludźmi, gdy tego potrzebują. Czasem ktoś obcy musi powiedzieć nam coś, co już sami wiemy, ale boimy się do tego przyznać. Bywa, że łatwiej nam uwierzyć komuś, niż zaufać sobie.

Widząc, że nadal niewiele rozumiem, kobieta posłała mi tajemniczy uśmiech.

– Podaj mi daty waszych urodzin – poprosiła.

Wiedziałam, kogo ma na myśli. To było oczywiste. O nic nie pytając, posłusznie sięgnęłam po długopis i na cienkiej serwetce napisałam dwa rzędy cyfr. Podsunęłam je nieznamomej niemal pod sam nos. Najpierw przyglądała im się w milczeniu, potem wyjęła z torby duży zeszyt i rozłożyła go przed sobą.

– Ty będziesz pierwsza – stwierdziła.

Nie tłumacząc nic więcej, zaczęła rysować skomplikowany wykres, na którym moje imię, nazwisko i data urodzenia zamieniały się w ciągi rzymskich cyfr. Śledziłam wzrokiem jej szybkie ruchy, ale nie udawało mi się za nimi nadążyć. Minęła długa chwila, zanim kobieta znów się odezwała.

– Zdradzę ci pewien sekret, Nina. Data urodzenia każdego człowieka jest czymś zbliżonym do portretu, choć to nie całkiem odpowiednie słowo. Możesz odczytać z niej prawdę o innych ludziach, i nie ma mowy o jakiegokolwiek pomyłce, jeśli tylko wiesz, jak się do tego zabrać.

– Jak to? – rzuciłam niepewnie w przestrzeń między nami, przekonana, że wiedzą na ten temat kobieta nie zechce się podzielić. Myliłam się jednak.

– Ten ciąg cyfr jest jak kod genetyczny, jak linie papilarne. Mówi o tym, jakim jesteś człowiekiem, i odsłania twoje życiowe powołanie. W dacie urodzin zapisane są upodobania, zdolności, mocne i słabe strony. Mogę ci powiedzieć, jakimi chorobami genetycznymi jesteś obciążona i zajrzeć przez te liczby do twojej podświadomości. Ale to wciąż nie wszystko. Daty urodzin różnych osób mogą być czytane wspólnie. To pozwala określić, dlaczego ktoś pojawił się w naszym życiu, i wskazać, jak ułożą się przysze relacje.

Byłam zafascynowana, ale też przestraszona. Nie wiedziałam, na ile chcę wierzyć w istnienie tak potężnej wiedzy o drugim człowieku. Rozmyślałam intensywnie, a moja rozmówczyni patrzyła na mnie z rosnącym rozbawieniem.

– Powie mi pani, czego dowiedziała się o mnie? – Wreszcie byłam gotowa usłyszeć odpowiedź na to pytanie.

– Myślisz, że kiedy zacznę ci o tym opowiadać, szybko wytkniesz mi błąd albo pomyłkę. Pod tym względem wszystkich łączy podobieństwo. Czekają tylko na moje potknięcie, na triumf rozsądku nad fikcją, a potem milkną w obliczu prostej prawdy, którą trudno im przyjąć do wiadomości. Powiem ci, oczywiście. Masz prawo wiedzieć. Ale musisz mi coś obiecać. Dziś słuchaj po to, żeby usłyszeć, a nie po to, żeby za wszelką cenę udowodnić mi, gdzie się mylę.

W pomieszczeniu na moment zapadła cisza, podczas której kobieta wpatrywała się intensywnie w sporządzony przez siebie rysunek. Po chwili zwróciła się na powrót w moją stronę i zaczęła objaśniać:

– Za życie każdego z nas odpowiada jedna, najważniejsza karta, będąca podsumowaniem pozostałych. Ich znaczenie – zakreśliła długopisem w powietrzu sekwencję kilku cyfr – nie jest ci na razie do niczego potrzebne, dlatego dzisiaj go nie wytłumaczę. Twoją kartą nadrzędną, tą najważniejszą, jest Eremita, Pustelnik.

Kobieta podsunęła mi wyciągniętą z talii kartę, oznaczoną rzymską dziewiątką. Widniał na niej starszy, siwowłosy mężczyzna z różańcem w dłoni, ubrany w biały strój przypominający mnisi habit. Starzec siedział oparty o gruby pień drzewa, pogrążony w zadumie, ze wzrokiem utkwionym w oddali. Obok leżał sękaty kij i lampa olejna, atrybuty wędrowca.

– Przyjrzyj mu się uważnie – poleciła kobieta. – Charakteryzuje go twórcza samotność, samotność z wyboru. Tam, w dole – postukała w kartę – leży miasto, ale on nie jest jego częścią. Siedzi w oddali i spogląda na nie z dystansu. Nieobecny, wyalienowany, nie czuje się związany ze światem, w którym żyje, ucieka we własny. Rozczarowany, zmęczony codziennością, chowa się w wyobraźni. Wiesz, kogo mi przypomina?

Pokiwałam przecząco głową.

– Tak właśnie wyglądałaś wczoraj wieczorem. Byłaś z grupą znajomych, ale stałaś z boku. Rozmawiałaś z nimi, śmiałaś się, a jednocześnie zachowywałaś się tak, jakby wcale cię z nimi nie było, zamknięta w swoich myślach.

– To prawda – przyznałam, a dotychczasowe życie z prędkością błyskawicy przemknęło mi przed oczyma.



– Nigdy nie odnalazłabyś się w związku z rówieśnikiem – ciągnęła nieznajoma. – Dzielą was lata świetlne, intelektualna przepaść nie do pokonania. Podejrzewam, że szkoła była dla ciebie prawdziwą udręką. Mam rację? – uśmiechnęła się gorzko. – Przestałaś być dzieckiem znacznie wcześniej niż twoi koledzy z klasy, a oni nie mogli tego pojąć. I dotarłaś tam, dokąd oni jeszcze długo nie dotrą. Wcale mnie nie dziwi, że związałaś się z dużo starszym człowiekiem. Nie mogło być inaczej.

Nie umiałam się z nią nie zgodzić, choć jakaś część mnie wciąż tego żądała. Siedziałam, zamyślona nad usłyszczanymi słowami, gdy w szparze drzwi pojawiła się głowa kelnera. Chciał się upewnić, że niczego nam nie potrzeba. Moja rozmówczyni podziękowała mu grzecznie i wróciła do kart.

– Eremita to mędrzec, poszukiwacz wyższych wartości duchowych. Humanista, człowiek o niewzruszonych zasadach moralnych. Dąży do świętości, tej najpełniejszej, najprawdziwszej, mając za nic dobra materialne, zaszczyty i sławę. Nie boi się podejmowania trudnych decyzji, kroczy pewnie przed siebie, ufa intuicji i sile mądrości. Dokądkolwiek by nie szedł, droga nigdy go nie zawiedzie. Taka właśnie jesteś, Nina. To przecież cała ty.

– A moje powołanie? – Przypomniałam sobie, o czym rozmawialiśmy wcześniej. – Powiedziała pani, że w tych obliczeniach można je znaleźć.

– Oczywiście – potwierdziła. – Eremita symbolizuje filozofa, twórcę, duchowego przywódcę, każdego, kto realizuje się w słowach, jest autorytetem, kimś wzbudzającym szacunek. Twoim powołaniem, drogą życia, są słowa. Czy naprawdę musiałam ci to uświadomić?

– Nie – powiedziałam dobitnie, jakbym ogłaszała to całemu światu.

Na moment nasze spojrzenia skrzyżowały się. Uśmiechnęłyśmy się do siebie porozumiewawczo, jak dwoje ludzi, którzy wiedzą i czują znacznie więcej, niż mówią.

– Przyjrzyjmy się teraz tej drugiej dacie. – Kobieta zwróciła się do mnie, jakby czekała na pozwolenie.

Kiedy skinęłam głową, znów pochyliła się nad kartką papieru. Przez kilka minut słyszałam tylko ciche szuranie długopisu po gładkim blacie stołu. Obserwowałam ją uważnie i w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że pionowa zmarszczka na czole kobiety cały czas się pogłębiała, a spokojna dotąd twarz nabierała pochmurnego wyrazu.

– Już rozumiem, dlaczego ta Cyganka w Londynie nie chciała ci wróżyć – powiedziała cichym głosem i odłożyła na chwilę długopis. – Tu wcale nie chodziło o ciebie.

Staralam się nie okazywać zdenerwowania, lecz moja rozmówczyni była zbyt dobrym obserwatorem, żeby cokolwiek mogło się przed nią ukryć.

– Oczywiście, masz rację. To chodziło o niego – skończyła swoją myśl i zaczęła przeliczać wszystko od początku.

Sekundy dłużyły się w nieskończoność. Kraków nagle okazał się zbyt głośny, docierały do mnie hałasy i trzaski chyba z całego miasta. Siedziałam zdenerwowana, wyłamując palce.

– Nie wiem, Nina, jak to wytłumaczyć – odezwała się wreszcie kobieta, starając się jednocześnie uspokoić głos – więc powiem wprost. To imię, nazwisko i data urodzenia są nieprawdziwe i nie należą do żadnego człowieka. Prędzej do kogoś, kto wbrew własnej woli zawisł między światami, z jakiegoś powodu zatrzymał się w połowie drogi.

– Czy to znaczy, że ja go sobie zwyczajnie wymyśliłam? – dopytywałam z rosnącym niepokojem. To był ten moment, w którym miałam poskładać wszystkie zagadki w jedną tajemnicę i pozostać z nią sam na sam, bez złudzeń, omamów i snów podsuwających od razu fałszywe interpretacje.

– Gdybyś go wymyśliła, wówczas nie mogliby przecież widzieć go inni ludzie – cierpliwie tłumaczyła mi nieznajoma. – Nie umiem ci wytłumaczyć, na czym polega jego istnienie. Może powinnaś poszukać odpowiedzi w tej szkatułce, którą znalazłaś w szafie. Opowiedz mi jeszcze raz, co w niej było.

Powoli, w skupieniu wyliczałam jedną rzecz po drugiej, nie pomijając nawet zakładki do książki i szeleszczących papierków po cukierkach, ale nieznajomą najbardziej zainteresował stary, ciężki klucz.

– Jeżeli mamy klucz, gdzieś muszą znajdować się drzwi, które nim można otworzyć. – Zamyśliła się, ale nie wracała już więcej do tematu.

Bez słowa sięgnęła do talii, wyciągnęła kartę oznaczoną rzymską trzynastką i poprosiła, żebym się jej przyjrzała. Przedstawiała młodą dziewczynę z intensywnie czerwonymi oczyma, biegnącą na przełaj przez stary, zachwaszczony cmentarz. Wiatr rozwiewał jej długie jasne włosy, szarpał błękitną sukienkę. Gałęzie cmentarnych topoli były rozkołysane. Wyglądało na to, że kobieta ucieka przed nadciągającą burzą. Niebo na obrazku zasnuwały ciężkie chmury, przybrudzone poszarzałym błękitem.

– Ta karta to Śmierć – wyjaśniła moja rozmówczyni, a widząc, że zadrżałam, natychmiast dodała: – Nie bój się. Nie oznacza śmierci w znaczeniu fizycznym, nie zapowiada kresu naszego życia. To symbol transformacji, przemiany, momentu w odwiecznym cyklu narodzin i śmierci polegającym na pokonywaniu kolejnych etapów na drodze duchowego rozwoju. W znaczeniu kabalistycznym ta karta oznacza również miłość i zniszczenie.

Kobieta przerwała i sięgnęła po filiżankę. Upiła kilka łyków herbaty, przypatrując mi się z uwagą.

– Jesteś blada jak ściana – zauważyła, ale zaraz wróciła do swoich obliczeń.

Za oknem zdążyło się zupełnie ściemnić. Śnieg sypał bezustannie, wdzierając się przemarznietym przechodniom za kołnierze płaszczy i puchowych kurtek. Patrzyłam niewidzącym wzrokiem na dozorców, którzy trzymając drewniane łopaty, wylegli z bram i z przekleństwem na ustach próbowali walczyć z nawałnicą.

– Wiesz, Nina – głos nieznajomej wyrwał mnie z zamyślenia – w tej karcie wszystko się splata, wszystko się w niej spotyka. Życie i śmierć, fikcja i rzeczywistość. Transformacja często uosabia kogoś, kto cierpiał, ale dzięki temu nauczył się czegoś o sobie, otrzymał lekcję życia. Śmierć symbolizuje także ludzi obdarzonych niezwykłą intuicją, wróżbitów, wizjonerów, tych, którzy potrafią przekraczać granice, szamanów i cudotwórców.

– Tak, wszystko się zgadza – powiedziałam.

– Ta karta odpowiada również za twórczą przemianę – kontynuowała – za umiejętność kształtowania rzeczywistości własną siłą woli. *Creatio ex nihilo*, wywoływanie skutków zgodnych z oczekiwaniami, osiąganie wyznaczonych celów. Gabriel mógł oczarować swoim głosem, bo nie był zwyczajnym bajaranem. I chyba znam przyczynę jego zaginięcia. Domyślasz się już, że chodzi o transformację? Możesz to nazwać przejściem albo przemianą, jak wolisz. Zniknął, bo musiał zakończyć pewien etap, pójść dalej.

– A ja? Co ja mam z tym wspólnego? Dlaczego stałam się częścią tej historii?

Nieznajoma jeszcze raz pokazała mi oba wykresy, ale sama nie potrafiłam niczego się z nich dowiedzieć.

– Być może tego nie zauważyłaś, ale wasze karty odpowiadają sobie idealnie – powiedziała, nie kryjąc pewnego zaskoczenia. – Gdybym je zamieniła, w dalszym ciągu pasowałyby do każdego z was. Mam wrażenie, że jesteście po prostu wpisani we własne losy.

Popatrzyłam na obie karty. Leżały obok siebie, nieświadome tego, jak wielką mają moc. Kobieta tymczasem znów pogrążyła się w swoich zapiskach.

– Już wiem, dlaczego się spotkaliście – obwieściła po chwili z triumfem. – Po podsumowaniu waszych dróg życiowych wychodzi Głupiec. Odrodzenie, początek, nowy etap, coś, co dopiero się rozpoczyna, puszczenie przeszłości w niepamięć. Budowanie na gruzach. Wreszcie zaczynam dostrzegać, w jakim kierunku zmierza wasza historia, choć wciąż nie rozumiem dlaczego.

Kobieta ułożyła karty w takiej kolejności, w jakiej wcześniej odczytywała ich znaczenie – najpierw Eremita, w środku Śmierć, a na końcu Głupiec – i zawołała z przejęciem:

– Tarot jest naprawdę czymś niesamowitym. Nie ma w nim miejsca na przypadek i bezład. Tu rządzą tylko dwie królowe: intuicja i podświadomość. Widzisz te trzy karty? Są kartami drogi. Mędrzec, wiekowy starzec, znajdujący się już u schyłku życia, podąża ku śmierci, a potem odradza się pod postacią Głupca. Głupiec, symbolizujący osobę młodą, nowo narodzoną, bez wiedzy i doświadczenia, wyrusza przed siebie, żeby nabyć życiowej mądrości, potem staje się człowiekiem dojrzałym, starzeje się i umiera. W ten sposób cykl się powtarza, koło się zamyka.

– Każda z tych postaci posiada jakiś atrybut wędrowca – zauważyłam, patrząc na tobolek niesiony przez Głupca.

– Eremita w takim rozkładzie to sytuacja miniona, transformacja trwa obecnie, a Głupiec jest przyszłością. Podążałaś w kierunku przemiany, którą stało się niespodziewane zniknięcie Gabriela, a przemiana, jak wiadomo, jest zawsze wstępem do czegoś nowego.

– Co w takim razie powinnam zrobić? – zapytałam. Wśród wielu różnych odpowiedzi wciąż nie potrafiłam odkryć tej jednej, właściwej, pozwalającej zrozumieć, co przeznaczył mi los. – Zrobiłabym wszystko, żeby odnaleźć Gabriela, problem tkwi tylko w tym, że świat nie chce ze mną negocjować.

– Pozwól poprowadzić się własnej historii, zaufaj jej, a sama zabierze cię tam, dokąd trzeba. Pomyśl, może po drodze zdarzyło się coś ważnego? Czy Gabriel nigdy niczego od ciebie nie chciał, o nic cię nie prosił?

– Prosił. – Nagle przypomniałam sobie słowa, które padły w dusznym wagonie metra, gdy jechaliśmy na spotkanie z Alainem Levittoux. – To było w dniu poprzedzającym jego zaginięcie.

Wróciłam pamięcią do tamtego popołudnia. Znow znalazłam się w Londynie, wśród huku megafonów zapowiadających chrapliwie przyjazdy pociągów, wśród obcych ludzi i szelestu gazet. Głos nieznanym, brzmiący tak, jakby dochodził z jakiegoś odległego zakątka, wyrwał mnie z odrętwienia.

– Co ci powiedział? – Zdałam sobie sprawę, że musiała powtórzyć pytanie kilka razy.

– „Napisz o mnie” – odparłam. – Tylko tyle, nic więcej.

– Dlaczego zatem do tej pory o nim nie napisałaś?

W głosie kobiety wyczułam delikatną przyganę.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem – odpowiedziałam dopiero po chwili. – Może nie potraktowałam tej prośby poważnie? Potem próbowałam po prostu o nim zapomnieć.

– Naprawdę wierzyłaś, że to możliwe? – Nieznajoma popatrzyła na mnie z powątpiewaniem.

– Na początku tak mi się wydawało. Wyjechałam z Londynu, starałam się o nim nie myśleć, ale wtedy zaczął włamywać się w moje sny. Krztusiłam się tymi snami, próbowałam wypruć je sobie z głowy, pozbyć się ich. Bez skutku. I chyba nauczyłam się żyć ze swoją pamięcią, tak jak żyje się z przewlekłą chorobą.

– A teraz? Wiesz już, że musisz o nim napisać? W przeciwnym razie ta historia nigdy się nie skończy, utknie w martwym punkcie. To jest zresztą coś, czego nie unikniesz.

Próbowałam ominąć wzrokiem twarz nieznanym, oczy, przyglądające mi się z natarczywą intensywnością. Miałam powody, dla których napisanie o Tobie graniczyło z niemal nadludzkim wysiłkiem.

– Boję się – odparłam, przyznając się otwarcie do swojej słabości.

– Czego?

– Nieustającego bólu przypominania. Trudów podróży w głąb własnej pamięci. Wspomnień ukrytych w słowach.

– Nie bój się słów, Nina! Umiesz obdarzyć je twórczą mocą, barwą, zapachem i dźwiękiem, są twoim życiowym powołaniem. Wypełnij je.

– Przecież słowem nie zmienię świata, nie odnajdę nim Gabriela – powiedziałam.

– Czyżby? Przypomnij sobie, od czego się wszystko zaczęło. – Kobieta wzięła głęboki oddech i zwróciła się do mnie cytatem: – *Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo. Ono było na początku u Boga. Wszystko przez nie się stało, a bez Niego nic się nie stało...*<sup>6</sup> Dalszą część pewnie znasz.

– Trzyma pani w ręku talię kart tarota i cytuje Ewangelię według świętego Jana – roześmiałam się, lecz moja rozmówczyni odpowiedziała z niewzruszonym spokojem:

– Myślisz, że Bóg i tarot wzajemnie się wykluczają? Nikt dotąd nie udowodnił, że te karty nie są dziełem Bożym, ale gdyby pewnego dnia komuś się to udało, nie omieszkałam przyznać się do błędu.

Na dworze w dalszym ciągu szalała nawałnica. Ludzie zniknęli z ulic, w powietrzu wiro-

wały tylko płatki śniegu. Wsłuchiwałam się w zawodzenie wiatru, nieznajoma spoglądała w dal gniewnym wzrokiem. Nie umiałam złożyć żadnej obietnicy.

– Zawsze dziwiło mnie to, z jakim uporem ludzie pragną zdobyć wyłączność na Boga, przekonani o swojej racji i nieomyślności. Drą tę boskość między sobą na strzepy, biją się o nią, żeby wyrwać dla siebie chociaż kawałek, nie wiedząc, która wiara jest prawdziwsza albo czy nie są przypadkiem tym samym.

Słuchając tej przemowy, z trudem powstrzymałam uśmiech. Przypominała mi się zacie-trzewiona, gniewna twarz Abhai Patel. Nawet sceneria wydawała się nieco podobna, wtedy jednak za oknami nie sypał gęsty śnieg.

– Napisz o nim, Nina. Uwierz w siłę słów. – Nieznajoma chowała karty z powrotem do wo-reczka. – Nie wahaj się pójść swoją drogą, choć wcale nie jest łatwa. Nieraz pewnie w nią zwątpisz albo zechcesz zawrócić, ale zaprowadzi cię we właściwe miejsce.

– Napiszę – odpowiedziałam.

Oczy kobiety zasnuły się mgłą zamyślenia. Kiedy znów przemówiła, miałam wrażenie, że czyta na głos fragment artykułu z gazety.

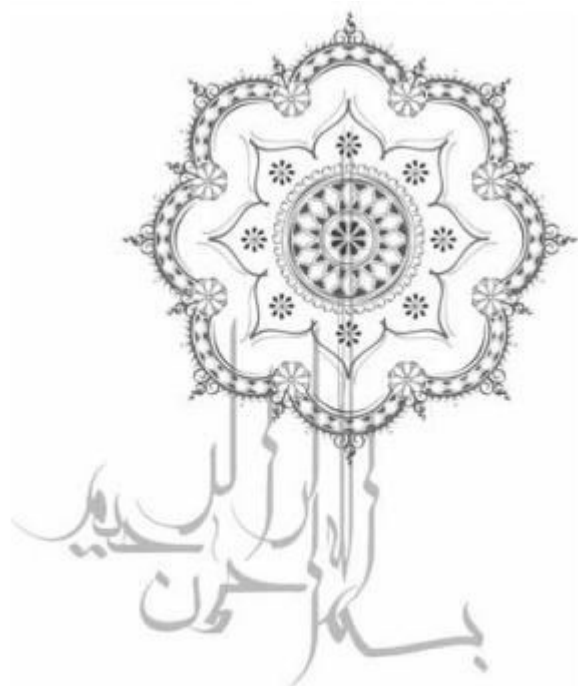
– Ludzie oszaleją na punkcie twojej opowieści. Zapewniam, że nikt nie przejdzie wobec niej obojętnie.

– Napiszę – powtórzyłam głośniej.

– Napisz, a kiedy skończysz, cierpliwie czekaj na to, co będzie dalej. Nie próbuj już więcej szukać Gabriela. Szukanie nie polega na chodzeniu po ulicach i rozglądaniu się za kimś. Szukanie to myśl, którą się urzeczywistnia. Czasem szuka się kogoś, żeby znaleźć siebie.

Nieznajoma przeprosiła na chwilę, sięgnęła do klamki i zniknęła w mroku korytarza. Cze-kałam na nią niemal pół godziny, ale już nie wróciła. Wreszcie kelner przyszedł, żeby zabrać czaj-nik i filiżanki. Na stoliku został tylko pusty woreczek po kartach.

## EPILOG



Książka o Tobie została napisana. Byłeś tam w każdym słowie, nawet w kropkach, przecinkach, w odstępach między wierszami. Z daleka rozpoznawałam błękitną okładkę na wystawach mijanych księgarni, a wtedy miasto przyoblekało się w podobne barwy. Główki kwiatów sprzedawanych przez miejscowe kwiaciarki nabierały koloru ultramaryny, po Rynku biegały niebieskie gołębie, podjadając turkusowe ziarna, wieża mariacka dotykała iglicą lazurowego nieba. I tylko dachy budynków rozbłyskiwały złotem w promieniach szafirowego słońca.

Ze zdziwieniem obserwowałam ludzi przesiadujących z tą książką w kawiarnianych ogródkach, dworcowych poczekalniach, na ławkach, skwerach i przystankach. Czytali ją pasażerowie w tramwajach, ekspedientki w sklepach, studenci chowali twarze wśród kartek, mknąc w pośpiechu po zatłoczonych Plantach. Każde spotkanie z czytelnikiem w rozległych przestrzeniach miasta było nawiązaniem szczególnego rodzaju porozumienia, na krótką chwilę przestawaliśmy być obcy wobec siebie. Odchodziłam z tym nowym wrażeniem, przypominając sobie dni wypełnione po brzegi pisaniem i wszystkie te noce, kiedy słowa nie dawały mi spać, domagając się urzeczywistnienia. Odkąd pamięć zaczęła ukrywać się w zdaniach zastygających na kartkach papieru, poczułam się wreszcie wolna od jej ciężaru i zaczęłam spoglądać na świat jak niewidomy, któremu po wielu latach udało się przejrzeć na oczy. Wokół nie działo się nic niezwykłego, co mogłoby wyglądać na dalszy ciąg opowieści, lecz na nic już nie czekałam.

Pewnej nocy obudził mnie dziwny hałas, przypominający chrobotanie myszy w kominach starej kamienicy. Leżałam nieruchomo, patrząc przez okno w dachu na czarne, rozgwieżdżone niebo, i powoli uświadamiałam sobie, że dźwięk nie wydobywał się z wnętrza ścian, lecz z głębi pokoju. Przy okazji odkryłam, że z kranu w kuchni woda kapie ciężkimi kroplami, a rury wydają z siebie przeciągłe westchnienia. Chrobotanie tymczasem na przemian cichło i rozlegało się znowu, aż w końcu wstałam, żeby znaleźć jego przyczynę. Odgłos powoli poprowadził mnie poprzez ciemności poddasza ku szafie na ubrania. Dawno temu wsunęłam pod nią szkatułkę i zdążyłam o tym zapomnieć. Teraz wydobyłam ją, wznecając obłok kurzu, i wtedy okazało się, że to stamtąd dobiega

dźwięk, który spłoszył mój sen. Zajrzałam do schowka opatrzonego koślawym tekstem basmali, a spoczywający w nim klucz wypadł mi prosto pod nogi. Położyłam go na zarzuconym papierami blacie biurka i wróciłam do łóżka.

Tamtej nocy przyśniło mi się czarno-białe nieruchome miasto, uwiecznione na pocztówce lub starej fotografii. W tym śnie trzymałam ją w ręku, wpatrując się w beżowe ściany budynków, w drewniane witryny sklepów i restauracji, we wszechobecne skrzynki wiszących pelargonii. Miasto było obce, a jednak znajome, powoli zaczęłam odkrywać jego tożsamość w wąskich uliczkach i francuskich napisach na staromodnych szyldach, ale nie zdążyłam nadać mu imienia, bo przeciągłe dzwonięcie budzika obwieściło kolejny poranek.

Następnego wieczoru siedziałam już w autobusie jadącym do Paryża, z walizką na kółkach schowaną w luku bagażowym i z kluczem w kieszeni. Po drodze zdarzało mi się zapadać w urywany sen. Po nieprzytomnym przebudzeniu oglądałam przez szybę autokaru światła samochodów mijających nas na autostradzie, stacje benzynowe z brudnymi toaletami, bary szybkiej obsługi pełne zmęczonych kierowców i nocne bezdroża ciągnące się w nieskończoność.

Wczesnym popołudniem następnego dnia autobus zatrzymał się na dworcu Gallieni, skąd taksówka zawiozła mnie do centrum Paryża. Siąpił drobny deszcz, zmuszając malarzy i bukinistów z kramów nad Sekwaną do przywdziania płaszczy przeciwdeszczowych. Ruszyłam przed siebie prawym brzegiem rzeki, żeby po kilku minutach niespiesznej wędrówki dotrzeć do Rue Saint André des Arts. Błądząc wśród sklepików z pamiątkami, kafejek i restauracji, z trudem udało mi się odnaleźć adres przepisany ze starej koperty. Kryła się pod nim szara kamienica z zardzewiałą granatową bramą, zarośniętą bluszczem pnącym się po ścianie. Włożyłam dłoń pomiędzy mokre od deszczu liście i od razu znalazłam mosiężną klamkę w kształcie ludzkiej dłoni. Pochyliłam się i próbowałam wypatrzeć coś przez dziurkę od klucza. Wewnątrz dostrzegłam różowawe światło i zarys znajomej postaci. Klucz zaczął nagle ciążyć mi w kieszeni, nie chcąc już dłużej czekać. Wydobyłam go jednym szybkim ruchem, a on sam odnalazł drogę do zamka. Pchnęłam ciężkie odrzwia, które otworzyły się przede mną z żalonym skrzypieniem i ukazały wnętrze nieczynnej kawiarni. Na pustym barze paliła się lampka nocna.

– Myślałem, że już nigdy nie przyjdiesz. Przyniosłaś ze sobą deszcz z połowy miasta – powiedział, wychodząc z cienia i odgarniając mi mokre włosy z czoła.

Patrzyłam na Ciebie z gardłem ściśniętym wzruszeniem, nie mogąc wydusić słowa.

– Stałeś pod drzwiami. Widziałam – wykrztusiłam w końcu.

– Nie mogłaś mnie widzieć.

– A jednak.

– Wyglądasz dziś jak księżniczka z rosyjskich bajek. Masz krople na twarzy.

Zapadła cisza, jakby niespodziewanie skończyły się słowa. Miałam ochotę pogłaskać Cię po policzku, przypominając sobie, że w takich chwilach zawsze chwytałeś moją rękę i chowałeś usta w jej wnętrzu, ale nim zdążyłam wykonać jakikolwiek ruch, poczułam, że ogarnia mnie fala duszącego gniewu. Ów gniew zdawał się rozsadzać moją głowę, pulsował w skroniach i toczył zacięty bój z targającymi mną uczuciami. Bałam się, że przejmie nade mną władzę, niszcząc pełną niedowierzania radość z Twojego powrotu. Zmagałam się z nim w milczeniu, ale w końcu musiałam ulec.

– Czy wiesz, jak to jest budzić się rano i widzieć obok nietkniętą poduszkę? Czy potrafisz zrozumieć brak, który gryzie od środka tak bardzo, że jedyne, czego pragniesz, to wyszarpać sobie z głowy każdą myśl? – zapytałam podniesionym głosem.

– Wiem lepiej, niż myślisz – odpowiedział cicho.

– Wiesz? W takim razie dlaczego zniknąłeś? Dlaczego nie zdobyłeś się choćby na jedno słowo wyjaśnienia? Czy chociaż przez chwilę pomyślałeś o tym, jak będę się czuć? Czy w ogóle wtedy pomyślałeś o mnie?

Gniew, który przeze mnie przemawiał, przybierał na sile.

– „Pojawiał się znikąd w paryskich kawiarniach i opowiadał ludziom historie” – powiedziałam z wyrzutem, czując, że do oczu napływają mi łzy. – Szkoda, że jedna z tych historii nie została nigdy opowiedziana do końca.

– Nina, czy jeśli teraz ci ją opowiem, chociaż jest najbardziej nieprawdopodobna na świecie, spróbujesz w nią uwierzyć?

– Postaram się. – W moim głosie wciąż czaiła się nuta urazy.

– Dobrze – powiedziałaś i znalazłaś w kieszeni złożoną na cztery części kartkę papieru zapisaną dobrze znanym charakterem pisma. – Ale najpierw przeczytaj.

Wzięłam papier i rozłożyłam szybkimi ruchami. Czytałam kilka razy. Najpierw wędrowałam wzrokiem od zdania do zdania, gubiłam się wśród nich, żeby wreszcie odszukać właściwe znaczenie, ukryte w tajemniczym labiryncie słów.

*Musiałem podążyć tropem tej niezwyklej postaci. Zacząłem szukać śladów Zaklinacza Słów w paryskich bibliotekach, archiwach państwowych, w dawnych kronikach i zapiskach z podróży, wciąż mając w pamięci, że rozpoczął basmalą każdą ze swych opowieści. Czytałem przywożone ze Wschodu pamiętniki, spędzałem długie godziny na przedzieraniu się przez nieczytelne, zniszczone rękopisy, żeby w końcu dotrzeć do legendy o powstaniu "Księgi tysiąca i jednej nocy". Pośród dawno zapomnianych, nikomu niepotrzebnych starych ksiąg udało mi się odnaleźć niezwykłą, baśniową opowieść o nadwornym bazarzu Dżibrailu al-Kadarim, który przyszedł na świat przed wieloma wiekami, w dziś już nieistniejącym mieście w dawnej Persji. Obdarzony niespotykanym, czarodziejskim głosem, któremu przypisywano magiczne właściwości, przyciągał do siebie tłumy, a jego sława niosła się aż do dalekich krain. Napisano o nim, że wymyślił słynną Szeherazadę, po czym zniknął w niejasnych okolicznościach. Kronikarz puścił zapewne wodze wyobraźni, donosząc, że bazarz został zamknięty na kartach swej opowieści – tak jak džinn w butelce albo w ciężkiej skrzyni wrzuconej na dno morza – lecz powraca za każdym razem, gdy "Księga tysiąca i jednej nocy" trafia do rąk czytelnika. Dżibrail al-Kadari do dziś dnia krąży podobno wśród ludzi i snuje opowieści, po czym znika, żeby...*

– Co stało się z dalszą częścią historii? – zapytałam, gdy mój wzrok nagle trafił na złowieszczą biel.

– Paryski pasjonat legend Charles Beaumont, który ją spisywał, nie zdołał jej dokończyć – zaczęłaś wyjaśniać, nie spuszczać oczu z mojej twarzy. – Wracając nad ranem z mocno zakrapianej kolacji w dziennikarskim gronie, spadł z Pont Saint-Michel i utonął w Sekwanie.

– Kim był ten człowiek?

– Paryskim kronikarzem, poszukiwaczem legend. Opisywał je w jednym z lokalnych dzienników.

Zapadła cisza. Patrzyłam na zakurzone blaty okrągłych, drewnianych stołów, na pokrywające front baru płaskorzeźby, zatrzymując wzrok na brudnej podłodze z nieheblowanych desek. Wtedy zawołałaś mnie cicho po imieniu. Odwróciłam się w Twoją stronę i postanowiłam przerwać pełne napięcia milczenie.

– Dlaczego Dżibrail al-Kadari został zamknięty na kartach swojej opowieści? – zapytałam.

– Nie uwierzył w siłę wyobraźni i w sprawczą moc słów – odpowiedziałaś z widoczną wdzięcznością.

Przez moment przyglądaliśmy się sobie bez słowa. Zaniedbana kawiarnia nagle wydała mi się duszna i przytłaczająca. Nie mogłam złapać oddechu, z każdym naszym ruchem w powietrze wzbijały się tumany szarego kurzu.

– Przejdźmy się – zaproponowałam – i opowiesz mi wszystko po drodze.

Poszliśmy nad Sekwanę. Obok nas przepływały rześkie oświetlone łodzie, pełne rozbawionych turystów, po bulwarach snuli się pojedynczy spacerowicze, od czasu do czasu przystając obok kramów, żeby podziwiać obrazy ulicznych artystów. Z Pont Neuf dobiegały dźwięki słynnej paryskiej piosenki – *La Boheme* – granej na akordeonie. Usiedliśmy na ławce, wpatrując się w widoczną po drugiej stronie katedrę Notre Dame.

– Opowiedz mi o Dżibrailu – poprosiłam szeptem ledwie przebijającym się przez głośny szum Sekwany. – To, o czym Charles nie zdążył napisać w swojej historii.

Utkwiłaś wzrok w rwącym nurcie rzeki. Przysunęłam się bliżej, nie tylko po to, żeby lepiej słyszeć Twój głos. Nadal nie potrafiłam uwierzyć, że naprawdę koło mnie siedzisz, że bijące od Ciebie ciepło nie jest kolejną sztuczką udręczonej wyobraźni. Raz po raz przesuwałam dłonią po

rękawie czarnego płaszcza, bojąc się, że znikniesz, jeżeli przestanę.

– Baśń o Szeherazadzie zaczyna się od opowieści o królu Szahrijarze i jego bracie Szahzamanie – zaczęłaś, a ja, jak zawsze, zasłuchałam się Twoim głosem. – Dżibrail przeniósł do tej baśni całe zło współczesnego mu świata. W tamtych czasach kobietom wydawało się, że warte są tyle, ile ich uroda i życiowy spryt. Dążąc do zdobycia wpływów, zaszczytów i władzy, gubiły się wśród własnych intryg i knowań. Nie brakowało im inteligencji, brakowało im dobroci i mądrości.

Zamilkłeś, bo mijał nas statek spacerowy, głośno dzwoniąc pokładowym dzwonkiem. Miało nie milknąć nawet na minutę, ale jego dźwięki wplatały się w opowieść. Z wodnych taksówek rozlegała się muzyka, głośne wybuchy śmiechu i głosy przewodników, opisujące przyjezdnym mi-jane zabytki. Zapiąłeś mi guzik płaszcza, który zdążył rozpiąć się niespostrzeżenie, a ja uśmiechnęłam się, widząc, że na sąsiedniej ławce jakiś szczęśliwy ojciec wiązał z podobną miną czerwone sznurowadła kilkuletniej dziewczynce. Przez moment w milczeniu patrzyliśmy, jak w skupieniu pochylał się nad butami córeczki.

– Mężczyźni – ciągnąłeś – byli z kolei chorobliwie ambitni, próżni i zapatrzeni w siebie. Pragnęli władzy i nieustannych dowodów uwielbienia, zbyt często ulegali namiętnościom, a nieopanowana żądza zemsty stanowiła niepodważalny dowód ich męskości.

– Myślisz, że w tamtych czasach ludzie byli gorsi niż teraz?

– Nie, myślę, że zło samo w sobie niewiele się zmieniło. Może przybrało tylko mniej brutalną formę, stało się delikatniejsze, bardziej wyrafinowane.

– Dżibrail na pewno nie był taki jak pozostali – powiedziałam z niezachwianą pewnością siebie.

– Nie, nie był – uśmiechnąłeś się. – I właśnie dlatego uciekał w wyobraźnię. Wymyślał nowe światy, inne, lepsze, piękniejsze, coraz bardziej oddalając się od tego, w którym żył.

– Czy w jego życiu były jakieś kobiety? – Nie było mi łatwo zadać to pytanie.

– Dżibrail bał się kobiet. Nie znał ich z tej dobrej strony. Wszystkie wydawały mu się do siebie podobne w swoich zalotnych gestach i spojrzeniach. Był pewien, że za wszelką cenę chcą osiągnąć upragniony cel. Miały piękne ciała i podstępne dusze, potrafiły w jednej chwili zmienić się z uprzejmych, bezbronnych, potrzebujących opieki w okrutne jędze bez żadnych skrupułów. On to widział i dlatego trzymał się od nich z daleka.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że wybrał życie w samotności?

– Nie był sam. Wymyślił sobie kobietę idealną i nazwał ją Szeherazadą – przyznałeś, a po chwili zastanowienia dodałeś jeszcze: – Nie, nie idealną, w znaczeniu doskonałą czy wolną od wszelkich wad. Inną niż te, które znał. Po prostu taką jak ty.

– Czyli jaką? – zapytałam, mrużąc oczy.

– Naturalną. Ciepłą. Prawdziwą. Mądrą tym szczególnie, rzadko spotykanym rodzajem mądrości, zawierającym w sobie wszystko, co najważniejsze: inteligencję, wrażliwość, intuicję i wyobraźnię.

– Co było dalej? – przerwałam Ci, starając się ukryć zakłopotanie.

– Dżibrail nie docenił sprawczej mocy słów i siły wyobraźni. Kiedy los pozwolił mu w końcu spotkać tę kobietę, stracił ją, bo nie uwierzył, że jest prawdziwa.

– Dlaczego nie uwierzył? Jak mógł jej nie rozpoznać?

– Nina, on się przestraszył. Wyobraźnia zastępowała mu życie, dzięki niej znalazł się w bezpiecznym, hermetycznym świecie. Przewidywalnym, uporządkowanym, w którym nie było miejsca na cierpienie, ale i na uczucie, które nie daje gwarancji szczęścia. Bał się, że jeśli będzie kochał, odsłoni swoją słabość, pozwoli się wykorzystać i zostanie sam na sam z bólem. Przestraszył się przywiązania, a potem nagłej utraty czułości. Wyobraźnia podsuwała mu obrazy nadciągającego kaktlizmu. Wreszcie zrozumiał swój błąd i pokochał Szeherazadę miłością bezwarunkową, ale już było za późno. Niewiara to miecz, który zawsze dosięga celu. Pewnego dnia Szeherazada zniknęła. Dżibrail szukał jej długo, ale wszelki ślad po niej zaginął, zupełnie jakby pogrążyła się w niebycie. On znów został sam.

– Co wtedy zrobił?

Przez Twoją twarz przemknął cień, potem zaśniły na niej czerwone i żółte światła



przepluwającej w pobliżu barki spacerowej. Słowa toczyły ze sobą bój o to, które z nich jako pierwsze ma znaleźć się w dalszej części historii.

– Szukał jej. Wszędzie. Nie było takiego miejsca, w którym by o nią nie pytał. To wtedy ułożył słynną opowieść o Szeherezadzie. Miał nadzieję, że gdy ludzie zaczną podawać ją sobie z ust do ust, w końcu trafi do kogoś, kto pomoże mu odnaleźć zaginioną. Niestety, nikt nie wierzył, że Szeherezada istniała naprawdę.

– Jak myślisz, co stało się z Szeherezadą? – Pytanie nagle zaczęło ciążyć mi w gardle.

– Stała się mitem, legendą.

– A co stało się z Dżibrailem?

– Zamknął się w świecie swoich opowieści. Wyrastały z jego wyobraźni jak rozłożyste, kolorowe drzewa. Niektóre z nich spisywał, żeby nie zaginęły w zawodnej ludzkiej pamięci, w tym również tę najważniejszą. Aż pewnego dnia w komnacie nadwornego astrologa przypadkiem odnalazł Księgę Przepowiedni.

– Księgę Przepowiedni? – powtórzyłam głośno.

Przechodzący bulwarem mężczyzna raptownie odwrócił głowę, po czym potknął się, a trzymana w ręku niewielka piramida książek rozpadła mu się na ulicy. Pochylił się i zaczął gorączkowo zbierać woluminy, pieczołowicie ścierając ziarenka mokrego piasku z przybrudzonych okładek. Na dźwięk Twojego głosu oderwałam wzrok od przygarbionych pleców przechodnia.

– Przepowiednie mają to do siebie, że są nieuniknione. Możesz im nie wierzyć, odrzucać je albo próbować o nich zapomnieć, a i tak zawsze znajdą do ciebie drogę, choć spełniają się w różnej postaci. Jeśli nie można z czymś walczyć, trzeba się z tym pogodzić.

– Poczekaj – przerwałam Ci. – Nie powiedziałeś mi jeszcze, co było w tej księdze.

– A tak – zorientowałeś się nagle i powiedziałeś z uśmiechem: – Zapomniałem o najważniejszym. W księdze zostały spisane przyszłe losy mieszkańców pałacu. W tamtych czasach takie księgi posiadał każdy dwór. Władcy mieli nadzieję, że znajomość przyszłości uchroni ich przed spiskami i intrygami. Bywało, że tę naiwną wiarę wykorzystywali do swoich celów nadworni astrologowie. W takiej właśnie księdze Dżibrail odnalazł przepowiednię o sobie.

Utkwiłam nieruchome spojrzenie w kole roweru zaparkowanego obok nieczynnego kiosku z gazetami. Nie mogłam patrzeć na Twoją twarz, bo walczyłam z pragnieniem przyłgnięcia do Twoich ust. A wiedziałam, że wtedy nie usłyszę dalszego ciągu opowieści.

– Nie potrafię powtórzyć ci wszystkiego, co o sobie przeczytał – mówiłeś dalej. – Dla niego przepowiednie były tylko magicznym elementem baśni, równoważącym ich realistyczną fabułę, narzędziem w rękach zmyślonych bohaterów. Nie pochylał się więc nad każdym słowem, żeby rozważyć jego znaczenie. W przepowiedni znalazła się wzmianka o Szeherezadzie i o z wątpliwym Dżibraile w potęgę słów. Napisano tam, że skoro Dżibrail nie potrafił docenić świata, który go otaczał, skoro wyrzekł się go, przedłożył ponad niego świat swoich opowieści, za karę miał zostać zamknięty w owym świecie.

– Zamknięty? – spytałam ze zdziwieniem. – Przecież powracał do rzeczywistości, widywano go w paryskich kawiarniach, również w innych miejscach. Charles Beaumont znalazł o nim wzmiankę.

– Treść przepowiedni często bywa niejasna, nie muszę ci tego tłumaczyć – uśmiechnąłeś się. – A poza tym nie dałaś mi dokończyć.

Na mojej twarzy natychmiast pojawił się rumieniec wstydu.

– Przepraszam. Mów dalej – powiedziałam ze skruchą.

– Dalsza część przepowiedni mówiła o tym, że Dżibrail będzie powracał na ziemię, błąkał się przez stulecia, przez różne epoki i światy, szukając Szeherezady, a przy tej okazji naprawiając słowem to, co niegdyś nim zepsuł. Będzie przywracał ludziom utraconą wiarę w potęgę słów i w siłę wyobraźni, będzie naprawiał ich dusze, opowiadając historie zebrane podczas wędrówki. Miał stać się cieniem, skazanym na wieczny powrót do świata opowieści, dopóki wreszcie pewnego dnia nie znajdzie tej, której szukał. Tylko ona mogła wrócić mu wolność.

– Dlaczego szukał jej właśnie w Paryżu? – zapytałam, z trudem opanowując drżenie głosu.

– „Pojawiał się znikąd w paryskich kawiarniach i opowiadał ludziom historie” – zaczęłaś,

próbując ukryć powagę w pozornie beztroskim śmiechu. – A wtedy przypadkiem zobaczył jej portret namalowany przez nieznanego malarza. Po długich poszukiwaniach udało mu się odnaleźć artystę, ten jednak nie przyznawał się do swojego dzieła. Potem znów twierdził, że namalował wymyśloną postać, zarzekał się, że przyśniła mu się pewnej nocy i odtworzył jej twarz na podstawie snu. Dżibrail kupił ten obraz, mając nadzieję, że ułatwi mu poszukiwania.

– I wtedy zamieszkał w opuszczonej kawiarni przy Rue Saint André des Arts?

– Nie zamieszkał w niej. Pojawiał się znikąd, przychodził zawsze ze świata opowieści. Pytany o to, gdzie mieszka, musiał jednak podawać jakiś adres, wybrał więc taki, pod którym nikt by go nie odnalazł i gdzie nie musieliby tłumaczyć się za niego nieznani mieszkańcy.

– Dżibrail w końcu odnalazł Szeherezadę, prawda?

– Odnalazł – wyszeptaleś. – Wiesz, co musiała zrobić, żeby przywrócić mu wolność?

Oboje wstrzymaliśmy oddech. Na wybrzeżu zacumował jacht, przez szybę widać było grupkę osób siedzących przy kolacji.

– Wiem – odparłam ledwie słyszalnym głosem.

Wydawało mi się, że na moment całe miasto zamilkło razem z nami. Nagle znaleźliśmy się bardzo blisko siebie. Pogłaskałam Cię po policzku, a pod palcami natychmiast odżyło wspomnienie szorstkiego zarostu.

– Masz zimne ręce. Zmarzłaś – powiedziałaś, chowając moje dłonie w rękawy swojego płaszcza. – Chodźmy stąd.

Wolnym krokiem ruszyliśmy przed siebie, w stronę Pól Elizejskich. Z daleka zobaczyłam, że diabelski młyn na Place de la Concorde rozjaśnił się bladoniebieskim światłem, w oddali majaczyła pomarańczowa sylwetka wieży Eiffla.

– Nina, czy teraz, kiedy już znasz prawdę, zostaniesz? – zapytałaś, przystając koło Pont du Carrousel.

– Zostanę. Jak coś mi obiecasz.

– Co takiego?

– Chcę, żebyś już na zawsze przestał chować się w książkach i w snach.

– Dobrze. Obiecuję. – Puściłeś mi perskie oko.

– Co będziemy robić, jeśli zostanę? – Spojrzałam na Ciebie spod oka.

– Spacerować nad Sekwaną, jak teraz – uśmiechnąłeś się. – Pić kawę w Les Deux Magots.

Włączyć się po Montmartre. Czasem gdzieś pojedziemy. Ty będziesz pisać książki sprzedające się w milionach egzemplarzy. Ja nadal będę zajmował się tym, czym do tej pory. Będziemy wieść nudne, zwyczajne życie. Takie jak inni zwyczajni ludzie.

## SŁOWNICZEK

**abaja** – rodzaj wierzchniego okrycia; czarna, sięgająca kostek luźna szata z długimi rękawami noszona przez kobiety na Bliskim Wschodzie, głównie w krajach Zatoki Perskiej, obowiązkowa w Arabii Saudyjskiej.

**babusze** – tradycyjne marokańskie pantofle, wykonane ze skóry, najczęściej w kolorze żółtym, z charakterystycznym szpiczastym noskiem.

**baklawa** – popularny deser w Turcji i krajach Maghrebu, przygotowywany z ciasta filo przełożonego masą z miodu i orzechów, a następnie zapiekany i polewany lukrem bądź miodem.

**basbusa** – popularne w krajach arabskich ciasto z semoliny i syropu z wody różanej, często przyrządzane na ramadanową kolację.

**basmała** – zwrot *Bi-smi Allahi ar-rahmani ar-rahim* (*W imię Boga miłosiernego, litościwego*), rozpoczynający każdą surę Koranu z wyjątkiem dziewiątej; formuła o wyjątkowym znaczeniu religijnym – od niej pobożny muzułmanin rozpoczyna każdą czynność; zwrot ten jest bardzo często wykorzystywany do tworzenia ornamentów kaligraficznych w rękopisach i na budowach muzułmańskich; dawniej otwierał wszystkie teksty pisane, w tym dzieła literackie, jak *Księga tysiąca i jednej nocy*, i naukowe.

**burgul** – kasza, najczęściej pszeniczna, sporządzana z gotowanych, a potem suszonych ziaren.

**dupatta** – długi, szeroki szal zasłaniający piersi i ramiona noszony przez Hinduski, często w komplecie z *salwar kamiz*.

**dżahilija** – dosł. czas niewiedzy, epoka historyczna w dziejach Arabów przed pojawieniem się Mahometa i islamu, potępiana przez Koran i tradycję muzułmańską; jedynym powszechnie cionym osiągnięciem tego okresu jest poezja, zwana staroarabską.

**dzellaba** – długa, luźna szata wierzchnia z szerokimi rękawami i kapturem, noszona przez mężczyzn i kobiety; charakterystyczna zwłaszcza dla Maroka i innych państw Maghrebu.

**dżinnija** – żeński odpowiednik dżinna, złośliwego ducha; dżinnija kusi i uwodzi mężczyzn, doprowadzając ich do zguby.

**Dżuha (w Maghrebie Zha, w Egipcie Goha)** – postać z tradycyjnych opowieści i dowcipów, wzorowana na tureckim Hodży Nasreddinie; żartowniś, wesołek wyróżniający się zdrowym chłopskim rozumem.

**fellach** – rolnik w krajach arabskich.

**ful**, też **ful mudammas (medames)** – pasta z gotowanego bobu, ziół, oliwy, czosnku i soku z limonki; tradycyjna przekąska i potrawa śniadaniowa spotykana we wszystkich krajach arabskich, najbardziej rozpowszechniona w Egipcie i Sudanie.

**ghul** – postać z folkloru arabskiego, demon, zły duch pustynny, przedstawiany jako wiedźma bądź hiena, zagrażający podróżnym i zjadający ciała zmarłych.

**gulab dżamun** – deser popularny w Indiach, przypominający pączki; nieduże kulki z odpowiedniego gatunku sera smażone w głębokim oleju, a następnie moczone w aromatycznym syropie.

**hakawati** – bajarz, opowiadacz, gawędziarz zajmujący ważne miejsce w kulturze arabskiej; utrzymuje się z opowiadania ludziom tradycyjnych historii, które wzbogaca i uzupełnia; hakawatięgo można było spotkać w tradycyjnych arabskich kawiarniach, ale też na placach czy targach.

**hamsa** – dosł. pięć; nazwa odnosząca się do ręki Fatimy (córci proroka Mahometa), symbol w kształcie dłoni, amulet mający chronić przed złym okiem.

**harira** – popularna zupa kuchni berberyjskiej, typowa zwłaszcza dla Maroka; jej podstawą jest mięso baranie z dodatkiem ciecierzycy i bobu.

**hidżab** – dosł. zasłona; tu: chusta zasłaniająca włosy, uszy i szyję noszona przez muzułmanki.

**hummus** – dosł. ciecierzycyca; pochodząca z Libanu i popularna we wszystkich krajach arabskich oraz Izraelu zimna przekąska w formie pasty/dipu, podawana z pitą; podstawowymi składnikami hummusu są: ciecierzycyca, czosnek, pasta sezamowa (tahina), oliwa i sok z limonki.

**Hodża Nasreddin** – postać wywodząca się z kultury tureckiej; anatolijski mędrzec i filozof pojawiający się w wielu tradycyjnych opowieściach Bliskiego Wschodu, znany głównie z legend i literatury moralistycznej.

**Iblis** – szatan, diabeł, zarówno w muzułmańskiej tradycji mitologicznej, jak i w religijnej.

**‘Id al-Adha** – Święto Ofiarowania, najważniejsze święto muzułmańskie, przypadające na zakończenie corocznej pielgrzymki do Mekki, upamiętniające posłuszeństwo Abrahamowi, który gotów był złożyć Bogu w ofierze swojego syna.

**ifryt** – w opowieściach i wierzeniach muzułmańskich zły duch, upiór, najgroźniejszy dzinn.

**iftar** – pierwszy posiłek spożywany po zachodzie słońca podczas ramadanu; potocznie nazywany śniadaniem.

**imam** – powszechnie szanowany, pobożny muzułmanin przewodniczący rytualnej modlitwie piątkowej i opiekujący się meczetem, zajmujący się także nauczaniem religii, udzielaniem ślubów i przewodniczeniem pogrzebom; tym mianem określa się także teologa muzułmańskiego.

**Jalla, jalla!** (arab.) – *szybciej; dalej; rusz się!*

**kadar, kadr** (arab.) – przeznaczenie, los.

**kahla** – czarny kamyczek zakładany małym dzieciom na szyję dla ochrony przed złym spojrzeniem.

**kif** – popularny w krajach arabskich narkotyk podobny do marihuany.

**kanafe** – ciastka serowe polane syropem, specjalność kuchni tureckiej.

**maktub** (arab.) – zapisane; los, przeznaczenie, pojęcie związane z nieuchronnością, obecne w arabskiej tradycji filozoficznej, mistycznej i alchemicznej.

**masala** – popularna w kuchni indyjskiej przyprawa będąca mieszanką ziół; również sos oparty na tej przyprawie.

**maszrabijja** – ozdobna drewniana lub kuta krata stosowana w budowlach arabskich w oknach lub na balkonach wychodzących na dziedziniec, dawniej strzegąca kobiety przed spojrzeniami obcych mężczyzn.

**matar** (arab.) – deszcz.

**mawlawi** – honorowy tytuł przysługujący osobie będącej religijnym przewodnikiem, mistrzem, również określenie nauczyciela w szkole muzułmańskiej.

**medina** też **medyna** – najstarsza dzielnica w miastach arabskich, często otoczona murem wyznaczającym w średniowieczu granice miasta; pot. starówka, stare miasto.

**mu‘allim** (arab.) – nauczyciel, mistrz, przewodnik; zwyczajowy tytuł osoby godnej szacunku i zaufania.

**muezzin** – mężczyzna, który głośnym śpiewem z minaretu pięć razy dziennie wzywa wiernych na modlitwę.

**mamul** – ciasteczka z nadzieniem daktylowym pieczone w specjalnych drewnianych foremkach.

**nargile, szisza** – fajka wodna przeznaczona do palenia melasy (mokrego aromatyzowanego tytoniu), popularna we wszystkich krajach muzułmańskich, a także w Indiach.

**paan** – liście pieprzu betelowego pokryte mieszanką przypraw, służące do żucia; *paan* ma działanie odświeżające i bakteriobójcze, a także lekko pobudzające.

**pita** – cienki placek z mąki jęczmiennej bądź pszennej, najpopularniejsze pieczywo na Bliskim Wschodzie.

**ranginak** – deser wywodzący się z kuchni perskiej, którego głównym składnikiem są daktyle.

**rabab** – tradycyjny muzułmański instrument smyczkowy.

**salwar kamiz** – tradycyjny strój hinduski przeznaczony zarówno dla kobiet, jak i mężczyzn,

składający się z szerokich, zwężonych na dole spodni i luźnej tuniki.

**samosa** – pierożki z nadzieniem warzywnym, mięsnym lub serowym, ostro doprawione i smażone w głębokim oleju; tradycyjna potrawa kuchni indyjskiej.

**sauba** – biała, luźna szata do kostek, z długimi rękawami, noszona przez mężczyzn w krajach Zatoki Perskiej.

**Sidrat al-Muntaha** – w tradycji muzułmańskiej drzewo wyznaczające granicę ludzkiego poznania, znajdujące się na końcu siódmego nieba.

**sikkin wa-milh** (arab.) – nóż i sól; rodzaj zaklęcia, magicznej formuły wygłaszanej dla ochrony przed dżinnami.

**sikh** – wyznawca sikhizmu, religii monoteistycznej wywodzącej się z Indii.

**szarmuta** (arab.) – prostytutka, dziwka, też pogardliwe określenie nieskromnie ubranej dziewczyny.

**Szahrzad** (arab.) – Szeherezada.

**Szirazad** (pers.) – Szeherezada.

**szebakia** – ciasteczka z sezamu, migdałów i miodu o finezyjnym kształcie, popularne w Maroku.

**szerwani** – rodzaj długiego płaszcza będącego swoistym połączeniem tradycyjnego *salwar kamiz* i fraka, często bogato zdobiony przy szyi; strój charakterystyczny dla kultury indyjskiej.

**szukran, habibi** (arab.) – dziękuję, kochany.

**tadžammad!** (arab.) – nie ruszaj się! Zastygnij!

**tadżin** – charakterystyczne dla kuchni berberyjskiej gliniane stożkowate naczynie przeznaczone do duszenia potraw nad rozżarzoną węglą lub drewnem; też popularna marokańska potrawa przyrządzana w tym naczyniu.

**tandoor** – gliniany piec w kształcie dzbana, używany przede wszystkim w Indiach.

**tarbusz** – filcowa czapka w kolorze czerwonym, noszona przez muzułmanów zamieszkających we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego.

**tasbih**, też **subha** – muzułmański różaniec składający się z trzydziestu trzech paciorków lub trzech części po trzydzieści trzy paciorki, służący do powtarzania wszystkich dziewięćdziesięciu dziewięciu najpiękniejszych imion Boga.

**tikka masala** – danie z grillowanych bądź smażonych fileatów z kurczaka popularne w kuchni brytyjskiej, nawiązujące do tradycji indyjskiej i pakistańskiej.

**ud** – jeden z najstarszych i najpopularniejszych arabskich instrumentów muzycznych, rodzaj lutni.

**werset tronu (Ajat al-Kursi)** – dwieście pięćdziesiąty piąty werset najdłuższej sury Koranu, tzw. Krowy; jeden z najczęściej recytowanych tekstów koranicznych, a także najczęściej odmawiana modlitwa w chwili niebezpieczeństwa.

**zadżal** – gatunek arabskiej poezji stroficznej o treści miłosnej bądź panegirycznej, powstały na terenie arabskiego kalifatu w Hiszpanii w XI w.; zadżale tworzone były w języku potocznym i często wykonywane przy akompaniamencie muzycznym.

**zagharid** – charakterystyczny odgłos wydawany przez Arabki, powstający przez modulację głosu językiem i dłońią przyłożoną do ust, wykonywany podczas ważnych uroczystości, tj. wesela, obrzezania.

**zellidż** – marokańska mozaika z glazurowanych kafli, układana w geometryczne wzory na ścianach bądź posadzce, charakterystyczna zwłaszcza dla Maroka.

<sup>1</sup> Fragment piosenki U2, *The Hands That Built America*.

<sup>2</sup> Fragment piosenki popularnego egipskiego piosenkarza Amr Diaba.

<sup>3</sup> Ewangelia według św. Mateusza 19, 6.

<sup>4</sup> F. Dostojewski, *Bracia Karamazow*, tłum. A. Wat, t. 1, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978, s. 98.

<sup>5</sup> A. Błok, *Taniec śmierci*, tłum. S. Pollak, [w:] *Dwa wieki poezji rosyjskiej. Antologia*, oprac. M. Jastrun i S. Pollak, Czytelnik, Warszawa 1951, s. 299–300.

<sup>6</sup> Ewangelia według św. Jana 1,1–3.

## Seria wydawnicza

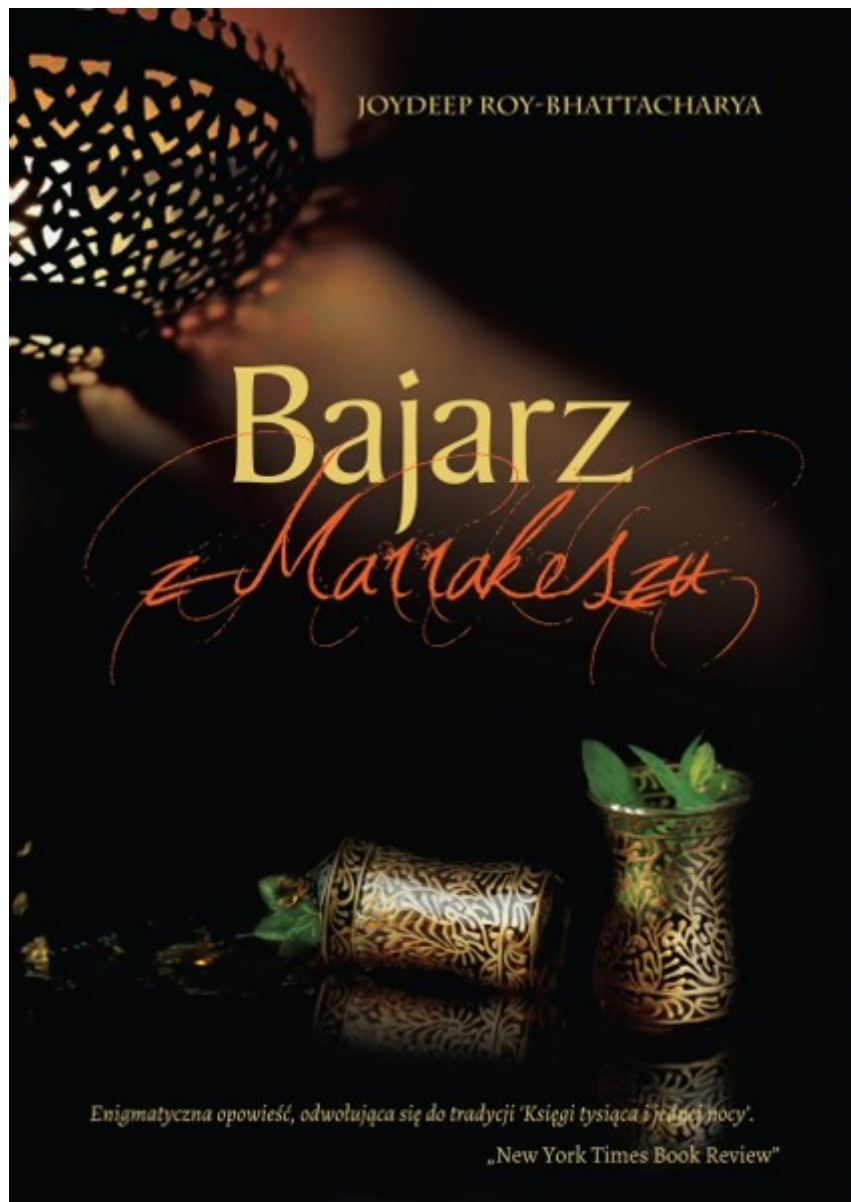


- -

Ekskluzywna seria wydawnicza nawiązująca do wschodniej sztuki bajarstwa. Orientalne motywy, wielowątkowa fabuła, szkatułkowa budowa historii oraz urok wschodnich opowieści przeniesionych we współczesne realia to najważniejsze atuty tytułów tej serii.

Tutaj nic nie jest takie, jakie wydaje się na początku, a przesiąknięte tajemnicą i egzotyka historie wciągają i czarują czytelnika, rozwijając przed nim magiczny dywan słów.

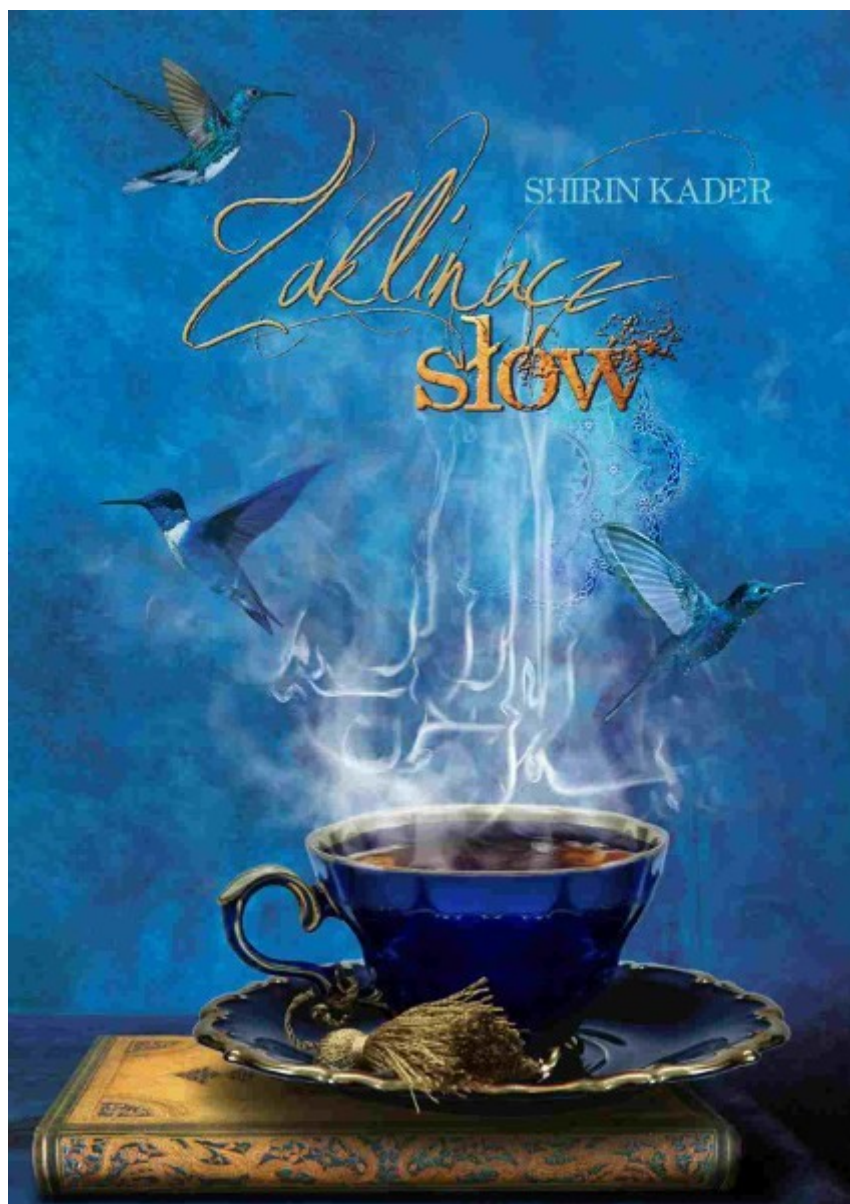
**Książki w serii:**



**Joydeep Roy-Bhattacharya**

*Bazar z Marrakeszu*





**Shirin Kader**

*Zaklinacz słów*

